

**Krwawe zbrodnie,
tajemnica z przeszłości
i zamrożone zwłoki
na górskim zboczu...**

CZARNY SZLAK

**ANDREAS
FÖHR**
FILIA

CZARNY SZLAK

ANDREAS

FÖHR

Przełożyła
Agnieszka Hofmann

FILIA

Ludziom i zwierzętom
z azylu dla zwierząt „Chiemgau”

Rankiem dwudziestego czwartego września 2008 roku niebo było szare, a powietrze zimne i wilgotne. Miesiąc zaczął się niezwykle ciepło, ale w drugiej połowie września temperatura gwałtownie spadła. O siódmej trzydzieści termometry w Miesbach wskazywały sześć stopni. Baptist Krugger pożegnał się z matką, która jak co rano dała mu zawinięte w folię kanapki z kielbasą, i wsiadł do starego golfa, żeby wyruszyć na uniwersytet do Monachium. W każdym razie tak sądzili rodzice. Krugger nie pojechał jednak do Monachium. Jak niemal zawsze udał się do oddalonego o dziewięć kilometrów domu na odludziu, w którym spędzał całe dnie. Rodzice nie wiedzieli o tym, zresztą o istnieniu domu nie wiedział prawie nikt. Golf sunął asfaltem na północ i wszystko było jak zawsze – tyle że tego dnia w pewnej odległości podążało za nim granatowe bmw.

Sophie Kramm spała niespokojnie i obudziła się tuż po piątej. Było jej niedobrze, zwymiotowała raz, potem drugi. Dygotały jej kolana. Ubrała się i poszła do stajni, żeby pooddychać zimnym powietrzem i nieco się uspokoić. Konie i osły zachowywały się tego ranka nerwowo, szurały kopytami w przegrodach i parskwały. Wróciwszy do domu, zaparzyła kawy w dzbanku, ale niewiele wypila, bo obawiała się, że zaszkodzi jej jeszcze bardziej.

O szóstej podjechała do wąskiej drogi przez las i pomogła Jörgowi i Annette instalować wahadłową sygnalizację świetlną. Wilgotny ziąb przenikał przez ubranie, mimo to spociała się z wysiłku. Światła zostały ustawione i funkcjonowały, ale świeciły tylko na zielono. Jörg zaklął i kopnął w sygnalizator, jak to facet, kiedy coś nie działa jak należy. Annette zasugerowała, żeby wyłączyć i ponownie włączyć urządzenie. Po zresetowaniu świeciło cały czas na czerwono. Ale tak było okay.

O siódmej rano Sophie zaparkowała granatowe bmw na fałszywych

numerach w odległości osiemdziesięciu metrów od domu Kruggerów, by obserwować bramę. O siódmej dwadzieścia osiem poinformowała przez telefon o odjeździe Kruggera, po czym ruszyła za nim w sporej odległości i wkrótce straciła go z oczu. Nie miało to jednak znaczenia. Wiedziała, którą drogą pojedzie.

Baptist Krugger był dwudziestoczteroletnim, niepozornym mężczyzną, miał nadwagę, popielatoblond włosy, bladą cerę, brązowe oczy, cofnięte czoło, mięsiste wargi i rysy twarzy sugerujące, że któraś z jego protoplastek została uprowadzona przez neandertalczyków. Jego rodzice prowadzili niewielką, utrzymującą się ze zleceń diecezji wytwórnię świec, która pomimo tak prominentnego kontrahenta znalazła się w trudnej sytuacji finansowej; banki niedawno odkryły, że siedzą na kupie bezwartościowych papierów i przestały udzielać kredytów. Baptist studiował ekonomię i miał kiedyś objąć prowadzenie zakładu. W rodzinie Kruggerów oprócz miłości do świec praktykowano również miłość do Boga, co w branży wytwarzania świec niejako szło ze sobą w parze. Baptist, nawiasem mówiąc, nie zamierzał przejmować po rodzicach fabryczki. Posiadał bowiem – czego nie było po nim widać – majątek w wysokości jedenastu milionów euro. Nikt o tym nie wiedział, tak jak nikt nie wiedział o domu, który pół roku temu kupił od znajomego. Baptist skrywał jeszcze parę innych tajemnic i był pewien, że o nich też nikt nie miał pojęcia.

Parę minut po wyjeździe z Miesbach skręcił w lewo w wąską boczną drogę. Tuż za nim z szosy zjechało granatowe bmw.

Jakiś czas później w ślad za nimi ruszył policyjny radiowóz. A w nim sierżant Leonhardt Kreuthner z podkrążonymi oczami i podrapaną twarzą.

Kreuthner miał za sobą burzliwą noc spędzoną w gospodzie „Pod młynem” na grze w *Schafkopf*. Jego kompanami byli Lintingerowie – stary i młody, z zawodu właściciele złomowiska i drobni przestępcy, oraz Stanislaus Kummeder, słynący ze skłonności do przemocy lokalny gangster. O pierwszej w nocy Kreuthner był czterysta euro na plusie. Potem wygrane i przegrane przez długi czas się równoważyły. Dopiero koło piątej gra nabrała tempa. Stało się to za sprawą nowej reguły nakazującej graczowi, który umoczył rozgrywkę, dorzucić do banku, zwanego żydkiem, pięć euro. W kolejnym rozdaniu strona, która zadeklarowała grę i wygrała, zgarniała żydka. Przegrani musieli podwoić pulę. W ten sposób, wzorując się na historii z szachownicą i ziarnkami ryżu, można było ugrać niezłą sumkę. Około wpół do szóstej w żydku było ponad trzysta euro, za to zasoby gotówki Kreuthnera skurczyły się do dziesięciu euro. I wtedy trafiła mu się karta z sześcioma atutami. Rozgrywka okazała się jednak niespodziewanie trudna, a jego partner, Harry Lintinger, raczej nie był kandydatem do Mensy. Krótko mówiąc, runda zakończyła się totalną klapą. Harry z ponurą miną cisnął na stół swoje sto pięćdziesiąt euro. Kreuthner dołożył dziesięć.

– He? – odezwał się Kummeder.

– Tak, brakuje stu czterdziestu. Przecież widzę. Później się wypłacę.

– Później się wypłaci! – Ironia w głosie Kummedera mieszała się z dezaprobatą. Popatrzył nagląco na starego Lintingera, żeby mu sekundował.

– Patrz no ty – zawtórował ochoczo Johann Lintinger. – Wprowadza nowe obyczaje. Normalnie to się szmalec od ręki szmyrga.

– To wszystko, co mam – warknął Kreuthner.

– To czego szuka przy stole? – Kummeder upił łyk piwa, co w jego przypadku oznaczało, że opróżnił dwie trzecie szklanicy.

– Przecież widzieliście, że miałem na stole tylko tę dychę.

– A skąd ja wiem, ile jeszcze kisisz w piterku? Zresztą mnie tam wsio ryba.

Podwajasz żydka, i to w dyrdy.

Kummeder zaciskał miarowo szczęki. Zły znak. Kiedy Kummeder poruszał szczękami, był ledwie krok od tego, żeby komuś przywalić. A wtedy lepiej nie znajdować się w zasięgu jego pięści. Kummeder, podobnie jak jego kamrat Peter Zimbeck, aktualnie odsiadujący wyrok w zakładzie karnym w Bernau, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył sto dwadzieścia kilo, czego większość stanowiły mięśnie. Na ostatnim festynie leśnym w Enterrottach wywijał stołem piwnym niczym łapką na muchy i jednym machnięciem posłał do szpitala sześciu młokosów, po czym uzbrojony w młot z jarmarcznego siłomierza krążył z rykiem po festynie, siejąc popłoch i grozę. Wybuchła panika, wskutek czego stragan z kurczakami z różną na węgiel drzewny runął na przeznaczony do tańca parkiet, który doszczętnie spłonął. Trzech uczestników festynu doznało poparzeń podczas próby ratowania z płomieni grillowanych kurczaków. Później, po wszystkim, nie udało się ustalić, kto wszczął bójkę. W rzeczywistości jednak ci, którzy dobrze wiedzieli czyja to sprawka, woleli nie ściągać na siebie gniewu Stanisłausa Kummedera.

– To co mam robić? – zapytał Kreuthner.

– No właśnie, co z nim zrobimy... – Kummeder zwrócił się do swojego partnera.

– Tu ni ma co gadać. Jeszcze tak nie było, coby któryś nie zabulił. A ja w karciochy rżnę nie od dziś.

– Ty mi tu nie gładź, tylko coś zaproponuj.

– Jak ni ma dudków, trza bulić czem innym. Sikor się nada, na ten przykład.

Kreuthner zdjął z ręki rolexa i położył go na kupce banknotów. Kummeder wziął go i nawet nań nie spojrzawszy, cisnął z powrotem na stół.

– Ocipiałeś? Przecież to ja ci go sprzedałem. Za trzydziestaka. Nie jest wart nawet piątki. Co jeszcze masz?

Kreuthner wzruszył ramionami.

– Nic. Tylko to, co na sobie.

– Niezła oferta.

– Niezła... co?

– Twoje ciuchy.

– Mundur?

– Opchnę za dwie stówy.

– Za używany mundur? Nikt ci tyle nie da – powątpiewał stary Lintinger.

– Da. Ten tutaj. – Kummeder wymierzył palec w Kreuthnera. – Jak będzie go chciał odzyskać.

– Weź wyluzuj trochę. Przecież ci nie dam munduru.

Kummeder nic nie odpowiedział. Ale w jego zmaconym przez alkohol spojrzeniu można było wyczytać, że nie zamierzał dłużej ciągnąć tej dyskusji.

Innymi słowy, Kreuthner mógł zaraz zarobić w pysk.

– Ale jak to tak... wszystko? Koszulę, marynarkę, spodnie...? – Kreuthner pokazał po sobie.

– Te cuchnące buciory możesz zatrzymać. Reszta dla mnie.

– Teraz?

– Teraz.

Kreuthner odczekał chwilę. Może to tylko żart, Kummeder zaraz ryknie śmiechem i walnie go po ramieniu (też niezbyt miła perspektywa). Ale tamten nie żartował. Kreuthner zdjął marynarkę, koszulę i spodnie wraz z paskiem, a nawet służbową czapkę. Potem z powrotem włożył buty i grał dalej w samym podkoszulku.

Przy kolejnym rozdaniu Kreuthner dostrzegł okazję odzyskania całego żydka wraz z mundurem.

– Grałbym – obwieścił.

– Przemyśl se to dobrze – ostrzegł stary Lintinger. – Cobyś się na nowo nie urządził.

Kreuthner nie dał się odwieść od powziętego zamiaru i ponownie postawił na asa pik. Tym razem miał go w kartach stary Lintinger. A ponieważ znał ryzykowną grę Kreuthnera i nie miał ochoty razem z nim podwajać żydka – powiększonego już do trzystu euro na łebka – po raz kolejny wyraźnie upomniał partnera, by nie chojraczył. Na nic ostrzeżenia. Obawy starego się sprawdziły i karta szła im coraz gorzej. Do czasu, gdy w ostatnim sztychu Kreuthner niespodziewanie wyłożył dziesiątkę kier, zarobił trzydzieści oczek i wygrał rozdanie. Staremu Lintingerowi zaświeciły się oczy, kiedy zabierał się do zgarnięcia sterty banknotów. Przed przejściem puli powstrzymał go Kummeder, kładąc potężną dłoń na równie wielkich łapach starego. Po kolei odkrywał karty, aż znalazł, czego szukał. Przesunął karty na środek stołu.

– Który położył damę dzwonek na siódemkę pik, hę?

Kreuthner powiódł wzrokiem po twarzach wokół.

– Nie mam pojęcia. Ktoś pamięta?

– No. Ja – zagrzmiał Kummeder. – Ty to zrobiłeś.

– Ja? – powtórzył cienkim głosem Kreuthner.

– A nie powinno się przypadkiem położyć dziesiątki kier?

Owszem, powinno. Kreuthner dał się przyłapać na kantowaniu. Pytanie tylko, jaka czekała go za to kara. Kummeder wyglądał na rozjuszonego. Zapowiadało się niewesoło.

Kreuthner tkwił na siedzeniu pasażera z głową opartą o boczną szybę, wydzielał opary alkoholu i patrzył zmęczonym wzrokiem na drogę. Nawet w tym stanie jego umysł pracował zadziwiająco precyzyjnie.

– Ten przed nami. Nie ma jednego światła z tyłu.

Jakieś pół kilometra przed nimi szosą sunął granatowy pojazd. Potrzeba było sokolego wzroku, by rozpoznać to, co zobaczył Kreuthner.

– Jest dość daleko – zauważył jego partner Schartauer.

– I to znaczy, że może jechać bez światła? Dawaj gazu!

Baptist Krugger wjechał do lasu. Temperatura spadła o kolejne trzy stopnie, przy gruncie pewnie było jeszcze zimniej. Nie spuszczał wzroku z nawierzchni, żeby w porę rozpoznać oblodzone miejsca. Z tego powodu nie zauważył stojącej na skraju lasu osoby z komórką przy uchu i – pomimo półmroku – okularach przeciwsłonecznych. Minąwszy punkt, w którym odbijał w bok leśny dukt, zauważył majaczące wśród pni czerwone światło. Trochę dalej, na końcu łagodnego łuku, pojawiła się sygnalizacja świetlna. Znak informował o robotach drogowych. Czego dotyczyły, nie dało się stwierdzić. Nie było ani rozoranej nawierzchni, ani nasypów ziemi, ani maszyn na poboczu. Pewnie dopiero przygotowują, pomyślał Krugger i zahamował. Minęło kilka sekund. Z tyłu nadjechał samochód. Granatowe bmw.

Krugger odczekał chwilę, ale nic się nie wydarzyło. Przede wszystkim światła nie chciały przeskoczyć na zielone. Niespodziewanie z lasu wyłonił się robotnik. Miał na sobie pomarańczową kamizelkę odblaskową i głęboko naciągniętą na oczy wełnianą czapkę oraz szalik zakrywający pół twarzy. Kruggerowi strój ten wydał się trochę na wyrost jak na wrześnieowy dzień. Robotnik podszedł do świateł, machnął ręką i ruszył w stronę wozu. W tym samym

momencie zahaczył nogą o sygnalizator i potknął się. Szalik zsunął mu się z twarzy. Mężczyzna z nienaturalną nerwowością odwrócił się plecami i podciągnął szalik. Krugger zrozumiał nagle, że coś tu nie gra. Ogarnął go niepokój. Omiótł wzrokiem las w poszukiwaniu innych osób, które mogłyby stanowić zagrożenie. Ale wśród drzew panował bezruch. Tylko człowiek w kamizelce odblaskowej zbliżał się do samochodu, uważając, by szalik nie zsunął się ponownie. Podeszedł do drzwi po stronie kierowcy i zapukał w szybę.

– Czym mogę służyć? – zapytał zamaskowanego robotnika Krugger, opuściwszy do połowy szybę.

– Szczęść Boże. Głupio mi o to prosić, ale kolega nie przyszedł dziś do pracy, a ja zapomniałem komórki. Mógłby mi pan na moment pożyczyć swoją?

Mężczyzna nie mówił jak robotnik. Lekki akcent wskazywał na bawarskie pochodzenie, ale i na to, że raczej nie zarabiał na chleb, naprawiając drogi. Było to dokładnie to zabarwienie, które słyszało się w wykształconych kręgach monachijskiego mieszczaństwa. To odrobinę uspokoiło Kruggera. Jednocześnie zachodził w głowę, kto ustawił sygnalizację, skoro facet był sam. Wieczorem jeszcze jej tu nie było. Krugger postanowił nie pytać, tylko podał komórkę. Mężczyzna podziękował i wsunął telefon do kieszeni kurtki.

– Przepraszam – odezwał się Krugger – ale czy nie chciał pan zatelefonować?

– Tak, oczywiście – odpowiedział tamten. Miał przyśpieszony oddech, a jego głos drżał jak u kogoś, kto znajdował się w wielkim stresie. – Może później.

– W takim razie czy mógłby mi pan oddać telefon?

– Niestety, to niemożliwe. Muszę pana prosić, żeby pan wysiadł.

– Dlaczego?

– Niech pan nie zadaje pytań. Lepiej dla pana będzie, jeśli pan wysiadzie.

Krugger zauważył, że kobieta z granatowego bmw wysiadła z wozu i ruszyła w jego stronę. Miała okulary przeciwsłoneczne zakrywające połowę twarzy i kapelusz z szerokim rondem.

– Co to ma znaczyć? – zirytował się.

W rękę mężczyzny w kamizelce odblaskowej pojawił się nagle pistolet. Był wycelowany w Kruggera.

– Wysiadaj pan, do cholery! – wrzasnął nagle.

Krugger wcisnął blokadę drzwi, wymacał gorączkowo przycisk podnoszenia szyby, która podjechała do góry, ale lufa pistoletu już tkwiła w szczelinie i blokowała szybę.

– Dosyć tej pieprzonej zabawy, ty idioto! Wysiadaj wreszcie!

Krugger drżącą ręką otworzył drzwi. Serce biło mu w zawrotnym tempie, czaszkę zalała adrenalina, sprawiając, że czuł się, jakby mu włożono koronę cierniową. Z wielkim trudem udało mu się nie zlać w spodnie. Nie miał pojęcia,

czego chciał od niego ten człowiek. Może to tylko napad rabunkowy. Może wystarczy oddać kartę bankomatową i tamten pozwoli mu odjechać. Ale instynkt podpowiadał, że tu się rozgrywało coś innego. Że mężczyzna, który mierzył do niego z pistoletu, nie połaszczy się na tysiąc euro. I że on, Krugger, nie przypadkiem wpadł w tę zasadzkę.

– Ręce na plecy – rozkazał tamten.

Krugger zrobił, czego od niego żądano. Kobieta, która wysiadła z bmw, chwyciła go za nie. Poczul na nadgarstkach coś cienkiego, elastycznego. Nie było zimne w dotyku, a zatem nie z metalu. Rozległ się dźwięk komórki. Był to telefon kobiety z bmw, która odeszła parę kroków dalej w stronę swojego wozu. Rozmawiała cichym głosem. Krugger zdołał zrozumieć tylko zduszony okrzyk „cholera”. Kiedy wróciła, zdradzała oznaki zdenerwowania.

– Do bagażnika z nim.

– A to czemu?

– Zbliżają się problemy. – Kobieta wskazała głową kierunek, z którego przyszła.

– Co to znaczy problemy?

– To znaczy, że nie mamy czasu, na litość boską!

Chwyciła Kruggera za ramię i doprowadziła go do bagażnika granatowego wozu. Było to stosunkowo nowe bmw serii 7. Kobieta nacisnęła przycisk i pokrywa bagażnika z lekkim bzyczeniem powoli powędrowała do góry.

– No już, włącz. Tylko się rusz, a nie żyjesz, rozumiałeś?

Krugger łypnął bojaźliwie do środka i w tym momencie dostał potężny cios w twarz.

– Zrozumiałeś?! – wrzasnął facet w pomarańczowej kamizelce i rąbnął go pistoletem. Krugger drgnął, przeszyty wściekłym bólem. Oszołomiony i z krwawiącym łukiem brwiowym wgramolił się do bagażnika tak szybko, jak tylko zdołał z rękoma skrępowanymi na plecach. Wepchnęli go głębiej, aż do tylnego oparcia, przykryli zgrzebnym kocem i zasłonili dwiema torbami podróżnymi. Ponownie rozległo się bzyczenie i pokrywa bagażnika zaczęła opadać. Zrobiło się ciemno. Zanim więzienie Kruggera zamknęło się do końca, usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu.

– Teraz będziesz miał lekcję poglądową. Przyda ci się w życiu – odezwał się Kreuthner.

– Czemu? Co zamierzasz? – Schartauer wietrzył kłopoty.

– Kasa leży na ulicy, zawsze to powtarzam. Otwórz szeroko oczy, to się czegoś nauczysz. Na wypadek gdybyś kiedyś nagle potrzebował gotówki. – Kreuthner mrugnął konspiracyjnie do młodszego kolegi. Schartauera ogarnęły złe

przeczcucia.

– Nie całkiem rozumiem, co chcesz zrobić. Chyba nie chcesz... tego...?

– Jako policjant musisz myśleć w sposób pragmatyczny. Na przykład, są ludzie, którzy nie chcieliby, żeby ich grzeszki pojawiły się w oficjalnych rejestrach. Łapiesz?

Schartauer obawiał się najgorszego.

– Bo to i nic przyjemnego, jak przychodzi pismo z policji. Może nie chcieliby, żeby dowiedziała się małżonka albo sąsiedzi. Ale przecież nie możesz dopuścić, żeby im uszło na sucho. Więc co robisz jako policjant?

Schartauer milczał i patrzył na drogę.

– Po prostu załatwiasz sprawę nieoficjalnie. *Cash* do łapy, kumasz? Żadnych kwitów, nic.

– A co z grzywną? Przecież to trzeba zdać.

– Żartowniś z ciebie. Zdać to możesz coś, na co masz papier. Bo jak ci to inaczej zaksięgują?

– To znaczy...

– Kasę trzeba zostawić sobie. Nie da się inaczej. Ważne jest, żeby obywatel, który złamał prawo, został ukarany i następnym razem zastanowił się, pomyślał, że nie warto, bo znowu wlepią mandat. Ostatecznie co za różnica, gdzie trafi szmal. Grzywna jest po to, żeby odstraszać. Nie to jest ważne, dokąd trafiają pieniądze, tylko to, że wyszły od popełniającego wykroczenie.

– Sądziłem, że pieniądze idą na cele dobroczynne.

– Bo idą.

– Ach! A już myślałem, że chcesz je zachować dla siebie.

– Nie. Źle mnie zrozumiałeś. Oczywiście, że przekażę je na cele dobroczynne. Przecież to się rozumie samo przez się.

Schartauer miał pewne wątpliwości, czy spłacanie długów karcianych przez urzędnika państwowego można podciągnąć pod cele dobroczynne. Ale ponieważ Kreuthner reagował coraz większą irytacją na to, że młody partner ma tak niewielkie zrozumienie dla jego pragmatycznych rozważań, Schartauer przestał drażnić temat i miał nadzieję, że nie stanie się współsprawcą zbyt ciężkiego przekroczenia uprawnień służbowych. Kreuthner był pod presją czasu, musiał prędko zdobyć pieniądze. Udało mu się wprawdzie skombinować mundur, pojechał też do bankomatu, ale ponieważ zbliżał się koniec miesiąca, bankomat nie wydał mu nic; Kreuthner, jak często, był na debecie.

Granatowe bmw stało na czerwonym świetle. Przed nim czekał stary golf. Kreuthner dał znak partnerowi, by ten zatrzymał się za bmw. Za kierownicą siedziała kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat. Uchyliła szybę, kiedy

Kreuthner stanął przy jej wozie.

Kummeder popatrzył wokół, miarowo zaciskając szczęki.

– To jak? Co robimy?

– No musi podwoić. Jasna sprawa – pośpieszył z odpowiedzią młody Lintinger.

– Ale tylko on. – Stary Lintinger wymierzył swoją szklankę z piwem w Kreuthnera. – Ja nie kantowałem.

– I tak byśmy przegrali.

– Bo żeś koniecznie chciał grać. A mówiłem: nie rwij się!

– Dostyc tego gadania. On podwaja, my się dzielimy żydkiem.

– A to się w ogóle da podzielić na trzech? – wtrącił Harry Lintinger.

– Da się. Dla mnie połowa, dla was reszta.

– Ach?! To dla każdego z nas będzie... – Harry Lintinger pokazał na ojca i siebie. – Będzie praktycznie... mniej.

– Zgadza się. Bo ty, zakuta pało, nawet się nie połapałeś, że on kantuje.

– No tak, ale... – Stary Lintinger z namysłem kołysał na boki głową.

– Jakie znowu „ale”? – Kummeder przysunął głowę do twarzy Lintingera.

Ten chciał się cofnąć, ale Kummeder chwycił go za rękę i przyciągnął do siebie.

Stary struchlał. Kummeder był o krok od rękoczynów.

– Żadne „ale”. To dobry pomysł. – Lintinger przełknął ślinę. – Bardzo dobry.

Kummeder poklepał go wielką łapą po policzku, jak ojciec chrzestny w filmie o mafii.

– Brakuje sześciu paczek – orzekł Kummeder, zwracając się do Kreuthnera, i przesunął leżące na stole pieniądze na środek. – Plus sto czterdzieści.

– Trochę mi się zejdzie.

– Trzy godziny. Potem zadzwonię do twojego szefa i zapytam, co z pieniędzmi.

– Nie wygłupiaj się. Przecież dostaniesz swój hajs. A co z mundurem?

– Zostaje tutaj.

– To przynajmniej oddaj mi kluczyki. Są w marynarce.

– Mundur zostaje. W całości.

– Na piechotę mam dyrdać czy jak?

Kummeder nie odpowiedział.

– Dostanę chociaż komórkę? Żebym zadzwonił po kogoś.

– Jak na kanciarza stawiasz całkiem spore żądania. Zmywaj się stąd. Masz jeszcze dwie godziny i pięćdziesiąt osiem minut.

– A karta do bankomatu? Też jej nie dostanę? Na litość boską! Wiesz co, teraz to mnie możesz...

– Ty, uważaj sobie, co! Tylko bez takich ordynarnych wyrażen. Delikatny jestem. – Kummeder przetrząsnął marynarkę Kreuthnera, znalazł kartę do bankomatu i pstryknięciem posłał ją przez stół do właściciela. – Dwie godziny pięćdziesiąt siedem minut.

Trzysta metrów od gospody „Pod młynem” stał stary dom, który dawniej był leśniczówką. Teraz zamieszkiwało go małżeństwo Jankowitschów. Oboje byli po sześćdziesiątce i oboje na wcześniejszej emeryturze po latach znojnego zarabiania na chleb w papierni. Kiedy wczesnym rankiem do furtki zadzwonił mężczyzna w dziwnej kolorowej pelerynie, Heidrun Jankowitsch lekko się zdumiała. Spod peleryny wyglądały gołe nogi w sznurowanych trzewikach.

– Szczęść Boże – po chwili wahania przywitała go podejrzliwie kobieta.

– Przepięknego poranka życzę, pani... – Kreuthner łypnął z ukosa na nazwisko przy dzwonku – ...Jankowitsch. Wiem, wiem, wczesna godzina. Ale muszę pilnie zatelefonować. Samochód mi się rozkraczył, a komórka nie działa.

– Aha. – Heidrun Jankowitsch przypomniała sobie, że ostatnio w okolicy powtarzały się przypadki molestowania młodych kobiet przez nieznanego mężczyznę. Policja poszukiwała sprawcy. – Ma pan coś pod tym... co to w ogóle jest?

– To? To jest... ponczo. Taka południowoamerykańska peleryna. Całkiem praktyczna przy tej pogodzie.

– Naprawdę? Wygląda jak obrus.

– Przebóg! – Kreuthner się zaśmiał. – Ci Latynosi uwielbiają takie zwariowane desenie.

– Przecież to obrus z gospody „Pod młynem”.

Kreuthner zastanowił się, czy ciągnąć dalej dyskusję o ponczo, uznał jednak, że lepiej skrócić sprawę.

– Wie pani co, muszę pilnie zatelefonować. Dwie minutki. I zaraz sobie pójdę.

Kreuthner zabrał się do otwierania furtki, ale Heidrun Jankowitsch gestem dała mu do zrozumienia, że sobie tego nie życzy.

– Momencik. Tylko zapytam męża.

Weszła do domu i starannie zamknęła za sobą drzwi. Przez otwarte okno dobiegły strzępki małżeńskiej rozmowy, między innymi zdanie: „Co?! Ta świnią stoi pod naszym domem?”. Po tych słowach Kreuthner przestał liczyć na to, że otworzą się przed nim jakiegokolwiek drzwi i zdoła zatelefonować. Zamierzał odejść i poszukać szczęścia gdzie indziej. W tym momencie na ganek nieoczekiwanie wyszedł Norbert Jankowitsch. Ubrany był w podkoszulek opinający się na ogromnym brzuchu, flanelowe spodnie na szelki zwisające na biodrach (spodnie trzymały się i tak) i ciężkie robocze buciory.

– Chce pan zadzwonić? – zapytał Jankowitsch, spoglądając ponuro. Machnięciem lewej ręki przywołał Kreuthnera. Zbliżając się do budynku, policjant zadał sobie pytanie, dlaczego facet machnął lewą ręką, a prawą schował za plecami. Odpowiedź czekała na niego na miejscu. W prawej ręce, która wystrzeliła znienacka do przodu, emeryt trzymał gaz pieprzowy, którym psiknął mu w twarz. Kreuthner jak trafiony obuchem osunął się na ziemię i został zaatakowany kopniakami, którym towarzyszyły najgorsze obelgi wraz z sugestią, by takim jak on urzynać jaja.

Kiedy jakiś czas później Kreuthner zapukał do drzwi kolejnego gospodarstwa położonego kilkaset metrów dalej, jego wygląd jeszcze mniej wzbudzał zaufanie. Obrus, owinięty wokół ramion, był zabrudzony i porwany w jednym miejscu, a oczy zaognione i opuchnięte. Otworzyła mu Margit Unterlechner, jędrna kobieta o dużych dłoniach z grubymi palcami, rumianych policzkach i intensywnie niebieskich oczach.

– Ach, to ty, Leo, co ty tu robisz? – Po jej twarzy przemknął uśmiech.

– Serwus, Margit. Muszę wykonać jeden telefon. – Kreuthner wysilił się na rzeczowy ton i starał zachowywać tak, jakby nie stał przed nią ubrany w same gacie i obrus.

– Wejdz – zaprosiła go Margit, obrzuciła wzrokiem od góry do dołu i wzięła obrus w dwa palce. – Dość oryginalne. To znowu strój na karnawał?

Kreuthner poznał Margit dwa lata temu na „lumpenbalu”, orgiastycznej imprezie odbywającej się w kulminacyjnym okresie karnawału nad jeziorem Tegernsee. Mąż Margit, Wolfgang, nie chciał towarzyszyć żonie i został na gospodarstwie. Nikogo to specjalnie nie dziwiło, bo Wolfgang powszechnie cieszył się opinią „ciepłych kluch” i interesował się wyłącznie hodowlą bydła. Przebąkiwano również, że życie intymne Unterlechnerów od lat leży odłogiem. Przynajmniej jeśli chodzi o małżeńskie obowiązki. W kwestiach pozamałżeńskich każdy wiedział, że Unterlechnerowa beztrąsko daje na lewo i prawo, co było zdumiewające przy jej dość nieatrakcyjnym wyglądzie. Mankamenty urody kobieta

po wielokroć rekompensowała swoją wielkoduszną osobowością. Tamtego wieczoru Kreuthner zamierzał właściwie poderwać Michaelę Hundsgeiger, fryzjerkę z Rottach. Ale ta wystroiła się w błyszczący gorsecik, siatkowe pończochy i stringi, toteż nie mogła opędzić się od adoratorów. W dodatku Kreuthner już o jedenastej ledwie patrzył na oczy po spożyciu licznych szklaneczek B-52. Alternatywą okazała się Margit Unterlechner, która przebrała się za uczennicę w kraciastej minispódnicy, rozpiętej białej bluzce i blond peruce z warkoczykami. Kiedy spoczęła na kanapie obok Kreuthnera, szkocka spódniczka niebezpiecznie opięła się jej na biodrach. Pamiętał to dobrze, ponieważ była to jednocześnie ostatnia rzecz, która została mu w pamięci z tamtego wieczoru. Następnego dnia obudził się bez spodni z tyłu starego passata. Od tamtej pory szerokim łukiem omijał jej gospodarstwo. Teraz jednak był w pilnej potrzebie i obawiał się, że żadne inne drzwi się przed nim nie otworzą.

– Może chciałbyś najpierw wziąć prysznic – zaproponowała Margit, delikatnie głaszcząc go po ramieniu. Zastanawiał się, jak to możliwe, że na odcinku trzech metrów od wejścia do kuchni rozpięły się trzy guziki jej bluzki. Nie miał ochoty zdejmować w tym domu tych nielicznych sztuk garderoby, które mu jeszcze zostały. Ale piekły go oczy od gazu łzawiącego i wiedział, że powinien je przemyć pod bieżącą wodą.

– A Wolfganga nie ma? – Kreuthner przez uchylone drzwi zapuścił żurawia do kuchni, w nadziei ujżenia wspomnianego.

– Pojechał do Tölz po nową rozdrabniarkę. Tam jest łazienka. Potrzebne ci świeże ubranie?

– Jakbyś miała spodnie, byłoby super.

Pod natryskiem przemył oczy i zmył z ciała brud minionej nocy. Przez szum wody dotarł do niego dźwięk otwieranych drzwi do łazienki. W szparze w zasłonie prysznicowej zobaczył, jak Margit w szlafroku staje przed lustrem i pociąga usta pomadką. Spod podomki wyglądały dwie potężne, blade łydki, a równie blade stopy tkwiły w kwiciastych klapkach. Potrząsnęła jasnymi, zniszczonymi trwałą włosami, odchyliła głowę do tyłu i odsłoniła to, co się kryło pod szlafrokiem. A nie była to bielizna.

– U ciebie wszystko w porządku? – Próbowała zerknąć za zasłonę.

– Jak najlepszym. Masz te spodnie?

– Chyba tak prędko nie będziemy ich potrzebować? – zaszcebiotała.

Zatkało go.

– Eee, no tak, znaczy... tylko byłoby dobrze, gdyby już tu były, bo... bo... no weź i je przynieś, z łaski swojej.

Z gracją, często właściwą korpulentnym osobom, poszybowała ku drzwiom

i zanim je zamknęła, zawołała: „tylko mi nie ucieknij”. Wydawało mu się, że słyszy szcęk przekręcanego od zewnątrz klucza. Wyszedł spod natrysku i stwierdził, że zabrała jego bieliznę i skarpety. Zostały mu tylko buty. Kreuthner owinał się ręcznikiem kąpielowym, pośpiesznie włożył buty i wylazł przez okno na zewnątrz. Znalazł się na podmokłej łące ogrodzonej drutem kolczastym. Rozejrzał się i po chwili wiedział już, którędy dojść do drogi. Wydało mu się jednak, że kątem oka dostrzega jakiś ruch. Zastygł na moment nieruchomo, słusznie wnioskując, że lepiej zachowywać się w sposób niezwracający uwagi. Na czoło wystąpił mu pot.

I wtedy to usłyszał. Początkowo nieśmiało, jakby jeszcze niewprawne, potem mocne, zdecydowanie zwierzęce parskanie. Za plecami Kreuthnera stał Hannibal, jeden z najlepszych samców rozplodowych w powiacie, dziewięćset siedemdziesiąt kilo umięśnionego żywiołu. Można sądzić, że zwierzę ucieszy się z tej odrobiny rozrywki i urozmaicenia w monotonii życia. Ale to nie leżało w naturze byka. Nie, Hannibal ani trochę nie cieszył się z widoku Kreuthnera. Dopóki intruz się nie ruszał, byk nic mu nie robił. Ale przecież Kreuthner chciał kiedyś opuścić bycze pastwisko, i to najlepiej bez pomocy Margit Unterlechner. Jego plan wcale nie był zły: po minucie czekania w bezruchu Kreuthner ruszył pędem jak sam diabeł. Moment zaskoczenia powinien dać mu wystarczającą przewagę, by dobiec do ogrodzenia przed Hannibalem. I plan ten zapewne by się powiódł, gdyby nie to, że w tej sekundzie, w której puścił się biegiem, ręcznik zsunął się z jego bioder i zaplątał między nogami. Byk, i tak już w nie najlepszym humorze, rozjuszył się, że intruz chce go okpić. Nie wdając się w szczegóły: historia ta mogła wprawdzie skończyć się gorzej, choć niewiele. Jej bilans to cztery stłuczone żebra, liczne otarcia naskórka powstałe, kiedy Hannibal pchał Kreuthnera rogami po pastwisku, a także rozliczne drobne rany kłute, których Kreuthner nabawił się, dotarłszy w końcu do drutu kolczastego. Do tego straszliwie wielki i wyjątkowo bolesny krwiak na prawym pośladku, który nie był paskudną raną tylko dlatego, że Wolfgang Unterlechner przewidująco stąpił bykowi końcówki rogów. Jakimś cudem, siłą desperacji Kreuthner zdołał wreszcie dobiec do przeciwległego krańca pastwiska, ratując nawet sfatygowany ręcznik. Zaraz potem po raz pierwszy tego ranka dopisało mu szczęście, kiedy spotkał niewidomego spacerowicza z psem. Niewidomy zupełnie nie przejął się wyglądem Kreuthnera i chętnie udostępnił mu swój telefon.

– Dzień dobry – powiedział Kreuthner i z zainteresowaniem omiół wzrokiem wnętrze wozu. Na pierwszy rzut oka w środku nie było niczego podejrzanego. Ściśle rzecz biorąc, w ogóle niczego tam nie było. Żadnego koca na tylnym siedzeniu, żadnego atlasu drogowego w kieszeni na drzwiach, żadnej paczki gumy do żucia czy okularów przeciwsłonecznych na środkowej konsoli. Nic. Tylko przepastna damska torebka na siedzeniu pasażera.

– Dzień dobry.

Brunetka uśmiechnęła się do niego z wymuszoną grzecznością, mimowolnie zatrzymując wzrok na rozległych szramach na twarzy policjanta. Kreuthner zrobił pauzę. Kobieta zaś zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć, na przykład: „Czym mogę służyć?” albo „Czy coś jest nie w porządku?”. Widać było, że ma na końcu języka wyrażenia tego rodzaju. Większość kierowców odezwałaby się w ten sposób. Było zupełnie normalne, że policjant zaglądający przez boczną szybę wywołuje zaniepokojenie. Właśnie z tego powodu niemal każdy chciał jak najszybciej dowiedzieć się, o co chodzi. Jednak kobieta o nic nie zapytała. Kreuthner odniósł wrażenie, jakby obawiała się, że podejrzenie się zachowa lub powie coś niewłaściwego.

– Chciałbym zobaczyć pani dokumenty.

– Oczywiście. – Odpowiedź padła od razu, pośpiesznie. Nerwowo chwyciła za torbę. Czegóż w niej nie było! Szminka, pastylki miętowe, cienie do oczu, okulary przeciwsłoneczne, pęk kluczy. A także niedbale wrzucony kwit od lekarza wraz z formularzem skierowania oraz puszcza jedzenia dla kota. Upłynęła chwila, zanim kobieta znalazła w tym chaosie papiery wozu. Kreuthnerowi wydało się to ewidentnie sprzeczne ze sterylnym wyglądem wnętrza. Samochód, którym ta kobieta jeździłaby choćby przez dwie godziny, wyglądałby w środku jak wysypisko śmieci. Coś tu się nie zgadzało.

Schartauer odszedł z papierami do radiowozu.

– Ma pani zepsute tylne lewe światło – poinformował Kreuthner.

- Bardzo przepraszam. Zaraz pojedę do warsztatu. Słowo.
- Na dobrą sprawę to jest wykroczenie drogowe.
- Oczywiście – zgodziła się kobieta. Kreuthner obszedł samochód w nadziei znalezienia innych braków, ale pojazd był w świetnym stanie. Wyglądał jak nowy.

Kreuthner przeniósł wzrok na sygnalizację, która nadal wskazywała czerwone. Od chwili ich przybycia upłynęły już co najmniej dwie minuty. Kreuthner stanął przed sygnalizatorem i powiódł spojrzeniem wzdłuż drogi. Sięgał wzrokiem na jakieś trzysta metrów i należałoby oczekiwać, że gdzieś w oddali będzie widoczna druga sygnalizacja. Niczego takiego nie było. Cała sprawa zaczęła wydawać mu się coraz bardziej podejrzana. Podeszedł do stojącego tuż pod sygnalizatorem golfa, który w przeciwieństwie do bmw wyglądał nadzwyczaj nieporządnie. Tylnie siedzenie było zawałone papierzyskami, zadrukowanymi diagramami, wykresami i tabelami. Kreuthner miał niewielkie pojęcie o tych rzeczach, ale po nagłówkach zorientował się, że niektóre z dokumentów zawierały dane finansowe lub giełdowe. Za siedzeniem kierowcy stała wyglądająca na drogą skórzana dyplomatka. Papiery i teczka nie pasowały ani do starego rżęcha, ani do jego kierowcy. Ten był mniej więcej w wieku brunetki z bmw i ubrany jak drwal. Na siedzeniu pasażera leżała pomarańczowa kamizelka odblaskowa. Mężczyzna, niewiele się odzywając, podał mu prawo jazdy i papiery wozu. Kreuthner przekazał dokumenty Schartauerowi, który poinformował go o rezultatach kontroli. Wszystko było w porządku. Samochód nie był jednak zarejestrowany na kobietę, tylko na niejakiego Diego Waldleitnera. W normalnych okolicznościach Kreuthner po prostu zapytałby ją, dlaczego jeździ tym wozem. Gdyby odparła, że właścicielem jest jej szwagier, a w systemie nie byłoby adnotacji o kradzieży, byłoby po sprawie. Policjant zerknął na światła. Wciąż były czerwone. Poleciał Schwartauerowi, by ustalił numer telefonu Waldleitnera, i wrócił do bmw.

- Chciałbym zobaczyć trójkąt i apteczkę.
- Kobieta popatrzyła na niego, jakby poprosił ją, żeby się rozebrała.
- Coś nie tak? – zapytał Kreuthner, przybierając ostrzejszy ton.
 - Nie. Tylko zastanawiam się, jak otworzyć bagażnik. Mam... ten samochód od niedawna.

– Z tyłu jest przycisk na klapie.

Kobieta wysiadła, pośpiesznym krokiem podeszła do bagażnika i bezradnie popatrzyła na klapę.

- Tu, po prawej – odpowiedział Kreuthner.
- Ach, tutaj. – Kobieta z wahaniem sięgnęła do przycisku. Już miała go nacisnąć, ale w tym momencie Schartauer zawołał, że ma numer Waldleitnera. Kreuthner zostawił kobietę i wrócił do radiowozu.

Właściciel bmw, z którym się połączył, akurat był w drodze.

- Ile samochodów pan ma?

- Jeden. Jest zarejestrowany na moją żonę. Dlaczego pan pyta?
- Jedzie pan w tej chwili granatowym bmw 745i?
- Zgadza się. Dlaczego chce pan to wiedzieć?
- Rutynowa kontrola. Mógłby pan podać jego numery rejestracyjne?

Waldleitner podyktował ciąg liter i cyfr. Były to dokładnie te same monachijskie numery, które Kreuthner widział na granatowym bmw stojącym pięć metrów przed nim. Policjant podziękował i zamyślił się. Za to Schartauer wyglądał na skołowanego. Jak to możliwe, by samochód był jednocześnie tutaj i na monachijskiej obwodnicy? Kreuthner znał odpowiedź. Dzięki takiej właśnie sztuczce w latach siedemdziesiątych Frakcji Czerwonej Armii (RAF) długo udawało się robić policję w balona. Sprawcy upatrywali sobie konkretny model samochodu w określonym kolorze. Następnie kradli identyczny samochód i zaopatrywali go w fałszywe tablice, identyczne z tymi, które miał namierzony samochód. W razie kontroli i sprawdzania w rejestrze skradzionych pojazdów wóz był czysty.

Kiedy Kreuthner wrócił do bmw, kobieta miała w rękach trójkąt i apteczkę. Bagażnik był już zamknięty.

– No dobrze – powiedział Kreuthner, patrząc na oba przedmioty. – Mamy jednak inny problem.

– Jaki? – zapytała z niepokojem kobieta, chowając trójkąt i apteczkę na tylne siedzenie.

– Dlaczego nie wkłada tego pani z powrotem do bagażnika?

– Będzie pod ręką w razie ponownej kontroli. – Zamknęła drzwi. – To wszystko?

– Nie – odparł Kreuthner. – Jak powiedziałem, jest pewien problem.

Kobieta milczała w napięciu.

– Ten samochód nie należy do pani?

– Nie.

– A do kogo?

– Do znajomego. Pana Waldleitnera. – Zaśmiała się. – Nie ukradłam go. Gdyby był kradziony, już by pan o tym wiedział.

– Nie. Nie ma go w rejestrze skradzionych pojazdów.

– Więc... jaki to problem?

– Problem jest taki, że mamy o jedno granatowe bmw na tych tablicach za dużo.

Milczenie. Kobieta gryzła dolną wargę. Kreuthner popatrzył na sygnalizację.

– A światła ciągle czerwone. Dziwne, prawda?

– Pewnie zepsute.

– Nie sądzę.

– To ja nie wiem.

– Ależ wie pani. Wie pani lepiej ode mnie. Mam rację?

Omiotła spojrzeniem mundur Kreuthnera, popatrzyła w dół najpierw po lewej, potem po prawej stronie, byle nie w oczy policjanta.

– Wie pani co? Coś tu śmierdzi, i to okrutnie.

Kierowca golfa stanął obok wozu, a kiedy Kreuthner na niego spojrział, odwrócił wzrok.

– Zna pani tego kierowcę?

Zawahała się, zastanowiła sekundę.

– Nie, dlaczego miałabym znać?

– Bo kiedy byłem w radiowozie, patrzyliście na siebie. Może i wyglądam na zmęczonego, ale wszystko widzę.

Kobieta przez chwilę w milczeniu spoglądała policjantowi w twarz. Przełknęła ślinę. Widać było, że serce podchodzi jej do gardła. Kreuthner ze spokojem sadysty obserwował, jak próbuje zapanować nad mimiką.

– Więc... – Zastanowiła się, o co właściwie zapytać. – Więc czego pan teraz ode mnie chce?

Trzy lata później

Simon Kreuthner odszedł w grudniu 2011, w siedemdziesiątym trzecim roku życia. Do lepszego świata, jak zapewnił ksiądz. Ogólnie sądzono jednak, że przed przeprowadzką do raju Simon jakiś czas spędzi jeszcze w czyścicu. Za życia zawinił bowiem licznymi występkami, w tym prowadzeniem nielegalnej gorzelnii. Nigdy też nie okazał skruchy i nawet nie próbował żyć w przyzwoitości.

Teraz zaś leżał w grobie, a swoją walącą się nieruchomością – gospodarstwo wiejskie położone między Gmund i Hausham – zapisał w spadku siostrzeńcowi, sierżantowi policji Leonhardtowi Kreuthnerowi. Ziemia nie była zadłużona i choć wuj rolnictwem nie zajmował się od lat, to w obejściu od ponad pięćdziesięciu lat mieściła się nielegalna gorzelnia. Niektórzy dziwili się, że Simon zapisał majątek akurat jemu. Nie łączyły ich zbyt serdeczne stosunki. Ale nieboszczyk dobrze przemyślał swoją decyzję. Sukcesja obwarowana była bowiem pewnym wymogiem, który z natury był kontrowersyjny i w dodatku nieważny od strony prawnej. Simon najwyraźniej wierzył, że siostrzeniec nie zlekceważy jego życzenia. By wypełnić wolę zmarłego, spadkobierca, oprócz krztyny przyzwoitości, musiał wykazać się pewną dozą kryminalnej energii. W rodzinie nie brakowało wprawdzie takich, którzy spełnialiby ten drugi warunek, ale który z tych wszystkich łotrów i nicponi narażałby się, by oddać pośmiertną przysługę wujowi? Prawie każdy z nich przebywał na warunkowym, o ile w ogóle był na wolności. Żaden z nich nie ryzykowałby pójścia do paki, skoro mógłby zająć się przepuszczaniem ładnego spadku na wolności. Tylko w siostrzeńcu Leonhardcie Simon dostrzegał niezbędną dozę przyzwoitości. Zważywszy na tryb życia siostrzeńca, mogłoby to dziwić, ale jeśli chodzi o rodzinę, Leo był niezwykle sentymentalny.

Aby wypełnić misję powierzoną mu w zaklejonej kopercie na łożu śmierci, Kreuthner na początku grudnia wziął plecak i udał się na górę Wallberg. Tymczasowo zdeponował bagaż w restauracji na szczycie, prosząc, by obchodzili się z nim ostrożnie. Potem poszedł pojeździć na nartach. Czarny szlak biegnący trasą dawnego zjazdu mężczyzn wśród przeciętnych narciarzy cieszył się złą sławą, ale był polecany przez znawców. Dało się tamtędy zjeżdżać tylko po świeżym śniegu. Szlak nie był bowiem ratrakowany i już po kilku dniach tak zryty, że nawet najlepszym narciarzom sprawiał niewielką frajdę.

Od samego rana niemal bez przerwy sypał biały puch. W południe chmury rozstały się na jakieś dwie godziny i Kreuthner mógł się uraczyć piwkiem czy dwoma na tarasie restauracji. Kiedy tak siedział w słońcu i spoglądał na rozciągające się po południowej stronie pasma górskie, na Blankenstein i jeszcze dalej na Hasenspitze, na biegnący po lewej masyw skalny Guffertu, i dalekie lodowce Alp Zillertalskich, usłyszał wysoki kobiecy głos.

– Czy tu wolne?

Przy stoliku stała kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat. Jej kombinezon, stary i znoszony, dawno wyszedł z mody, tak samo buty narciarskie. Miała rzadkie płowe włosy do ramion i bladą twarz o pełnych ustach, może nie oszałamiająco piękną, ale na drugi rzut oka ujmującą. Sprawiała nieobecne wrażenie i patrzyła na niego, jakby poważnie się obawiała, że nie pozwoli jej się przysiąść. W ręku trzymała tacę, na niej talerz z frytkami, plastikową butelkę z wodą niegazowaną i widelec.

– Siadaj. Tu wszędzie wolne – odparł Kreuthner i przysunął białe piwo do siebie, bo kobieta wyglądała dość niezdarnie. Siadając, utknęła butem między stołem a ławką. Taca wypadła jej z rąk, a frytki rozsypały się po stole. Kobieta zaczęła je zbierać, gorączkowo przepraszając. Starannie układała je na talerzu, jedną przy drugiej. Kiedy zajęła cały talerz, wzięła się do drugiej warstwy, budując kratkę.

– Zawsze tak robisz z frytkami? – zaciekał się Kreuthner, obserwując ją przez dłuższą chwilę.

– Lubię porządek – oznajmiła i z namysłem wsunęła frytkę do ust. I układała dalej.

– Okay... – Kreuthner pociągnął łyk piwa i przeniósł spojrzenie na południowy horyzont. – Dają tu niezłą smażoną kiełbasę. Nie musiałybyś tyle układać.

– Możliwe. Tylko że... jestem wegetarianką.

Kreuthner popatrzył na nią z mieszaniną ciekawości i zdumienia. Jeszcze nigdy nie widział na własne oczy wegetarianina, w każdym razie takiego, który by się do tego przyznawał.

– Serio? Tak zupełnie bez mięsa?

Kobieta pieczołowicie nabiła na widelec trzy frytki i odgryzła wszystkie czubki naraz.

– Coś w tym złego? – zapytała.

– Nie, nie. Tak tylko myślę... – Kreuthner wpatrywał się w nią, jakby z uszu wyrastała jej trawa. – Ale kurczaka jesz?

– To też mięso.

Kreuthner przytaknął i zadumał się nad osobliwym światopoglądem wegetarian, podczas gdy jego towarzyszka dalej spożywała po trzy frytki naraz. Tak upłynęło w ciszy parę minut.

– Superdzień dzisiaj, prawda? – zagadnął w końcu, by coś powiedzieć.

– No, super – odparła i zaczęła się szarpać z nakrętką butelki. Zapytał, czy jej pomóc, ale pokręciła głową.

– Jestem Leo – przedstawił się.

– Daniela. – Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało i z głową schowaną w ramionach napiła się wody z butelki, którą wreszcie udało jej się otworzyć.

– Tam, w Wilczym Jarze – zaczął Kreuthner, wskazując na południe, gdzie masyw Blauberge odcinał się ciemnym cieniem od słońca – zginął mój dziadek.

– Podczas burzy? – Daniela być może myślała o scenie jak z historii Brandnera Kaspara, w której Marei, szukając ukochanego w Wilczym Jarze, znajduje śmierć.

– Nie, w piękny, słoneczny dzień. Ale dziadek dźwigał na plecach ustrzelonego na czarno jelenia. I ten pociągnął go w przepaść. Dziadek po prostu nie potrafił odpuścić, rozumiesz?

– No, tak to jest, jak bez powodu zabija się zwierzęta. – Nadziała ostatnie frytki na widelec. – Przepraszam. Nie chciałam źle mówić o twoim dziadku.

– Ten jeleni to był szóstak. Wskoczył dziadkowi prosto pod flintę. Co dziadek miał robić? Czekać, aż ustrzeli go jakiś myśliwy?

– Ach, rozumiem. To coś w rodzaju siły wyższej. – Kobieta z urazą odłożyła widelec na pusty talerz, odwróciła się, wystawiła twarz do słońca i zamilkła.

– Obraziłaś się? – zirytował się Kreuthner.

– Nie. Dlaczego?

– Bo tak właśnie wyglądają kobiety, kiedy się obrażają.

– Nie obraziłam się. Tylko nie jestem zainteresowana opowieściami o polowaniach.

Kreuthner zdenerwowany popatrzył w białoniebieskie niebo.

– Masz ci los. Jak już ci się trafi, człowieku, piękny dzień, żebyś sobie pojeździł na nartach, to zaraz ci się przysiądzie taka i zacznie jojczyć.

Kobieta odwróciła twarz od słońca i zmierzyła go złym wzrokiem.

– Powiedziałaś: jojczyć?

– Tak, powiedziałem: jójczyć. Znasz na to lepsze słowo?

– Czemu jesteś taki opryskliwy? Nic ci nie zrobiłam. – Daniela popatrzyła na niego z mieszaniną wściekłości i rozczarowania. Kreuthner ze zdumieniem stwierdził, że ona płacze.

– Nie musisz się zaraz mazać. Przecież nie to miałem na myśli.

– Nie mażę się. Coś mi wpadło do oka i uwiera pod szkłem kontaktowym.

Kobieta rzeczywiście łzawiła tylko z jednego oka. Próbowwała wyjąć soczewkę, co najwyraźniej sprawiało jej spore problemy. Kreuthner nie wiedział, co robić. Było jasne, że nie mógł jej się przydać. Rozejrzał się po tarasie i z ulgą zauważył znajomego przy innym stoliku.

– Okay, to ja się będę zbierał – oświadczył, wziął szklanice z piwem i wstał. Kiedy odchodził, zawadził trzymaną w ręku kurtką o twarz kobiety. Daniela drgnęła i warknęła z wyraźną złością:

– Wielkie dzięki. No i jeszcze spadła na ziemię.

Kreuthner wolał ulotnić się czym prędzej.

Około czwartej Kreuthner odebrał plecak z restauracji i pieszo pokonał sto metrów na sam szczyt. Narciarzy już nie było, niedługo miał zapaść zmierzch. To, co zamierzał, wolał zrobić bez świadków. Stał w miejscu, skąd roztaczał się piękny widok, i wyjął z plecaka blaszaną puszkę. Tysiąc metrów poniżej rozciągała się dolina, biała i spokojna, a w jej sercu widniał wielki czarny kleks, przypominający szpiczastą czapkę z nóżkami – jezioro Tegernsee. Na północy pejzaż rozmywał się w szarym oparze nadciągającej nocy, na południowym zachodzie błyskały ostatnie promienie słońca, rozświetlając wielki krzyż na szczycie Wallbergu. Wuj Simon, choć uważał się za katolika, zażyczył sobie kremacji. Wizja gnicia w ziemi wydawała mu się nie do zniesienia. Chciał, by go rozsypać, a właściwie jego prochy. I to na najwyższej górze nad jeziorem Tegernsee, na Wallbergu. Coś takiego było w Niemczech zabronione. Dlatego Kreuthner musiał wydobyć wuja z grobu po kryjomu, w nocy.

Niebo było częściowo błękitne, częściowo zasnute szarymi chmurami, a zimny wiatr zawiewał płatkami śniegu. Kreuthner otworzył urnę zawierającą wuja. Zastanowił się, czy powiedzieć coś uroczystego, ale nic nie przychodziło mu do głowy. W końcu wypowiedział słowa, które zasłyszał kiedyś w telewizji.

– Wujaszku, znać cię było dla mnie zaszczytem.

Mówiąc to, poczuł, jak wilgotnieją mu oczy. Musiał przełknąć ślinę. Odżyło w nim wspomnienie, jak wuj Simon wprowadzał go w tajniki pędzenia bimbru i jak kosztowali pierwszego palonego przez Kreuthnera obstlera. Miał wtedy jedenaście lat. Z tą wzruszającą reminiscencją w sercu odwrócił urnę dnem do góry i powierzył prochy Simona Kreuthnera górskiemu wiatrowi. Gwałtowny poryw poniósł je w stronę Setzbergu, skąd po chwili dobiegło wołanie:

– He! Co to ma być?!

Dwadzieścia metrów niżej stała szara postać na nartach, pokaszująca i otrzepująca się z prochów. Wyglądało na to, że osiadł na niej cały wuj. Kiedy

Kreuthner podszedł bliżej, by przeprosić za swą niezręczność, stwierdził, że postacią była Daniela, kobieta, którą poznał na tarasie.

– Cholera jasna! Co to było? – zapytała, pokaszując i ocierając oczy.

– Tylko odrobina popiołu. Czekał, zaraz się z tym rozprawimy.

Zaczął strzepywać pył z jej kombinezonu.

– Zostaw, już dobrze. Wyczyszczę to śniegiem. Inaczej nigdy tego nie dopioreę. – Po tych słowach Daniela zamarła i mrugając oczami, zapatrzyła się w niebo.

– Co ci jest?

– Mam popiół w oku.

– Przykro mi, naprawdę. Nie sądziłem, że ktoś tu jeszcze jest. Co tu robisz o tej porze?

– Chciałam nacieszyć się samotnością. Nie wiedziałam przecież, że ktoś tu rozsypuje popiół. A tak w ogóle, co to za popiół? Mam nadzieję, że to nie twój pies albo kot, albo coś w tym rodzaju.

– Mój pies? Co za farmazony. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nieważne – rzekła Daniela i zaczęła brnąć przez śnieg.

– Mogę ci pomóc?

– Dzięki, poradzę sobie.

Kobieta zniknęła za sporą kępą kosodrzewiny. Kreuthner przypatrywał się, jak naciera kombinezon śniegiem i obmywa nim twarz. Słońce już zaszło, nadciągała noc. Kreuthner co jakiś czas zerkał na narciarkę. Daniela była skrupulatna. Niewiarygodnie skrupulatna. Na wschodzie zapadł mrok.

– Powinnaś się trochę pośpieszyć. Zaraz będzie ciemno.

– Przecież nie musisz na mnie czekać.

Zastanowił się, czy nie przyjąć tej propozycji. Nie miał jednak serca zostawiać kobiety na Wallbergu, na mrozie, w nocy. Dlatego czekał. Długo. Bardzo długo. Kiedy Daniela wyłoniła się zza kosodrzewiny, na niebie błyszczały już gwiazdy. Na szczęście pojawił się również i księżyc, więc szlak był widoczny.

– Wszystko w porządku?

Przytaknęła.

– Którędy zjeżdżamy?

– Czarnym szlakiem. Znam go jak własną kieszeń. W świetle księżycyca to żaden problem.

Daniela z powątpiewaniem popatrzyła w mroczną otchłań.

– Gdzie my jesteśmy? – odezwała się Daniela rozdrażnionym, ale i lekko łamiącym się głosem, jakby powstrzymywała łzy.

– Zaraz powinniśmy dotrzeć do toru saneczkarskiego. To już niedaleko. Uwaga!

Odgięta gałąź świerku strzeliła z powrotem i nieoczekiwanie mocno smagnęła Danielę w twarz. Kobieta krzyknęła i zaklęła głośno.

– Mówiłem, żeby uważać – kajał się Kreuthner.

– Jasna cholera! Soczewki mi wypadły.

– W śnieg?

– A gdzieżby indziej?

Kreuthner obejrzał się za siebie, ale sylwetka Daniela ledwie majaczyła w mroku, choć była oddalona niecałe trzy metry. Pośrodku lasu iglastego było – jak wyraziłby się wuj Simon (słynący także z trafnych porównań) – ciemno jak w dupie u niedźwiedzia.

– I jak ty chcesz tu znaleźć te swoje soczewki?

– Ale bez nich nic nie widzę.

– Więc to chyba bez różnicy, prawda?

Kreuthner wrócił do Daniela, brnąc z nartami przez głęboki po kolana śnieg.

Moment, w którym stanęli na starcie trasy zjazdowej, miał w sobie coś podniosłego. Na niebie wisiał księżyc w pełni i oświetlał śnieg; widoczny był każdy ślad, każda najmniejsza nierówność, jak w dzień. U ich stóp rozciągało się jezioro z tysiącem światełek, otoczone szczytami Neureuth, Hirschberg, Kampen i Flockenstein. Na północnym horyzoncie pod dalekim kłosem smogu jaśniało czerwonym blaskiem Monachium. Stok nosił ślady nart. Śnieg był zimny i jeszcze niezbyt ciężki, tu i tam usypany w nieregularne hałdy, ale nigdzie nie przebijała spod niego ziemia. Kreuthner ruszył pierwszy, zakosami ujechał kawałek

stromym stokiem i zaczekał na Danielę. Okazało się, że jest dobrą narciarką, znakomicie radzącą sobie w trudnych warunkach. Kiedy dobiła do Kreuthnera, miała przyspieszony oddech, a na jej twarzy nawet pojawił się uśmiech. Jazda na nartach przy pełni księżyca, pod rozgwieżdżonym niebem, w zimną i klarowną noc, miała niepowtarzalny urok.

Kiedy tak spoglądali w dół na jezioro i na Monachium na północy, nie zauważyli frontu chmur nadciągającego z południowego zachodu. I właśnie wtedy, gdy Kreuthner ruszył w dół skrajem lasu, gdzie śnieg był najlepszy, chmury niespodziewanie zasłoniły księżyc i zrobiło się ciemno. Tak ciemno, jakby Kreuthner ni stąd, ni zowąd wjechał w czarną dziurę. Przestał widzieć, co przed nim jest. Spróbował zahamować. To jednak nie było takie proste, ponieważ stok był stromy, a on zjeżdżał w dół na krechę. Wpadł na muldę, która podrzuciła go tak, że prawie rąbnął kolanami w pierś. Przechylił się do tyłu, co znacznie przyspieszyło jego zjazd i zanim pojawił, co się dzieje, wpadł między rosnące rzadko młode drzewka, przekościłował i w końcu zatrzymał się z głową wycelowaną w dolinę. Usłyszał bojaźliwe wołanie. A potem zbliżający się przeraźliwy krzyk. Cień, uderzenie i chmura śniegu, która na niego opadła. Dołączyła do niego Daniela.

Wygrzebali się ze śniegu i przypięli z powrotem narty. Daniela chciała wrócić na szlak, Kreuthner uznał jednak, że to zbyt ciężki trud. Przekonywał, że jeśli pojedą prosto jak strzeł, w nieunikniony sposób dotrą do drogi, która zimą służy za tor saneczkarski.

– Ale przecież i tak jest ciemno jak nie powiem gdzie. Jeśli pojedziemy przez las, to kompletnie nic nie będziemy widzieć – zaproponowała Daniela.

– Chmura zaraz przejdzie i będzie po problemie – uspokoił ją Kreuthner i ruszył dalej.

Chmura okazała się zwiastunem niżu i miała zasłonić niebo na najbliższe dwa dni. Im głębiej zapuszczali się w las, tym robiło się ciemniej. Daniela wpadła raz do wykrotu i raz do strumienia, który ukrywał się pod pokrywą śniegu. W strumieniu nie było na szczęście zbyt dużo wody, ale zanim z pomocą Kreuthnera wydostała się z niego, upłynęło dziesięć minut.

Blade światło komórki oświetlało niewielką połać wokół nóg Daniela, które tkwiły w śniegu wraz z butami i nartami.

– Nic nie widzę. A ty? – zapytał Kreuthner.

– Wszystko mam rozmazane. Mówiłam ci, że bez soczewek nic nie widzę.

– To jak je znajdujesz, jak ci wypadną?

– Albo trochę widzę dzięki tej jednej, którą jeszcze mam w oku, albo obmacuję ręką podłogę. Albo pytam kogoś, czy mógłby mi pomóc.

- Tu coś błysnęło. Poświeć trochę bardziej na prawo.
- Była to tylko aluminiowa zawleczka od puszki po napoju.
- A skąd to się tu wzięło? – powiedział zdziwiony Kreuthner.
- Gówno mnie obchodzi skąd. Chcę odzyskać swoje soczewki!
- Moglibyśmy oznakować to miejsce i poszukać jutro.

Daniela chwyciła się mocno kijka, który Kreuthner trzymał wycelowany do tyłu. Posuwali się w wolnym tempie, bo Daniela ze strachu zatrzymywała się co chwila i płakała niemal bez przerwy. A kiedy nie płakała, urągała Kreuthnerowi, bo to on najpierw obsypał ją popiołem, a potem zapewnił, że nocny zjazd czarnym szlakiem nie będzie żadnym problemem.

– Patrz! Tam, przed nami, jest już tor saneczkarski. – Kreuthner zauważył jaśniejsze miejsce jakieś pięćdziesiąt metrów przed sobą. Dawna droga prowadząca z Rottach na szczyt Wallbergu biegła stosunkowo płasko. Zjazd nią był łatwy, nawet przy słabym świetle. Gdyby do niej dotarli, w parę minut znaleźliby się przy dolnej stacji wyciągu. Przypuszczenia Kreuthnera okazały się jednak mylne. Jaśniejsze miejsce było tylko niewielką polaną pośrodku lasu. Tabliczka informowała, że latem prowadzi tędy szlak wędrowny.

- Spójrz, tam są drogowskazy – odezwał się, żeby podtrzymać ją na duchu.
- Co na nich jest?
- Nie widzę. Za ciemno.

W tym momencie zwarte chmury rozstały się na moment i księżyc oświetlił nocnych wędrowców.

- A teraz widzisz?
- Tak – potwierdził. – Wallberg, półtorej godziny.
- Zimno mi. – Daniela schowała dłonie pod pachami.

Kreuthner rozejrzał się wokół, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji. Parę metrów dalej dostrzegł zasypaną śniegiem ławkę, którą przedtem skrywały ciemności.

– Ale numer. Tam siedzi bałwan, na ławce. Ktoś tu ulepił bałwana. W samym środku lasu! – Kreuthner chwycił się okazji, by podnieść morale drużyny. Kiedy Daniela nie odezwała się ani słowem, tylko pociągnęła nosem, Kreuthner podjechał do ławki i przyjrzał się bałwanowi. Wydawało się, że głowa jest odchyłona do tyłu, jakby bałwan patrzył w niebo.

– Założę się, że miał nos z marchewki. Pewnie spadła gdzieś tutaj. – Kreuthner rozgrzebał śnieg.

- Halo! Chcę na dół. Nie musimy jeszcze szukać marchewek.
- Pomyślałem tylko, że gdybyśmy znaleźli nos i wetknęli go gdzie trzeba, to byłoby śmiesznie, a ty byś się roześmiała i od razu zjeżdżałoby się nam lepiej.

Daniela nie odpowiedziała. Poruszała sinymi z zimna wargami, ale z jej ust nie wydobywały się żadne słowa. Gdyby Kreuthner potrafił czytać z ruchu warg, może odczytałby słowo „palant”. Ale tak tylko dalej szukał marchewki.

– Może spadła mu na kolana. – Kreuthner odgarnął śnieg w miejscu, w którym powinny się znajdować bałwanie uda, i na coś natrafił. Nie była to jednak marchewka. – Nie wierzę. Ubrali bałwana w spodnie. Musisz to zobaczyć.

– Nie chcę niczego oglądać. Nic nie widzę. Jest noc, a ja nie mam soczewek. Przepraszam bardzo, moglibyśmy zjechać do dolnej stacji?

Kreuthner niestrudzenie kontynuował wykopaliska i odsłaniał coraz więcej goreteksu.

– Ja cię kręcę. On jest kompletnie ubrany. Od góry do dołu.

Kreuthner rozgarniał śnieg garściami. Powoli zaczęło wyłaniać się coś, co nie było bałwanem. Na ławce z głową odchyloną do tyłu i wyciągniętą w dół ręką siedziała kobieta. Wyglądała, jakby spoglądała w niebo. Jeden z rękawów kurtki narciarskiej był rozcięty do łokcia, a przedramię pokrywała mleczna warstewka lodu. Pod nią majaczyła czerwień.

– Co to jest? – zapytała Daniela. Stała zaledwie kilka metrów dalej, ale bez szkielek kontaktowych widziała tylko rozmytą sylwetkę.

– Nic – odparł Kreuthner. – Jedź już. Ja muszę jeszcze zatelefonować.

To rozbudziło jej ciekawość. Przyczłapała bliżej, nie zdejmując nart. Kreuthner zasłonił sobą ławkę.

– Nie patrz na to. To... nie wiem, co to jest. Ktoś.

– Jak to ktoś?

– Kobieta. I jest tu już od jakiegoś czasu.

– Ale dlaczego siedzi w nocy na ławce? Przecież jest... zimno.

Kreuthner włączył komórkę i nacisnął dwa przyciski.

– Nie mam zielonego pojęcia, co tu robi. Może dostała zawału. Takie rzeczy się zdarzają. Pechowców znajdują dopiero na wiosnę. Więc pod tym względem miała jeszcze szczęście... Halo! Mówi Leo Kreuthner z Miesbach. Jestem na Wallbergu... nie na górnej stacji, w lesie. Zaraz wam podam współrzędne GPS. Jest problem. Na ławce siedzi denatka.

Podczas gdy Kreuthner sprawdzał na smartfonie dokładną lokalizację, Daniela zbliżyła się niezdarnie. Zamarznięte zwłoki magicznie ją przyciągały.

– Hej, co ty robisz? – zawołał Kreuthner i chwycił ją za ramię, patrząc w ekran smartfona. Ale Daniela już była przy ławce. Chwilę wpatrywała się w trupa, potem przyłożyła rękę do ust, a na jej twarzy pojawił się wyraz zgrozy. Gwałtownym ruchem sięgnęła do kurtki zmarłej kobiety i wyciągnęła z niej pęk kluczy z breloczkiem-psem. Przeróżliwy krzyk przeciął noc. Daniela, wstrząsana szlochem, osunęła się na ziemię.

Wallner obiecał, że będzie w domu na tyle wcześnie, żeby zdążyć położyć Katję spać. Ponadto Vera chciała omówić z nim coś ważnego. Katja przyszła na świat prawie dokładnie rok temu. Była pełnym wigoru dzieckiem, które po tacie odziedziczyło ciekawość, a po mamie kasztanowe loki. Ojcu przypisywano również jej skłonność do kontrolowania wszystkiego w swym otoczeniu. Kiedy ludzie, zwierzęta lub rzeczy oddalały się od niej, stawała się nieznośna i wybuchała płaczem. Na szczęście Katja miała pogodne usposobienie, toteż wszyscy bardzo chętnie przebywali w jej towarzystwie.

Minęła piąta i Wallner włożył już kurtkę puchową, zamierzając pójść do domu, kiedy nadeszła informacja, że Kreuthner znowu znalazł trupa. Sierżant nie potrafił podać przyczyny zgonu, ale opisane przez niego okoliczności były tak niezwykle, że ich sprawdzenie przez policję wydało się nieuniknione.

Daniela Kramm siedziała w budynku dolnej stacji w towarzystwie pracownicy Zespołu Interwencji Kryzysowej z Miesbach, w skrócie KIT. Odkąd na widok śniegowego trupa z jej gardła wyrwał się krzyk, nie odezwała się ani słowem. Kreuthner sprowadził ją do dolnej stacji. Okazało się, że tor saneczkarski przebiega zaledwie pięćdziesiąt metrów od miejsca znalezienia ciała. Kobieta siedziała teraz na ławce w oświetlonej jarzeniówkami poczekalni, gdzie za dnia narciarze hałaśliwie przemieszczali się do gondoli. Na jej zaczerwienionych od zimna policzkach widać było ślady łez; wpatrywała się w poręcz schodów. Specjalistce z KIT-u wyraźnie nie udawało się do niej dotrzeć.

Mike przyjechał na stację bezpośrednio z innej interwencji. Na dole spotkał Janette, która zawiadomiła telefonicznie Olivera i Tinę, techników kryminalistycznych. Oboje byli już przy zwłokach. Na miejsce zawiózł ich ratrak.

– Serwus, Janette! Co robimy dziś wieczorem? – Mike przywitał się

jowialnie.

– Stoimy w śniegu. Tina i Oliver są już na górze. Kreuthner też wjechał z powrotem na szczyt.

– Kto to jest? – Mike wskazał Danielę. Skinął jej głową, ale nie zareagowała.

– Świadek. Jeśli dobrze zrozumiałam, razem z Kreuthnerem znalazła ciało.

– Nie wygląda na zdolną do składania zeznań. – W głosie Mike’a brzmiała raczej troska niż cynizm. Janette wzruszyła ramionami.

– A gdzie Wallner?

– Clemens pojechał do domu. Miał coś ważnego do obgadania z Verą.

– Pozwolił nam tu działać tak zupełnie bez nadzoru?

– Jeszcze rok temu byłoby to nie do pomyślenia.

Mike przytaknął i zadumał się na tym, jak dzieci zmieniają człowieka. Od wejścia powiał przeciąg.

– O, popatrz, jest Janette i wujek Mike – rozległ się znajomy głos. Przez próg przeszła z uniesionymi rączkami Katja. Jej tata ostrożnie wprowadził ją do środka między swoimi nogami.

– Nie wierzę – powiedział Mike do Janette, a potem zwrócił się do Katji: – Wróbelku mój, chodź tu do mnie! – Grubo opatulona w zimowe ubranko dziewczynka chwiejnym krokiem podeszła do Mike’a, który wziął ją na rękę. – Czyś ty do reszty ocipiał? – zapytał Wallnera. – Nie możesz przyprowadzać tu dziecka!

– Vera jeszcze nie wróciła. Pomyślałem, że wpadnę tu na chwilę. Siedząc w domu, nie mogę wam patrzeć na ręce.

– Ale chyba nie chcesz zabierać małej na górę, do... tam gdzie znaleziono zwłoki, co? – Janette podsunęła Katji jeden ze swych palców.

– Ktoś chyba zostanie tutaj?

Wallner rozejrzał się wokół i zauważył Danielę Kramm. Skinął jej głową, ale ona patrzyła przez niego na wskroś, zaczerwienione oczy miała podkrążone, a usta lekko rozchyliła.

– Ja zostanę – oznajmił Mike. – W towarzystwie dwóch kobiet powinienem sobie poradzić. Zwłaszcza że specjalnie dla nas włączyli ogrzewanie.

Wallner z żalem pokiwał głową na myśl, że będzie musiał opuścić ciepłe pomieszczenie.

– Masz tylko tę cienką kurtkę?

Wallner popatrzył na Mike’a ze złością.

– Chyba bredzisz. To jest najcieplejsza kurtka puchowa, jaką w ogóle można kupić.

– Tylko mówię. Na górze jest minus piętnaście stopni.

Mike uśmiechnął się z satysfakcją pod nosem i dotknął noska Katji.

– Prawda, wróbelku? My tu sobie posiedzimy w ciepélku, a biedny tatuś

będzie musiał wyjść na siarczysty mróz.

Grube, białe płaty śniegu padały w świetle halogenów, w lesie dudnił dieslowski silnik ratraka. Wallner naciągnął czapkę na twarz. Nic to nie dało. Śnieg odnajdywał drogę na okulary, topniał, spływał po szklach i zamazywał widoczność. Wallner chciał zadać Janette parę pytań, ale musiałyby krzyczeć i uznał, że lepiej zrobi, obserwując padający śnieg. I bez okularów przyjemnie było na niego popatrzeć. To mogłaby być idealna zimowa noc.

– Co wiemy o zmarłej? – zapytał po chwili, za Janette pokonując w świeżym śniegu ostatnie pięćdziesiąt metrów do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Tam, w środku lasu, straż ustawiła pięciusetwatowy reflektor halogenowy, który zalewał polanę oślepiającym, ostrym światłem.

– Zmarła nazywa się Sophie Kramm, lat czterdzieści dziewięć, pedagog społeczny. Nie pracowała w zawodzie, prowadziła azyl dla zwierząt w Riedern.

– Przypomnij mi, gdzie to jest.

– Między Moosrain i Waakirchen. Jest tam parę pojedynczych gospodarstw.

– A kim jest ta kobieta na dolnej stacji?

– Jej siostra. Daniela Kramm.

– Już ją powiadomiliście?

– Nie. To ona znalazła zwłoki siostry.

– Myślałem, że to Kreuthner znalazł ją podczas jazdy na nartach?

– Też. Ale była z nim ta Daniela Kramm.

– Kreuthner jeździł na nartach z jakąś kobietą i znalazł zwłoki jej siostry?

– Najlepiej sam go spytaj.

– To mi znowu wygląda na jakąś aferę. Ten facet kiedyś doprowadzi mnie do obłędu. Czy przynajmniej mamy pewność, że to sprawa dla nas?

– Kreuthner twierdzi, że to nie był wypadek. Zmarła siedziała na ławce, a pod śniegiem było pełno krwi.

Dotarli na polankę. Technicy kryminalistyczni w białych kombinezonach ochronnych pracowali na śniegu, skąpani w jasnym świetle. Warczał generator. Wallner chłonął przez chwilę scenerię.

– Dlaczego ktoś zabija akurat tutaj?

Janette wzruszyła ramionami.

Kobieta spoglądała w nocne niebo. Oliver obfotografował ją ze wszystkich stron. W tym czasie odgarnięto do reszty śnieg z jej ciała. Twarz i ręce pokrywała lodowa skorupa, ponieważ padający śnieg początkowo topniał, a potem, w miarę jak temperatura ciała zrównywała się z temperaturą otoczenia, ponownie zamarzał. Technicy odgradzili spory obszar wokół ławki, na który nie pozwalali wchodzić niepowołanym. Do nich zaliczali się również Wallner, Janette i Kreuthner. Oliver i Tina z wydziału K3 zajmującego się zabezpieczaniem śladów, wspomagani przez dodatkowych funkcjonariuszy, prowadzili mozolne poszukiwania pod śniegiem.

– Naturalnie to ja znalazłem zwłoki – powiedział Kreuthner. – To przypadek, że była przy tym jej siostra.

– Dlaczego nocą spacerowała z tobą po lesie?

– Zjeżdżaliśmy razem na nartach.

Wallner spojrzał na zegarek.

– O której?

– Tak około wpół do piątej.

– Ale o tej porze już jest ciemno.

– Dlatego pomyliliśmy drogę. Gdyby nie to, w ogóle byśmy nie znaleźli zmarłej.

Zięb wdzierał się od dołu pod kurtkę Wallnera. Komisarz dopiął ciasniej regulowane ściągacze i prędko schował ręce w kieszeniach.

– Czy Daniela Kramm domyśla się, dlaczego jej siostra została znaleziona akurat w tym miejscu?

– Może chciała wejść na szczyt.

– Kto w śniegu po kolana wędruje na Wallberg?

– Kiedy to się stało, jeszcze nie padało. Leżało niewiele śniegu.

– A kto powiedział, że została zamordowana?

– To chyba jasne. Wszędzie jest pełno krwi.

Tina podeszła bliżej.

– Serwus, Tina. Znaleźliście coś? – zagadnął Wallner.

Tina uniosła przezroczystą plastikową torebkę, w której znajdował się nóż introligatorski. Na dnie woreczka zebrało się trochę jasnoczerwonego płynu. Wallner przypuszczał, że to woda ze stopniałego śniegu, która spłynęła z ostrza.

– Znaleźliśmy to pod ławką.

Tina podała torebkę Wallnerowi, a ten przekazał ją Janette, bo musiał najpierw przetrzeć okulary.

– Narzędzie zbrodni?

– Tak. – Tina wzięła woreczek. – Odcisków palców pewnie już nie znajdziemy. Ale sprawa wygląda na jednoznaczną. Podcięła sobie żyły i wykrwawiła się.

– To przecież nie ma sensu – zaproponował Kreuthner. – Kto wędruje w góry, siada na ławce i podcina sobie żyły?

– To jest dość częste. – Tina włożyła woreczek z nożem do większej plastikowej torby, w której znajdowały się inne dowody rzeczowe. – Wielu samobójców chce w ostatnim momencie życia spoglądać na to, co pozostawiają za sobą.

– Dla mnie to nie ma sensu – powtórzył Kreuthner, nie uzasadniając bliżej swego zdania.

– Czy jej siostra wypowiedziała się na ten temat? – zainteresował się Wallner.

– Nic nie powiedziała. Była kompletnie załamana.

– A co on tutaj robi? – dał się słyszeć tubalny głos Olivera. Technik brnął przez śnieg w ich kierunku. – Nie powinien pojechać do domu i pilnować dziecka? A może coś źle zrozumiałem?

– Wszystko jest w najlepszym porządku. Mała jest z wujkiem Mikiem i świetnie się bawi.

– Taaa. Ale taki dzieciak potrzebuje nie tylko zabawy, ale i snu. Nie żebym się wtrącał w nie swoje sprawy.

Wallner spojrzał na zegarek.

– Dzieciak położy się do łóżka o siódmej, jak co dzień. Później będzie spał, by dokładnie pół godziny po tym, jak zasną, obudzić się i rozedrzyć.

Oliver również popatrzył na zegarek.

– Czyli najdalej za pół godziny tu cię nie będzie.

– I tak nie dzieje się nic takiego, do czego byłbym niezbędny.

– Wygląda to na samobójstwo. – Oliver przeszedł na literacką niemczyznę, jak zawsze, kiedy miał do zakomunikowania coś służbowego. – Jedyne, co mnie trochę zastanawia, to ta rzecz. Znalazłem ją w portfelu zmarłej.

Podał Wallnerowi niedużą plastikową torebkę, w której znajdowało się

zdjęcie. Wallner przyjrzał się fotografii, na chwilę wsunął ją pod pachę, żeby przetrzeć okulary, przyjrzał jej się znowu, wreszcie przeszedł parę kroków w stronę światła. Pozostali podreptali za nim. Też chcieli zobaczyć, co takiego odkrył Oliver. Wallner długo patrzył na zdjęcie, które w końcu podał dalej.

– Co to, do diabła ciężkiego, ma być?

Oliver wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że to, na co wygląda. Trochę upiorne, co?

– No – zgodził się Wallner. – Aż mi się zrobiło jeszcze zimniej.

Daniela Kramm wciąż siedziała na drewnianej ławce w poczekalni, wbijając w przestrzeń nieruchome spojrzenie. Drżącymi dłońmi wydmuchiwała nos w papierową chusteczkę i otarła łzy. Kreuthner stał ze schyloną głową obok niej. Złożył jej kondolencje z powodu śmierci siostry. Zagadnięta nie sprawiała wrażenia, jakby w ogóle usłyszała jego słowa.

Nadszedł Wallner. On również wyraził w krótkich słowach swoje współczucie.

– Czy jest pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań? Jeśli nie, zawieziemy panią do domu albo do hotelu i porozmawiamy jutro.

Daniela Kramm wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją prąd. Popatrzyła bez wyrazu na Wallnera, pomyślała chwilę, w końcu pokręciła głową i wytarła resztki łez z kącików oczu.

– Dam radę.

Wallner usiadł na składanym krzeselku i gestem nakazał Janette i Mike'owi, żeby zrobili to samo. Również Kreuthner został zachęcony do zajęcia miejsca, wolał jednak postać i oparł się o poręcz schodów prowadzących do gondoli.

– Nazywa się pani Daniela Kramm i jest pani siostrą zmarłej Sophie Kramm?

Przytaknęła.

– Najprawdopodobniej pani siostra odebrała sobie życie. Czy coś wskazywało na to, że chce popełnić samobójstwo?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Ona się nie zabiła.

Wallner studiował jej twarz, próbując wyczytać, czy kobieta po prostu nie chce przyjąć do wiadomości tego, co oczywiste, czy też istniał jakiś racjonalny powód jej oceny sytuacji. W jej twarzy było więcej złości niż rozpacz, dlatego uznał, że druga możliwość była bardziej prawdopodobna.

– Skąd ta pewność?
– To nie w jej stylu.
– Co dokładnie?
– Ucieczka. Ona nigdy nie zostawiłaby nas w potrzebie.
– Nas, czyli rodziny?
– Zwierząt i mnie. Prowadzimy azyl dla zwierząt. Sophie wiedziała, że sama z tym sobie nie poradzę. Nigdy by nam tego nie zrobiła.

– Siostra nigdy nie wspominała o śmierci? Nie cierpiała na depresję, nie mówiła, że to ją przerasta, że ma dość?

– Nie. – Daniela Kramm ponownie wytarła oczy, jej głos drżał. – Oczywiście często się zamartwiała, co będzie dalej. Miesiąc w miesiąc toczyłyśmy walkę, żeby zebrać pieniądze na azyl. Ale nigdy by się nie zabiła.

– Czy ktoś miałby jakiś powód, żeby zamordować pani siostrę?

– Na świecie jest dość szaleńców.

Wallner dał jej jeszcze parę sekund, jednak ona więcej się nie odezwała.

– Musimy poczekać na rezultaty obdukcji. Wówczas dowiemy się więcej o tym, jak zmarła pani siostra. – Wallner zastanowił się chwilę. Wyglądał, jakby się wahał. – Znaleźliśmy coś w kurtce pani siostry. Zdjęcie. – Wyjął fotografię, którą Tina znalazła przy zwłokach. Wciąż była opakowana w folię. – To, co przedstawia, jest dość... szokujące. Mimo to chciałbym, żeby ją pani obejrzała. Jeśli pani chce, możemy to zrobić jutro, kiedy poczuje się pani lepiej.

– Co jest na tej fotografii?

– Ludzkie szczątki.

Daniela Kramm się zastanowiła.

– Niech pan pokaże.

Wallner podał jej zdjęcie. Rzuciła na nie krótkie, lecz nie pobieżne spojrzenie. Na zdjęciu widać było na wpół rozłożone zwłoki, leżące w czymś w rodzaju grobu. Wyglądało to tak, jakby ktoś ekshumował ciało. W kilku miejscach, w których skóra była bardzo cienka, prześwitywały nagie kości. Widać było, że zmarła osoba miała długie włosy i była ubrana w spódnicę. Poza tym w grobie leżała damska torebka.

Daniela Kramm pokręciła głową.

– Gdzie to było?

– W kurtce pani siostry.

– Nie znam tego zdjęcia. Nie mam pojęcia, skąd je wzięła. To z jakiejś wojny?

– Nie wiem. Trudno ocenić.

– Może ono wcale nie należało do mojej siostry. Może włożył je do kurtki sprawca.

– O ile był jakiś sprawca.

– Dlaczego uważa pan, że to było samobójstwo?

– W tej chwili wiele za tym przemawia. To się może jednak zmienić. Musimy poczekać na wyniki analiz.

Pracownica KIT-u zaproponowała Danieli herbatę. Kobieta wzięła ją, dziękując cicho. Pozostali odmówili.

– Załóżmy, że to nie było samobójstwo. Zna pani kogoś, kto miałby powody, żeby zamordować pani siostrę?

Daniela Kramm upiła łyżeczek z parującego plastikowego kubka. Grzała sobie dłonie. Drżała lekko, choć grzejniki pracowały pełną parą i było tak ciepło, że nawet Wallner zdjął czapkę.

– Nie sędzę.

Jej oczy znowu napęłniły się łzami, które po chwili spłynęły po policzkach, by na koniec kapać z podbródka. Kreuthner podał jej chusteczkę.

– Przepraszam – powiedziała i wyczyściła nos. Potem drgnęła, a łzy wyschły tak samo nagle, jak popłynęły.

– Owszem... – kontynuowała. – Jest ktoś, kto byłby do tego zdolny.

Kobieta pokiwała głową stanowczo i omijając wzrokiem Wallnera, popatrzyła w dal.

– To przydarzyło się całkiem niedawno. Może dwa tygodnie temu. Było po południu, około piątej, kiedy ona nagle pojawiła się w stajni. Zapadał pomału zmierzch. Właśnie przyprowadziłam konie z pastwiska. Stała tam, potem zapytała o Sophie i powiedziała, że jest jej znajomą. Wysłałam ją do chałupy.

– Nie powiedziała, jak się nazywa?

– Owszem. Stalin.

– Stalin?

– To pewnie jakiś pseudonim.

– Co takiego wzbudziło pani podejrzenia, oprócz przydomku?

– Była u Sophie jakieś pół godziny. Kiedy skończyłam w stajni i wyszłam na podwórze, właśnie wychodziła. Na pożegnanie powiedziała do Sophie: „Możecie sobie oszczędzić sporo kłopotów, serio. Zastanów się nad tym!”.

– Co miała na myśli?

– Nie wiem. Oczywiście zapytałam o to siostrę. Ale ona powiedziała tylko, że to jakaś wariatka. Znała ją ze studiów, ale od dawna już nie miała z nią nic wspólnego.

– Co miała na myśli, mówiąc „wariatka”?

Zamiast odpowiedzi Daniela Kramm schowała głowę w ramionach i zadrżała. Ponownie popadła w apatię.

– Pani Kramm? Źle się pani czuje?

Popatrzyła na Wallnera, jakby wyrwał ją z transu.

– Nie, w porządku. Jakie... jakie było pytanie?

– Co pani siostra miała na myśli, gdy mówiła „wariatka”.

– Co miała na myśli? – Kobieta z namysłem popatrzyła w oczy Wallnerowi.

– Chyba... obłąkana. Psychicznie chora.

– I nie powiedziała, czego dotyczyła ta groźba? I kto miałby oszczędzić sobie kłopotów?

– Powiedziała tylko, że tamta ma nie po kolei w głowie. Nie chciała, żebym

się martwiła. Ale sama się tym gryzła. Widziałam to po niej. W ostatnich tygodniach była nerwowa i bojaźliwa.

– Pytała pani siostrę o powód takiego zachowania?

– Tak. Ale odpowiadała wymijająco i mówiła, że wszystko jest w porządku.

– Nie ufała pani?

– Myślę, że nie chciała mnie w to wciągać.

– Mogłaby pani opisać tamtą kobietę?

– Raczej nie. Widziałam ją tylko przelotnie. I miała na głowie czapkę. Może bym ją rozpoznała. – Zastanowiła się chwilę. – W takim razie wierzy mi pan, że to było morderstwo?

– Wierzę, że tamta kobieta odwiedziła pani siostrę. Czy to ma coś wspólnego z jej śmiercią, nie wiem. Jeśli znajdziemy coś, co wskazywałoby na to, że pani siostra nie odebrała sobie życia, oczywiście pójdziemy tym tropem. – Wallner na tym zakończył przesłuchanie.

– Chce pani pojechać do hotelu? Podrzucilibyśmy panią – odezwał się Mike. Daniela Kramm nie chciała.

– W porządku. Oczywiście może pani wrócić do domu. Jutro rano zjawia się u pani technicy. Prosilibyśmy, żeby nie dotykała pani niczego w pomieszczeniach zajmowanych przez siostrę i w miarę możliwości niczego nie wyrzucała. W szczególności żadnych dokumentów.

Kobieta zapewniła, że zastosuje się do tego, i odeszła do samochodu. Kreuthner odprowadził ją wzrokiem. Wyglądał na zaniepokojonego.

W czasie, gdy zmarła Sophie Kramm, w azylu dla zwierząt w Riedern żyło dziesięć koni, siedem osłów, osiem psów, trzydzieści cztery koty, kilkanaście królików, dwie sarny, dwie świnie, indyk, indyczka, sześć gęsi, dwadzieścia dwie kury różnych ras, z czego trzy brojlery, które wielokrotnie przekroczyły swą normowaną długość życia wynoszącą trzydzieści dni, cztery kaczki oraz dwa jeże, które upakowane w papierowe pudełka zimowały na stryszku na siano. Większość zwierząt była stara lub chora, albo jedno i drugie, i wszystkie bez wyjątku miały za sobą smutne życie. W azylu mogły zestarzeć się i umrzeć, i nikt ich nie doił, nie jeździł na nich, nie wykorzystywał jako maszyny do rodzenia ani nie zawoził do ubojni.

Już jako nastolatka Sophie Kramm odczuwała potrzebę niesienia pomocy, a po maturze poszła na studia pedagogiczne. W latach dziewięćdziesiątych przez jakiś czas pracowała jako wychowawczyni w zakładzie dla dzieci mających trudności z nauką. W roku 1996 ciotka zapisała jej w spadku gospodarstwo rolne w wiosce Riedern, położonej cztery kilometry na północ od Tegernsee. Ciotka już od lat sześćdziesiątych nie trzymała mlecznych krów. Zamiast tego wynajmowała pokoje turystom. W charakterze atrakcji dla przyjezdnych dzieciaków postarała się o dwa osły, a także kozę i kilka kotów oraz psów. Cztery lata przed śmiercią zachorowała na ciężkie zwyrodnienie stawów i musiała zrezygnować z wynajmu. Wkrótce po przejęciu gospodarstwa przez Sophie koza zdechła po infekcji kopyt. Osły, psy oraz koty również były w opłakanym stanie. Ze względu na swą ułomność ciotka nie mogła się nimi zajmować przez cały czas. Sophie oprócz gospodarstwa dostała w spadku sześciocyfrową sumę w markach niemieckich. Postanowiła zatroszczyć się o zwierzęta i poprowadzić gospodarstwo.

Z biegiem czasu rozniosło się, że Sophie ma słabość do zwierząt w potrzebie. Ludzie przywozili do niej porzucone psy i koty, a także konie, które chcieli uratować przed transportem do ubojni we Włoszech. Kiedyś ktoś

dowiedział się, że w Czechach stoi ciężarówka pełna osłów z Bliskiego Wschodu, zatrzymana ze względu na braki w dokumentach. Zwierzęta były bliskie śmierci. Sophie wsiadła w samochód, by je uratować. Saren, znalezionych jako koźlątko i wychowanych przez ludzi, nie można było wypuścić na wolność, bo ciągnęło je do ludzi, co przy pierwszym spotkaniu z myśliwym źle by się dla nich skończyło.

Daniela w zamieci śnieżnej zajechała pod dom, na co zareagował czujnik ruchu. Nad drzwiami stajni zapaliło się żółtawe światło. Dom był podłużny, z typowym dla tych okolic płaskim dwuspadowym dachem. Parter był murowany i od frontu, gdzie znajdowała się część mieszkalna, otynkowany, od tyłu zaś, gdzie mieściły się stajnie, z naturalnego kamienia. Pięterko dobudowano z drewna. Wokół części mieszkalnej biegł balkon o prostej snyderce. Stajnie i stryszek na siano tworzyły literę L. Po przeciwległej stronie budynku znajdowała się szopa na narzędzia, przez co podwórze było niemal całkowicie zamknięte z trzech stron.

Przed domem i na dachu szopy siedziały psy i kilka kotów, uważnie śledząc wzrokiem wysiadającą z samochodu Danielę. Oczy kobiety były zaczerwienione, spojrzenie puste, głowa schowana w ramionach. Żaden pies nie zaszczekał, żaden kot nie miauknął. Zwierzęta siedziały niemo, jakby dotarła już do nich wieść o tragedii. Joseph, kot kartuski, zaczął się gorączkowo myć, spoglądając niepewnie na kobietę przy samochodzie.

Daniela postąpiła naprzód, a za nią ruszyły zwierzaki, tworząc bezgłośną, futerkową procesję ciągnącą ku stajni. Tam też było cicho. Drzwi do boksu Kaspara jak zwykle były otwarte, ale czarny ogier przywarł do tylnej ściany. W pomieszczeniu nie dało się słyszeć nawet parsknięcia, kury tkwiły nieruchomo w swej przegrodzie. Na powitanie wyszedł jej indyk William, ale jakby się zorientował, że skubanie za spodnie było dziś nie na miejscu. Niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę, wreszcie zawrócił i udał się do kurzej przegrody, jakby chciał omówić z jej mieszkańcami niezwykle sytuację.

Przed śmiercią Sophie nawiozła jeszcze siana. Taczki i widły leżały inaczej niż rano. Siostra uprzątnęła też gnój. Daniela podniosła widły i do oczu niespodziewanie napłynęły jej łzy. Leciały strumieniem, jakby ktoś odkręcił kran, spływały po twarzy i kapały na ziemię. Czuła, jakby stała nad ciepłym, słonym wodospadem i nie mogła zrobić nic, by powstrzymać bezgłośny płacz. Łzy kapały na Josepha i na rudego kota z ropniem na nosie. Zwierzęta tkwiły w miejscu, nie poruszały się, nawet nie drgnęły, żeby zlizać słone krople. Uświadomiwszy to sobie, rozbeczała się jeszcze bardziej. Długo tak stała nieruchomo, płacząc, aż w końcu zabrała się do rozrzucania siana po boksach. Potem nakarmiła koty i psy. Te wrażliwsze nie tknęły karmy, te mniej wyczulone skorzystały z okazji, by napchać brzuchy.

Napaliwszy w piecu kuchennym, zasiadła po ciemku przy stole, z butelką śliwownicy i kieliszkiem. Było wpół do dziewiątej, w domu panowała cisza. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki. Azyl leżał w odległości sześciuset metrów od najbliższego gospodarstwa. Sophie bała się czasem w nocy, kiedy były same. Daniela zapewniała ją wtedy, że nikt nie ośmieli się wejść do zagrody, że psy je obronią. Ale psy były stare i szczęśliwe, jeśli miały spokój. Ślepy bokser Tacyt straszliwie szczekał, robił to jednak rzadko i niekoniecznie wtedy, gdy zbliżał się ktoś obcy, bo miał równie słaby słuch. Psy nie zapewniały więc Sophie poczucia bezpieczeństwa.

Sznaps rozgrzewał. Kiedy napełniła kieliszek po raz trzeci, z zewnątrz dobiegł jakiś dźwięk. Szczekanie. Tacyt. Ujadał chrapliwie, ale głośno. Na podwórku zapaliło się światło. To się zdarzało, bo czujka reagowała także na zwierzęta. Daniela przez chwilę zastanawiała się, czy sprawdzić, co się dzieje. Szczekanie boksera umilkło. Na parapecie siedziały trzy koty, z napięciem wyglądając przez okno. Daniela nic nie widziała. Postanowiła, że jednak wyjdzie na podwórko, choćby po to, by się uspokoić.

Śnieg przestał sypać. Termometr wskazywał dwanaście stopni poniżej zera. Daniela wydmuchiwała w noc obłoczki pary i uzbrojona w starą strzelbę myśliwską po cichu przemierzała zalane żółtym światłem podwórze. I wtedy zobaczyła ślady stóp. To nie były jej ślady. Zostawiły je duże buty, których właściciel nadszedł od strony polnej drogi prowadzącej do obejścia. Lampa nad wejściem do stajni słabo oświetlała drogę, ale wystarczająco, by rozpoznać, że ktoś tam był. Daniela poruszyła głową i kątem oka dostrzegła jakiś błysk. Wystraszyła się. Na drodze stał samochód, którego nie było, kiedy wróciła do domu. Kierowca zostawił go, pieszo udał się do zagrody i aktywował czujnik ruchu.

Ślady na śniegu prowadziły do szopy na narzędzia. Była otwarta od podwórza i tworzyła wielką wiatę na traktor i inne rolnicze urządzenia potrzebne w gospodarstwie. Daniela niczego nie mogła dojrzeć w mroku za maszynami.

– Halo? Jest tam kto? – zawołała, kurczowo trzymając strzelbę.

Odpowiedziało jej ciche warczenie. Z ciemności wyłonił się Tacyt. Patrzył na Daniellę swymi niewidzącymi ślepiami, jakby oskarżał ją o zakłócanie nocnego spokoju. W szopie coś się poruszyło. W świetle podwórkowej lampy padającym na podłogę w szopie Daniela zauważyła parę górskich butów.

– Wyłazić stamtąd! – nakazała. Buty drgnęły.

Mężczyzna powoli wyszedł z cienia. Pies przywarł do nogi Daniela, dysząc i pochrzając. Serce waliło jej mocno, dłonie zaciśnięte na starej strzelbie powilgotniały. Zanim zobaczyła twarz intruza, odezwał się z głębi szopy:

– Hej, to ja! Ostrożnie z tą strzelbą!

Był to Kreuthner.

– Oszalałeś? Żeby tak mnie wystraszyć? – Nie opuszczała broni.

– Przepraszam. Chciałem nacisnąć dzwonek, ale pojawił się ten pies.

– Wabi się Tacyt.

– Pięknie. To mogę teraz wyjść?

– No chodź. Tacyt nic ci nie zrobi.

Kreuthner mimo to pełen respektu ominął psa i wyszedł na podwórko.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Niczego. Tak tylko patrzę. Pomyślałem, że może ci w czymś pomogę.

– W czym?

– Bo ja wiem... w czymś. – Kreuthner rozejrzał się po podwórzu. Śledziły go setki oczu. Wśród zwierząt w azylu rozeszła się wieść o przybyciu obcego. Nie zdarzało się to często. – Zawiadomiłaś już rodzinę?

– Nie. Nie chcę dziś nikogo widzieć.

– Zazwyczaj jest lepiej, kiedy ma się do kogo otworzyć usta.

Daniela opuściła strzelbę i ruszyła z powrotem do domu. Pod drzwiami zatrzymała się i obróciła do Kreuthnera.

– Dzięki, że wpadłeś. Poradzę sobie.

Otworzyła drzwi i zawołała psa. Chwilę trwało, zanim pokonał drogę, mając faflami. Drzwi trzasnęły i w obejściu zapanowała cisza. Kreuthner popatrzył w niebo, dostrzegł między chmurami kilka gwiazd i pomyślał o wuju Simonie. Może to wcale nie był zły pomysł, żeby odwiedzić dziś wieczorem odziedziczone siedlisko i zbadać zasoby wysokoprocentowych trunków wuja.

– Chcesz herbaty? – przerwał ciszę głos. W otwartym oknie kuchni stała Daniela.

Jakiś czas siedzieli pośród psów i kotów, nic nie mówiąc. Daniela nad kubkiem herbaty owocowej, Kreuthner nad butelką piwa, którą wolał od herbaty.

– Ładne gospodarstwo – zauważył Kreuthner, choć to nie była prawda.

– Dziękuję – odparła Daniela. – Podupadło. Ale nie mamy pieniędzy, żeby coś z tym zrobić.

– Skąd je wzięłaś? Znaczy, czemu tu mieszkasz? To po rodzicach?

– Po ciotce. Zapisala gospodarstwo Sophie. Ja się tu z czasem wprowadziłam, żeby trochę pomóc. W sumie to miało być tylko na jakiś czas. A minęło trzynaście lat.

– Twoja siostra była chyba sporo starsza?

– O jedenaście lat. Matkowała mi. Moja prawdziwa matka bez ustanku pracowała i nigdy nie miała czasu. Wszystkiego nauczyła mnie Sophie. Jakoś nie mogę uwierzyć, że jej nie ma.

Zadumała się. Mieszała herbatę, choć dodany do niej miód już dawno się rozpuścił. Jej ręce nie były zgrubiałe, a jednak silne, tak jak u kogoś, ktoś codziennie wyrzucał ze stajni obornik. Odgarnęła z twarzy jasny kosmyk włosów, przełknęła ślinę i przetrzała oko. Kreuthner zawahał się, czy wziąć łyk piwa, ale wydało mu się to jakoś nie na miejscu. Wpatrywał się w etykietę, aż spostrzegł, że sam jest obserwowany. Ogromny, niewiarygodnie włochaty kocur leżący obok niego na kuchennej ławie przypatrywał mu się spod współprzymkniętych powiek.

– We wszystkim jest coś dobrego – odezwał się w końcu. – Wiem, teraz to brzmi strasznie niestosownie. Ale to prawda.

– Nie. W jej śmierci nie ma nic dobrego. Absolutnie nic. – Daniela naląła sobie kolejnego sznapsa i pytająco uniosła butelkę w stronę Kreuthnera. Podziękował. Musiał być ostrożny. Mieli w drogówce paru nowych i nie był pewien, jak się zachowają w razie kontroli.

– Zobaczysz to dopiero po jakimś czasie. Jasne, teraz jest strasznie. Ale trzeba patrzeć w przyszłość. Może nie dziś ani jutro. Ale kiedyś. A wtedy człowiek obejrzy się za siebie i powie: hej, to jednak nie było na próżno.

– Nie masz pojęcia, jak jest. Czy ty choć w przybliżeniu potrafisz wyobrazić sobie, jak ja się czuję?

– No mowa. Jasne, że tak.

Daniela pokręciła głową.

– Jak możesz tak mówić? Moja siostra zmarła kilka godzin temu. A ty mówisz: jasne, potrafię sobie wyobrazić, jak się czujesz. Jakby to była jakaś oczywistość. Tak się nie robi.

– Ale to prawda.
– Nikt nie może wiedzieć, jak się czuje ktoś inny.
– Dlaczego?
– Bo ty to ty, a nie ktoś inny. Każdy czuje inaczej. Przecież nie siedzisz w mojej głowie.

Kreuthner stał kciukiem rosem z etykiety i upił łyk. Milczeli; obserwowało ich dziesięcioro kocich i psich oczu. Ogromny kocur wstał raptem, z gracją podszedł do Kreuthnera i wskoczył mu na kolana. Chwilę trwało, zanim znalazł idealną pozycję do mrużenia z zamkniętymi ślepiami.

– Jak się nazywa?
– Troll. To kocur.
– Troll?
– Pochodzi z Norwegii. Dlatego Troll. Postaw, proszę, butelkę na podstawkę, bo się robią plamy na blacie.

Kreuthner zrobił, o co go poprosiła, i zaczął drapać po głowie kota, który rozwarł pyszczek i ziewnął głęboko. Wprawdzie użębienie spustoszyła mu parodontoza, ale Kreuthner podejrzewał, że Troll i tak siał postrach wśród tutejszych myszy.

– Moja matka umarła, jak miałem siedemnaście lat.
– Przykro mi. Na co?
– Na zakażenie krwi. Zacięła się kartką papieru.
– To na to można umrzeć?
– Można.

Daniela dołała sobie wódki.

– Na pewno nie myślałeś wtedy, że jest w tym coś dobrego.

Kreuthner zajrzał do butelki i popatrzył na rzadką pianę na resztkę piwa. W nozdrza uderzył go zapach chmielu.

– Włamywałem się wtedy do samochodów i robiłem jeszcze gorsze rzeczy. Tego wieczoru, kiedy zmarła mama, właściwie miałem iść na włam. Grubsza sprawa. Diler samochodowy. No i tak się złożyło, że nie poszedłem, bo właśnie umarła mi mama. I wiesz co? Wszystkich, którzy wtedy poszli, złapali. Pomyślałem sobie, to jest znak! Skończ z tym syfem i zajmij się czymś innym. No i zostałem policjantem.

Daniela pokiwała głową i zagryzła wargi.

– Miałeś szczęście, co?
– Tak. Miałem – powiedział. Ogarnęła go melancholia. – Przepraszam – rzucił w końcu, zdjął Trolla z kolan i posadził go na podłodze. – Chyba kiepski ze mnie pocieszyciel. Następnym razem przyniosę trochę samogonu. Będiesz miała z tego więcej pożytku.

Daniela pogłaskała białą kotkę, która leżała na ławie obok niej.

– Miło, że przyszedłeś. Dzięki temu przez pół godziny mogłam myśleć o czymś innym.

– No dobra. – Kreuthner wskazał napoczętą flaszkę. – Wypij resztę i połóż się do łóżka.

Był już na podwórzu, kiedy Daniela ponownie podeszła do okna.

– Leo...

Obejrzał się. Z ciemnymi obwódkami wokół oczu i niemal białymi włosami okalającymi twarz przypominała ducha.

– Sophie nie odebrała sobie życia.

Wallner był w domu o wpół do siódmej. Położył Katję spać i na dobranoc przeczytał jej sześć stron z *Kiedy małe zwierzątka są śpiące*, co trwało półtorej minuty. Potem dziewczynka ziewnęła i nie chciała już słuchać, tylko sama czytać. Po kolejnej minucie książeczka wysliznęła jej się z rąk i Wallner zgasił światło.

Podczas gdy Manfred przygotowywał w kuchni kolację, Wallner usiadł z Verą w salonie.

– I jak? Śpi?

– Jak kamień. Długo dziś była na świeżym powietrzu.

– Tak. Manfred był z nią w ogródku.

Nastąpiła krótka przerwa, sygnalizująca, że Vera zamierza podjąć jakiś trudny temat.

– Wiesz, że chciałabym znowu iść do pracy – powiedziała w końcu.

– Oczywiście. Rozumiem, że chcesz czegoś więcej niż siedzenia z dzieckiem od rana do nocy – choćby było nie wiem jak fajnie. Sam tego doświadczyłem. – Wallner przez cztery miesiące był na „tacierzyńskim” i całkowicie poświęcił się córeczce. Prawie całkowicie. W rzeczywistości wciąż znajdował wolną chwilę, by zadzwonić do komisariatu albo wpaść na Carl-Fohr-Straße na kawę i z miną niewiniątka zagadnąć, jak leci. Mike’a, który w jego zastępstwie szefował wtedy wydziałowi, niezłe to wkurzało, dlatego zabronił udzielać mu jakichkolwiek informacji służbowych. Wallner i tak wyciągał z podwładnych więcej, niż Mike chciał. W końcu Wallner nie na darmo od dwudziestu lat był śledczym z wielkimi sukcesami na koncie. – Chcesz wrócić na stare stanowisko?

– W każdym razie na pewno do LKA[1]. Właśnie rozkręcają projekt zajmujący się analizą zdjęć. Mogłabym go poprowadzić. Zarobki byłyby zgodne z grupą uposażenia A13.

– Niezłe. To tyle, co ja zarabiam.

Pogłaskała go po włosach.

- Tylko bez scen zazdrości.
- To znaczy?
- To znaczy, że musimy postanowić, co z Katją.
- Manfred chętnie się nią zajmie. Uwielbia ją.
- Wiem. I robi to wspaniale, naprawdę. Tylko że...
- Tylko że co?

– Ostatnio jest jakiś taki rozkojarzony. Jednak nadal w granicach normalności. Po prostu się starzeje. Dziś w południe na przykład był zajęty gotowaniem. Zanim wyszłam, zapytałam, gdzie jest Katja. Zawahał się chwilę i odpowiedział, że w ogrodzie. Ale odniosłam wrażenie, że wpierw musiał chwilę pomyśleć. I nie wiem, co by było, gdybym nie zapytała.

- Sądzisz, że zapomniałby zabrać dziecko z ogrodu?
- Sądzę, że zapomniał, że dziecko jest w ogrodzie.
- A ja sądzę, że trochę za dużo sobie dopowiadasz.

– Gdyby to był tylko ten jeden raz, to owszem, przyznałabym ci rację. Ale już nieraz się zdarzało, że był kompletnie rozkojarzony. Owszem, radzi sobie. Kiedy jest sam. Ale Katja ma dopiero roczek. Jeśli Manfred popełni błąd, to może mieć straszliwe konsekwencje.

- Więc to cię niepokoi?

– Nie mów mi, że już o tym nie myślałeś. Ktoś taki jak ty nie przekazuje pieczy nad dzieckiem osobie, która... na której nie można polegać w stu pięćdziesięciu procentach. Nie myśl, że mam coś przeciwko twojemu dziadkowi. Ale on się po prostu starzeje.

Wallner zastanowił się chwilę. Owszem, to go zaprzętało.

– Tak, przyznaję, czasami martwię się, czy to trochę nie przerasta Manfreda. Ale żeby to było niebezpieczne dla Katji... No dobra, masz rację. Wystarczy drobne potknięcie. Tylko że ja nigdy nie widziałem Manfreda takiego, jak mówisz. Dla mnie jest kochającym pradiadkiem, który zrobi wszystko dla dobra dziecka. – Wallner popatrzył w stronę drzwi. Z kuchni dochodziła muzyka. Manfred włączył radio. – I co to dla nas oznacza?

– Pomyślałam, że potrzebny nam będzie ktoś do Katji. Weźmy nianię. Dopóki mała nie pójdzie do przedszkola. To oczywiście będzie kosztować. Ale skoro oboje będziemy zarabiać... no i to byłoby tylko przejściowo.

– Okay. Dla mnie to żaden problem. Tylko musimy to jakoś powiedzieć Manfredowi.

- Myślisz, że będzie miał coś przeciwko temu?

Wallner popatrzył jak zbity pies.

Kiedy razem z Verą weszli do kuchni, Manfred stał z solniczką w ręku nad

garnkiem.

– Ja tam twój *Pichelsteiner*[2]? – zapytał Wallner.

– Gotowy. Brakuje tylko odrobiny soli.

– Zostaw. Niech każdy sam sobie dosoli.

Zmysł smaku Manfreda w ostatnich latach mocno się przytępił. Dlatego dziadek wykazywał pewną skłonność do zbyt mocnego przyprawiania potraw. Niestety, także do nieustępliwości. I dlatego zaproponował:

– Jak coś trafia na stół, to nie może być mdłe – oznajmił i potrząsnął solniczką nad garnkiem.

– Vera chyba niedługo wróci do pracy – zagaił Wallner, kiedy razem pałaszowali przesolony *Pichelsteiner*. – Ma widoki na bardzo dobre stanowisko.

– To żaden problem. Znaczący z Katją. Przecież jestem.

– Tak, naprawdę świetnie opiekujesz się małą. A ona taka do ciebie przywiązana. Kiedy kładłem ją spać, opowiedziała mi, że ulepiliście bałwana.

– Opowiedziała ci?

– No wiesz... powiedziała „dziadzia bałban”. Dało się zrozumieć.

– Moje małe... słodka jest, prawda? – Manfred rozpląnął się ze szczęścia.

– No, owszem. I jak mówiłem, wyśmienicie sobie radzisz. Ale oczywiście nie możemy pozwolić, żebyś ją miał na głowie cały czas.

– Zaraz na głowie! Przecież chętnie to robię.

– Kiedyś będziesz miał dość. Rozumiemy to – wtrąciła się Vera.

Manfred podniósł wzrok znad talerza i popatrzył podejrzliwie na Wallnera i Verę.

– Skąd wam nagle przyszło do głowy, że będę miał dosyć? Czy ja wyglądam, jakbym miał zaraz wyciągnąć kopyta?

– Nie. Przecież wiem, że jesteś w dobrej formie. Tylko... w twoim wieku potrzeba czasem trochę spokoju. To zupełnie normalne.

Manfred zastygł nad talerzem.

– Mam dziwne uczucie, że chcecie się mnie pozbyć. Nie wiem. Coś tu się nie zgadza.

– Wszystko jest w najlepszym porządku. Chcieliśmy tylko zaproponować, że dodatkowo zatrudnimy opiekunkę do dziecka. Mógłbyś bawić się z Katją i być z nią, kiedy zechcesz. Ale nie musiałbyś, gdybyś chciał odetchnąć albo zająć się czymś innym. To przecież idealny układ.

– A, wyszło szydło z worka! – Manfred zostawił łyżkę w talerzu i odchylił się do tyłu. – Myślicie, że nie dam rady, co?

Vera powoli zaczynała przyznawać Wallnerowi rację. Z Manfredem nie pójdzie tak łatwo.

– To przecież najrozsądniejsze rozwiązanie. Nie ma nic wspólnego z tym, że nie dałbyś rady.

Manfred pokiwał głową i utkwiał wzrok w powietrzu. W kącikach ust błąkał mu się wyraz rozgoryczenia.

– No, nie bierz tego do siebie. – Wallner powoli tracił cierpliwość.

– A jak mam brać? Na wesoło?

– Okay – powiedział Wallner. – Wyłóżmy kawę na ławę. Nawet jeśli nie każdy przy tym stole chce usłyszeć prawdę.

Manfred drgnął lekko i przybrał postawę obronną.

– Po pierwsze: *Pichelsteiner* jest przesolony. Jeśli następnym razem powiem, że każdy może sobie dosolić sam, to mnie posłuchasz. Prawda jest taka, że ładujesz dwa razy tyle soli co inni, bo przytępił ci się smak. Tylko szkoda świetnej skądinąd potrawy.

Manfred skwitował przemowę Wallnera urażoną miną, skrzyżował ramiona na piersi i pochylił głowę.

– Po drugie: ktoś musi ci to powiedzieć. Nie jesteś jedynym człowiekiem na ziemi, który młodnieje z wiekiem. Nie, ty też się starzejesz, jak my wszyscy. A z wiekiem niektóre rzeczy słabną. Między innymi pamięć i zdolność koncentracji. Zdarza ci się zostawić włączoną kuchenkę, ostatnio schowałeś okulary do pojemnika na chleb i tak dalej. Nic niepokojącego. Mnie zaczniesz się to przytrafiać prawdopodobnie wcześniej niż tobie. I jak do tej pory nie zdarzyło ci się jeszcze żadne potknięcie z Katją. Bo naprawdę się starasz jak mało kto, to jasne. Ale wyobraź sobie, że Katji coś się stanie, bo czegoś zapomniałeś, nie uważałeś albo zdarzy ci się jakaś wynikająca ze starości pomyłka, która może przytrafić się każdemu. – Wallner popatrzył dziadkowi w oczy, próbując wzbudzić w nim zrozumienie. – Pomyśl o tym. Jesteśmy ci wdzięczni, że się opiekujesz Katją. I nikt nie chce ci jej odebrać. Chodzi wyłącznie o to, żeby był ktoś jeszcze, kto też się nią zajmie. O nic innego.

Manfred zamieszał w talerzu i wziął do ust pełną łyżkę.

– Mogłeś powiedzieć, że przesolony. – Przeżuwał w ciszy. W końcu opuścił łyżkę na talerz i popatrzył na nich. – Macie już kogoś?

[1] LKA (Landeskriminalamt) – Krajowa Policja Śledcza (wszystkie przypisy tłumacza).

[2] *Pichelsteiner*, także *Pichelsteiner Eintopf* – gulasz po niemiecku, potrawa z różnych rodzajów mięsa i warzyw.

Rano Miesbach było zasypane śniegiem i Wallner poszedł do pracy piechotą. Lodowate poranne powietrze ożywiło jego krążenie, które o tej porze trudno budziło się do życia. Rano Wallner marzył jeszcze bardziej niż o innych porach dnia. Dało się to wytrzymać tylko w zapiętej pod samą szyję kurtce puchowej, pod którą miał kilka warstw swetrów i innej odzieży.

Komisariat świecił pustkami. Wielu kolegów tkwiło w korkach spowodowanych przez opady śniegu. Mike już był, zaraz po nim przyszli Janette i Oliver. O jedenastej Wallner zwołał całą trójkę na naradę.

– Po pierwsze, chcę wiedzieć, czy są jakieś nowe ustalenia w sprawie tej wczorajszej denatki. Przede wszystkim, czy są przesłanki wskazujące na udział osób trzecich. Po drugie, to zdjęcie ze zwłokami. To może być dosłownie wszystko. W najgorszym razie kobieta ze zdjęcia została zamordowana. Oczywiście powinniśmy pójść tym tropem. Czy sprawdzono już mieszkanie zmarłej?

– Tak, dziś rano – odparł Oliver. – Ale niewiele uzyskaliśmy. Właściwie to nic.

– Co z jej komputerem?

– Nasi go sprawdzili – odpowiedziała Janette. – Byłam przy tym. Nic nie wskazuje na to, by napisała list pożegnalny lub wchodziła na jakieś strony dla samobójców. W ogóle niewiele korzystała z komputera. Parę maili tygodniowo, to wszystko. Wszystkie dotyczyły azylu i jego utrzymania. Prawie nic prywatnego. Nie udzielała się na portalach społecznościowych. Miała parę zdjęć. Ale niemal wszystkie przedstawiały zwierzęta z gospodarstwa. Chyba fotografowała je na potrzeby strony internetowej azylu. Wykonane komórką. Nie ma tam nic, co popchnęłoby nas do przodu z tym zdjęciem zwłok.

– Więc w obu przypadkach do tej pory nie mamy pewności, że w ogóle popełniono przestępstwo. Są już wyniki obdukcji?

– Autopsję przeprowadzono dziś nad ranem. – Oliver kartkował przefaksowany raport. – Ogólnie rzecz biorąc, zgon nastąpił w wyniku wykrwawienia. Interesujące są następujące punkty: nacięcia przeprowadzono w sposób dość fachowy. To nie jest wcale takie proste. Można to sobie jednak przyswoić, jeśli starannie przygotowuje się samobójstwo. Albo morderstwo.

– To znaczy: jeśli szukamy mordercy, to kogoś z fachową wiedzą medyczną?

– Nie, to mógł być także zainteresowany tematem amator. Drugi punkt jest jednak o wiele bardziej znaczący. W organizmie Sophie Kramm wykryto substancję, której raczej nie powinno w nim być: kwas 4-hydroksybutanowy, w skrócie GHB.

– GHB, czy to nie tak zwana ciekła ecstazy? – zapytała Janette.

– Zgadza się. W dużej dawce, jak w przypadku tej, którą wykryto u zmarłej, GHB powoduje głębokie omdlenie.

– To znaczy, że to nie było samobójstwo?

– Tego nie powiedziałem. Są dwie możliwości: albo Sophie Kramm bardzo starannie zaplanowała swoje samobójstwo, wolała nie pozostawiać niczego przypadkowi i chciała umrzeć bez bólu. Zanim podcięła sobie żyły, zażyła GHB. Albo ktoś ją odurzył i następnie rozplątał jej żyły.

– Nie można ustalić, kiedy zażyła to ecstazy? – Mike zaciskał palce na pustym kubku po kawie.

– W każdym razie przed otwarciem żył. Pytanie tylko, czy w tym momencie była już nieprzytomna, czyli czy w ogóle była w stanie to zrobić. A tego najwyraźniej nie da się ustalić w sposób jednoznaczny.

– Innymi słowy: nadal nie wiemy, czy to było morderstwo, czy samobójstwo. – Wallner podsunął poirytowanemu Mike'owi szklany dzbanek z kawą. Ten wziął go z podziękowaniem.

– Nie – rzekł Oliver. – Nie wiemy. Nie ma listu pożegnalnego. W każdym razie siostra zmarłej nic takiego nie znalazła.

– A co z tym zdjęciem?

Janette poprosiła o skorzystanie z komputera Wallnera i otworzyła plik ze zdjęciem. Ukazała się powiększona i nieco ziarnista fotografia ekshumowanych zwłok.

– To zdjęcie dostarcza nam kilku informacji. Ale musimy wyciągnąć z nich właściwe wnioski. Widać, że ciało nie zostało pochowane zbyt głęboko. Może pół metra pod ziemią, coś koło tego. Brak trumny.

– Chcesz przez to powiedzieć, że została po prostu zakopana. Nie pochowano jej tak naprawdę.

– W każdym razie to nie jest normalny grób. Ale zwłoki w pewien sposób rzeczywiście zostały pochowane. Kobieta została złożona do grobu z pewną

starannością. Jej ręce są splecione na piersi, a to, co widać trochę niewyraźnie powyżej dłoni, to chyba krzyżyk. Nie jesteśmy pewni, ale to na pewno jakiś metalowy przedmiot, który włożono do grobu. Czyli ktoś próbował zapewnić jej coś w rodzaju pochówku.

– Czy można coś powiedzieć o miejscu, gdzie wykonano fotografię?

– LKA musi to jeszcze dokładniej przeanalizować. Ale Sennleitner uważa, że ten rodzaj gleby to ił, taki jak u nas w okolicy. Tylko że ily występują też oczywiście w setkach innych miejsc na świecie. Ale dobre i to. Tutaj, przy górnej krawędzi widać różowy kwiatek.

– Krokus?

– Zimowit jesienny. Zdjęcie zrobiono najprawdopodobniej we wrześniu lub październiku. Wysłałam je mailem do kolegów z medycyny sądowej w Monachium. Jeden z nich niedawno wrócił ze szkolenia w Knoxville.

– Był na trupiej farmie? Panowie z Monachium mają chyba za dużo pieniędzy – powiedział Mike i przeniósł wzrok na Wallnera w oczekiwaniu aprobaty.

– W każdym razie jest teraz bardzo mądry po powrocie i twierdzi, że stan zwłok wskazuje na to, że znajdowały się w ziemi od trzech do sześciu miesięcy – o ile zostały zakopane latem. Oczywiście bez żadnej gwarancji, bo to wnioski tylko na podstawie zdjęcia.

– Jeśli zdjęcie zrobiono na jesieni, to lato by się zgadzało. – Wallner popatrzył na zdjęcie na ekranie i wskazał palcem coś, co było częściowo zakryte biodrem denatki. – Co to jest?

– To jest właśnie najciekawsze w całym zdjęciu. Damska torebka. – Janette powiększyła odpowiedni fragment. Stał się bardziej ziarnisty. Wiedząc, że przedmiotem była torebka, dało się rozpoznać zapięcie, do którego przytwierdzona była nieduża metalowa płytką, najprawdopodobniej z mosiądzu. Na niej niewyraźnie majaczyło jakieś logo albo napis. Janette przepuściła zdjęcie przez specjalny program, dzięki czemu odrobinę się wyostrzyło. Napis miał luki. Dość wyraźnie widać było litery V V T, potem odstęp, a potem A ON A.

– Trochę pokombinowałam, wrzuciłam do wyszukiwarki. Jest taka mało znana marka Velvet Anaconda. Firma produkuje między innymi torebki i dostarcza je do kilku butików w Monachium. Wysłałam im to zdjęcie. Tylko fragment z torebką. Model ten produkowano w okresie od lata dwa tysiące siódmego do wiosny dwa tysiące ósmego roku.

– W jakiej ilości?

– Sprzedano sto trzydzieści dwie torebki tego modelu.

– Wow – powiedział Wallner. – A przy odrobinie szczęścia gdzieś będą jeszcze pokwitowania płatności kartą kredytową lub płatniczą.

– A przy jeszcze większym szczęściu okaże się, że zgłoszono zaginięcie

jednej z kobiet, która nabyła torebkę. – Janette ciut zbyt zuchwale uśmiechnęła się do szefa.

– Tak to mniej więcej sobie wyobrażam. Czy coś przemawia przeciwko temu?

– Nie ma żadnej zaginionej w Bawarii i nieodnalezionej do tej pory kobiety, która by pasowała. Już sprawdziłam.

– Bardzo ci się to chwali. Ale to nie musi być ktoś z Bawarii. Każdy mógł kupić torebkę w Monachium. Powinniśmy uwzględnić inne landy i kraje europejskie.

Janette skinęła głową i coś zanotowała.

– Co robimy dalej? – zapytał Mike.

– Powołam najpierw zespół śledczy. Głównie ze względu na to zdjęcie. Musimy ustalić, co ono oznacza. Być może ma coś wspólnego ze śmiercią Sophie Kramm. W skład zespołu wejdzie nasza czwórka oraz Tina. Na początku musimy sprawdzić wszystkich nabywców torebek. Albo jest wśród nich kobieta ze zdjęcia, albo ktoś, kto ją zna. Poza tym opublikujemy informację o poszukiwanej osobie. Możemy podać, że zmarła zaginęła przypuszczalnie w okresie między latem dwa tysiące ósmego a latem dwa tysiące jedenastego roku. Da się stwierdzić, ile miała lat? – Wallner popatrzył na Janette.

– Miała około metra siedemdziesięciu wzrostu, a zatem zapewne była dorosła. Sądząc po włosach i ubraniu, nie była starsza niż, powiedzmy, trzydzieści pięć lat. Raczej młodsza. Torebka też bardziej pasuje do osoby młodszej.

– Dobrze. Puśćcie to do prasy lokalnej w całym południowym regionie Górnej Bawarii. No to do roboty.

Kruggerowi marzły stopy. Półbuty okazały się złym obuwiem na dłuższy spacer zaśnieżonym brzegiem Izary – spacer, który nie był, nawiasem mówiąc, zaplanowany. Jeśli o niego chodzi, to mogli się spotkać w jakiejś gospodzie albo w holu dużego hotelu, gdzie w przyjemnej, cieplej atmosferze rozmawialiby, popijając kawę. Ale Frank nalegał na spotkanie pod gołym niebem. Krugger uznał, że była to zbędna ostrożność, której jedynym celem było udowodnienie, że Frank podchodzi do sprawy jak zawodowiec. Buty przemieęły, a lodowaty wiatr od czasu do czasu zawiewał mu w twarz płatkami śniegu. Dzień był szary i beznadziejny.

Frank zapewne wcale nie miał na imię Frank. Ale to było w porządku. Krugger nie chciał o nim nic wiedzieć. A im mniej Frank wiedział o nim, tym lepiej. Niestety, Krugger był zmuszony przekazać mu informacje niezbędne do wykonania zlecenia, w tym tę, którą dotychczas znał tylko on sam. Pozostawało mu mieć nadzieję, że zatrudnienie Franka nie okaże się pomyłką.

– Wie pan, o co chodzi?

– O pieniądze, które zniknęły. I ludzi, którzy mogą okazać się dla pana niebezpieczni.

Frank z wyglądu przypominał zahartowanego mafijnego zabójcę. Metr siedemdziesiąt wzrostu, imponująca sprężystość jak na mężczyznę, który pewnie przekroczył już pięćdziesiątkę. Kanciasta twarz, na której życie pozostawiło ślady; z szaroniebieskich oczu wyzierała brutalność i rozwaga. Wrażenie niweczył jednak ciężki bawarski akcent, który sprowadzał Franka do poziomu topornego knajpianego zabijaki. Mimo to były jeszcze te szaroniebieskie oczy, sugerujące, że w kwestii wyrządzenia krzywdy innym na Franku można polegać w stu procentach.

Krugger trzymał w ręku złożoną gazetę. Pokazał na nią palcem.

– Ta kobieta z Wallbergu jest najprawdopodobniej jedną z nich.

– Znał pan ją?

– Nie. To znaczy w pewnym sensie. To skomplikowane. Później to panu

wyjaśnię. Ważne, by dowiedzieć się, kim są pozostali.

Frank skinął głową, choć nie wszystko rozumiał. Ale jeszcze wydobędzie od Kruggera brakujące informacje. Nie należał do ludzi, którzy dużo mówią i zadają dużo pytań. Ktoś, kto mu zlecał robotę, sam musiał wyłożyć kawę na ławę.

– I co jeszcze?

– Chodzi o pieniądze. Chciałbym je odzyskać.

– Moja działka to milion, jeśli się powiedzie. Zgadza się?

– Zgadza się. Tylko niech pan się nie nastawia na łatwą robotę.

– To się jeszcze zobaczy.

– Poza tym trzeba zagwarantować, żeby ci ludzie nie stanowili już dla mnie zagrożenia.

– Łatwo powiedzieć. Co to konkretnie znaczy? – Frank przystanął i rozejrzał się wokół. Rozmowa osiągnęła najbardziej wrażliwą fazę. Byłoby lepiej, gdyby nikt nie znalazł się w zasięgu słuchu.

– Nie zamierzam narzucać panu, w jaki sposób ma pan wykonać zlecenie. Pan ma więcej doświadczenia w tych sprawach. Niech pan robi, co konieczne. Nie muszę znać szczegółów.

– A jeśli nie będę mógł odzyskać pieniędzy?

– Wówczas otrzyma pan zapłatę za drugą część roboty. Będzie miała oczywiście zupełnie inny wymiar. Wszak ten milion to prowizja. Jeśli nie odzyskam pieniędzy, nie będę mógł wypłacić prowizji.

– Ile?

– Za drugą część? Pięćdziesiąt.

Krugger wzdrygnął się wobec beznamietności, z jaką te słowa przeszły mu przez gardło. Kiedy to sobie uświadomił, przez chwilę patrzył na siebie oczami osoby postronnej i poczuł, jak mocno wali mu serce. Zrozumiał, że wprawia w ruch coś, czego nie będzie mógł kontrolować ani być może zatrzymać.

– Sto – podbił stawkę Frank. – Nigdy nie wiadomo, co się okaże konieczne. Chcę przez to powiedzieć, że zapłata musi pokrywać maksymalny zakres usługi.

– Może odczekamy najpierw, by się przekonać, co będzie konieczne?

Frank odkaslnął z czeluści swych na pewno zaczopowanych smołą płuc kawał flegmy i wypluł w świeży śnieg, gdzie zniknęła w tajemniczym otworze. Potem zwrócił pooraną bruzdami twarz ku Kruggerowi i popatrzył na niego oczami Charlesa Bronsona.

– Nie chce pan wiedzieć, co będzie konieczne.

Krugger poczuł się jak uczeń, który chciał uczestniczyć w rozmowie dorosłych.

– Dobrze, niech będzie sto – zgodził się. – Czy mogę wyjaśnić panu szczegóły w samochodzie?

Właścicielka butiku „Dirndl Rausch” w monachijskiej dzielnicy Schwabing przekroczyła czterdziestkę i miała na sobie obcisłe spodnie do kolan oraz gorsecik, który – tak jak spodnie – wykonany był z jeleniej skóry i odsłaniał płaski, wytrenowany brzuch, co Wallner i Mike zarejestrowali z mieszaniną zdumienia (za trzy tygodnie było Boże Narodzenie) i ciekawości. Włosy kobiety były bujne i tak bardzo blond, że aż podejrzane. To samo można było powiedzieć o osobniku, który na zmianę z nią obsługiwał klientów i do którego zwracała się per „skarbuś”. Skarbuś nosił długie, wąskie skórzane spodnie w stylu ludowym i luźną lnianą koszulę, istny Howard Carpendale w stroju d’Artagnana.

Jednej z torebek nie sprzedali i nadal była w sklepie. Właścicielka miała nadzieję, że kiedyś znajdzie swoją amatorkę, ponieważ wyrób charakteryzował się ponadczasowym wzornictwem. Wallner i Mike na potrzeby dochodzenia zarekwirowali torebkę. W oryginale była dużo jaśniejsza niż na zdjęciu. Zapięcie było wykonane ze szczotkowanego starego mosiądzu, korpus zaś z zamszu ozdobionego haftem. Model ten był hitem Oktoberfestu 2007. W tamtym roku tylko w „Dirndl Rausch” sprzedano czterdzieści cztery sztuki.

Wśród nich znajdował się egzemplarz, którego nabywcy poszukiwała teraz policja. Janette z pomocą dwóch funkcjonariuszy przeanalizowała dane transakcji sprzedaży. Ze stu trzydziestu dwóch dostarczonych do sklepów torebek sto dwadzieścia dziewięć zostało opłaconych kartami płatniczymi różnego rodzaju. Fakt ten szczególnie nie dziwił, wzięwszy pod uwagę cenę wynoszącą trzysta pięćdziesiąt dziewięć euro, i w znaczny sposób ułatwił pracę policji. Spośród stu dwunastu klientek sto dziesięć nadal żyło, jedna zmarła w klinice Großhadern na raka, a jedna zginęła w lamborghini na autostradzie A8. Z żyjących żadnej nie zgłoszono jako zaginionej. Wszystkie nadal miały swoje torebki, choć tylko nieliczne nadal z nich korzystały. Z siedemnastu klientów płci męskiej dwunastu nadal było w związku z kobietą, której kupili torebkę. Czterech potrafiło wymienić

z nazwiska obdarowaną kobietę. Wśród nich były trzy eksprzyjaciółki i jedna małżonka w separacji. Czternaście z siedemnastu obdarowanych nadal miało swoje torebki, jedna zgubiła ją na Oktoberfeście w 2010 roku, a jedna tego lata utopiła swój egzemplarz w jeziorze Ammersee. Nie licząc trzech torebek, za które zapłacono gotówką, pozostawała tylko jedna. Zapłacono za nią kartą kredytową należącą do niejakiego Herbranda, pracownika agencji reklamowej.

Herbrand nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek kupił zamszową torebkę w ludowym stylu, o czym poinformował w trakcie rozmowy telefonicznej. W okresie, o którym mowa, skradziono mu kartę kredytową, co zgłosił policji. Niestety, nie miał już żadnych dokumentów potwierdzających owo wydarzenie. Dla pewności policjanci pokazali zdjęcie Rolanda Herbranda właścicielce sklepu oraz skarbusiowi. Żadne z nich nie rozpoznało mężczyzny. Wprawdzie do zakupu doszło cztery lata temu, ale Herbrand miał charakterystyczną twarz, na swój sposób przystojną, ale wyróżniającą się zrośniętymi brwiami i krzywym nosem. Skarbuś twierdził, że by go zapamiętał.

Herbrandowie mieszkali w starym budownictwie, w elegancko odnowionym mieszkaniu na drugim piętrze z niewielkim balkonem wychodzącym na podwórze. W przedpokoju kilka designerskich sprzętów konkurowało z dziecięcymi ubraniami i akcesoriami sportowymi, rozrzuconymi wokół w dużych ilościach. Samo dziecko się nie pokazało. Na pytanie o wiek latorośli padła lakoniczna odpowiedź „dziewięć”. Herbrand zaprowadził komisarzy do pokoju służącego za biuro, wskazał im miejsce na kanapie, a sam usiadł na ergonomicznym fotelu biurowym.

– Obawiam się, że nie mogę panom pomóc – oznajmił zapytany o swoją kartę kredytową i przejechał dłońmi po udach.

– Może jednak.

Wallner pozostawił prowadzenie rozmowy Mike’owi, sam zaś skupił się na obserwowaniu Herbranda.

– Wiele by nam dała informacja, gdzie zginęła ta karta.

– W tym właśnie tkwi cały problem. Zauważyłem jej brak dopiero po dwóch dniach. Korzystam z niej właściwie tylko podczas podróży, kiedy płacę za hotele.

– Ale nosi pan ją zawsze przy sobie?

– Nośłem. Od jakiegoś czasu zabieram ją tylko wtedy, gdy wiem, że będę jej potrzebował.

– Gdzie przechowywał pan kartę w tamtym czasie?

– W portfelu.

– Ma pan jeszcze ten portfel?

Herbrand wyjął z tylnej kieszeni dżinsów stary portfel, tak gruby, że Wallner

się zdziwił, jak można w ogóle prosto siedzieć z czymś takim w spodniach. Mike kazał pokazać sobie przegródkę, w której tkwiła karta.

– Właściwie nie mogła stąd wypaść, prawda?

– Mało prawdopodobne – musiał przyznać Herbrand.

– To znaczy, że ktoś ją wyjął. Została skradziona.

– Tak. Przypuszczalnie tak. Pewnie kieszonkowiec. Istnieją jeszcze kieszonkowcy?

– Owszem, istnieją. Tylko że ci kradną cały portfel i wyrzucają wszystko, czego nie potrzebują.

– To ja już nie wiem.

– Musiał pan znaleźć się w sytuacji, w której ktoś mógł wykraść panu kartę.

Niech pan się zastanowi.

– To było cztery lata temu. Już nie pamiętam. – Herbrand wsunął nogi pod fotel, ponownie przejechał dłońmi po udach i dotknął szyi.

– Niech pan pomyśli – nalegał Mike.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Może... w siłowni. Nie mam pojęcia.

Mike milczał, dał mu trochę czasu.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Powiedziałbym, gdybym wiedział.

Do pokoju wetknęła głowę małżonka. Wybierała się kupić coś na kolację i pytała męża, czy ma jakieś specjalne życzenia. Herbrand zaprzeczył.

– Rozmawiamy o karcie kredytowej, która zginęła pani mężowi cztery lata temu. Może pani pamiętać, gdzie mogła zostać skradziona?

– To była dziwna sprawa. Mąż zupełnie nie wiedział, jak to się mogło stać. Karta po prostu pewnego dnia zniknęła.

– Tyle już różnych rzeczy zgubiłem w życiu...

Herbrand siedział ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i głową schowaną w ramionach i bardzo się starał wyglądać tak, jakby nie miał pojęcia, co się wtedy stało.

Komisarze czekali na Rolanda Herbranda przy filiżance cappuccino w pobliskiej kawiarni przy Wiener Platz. Wychodząc z mieszkania, poprosili o spotkanie w tym lokalu za kwadrans. Prośbę uzasadnili chęcią omówienia czegoś w innym miejscu, wyrażając przy tym przekonanie, że będzie to dla niego korzystne. Herbrand kłamał. Jego mowa ciała podczas rozmowy dopuszczała tylko ten jeden wniosek. Poza tym na natarczywe pytania Mike'a nie reagował niecierpliwością lub wręcz agresją. Ktoś, kto nie ma nic do ukrycia, byłby zirytowany i jakoś by to okazał.

Herbrand wszedł do kawiarni i bez słowa przysiadł się do stolika. Na pytanie

Wallnera, czy chce się czegoś napić, odmówił.

– Nie powiedział nam pan prawdy. – Wallner zamówił u przechodzącej obok kelnerki dwie kolejne kawy.

– Prawdy o czym? – Herbrand zgarbił się i wbił wzrok w stół.

– Dobrze pan wie, w jakich okolicznościach zginęła panu karta.

– Dlaczego nie miałbym o tym powiedzieć?

– Bo jest pan zażenowany, że ktoś mógłby się o tym dowiedzieć. Przede wszystkim żona – wtrącił się z boku Mike.

Twarz mężczyzny zdradliwie poczerwieniała. Milczał.

– Niechże pan już przestanie z tymi kłamstwami. Nie jesteśmy idiotami. Był pan u prostytutki i tam skradziono panu kartę.

Herbrand zacisnął wargi i miętosił dłonie pod stolikiem. Mike mocno się wychylił ze swoim stwierdzeniem, ale najwyraźniej trafił w dziesiątkę.

– Ta sprawa jest dla nas nadzwyczaj ważna. A to znaczy, że będziemy drążyć dalej. Jeśli nie chce pan, żeby to się pojawiło w oficjalnych papierach, powinien pan pójść nam na rękę.

Herbrand wziął głęboki wdech.

– Nasze dziecko jest ciężko chore – powiedział w końcu. – Sofia ma białaczkę. Walczy już kilka lat.

– Przykro mi z tego powodu i mam szczerą nadzieję, że pana córka wyzdrowieje. My nikogo nie oceniamy pod względem moralnym. Chcemy tylko wiedzieć, gdzie ukradziono panu kartę kredytową.

Roland Herbrand jesienią 2007 odwiedził prostytutkę i to przypuszczalnie u niej w mieszkaniu skradziono mu kartę kredytową. Komisarze spodziewaliby się raczej, że był klientem kobiety pracującej na ulicy. prostytutka przyjmująca u siebie sporo ryzykowała, okradając klientów. Na pewno ich utratę. Musiała również liczyć się z tym, że któryś zawiadomi policję. Wprawdzie kradzieży nie sposób było udowodnić, ale w tych kręgach raczej unikało się kontaktów z policją. Gdyby kolejny klient poszedł na policję, problemy byłyby nieuniknione.

Herbrand oczywiście nie znał nazwiska kobiety. Z pewnością rodzice nie dali jej na imię Amanda. Udało się ustalić, kto jesienią 2007 zamieszkiwał pod wskazanym przez niego adresem, ale kobieta już się wyprowadziła. Wallner zlecił kolegom z Monachium jej odnalezienie.

Było już ciemno, gdy zbliżali się do restauracji przy autostradzie Holzkirchen. Kobięcy głos w słuchawce miał lekki wschodnioeuropejski akcent. Rozmówczyni twierdziła, że ma informacje na temat torebki, której zdjęcie ukazało się w gazecie, i chciała spotkać się z Wallnerem. Była akurat niedaleko jeziora Tegernsee. Na prośbę kobiety umówili się w restauracji na kąpielisku „Seeglas”.

Kąpielisko znajdowało się – jadąc od strony Monachium – zaraz za Gmund. W jego skład wchodziła spora trawiasta plaża obsadzona jesionami, pomost oraz wysepka kąpielowa, a także stacja ratownictwa wodnego. Jego centralną część stanowiła jednak restauracja, gdzie latem stołowali się amatorzy kąpeli, a przez pozostałą część roku tubylcy.

Kobieta była Polką i podała, że pracuje w jednym z monachijskich hoteli jako pokojówka. Torebkę rozpoznała na zdjęciu, kiedy u fryzjera w Rottach

przeglądała lokalną gazetę. Wprawdzie od spotkania dziewczyny z torebką upłynęło parę lat, ale zapamiętała ją, bo właśnie szukała dodatków do swej kreacji na Oktoberfest i torebka świetnie by do niej pasowała. Komisarze byli zdumieni jej doskonałą pamięcią. W kwestiach mody kobiety wykazywały wręcz niewiarygodne zdolności.

– Kim była ta dziewczyna?

– Nie pamiętam dokładnie. Wiem tylko, że nazywała się Elisabeta i była Czeszką.

– Pracowała w burdelu?

– Nie. Spotkałyśmy się na dyskotecę. W „Nachtwerku”.

– Czy wspominała, gdzie pracuje? Albo czym się zajmuje?

– Pracowała chyba w jakimś hotelu. W Monachium.

– A jego nazwy pewnie pani nie zapamiętała?

– To mógł być Hilton. Albo „Vier Jahreszeiten”. Jakiś duży hotel. Chyba.

– Jako kto tam pracowała?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Kiedy widziała pani Elisabetę po raz ostatni?

– Po Oktoberfeście.

– W dwa tysiące siódmym?

Zastanowiła się.

– Tak, to był mój pierwszy rok tutaj. Dwa tysiące siódmy. Październik. Albo listopad. Na pewno przed Bożym Narodzeniem.

Podczas gdy komisarze zajęci byli rozmową z Polką, pewien mężczyzna wstał od jednego ze stolików i wyszedł do szatni w przedsionku lokalu. Wisiały tam dziesiątki płaszczy i kurtek, jak to zimą. Zanim człowiek doszukał się swojej kurtki lub płaszcza, mogło upłynąć trochę czasu. Zwłaszcza gdy inni powiesili swoje ubrania na wierzchu. I dlatego nikt się nie dziwił, gdy ktoś dłużej grzebał przy wieszakach. Umieśniony pięćdziesięciolatek nie zabawił w szatni długo. Wszedł do środka razem z policjantami i zapamiętał, gdzie Wallner powiesił swoją kurtkę puchową. Wyuczonym ruchem wywrócił jeden rękaw na lewą stronę, skalpelem naciął podszewkę, dwa centymetry, nie więcej. Następnie w ociepleniu rękawa umieścił pluskwę i zalepił otwór kawałkiem taśmy klejącej. Wszystko to trwało nie dłużej niż pół minuty.

W drodze z Gmund do Hausham zaczął padać śnieg z deszczem. Mike jechał sześćdziesiąt na godzinę. Nocą nie widział zbyt dobrze, szczególnie w taką pogodę.

– Ta Elisabeta oczywiście mogła być jedną z obdarowanych kobiet –

zauważył Mike.

– Racja. Jeśli tak było, to się tego dowiemy. Poproszę Janette, żeby sprawdziła wszystkie właścicielki torebek. Sądzę, że mamy nazwiska wszystkich nabywczyń. Z wyjątkiem tych, które zapłaciły gotówką.

– Jeśli jej nie ma wśród nich, ktoś powinien popytać w monachijskich hotelach, czy w dwa tysiące siódmym nie pracowała tam Czeszka o imieniu Elisabeta. Ale musiałbyś oddelegować kogoś tylko do tej roboty. To zajmie parę dni.

– Wiem. Ale masz alternatywę? Jeśli to prawda, co powiedziała ta kobieta, to w ten sposób znajdziemy właścicielkę naszej torebki.

Dwieście metrów za służbowym samochodem na tablicach z Miesbach podążał swoim SUV-em Frank. Z zadowoleniem stwierdził, że w kwestii zdjęcia trupa policja zabrnęła w ślepią uliczkę. Trochę im na tym zejdzie. Zwolnił nieco, zwiększając dystans. Nie dlatego, że obawiał się, iż zostanie zauważony. Frank chciał przetestować, jak daleko sięga nadajnik w kurtce puchowej Wallnera. Odstęp od samochodu policjantów zwiększył się mniej więcej do pół kilometra, a on nadal mógł śledzić rozmowę komisarzy. Frank wyznawał dewizę, że lepiej wydać parę euro więcej, ale dostać w zamian towar najlepszej jakości. Opłaciło się, jak przekonał się nie po raz pierwszy.

Następnego ranka Wallner znowu brnął przez świeży śnieg na komisariat policji przy Carl-Fohr-Straße. O dziesiątej Mike, Janette i Tina zebrali się w gabinecie Wallnera na naradę.

– Mamy jakieś podstawy do podejrzeń, że to było morderstwo?

– Nadal nie możemy stwierdzić tego z całkowitą pewnością – odparła Tina. – Potrzebujemy więcej ludzi, żeby wydajnie pracować.

– Wiem. Ale trochę się wzbraniam przed powołaniem specjalnej komisji śledczej. W tej chwili dużo przemawia za samobójstwem, a bardzo niewiele za morderstwem. Właściwie tylko to, że nie ma listu pożegnalnego i że siostra nie wierzy w teorię samobójczą.

– Znalazłam coś w komputerze Sophie Kramm. Mail. Być może od kobiety o przydomku Stalin, której wizyta tak bardzo zaniepokoiła Sophie.

– Masz go tu?

Janette przysunęła się wraz z krzesłem do biurka i otworzyła mail. Mike, Tina i Wallner stanęli wokół komputera. Treść wiadomości była następująca:

Droga sophie, minęło parę dni od naszego spotkania. mam nadzieję, że znalazłaś czas na uporządkowanie myśli i zastanowienie się nad moimi propozycjami. to trochę szokujące, wiem. a jednak dotarłam do was po nitce do kłębka (a to pech, hihi!), i w dodatku domagam się swojej doli. ale po co się obcyndalać. kto ma, niech daje. do diabła z kapitalistycznym skąpstwem – po tych wszystkich dyskusjach przez te lata! zajebicie, że jednak na stare lata mimo wszystko wybraliście niebezpieczny styl życia. tylko kto ryzykuje, ten ginie, jak to się pięknie mówi. więc uważajcie na siebie! pozwól, że pożegnam się moją ulubioną sentencją: „wymagać od kogoś porzucenia złudzeń co do jego sytuacji, to znaczy wymagać porzucenia sytuacji, która bez złudzeń obejść się nie może!!![3]” nigdy nie rozumiałam tego zdania, ale wydaje mi się, że jest niezmiernie istotne. sprawdź

sobie: mew 1, s. 378. z socjalistycznym pozdrowieniem

– Bez nadawcy – stwierdził Wallner. – A co z adresem IP?
– Wysłane z kafejki internetowej. Z anonimowego konta gmx. Ktoś był ostrożny.

– Co to jest „mew”?
– Marx-Engels-Werke, czyli dzieła Marksa i Engelsa, tom pierwszy strona trzysta siedemdziesiąta ósma. – Szybka odpowiedź Wallnera zdumiała całą pozostałą trójkę.

– Hej, cwaniuro! Człowiek pracuje z facetem całe lata i nagle się okazuje, że tamten wie o rzeczach, że głowa mała. Może dolać ci kawy, mistrzu?

Wallner podsunął Mike’owi kubek.

– A jak myślicie, jełopy, dlaczego to ja jestem szefem dochodzeniówki, a nie wy?

– Mike, on nie umie przyjmować komplementów – wtrąciła Tina. – Od lat ostrzegam, żeby go nie chwalić.

– Ach, to takie buty! A ja się od lat dziwię, że pies z kulawą nogą nie znajduje dla mnie miłego słowa.

– Pij kawę, zanim ostygnie. Co sądzić o tym mailu? – Mike dolał i sobie. – Ktoś jeszcze chce?

– Właściwie to nie ma tu groźby – orzekła Janette i podziękowała za kawę. – Dla mnie to trochę bufonada. – Pozostali pokiwali głowami. – Moim zdaniem napisał to ktoś, kto dużo gada, ale w rzeczywistości nie jest niebezpieczny.

– Masz rację – zgodził się Wallner. – Mimo wszystko to dziwne. Dlaczego Sophie wybrała rzekomo „niebezpieczny styl życia”? Do tego aluzja, że kto naraża się na ryzyko, może zginąć. I tuż potem Sophie Kramm nie żyje. Dość prorocze. No i jakiej doli domagała się autorka maila i od kogo? Wygląda na to, że nie chodzi tylko o Sophie Kramm. Te wszystkie „wy”, „was”. – Nikt z obecnych nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Zrobiło się cicho. Wallner jęknął, ciążyła mu konieczność podjęcia decyzji. – Do tego ta historia ze zdjęciem ekshumowanych zwłok. Coś tu nie gra, moi drodzy. Więc jak? Bierzemy się porządnie do tego czy nie? Komisja śledcza? Jak myślicie?

– A czy moje zdanie będzie miało wpływ na twoją decyzję? – zapytał Mike.

– Oczywiście, że nie. Chcę tylko wiedzieć.

Tina była przeciwna poszerzeniu zakresu śledztwa. Jej zdaniem przesłanki wskazujące na samobójstwo były jednoznaczne. Janette była za powołaniem specjalnej komisji. Mike zaproponował, żeby odczekać, co przyniesie trop torebki. Wallner się wahał. To nie było w jego stylu. Powołanie komisji śledczej to nie pikuś. Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Wallner zastanawiał się, czy odebrać, ale zobaczył na wyświetlaczu, że dzwoni Kreuthner.

– Serwus, Leo. Nie jesteś chory? – Wallner słuchał chwilę, a jego twarz przybrała wyraz niedowierzania. – To zdjęcie, jesteś pewien? – Wallner pokręcił głową i rozłączył się. Jego podwładni z napięciem czekali na wyjaśnienia. – Decyzja zapadła. Powołujemy komisję – orzekł Wallner.

[3] K. Marks i F. Engels, *Wybrane pisma filozoficzne 1844-1846* KiW 1949.

Wiadomość o śmierci Sophie Kramm trafiła Jörga Immerknechta, członka zarządu jednego z prywatnych monachijskich banków, jak grom z jasnego nieba. Aż do tego dnia wydawało mu się, że panuje nad własnym życiem. Jasne, powinien zająć się problemem alkoholowym Nory. Także i to, że Stalin odkryła ich sekret, nie poprawiało mu samopoczucia. Z drugiej strony – czy Stalin naprawdę wiedziała? Nie, nie chciało mu się w to wierzyć. Strzelała w ciemno. Tak naprawdę nie miała niczego poza domysłami. Cwanymi domysłami, owszem. Ale dowodów nie miała. Nigdy w życiu. Gdyby miała coś w rękę, pokazałaby pazury.

Czy Stalin miała coś wspólnego ze śmiercią Sophie? Trudno orzec. Bardzo trudno. Tę kobietę zawsze otaczała nieprzyjemna aura. Przyczyna zapewne leżała w tym, że niezależnie od swej elokwencji Stalin zawsze była zamknięta w sobie. Miała charyzmę. Tylko że nie była autentyczna. Przybrała fałszywe nazwisko i całe jej życie miało w sobie coś przybranego. Gdzieś w najgłębszych zakamarkach mózgu może i tkwił jej prawdziwy charakter. Ale nikt jeszcze nie widział go na oczy. W każdym razie nikt, kogo znał Immerknecht. Krótko mówiąc: Stalin była fałszywą żmiją. Ale czy morderczynią? W ciągu ostatnich lat osobowość Stalin nabrała znamion psychotycznych. Właściwie zawsze był przekonany, że ta baba skończy na oddziale zamkniętym.

Siedział przy śniadaniu w swym wiejskim domu w Otterfing (oddalonym o komfortowe czterdzieści pięć minut jazdy od Lenbachplatz w Monachium, gdzie mieścił się jego bank) i z lokalnej gazety dowiedział się o niewyjaśnionych okolicznościach śmierci Sophie K. Podczas gdy on zajęty był czytaniem, Nora ukradkiem dołała wódki do soku pomarańczowego – za jego plecami, ale widział jej odbicie w szklanych drzwiach, obserwował, jak przez drżenie rąk ledwie mogła utrzymać butelkę i jak schyliła się do szklanki po pierwszy łyk, aby nie uronić ani kropelki. Patrzenie, jak nisko już upadła, łamało mu serce. I przeklinał się za to, że grał w tę grę, zamiast stawić czoło problemowi. W pewnym sensie bał się tego. Lea

wsunęła głowę do środka i pożegnała się, wychodząc do szkoły, jak zawsze bez śniadania. Immerknecht zadawał sobie pytanie, czy córka wie, co się dzieje z matką. W sumie, jak się nad tym zastanowić, było to retoryczne pytanie. Oczywiście, że wiedziała. Za nastoletnią fasadą obojętności pomieszaną z wkurzeniem krył się bystry umysł. Lea wiedziała pewnie, zanim on sam przyznał się do tego przed sobą.

A zatem na Wallbergu zginęła niejaka Sophie K. Początkowo, czytając notkę, nie miał najmniejszego pojęcia, o kogo chodziło. Dopiero wzmianka, że zmarła prowadziła azyl dla zwierząt, uderzyła go jak obuchem. Ogarnęła go panika. Tak wielka, że zignorował wszelkie środki ostrożności i zadzwonił do siostry Sophie. A niech tam, pomyślał. Policja i tak się dokopie do tego, że się znali. Byłoby wręcz podejrzane, gdyby w takiej sytuacji nie zadzwonił z kondolencjami.

– Jörg...? – powiedziała Daniela. – Ty jesteś...

– Znałem Sophie ze studiów – przypomniał jej. – Poznaliśmy się kiedyś, kiedy ją odwiedziłaś. Miałaś wtedy piętnaście lat. Dzwonię, żeby powiedzieć, że jest mi niewymownie przykro. Jak... jak to się stało?

Opowiedziała mu. A to, co usłyszał, wcale go nie uspokoiło. Jej śmierć wyglądała na samobójstwo. Ale Daniela w to nie wierzyła. I on też nie.

Najwyraźniej nie on jeden się niepokoił. Wieczorem znalazł w skrzynce na listy kartkę z zaproszeniem na narty. Miejsce spotkania było dość upiorne, ale sensowne. Tak, mieli parę rzeczy do omówienia. List w skrzynce był środkiem ostrożności, praktykowanym przez nich od wielu lat. Wszelka komunikacja za pośrednictwem Internetu lub sieci telefonicznej pozostawiała ślady na wieczność. Prawdziwe bezpieczeństwo danych gwarantowały tylko stare dobre karteluszkki – *burn after reading!*

Rano padał śnieg. Jazda na nartach nie sprawiała Immerknechtowi przyjemności. Pomijając niewesołą okazję, nie miał desek na nogach od dłuższego czasu, a pioruńsko stromy stok był wymagający. Dlatego, nie nakładając drogi, pojechał prosto na miejsce spotkania. Na jednym z drzew wisiał jeszcze strzępek taśmy. Mężczyzna odpiął narty i usiadł na ławce, choć czuł się nieswojo. Ogarnęły go wątpliwości, czy to był dobry pomysł, by spotykać się akurat tutaj. Mniejsza o to. Spotkanie było konieczne.

Czekał. Śnieg sypał nieprzerwanie. Wkrótce narty zniknęły pod jego warstewką, a na ramionach zebrały się białe kopczyki. Ależ było cicho. Niewiarygodnie cicho. Nie słychać było ani samochodów w dolinie, ani narciarzy, zupełnie nic. Martwa cisza, pomyślał. Cholerna martwa cisza. Zaczął się zastanawiać, czy Sophie też ją słyszała. Z lasu dobiegł szelest i wśród świerków

coś się ożywiło, z drzew osypywał się śnieg. Wreszcie ktoś nadjeżdżał na nartach. Immerknecht się zdumiał. Nie była to osoba, z którą się umówił.

Kreuthner stał pod schroniskiem na Wallbergu, otoczony wianuszkiem piętnastu kobiet w średnim wieku. Uniósł kijek narciarski, żeby pokazać jednej spóźnialskiej, gdzie znajduje się grupa.

Poprzedniego dnia zajrzał do gospody, w której spotykali się członkowie związku strzeleckiego (on sam się do nich nie zaliczał, należał do graczy w *Eisstock*[4]). Był babski wieczór i Sennleitnerowa zaprosiła go do stolika, żeby opowiedział trochę o nieboszczce z Wallbergu. Incydent powoli obrastał legendą i był powtarzany w coraz to nowszych wersjach wzbogaconych o niewiarygodne detale. Jeden wariant mówił nawet o dwóch wybebeszonych trupach. Kreuthner nie mógł służyć makabrą, ale licznymi innymi szczegółami (prawdziwymi i wymyślonymi), które wprawiły panie w wielkie ożywienie, owszem. Tak pasjonująco opowiadał o znalezieniu zwłok, że wśród słuchaczek zapanowało ogólne ubolewanie, iż żadna z nich nie była przy tym. To z kolei sprawiło, że przyszedł mu do głowy pewien pomysł: wystąpił z propozycją, że poprowadzi panie na miejsce zbrodni – i to oryginalnym czarnym szlakiem. Inicjatywa została przyjęta z zachwytem i kto mógł, wziął wolny dzień, żeby wybrać się na Wallberg.

– No, to słuchajcie, dziewczyny. – Kreuthner zadebiutował w charakterze przewodnika. – Znacie Wallberg. Zjazd z tej góry to nie bułka z masłem. Trasa nie jest ratrakowana i zdradliwa jak Sennleitnerowa na ksiutach.

– Czekaj, swołoczy jedna, wszystko powtórzę staremu. Już on się z tobą policzy.

– Nie przerywaj. A zatem: czarny szlak. Jeśli któraś nie czuje się na siłach, to niestety musimy się z nią teraz pożegnać.

Popatrzył po twarzach wokół. Niektóre z obecnych wyraźnie toczyły wewnętrzny bój, niepewne, czy podolają przygodzie. Zrezygnowała jednak tylko jedna czterdziestolatka, która zaledwie dwa lata temu przeprowadziła się z Saary i jeszcze nie dość pewnie czuła się na nartach. Z wielkim współczuciem

i zapewnieniami, że tak naprawdę będzie lepiej, odesłano ją do domu.

– Przejdźmy do niezbyt miłej, mimo to niezbędnej części wycieczki: honorarium dla przewodnika.

– Ile? – jęknęła Sennleitnerowa.

– Pomyślałem, że po dziesięć euro będzie w sam raz. Puszczę teraz w obieg czapkę. Proszę niczego nie wyjmować, tylko dokładać.

– Czyś ty całkiem ocipiał? – Sennleitnerowa czuła potrzebę przedyskutowania tej kwestii. – Czy była jakaś gadka o pieniądzach?

– A czy była jakaś gadka, że to darmowa impreza? Zwiedzałaś coś kiedyś z przewodnikiem za darmo?

Anneliese Sennleitner jeszcze nigdy w życiu nie zwiedzała niczego z przewodnikiem i widać było, że będzie musiała skapitulować, jeśli dyskusja zbroczy w stronę doznań empirycznych.

– A niby czemu mamy ci płacić? Przecież to ciebie nic nie kosztuje.

– A co to za argument? Po pierwsze, specjalnie dla was wzięłem wolny dzień...

– Głupoty gadasz! Zwolnienie wzięłeś – przerwała mu Sennleitnerowa. Było jasne, że ma tę informację od męża, który był nie tylko bliskim przyjacielem Kreuthnera, ale i jego kolegą z pracy.

– Po drugie – Kreuthner postanowił nie ciągnąć pierwszej linii argumentacji – jestem jedynym, który wie, jak znaleziono nieboszczkę.

– I za to się bierze pieniądze, tak?

– No ba. Dam ci przykład: co roku miliony turystów wydają mnóstwo pieniędzy, żeby obejrzeć zamek Neuschwanstein. A równie dobrze mogliby oglądać ruderę wuja Simona. – Kreuthner się przeżegnał. – Tylko że ruderą nikt się nie interesuje, w przeciwieństwie do zamku. A dlaczego? Bo Neuschwanstein jest jedynym takim zamkiem. A ruder pełno na każdym rogu.

– Znaczy, że ty niby jesteś taki Neuschwanstein.

– Bo jestem. – Kreuthner zastanowił się, czy porównanie, jakiego chciał użyć, rzeczywiście będzie trafne. – Jestem Neuschwansteinem wśród policjantów, można powiedzieć.

– Buc jesteś, nie Neuschwanstein.

– Jak ci za drogo, to wracaj do domu. Nikt tu nikogo nie zmusza.

To oczywiście nie wchodziło w grę dla Sennleitnerowej. Wizja niemożności konferowania z innymi o upiornym miejscu znalezienia zwłok była tak deprymująca, że w końcu ustąpiła i uiściła opłatę.

Już sam zjazd stromym, nieprzygotowanym szlakiem mocno nadwerżył możliwości niektórych uczestniczek. Ciekawość dodawała im odwagi, ale nie czyniła z nich lepszych narciarek. Na trzęsących się nogach w ślimaczym tempie sunęły rozoranym, ale na szczęście nieoblodzonym stokiem, tak że zajęło im

prawie czterdzieści minut, zanim dotarły do miejsca, gdzie Kreuthner tamtej nocy skręcił w las. Kiedy przekonały się, że dalej droga poprowadzi przez głęboki śnieg i gęsty las, sześć z nich zrezygnowało. Kreuthner zwrócił im połowę uiszczonej opłaty i życzył szczęśliwego zjazdu ostatnim odcinkiem, który też nie należał do najłatwiejszych, ale jednak był lżejszy od tego, co czekało pozostałe panie. Z resztą drużyny, w tym Sennleitnerową, Kreuthner odbił w las.

Również i tu doszło do pewnych strat. Co chwila jakaś uczestniczka padała ofiarą zagrożeń ukrytych pod głębokim po kolana śniegu. A to jedna wjechała nartą pod jakąś gałąź, a to inna wpadła w wykrot i Kreuthner musiał ją wyciągać. Najgorsze spotkało Anneliese Sennleitner. Wleciała – a właściwie zsunęła się – w koryto wyschłego potoku i grzmotnęła swymi stu osiemnastoma kilogramami w młode drzewko, które pod wpływem wstrząsu całkowicie pozbyło się ciężącego na nim śniegu. Z powstałej w ten sposób zasy wystawała tylko głowa narciarki. Kreuthner, usłyszawszy za sobą przeraźliwe okrzyki, zawrócił, by ocenić rozmiar katastrofy. Biedaczka nie tylko tkwiła po szyję w śniegu, ale na dodatek zapadła się w głębokie na dwa metry koryto potoku, przez co koleżanki nie mogły jej pomóc. Na domiar złego pierwsze z nich zaczynały już pochlipywać i chciały czym prędzej wrócić do doliny, bo było im zimno lub musiały siku.

– Wydostań rękę spod śniegu, to się odkopiesz! – zawołał Kreuthner.

– A jak myślisz, co ja takiego robię, ty bezmózgi matole! Wyciągnij mnie stąd! – Głos Anneliese Sennleitner podskoczył o oktawę.

– Normalnie to bym do ciebie zlazł...

– Co to znaczy normalnie? Pomóż mi! Ratunkuuuu! – Wybałuszyła w panice oczy i pewnie dostałaby ataku hiperwentylacji, gdyby nie to, że klatkę piersiową uciskały jej zwały ciężkiego śniegu.

– Uspokój się i oszczędzaj siły. To może troszkę potrwać. Mam dla ciebie dobrą wiadomość: nie zamarzniesz. Śnieg izoluje.

– Leo?! Co ty zamierzasz zrobić? Chyba mnie tu nie zostawisz?

– A kto tu mówi o zostawianiu! Tylko że nie mogę do ciebie zleźć, bo odpowiadam za pozostałe. Rozumiesz? Jeśli utknę i ja, to nie wyjadą stąd do usranej śmierci.

Po ostatnim zdaniu na zmęczonych twarzach stojących wokół kobiet pojawiły się takie miny, że Kreuthnerowi przeszły ciarki po plecach.

– Leo... – skamlała Anneliese Sennleitner. – Nie zostawiaj mnie tu samej. Nie możesz tego zrobić!

– Sprowadzę tylko pomoc. Góra godzinka i pogotowie będzie na miejscu. Może któraś by z tobą została? – Kreuthner popatrzył po podopiecznych. Żadna się nie wyrwała. Wszystkim było zimno, wszystkie się bały i wszystkim chciało się siku. Marne szanse dla Anneliese Sennleitner. Perspektywa zasypania śniegiem w ciemnym lesie z dala od uczęszczanego szlaku zapewne nie powstrzymałaby

bliskiej przyjaciółki przed wsparciem w tej ciężkiej godzinie. Wśród obecnych jednak żadna taka się nie znalazła, a tego Anneliese się nie spodziewała. Oględnie mówiąc, sposób, w jaki ona sama się postrzegała i w jaki postrzegano ją, mocno się różniły.

Kreuthner wraz z siedmioma pozostałymi uczestniczkami wycieczki brnął dalej w dół zbocza. Śnieg sypał coraz gęściej. Doganiające ich przenikliwe krzyki rozpaczy sprawiały, że po plecach przechodziły im ciarki. Wszyscy liczyli, że wkrótce, jeśli będą posuwać się naprzód w odpowiednim tempie, wołania ucichną. Niektóre z kobiet wetknęły do uszu słuchawki swych iPodów, by odseparować się od akustycznego dysonansu.

Kiedy w lesie wreszcie zrobiło się cicho, Kreuthner zatrzymał się i zapytał:

– Ale obejrzymy jeszcze miejsce zbrodni, co?

Odpowiedziały mu pomruki aprobaty. W końcu nikt nie chciał, by ten cały trud okazał się daremny. Ponieważ Kreuthner miał dobry zmysł orientacji, z łatwością odnalazł polankę z ławką, nawet jeśli za dnia wyglądała zupełnie inaczej. Na skraju lasu kazał się wszystkim zatrzymać.

– Wyobraźcie sobie, jak to było. Czarna noc. Nic nie widać, tyle że tu, na tej polance, było trochę jaśniej. A ja niczego nie podejrzewałem. Byłem kompletnie nieświadomy.

Kreuthner dostrzegł na twarzach ekscytację, wręcz żądzę sensacji, rozszerzone źrenice, przyspieszone oddechy. Wizja niespodziewanego natknięcia się na trupa była nadzwyczaj emocjonująca.

– Patrzcie tam. – Kreuthner wskazał na nieduże drzewko na skraju polanki. – Tam wisi jeszcze kawałek taśmy, którą odgradzono miejsce zbrodni. – Poziom grozy sięgnął wyżyn. – Podjadę teraz do ławki, na której siedział bałwan.

– Jaki bałwan? – zapytała jedna z kobiet.

– No właśnie to było takie upiorne. Początkowo myślałem, że to bałwan.

Rozległy się ciche pomruki i Kreuthner, zrobiwszy niedużą przerwę dla zwiększenia efektu, odbił się dwoma, trzema pchnięciami kijków i wjechał na polankę.

Słowo „niedowierzenie” najlepiej oddawało stan Kreuthnera, kiedy znalazł się przed zasypaną śniegiem ławką. Był to jeden z tych momentów, w których człowiek zadaje sobie pytanie, czemu mózg płata nam dziwne figle, mając iluzję niemożliwego. Dopiero gdy po dłuższym wahaniu Kreuthner wysunął kijek, by odgarnąć odrobinę luźnego puchu, uwierzył, że ma przed sobą niemal takiego samego bałwana, jak tamtej nocy dwa dni temu. Lodowy posąg nie tylko siedział na ławce, ale siedział dokładnie w tej samej pozycji co poprzedni. Prawa ręka wysunięta, głowa odchylona do tyłu. Przynajmniej tak to wyglądało.

Tymczasem kobiety podjechały bliżej. Jedna z nich zapytała, co to. Kreuthner wyjaśnił, że tamtej upiornej nocy wyglądało to dokładnie tak samo. Nie

wiedział, kto ulepił bałwana. Ani dlaczego. Czy to miał być jakiś makabryczny żart?

Zauważył, że w miejscu, w którym odgarnął śnieg, prześwituje coś niebieskiego. Podeszedł bliżej i zgarnął ręką więcej. Spod puchu wyłonił się materiał. Po chwili ukazała się w całej swej granatowej wspaniałości nowa, droga narciarska kurtka. Tylko prawy rękaw był rozcięty po łokieć – i prawe przedramię. Kreuthner zobaczył pod ławką wielką, zamrożoną kałużę krwi, zasypaną lekko świeżym śniegiem.

Na twarzach kobiet malowało się takie samo niedowierzanie, jakie przed chwilą zdjęło Kreuthnera.

– Co to jest? – zapytała jedna z nich.

[4] *Eisstock* – odmiana curlingu popularna w Alpach.

Podobieństwo było frapujące, pomijając fakt, że tym razem był dzień. Wallner stał w pewnej odległości od miejsca przestępstwa, gdzie pracowali Tina, Oliver i paru techników zabezpieczających ślady. Wciąż sypał śnieg, osiągając meteorologiczny rekord. Ludzie z K3, czyli wydziału zabezpieczania śladów, przywieźli swój legendarny składany stolik. Na nim ustawili termos z herbatą owocową („Zimowe marzenie”), termos z kawą i dwa świąteczne półmiski. Jeden z ciasteczkami, między innymi tymi własnoręcznie upieczonymi przez Manfreda, który ze względu na problemy z uzębieniem nie mógł jeść ich sam, więc podarował je policji. Na drugim leżały pomarańcze, mandarynki, a także owoc południowy, którego nazwy nikt nie znał, ponieważ zaledwie parę lat temu wyhodowano go w jakimś kibucu.

Wallner w śnieżnobiałym świetle dnia oglądał miejsce zbrodni. Uświadomił sobie, że już dwa dni temu coś go tu tknęło. W powietrzu wisiało coś, co sugerowało, że to nie było samobójstwo. Cała sceneria wyglądała zbyt sztucznie. A może jednak nie? Nie, sam siebie okłamywał. Jeśli miał być szczerzy, to w zasadzie był pewien, że Sophie Kramm odebrała sobie życie. Jedyne zdjęcie ekshumowanych zwłok lekko podważało oczywistą diagnozę. Wallner rozejrzał się wokół, próbując chłonąć fale chaosu, wzbudzone przez zbrodnię w kosmicznym porządku, które odbijały się echem tutaj, gdzie ją popełniono (w każdym razie taką miał teorię). I rzeczywiście, wyraźnie je czuł, fale zła. Niestety, musiał przyznać, że wyczuwał je tylko wtedy, gdy wiedział, że popełniono przestępstwo. Chaotyczne fale Wallnera zniknęły na śmietniku zdemaskowanych legend.

– Tak coś czułem – powiedział Mike.

– Gównno tam czułeś – odparł Wallner.

– No dobra, gównno czułem – zgodził się Mike i odkasznął w rękawiczkę. –

A skąd wiesz, co czułem?

– Bo ja czułem tak samo.

Nadeszła Tina z dwoma przezroczystymi plastikowymi woreczkami. W jednym znajdował się nóż introligatorski, w drugim fotografia.

– Wygląda na to, że to taki sam nóż, jak w przypadku Sophie Kramm – oznajmiła. – Jeśli morderca kupił ich kilka, to może będziemy mieli szczęście i ustalimy, w którym sklepie. – Uniosła drugą torebkę. – Taaak, a to jest zdjęcie.

– Dokładnie to samo? – Wallner wziął do ręki torebkę i popatrzył na zdjęcie.

– Na moje oko tak. – Tina odebrała mu woreczek i przekazała go Mike’owi. Ten z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Jeśli ten samobójca nie jest naśladowcą, to mamy do czynienia z morderstwem. – Mike oddał zdjęcie.

– Żarty na bok – rzekł Wallner. – Musimy założyć, że to seria zabójstw. Co z kolei oznacza specjalną komisję śledczą i mnóstwo roboty. Powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z siostrą zmarłej. Jak ona się nazywała?

– Daniela.

– Daniela Kramm... miała rację. Ktoś zamordował jej siostrę.

Wallner zlecił Mike'owi zorganizowanie komisji śledczej. Przede wszystkim należało powiadomić Prezydium Policji Górnej Bawarii w Rosenheim, ponieważ w komisji miało pracować około trzydziestu funkcjonariuszy. Dochodzeniówka w Miesbach dysponowała tylko piętnaściorciem, z czego jeden policjant był chory, a jedna funkcjonariuszka przebywała na urlopie.

Wallner udał się do gospody nieopodal dolnej stacji kolejki na Wallberg. W jednym z pomieszczeń na zapleczu urządzono prowizoryczną centralę dochodzeniową. Właśnie tutaj przesłuchiowano kobiety, które natknęły się na zwłoki razem z Kreuthnerem, przynajmniej te, które w ogóle były w stanie odpowiadać na pytania (trzy z nich po zdiagnozowaniu szoku przewieziono do szpitala w Agatharied). Przepytywanie na jego prośbę prowadziła Janette, ale niewiele z niego wynikło.

Znacznie ciekawsza mogła okazać się rozmowa z Kreuthnerem. Cała policja w tej części Bawarii wiedziała, że Leonhardt Kreuthner pielęgnuje symbiotyczne relacje z ofiarami morderstw. On sam z niejaką dumą nosił przydomek „Trupi Leo”.

– Nie mam pojęcia, czemu zawsze ja. To jest dar. Albo się to ma, albo nie. – Kreuthner rozkraczony i wyluzowany siedział na krześle, które podsunął mu Wallner. Był najwyraźniej dość zadowolony z tego, co przyniósł dzień.

– Zdumiewające – skwitował Wallner. – Nie zazdroścę.

– No, taki los. Na kogoś w końcu musi trafić, nie? Wyobraź sobie, co by było, gdyby mnie nie tknęło, że znów ktoś siedzi na tej ławce. Znaleźliby go dopiero na wiosnę. Na wpół zgniłego, pełnego robaków i bez oczu.

– Prawdopodobnie tak. – Wallner przelał kawy z termosu do porcelanowego kubka w biedronki, który udostępniła gospoda. Podał go Kreuthnerowi. – Mleczka? Cukru?

– Jak zwykle – odrzekł Kreuthner.

– Zwykle nie robię ci kawy. Więc mów, czego chcesz.

Kreuthner zażyczył sobie trzy kostki cukru, bez mleczka. Ponieważ Wallner był tu niejako gospodarzem, bez gadania spełnił to życzenie.

– Czy coś było inaczej niż przedwczorajszej nocy?

– Z tym nieboszczykiem?

– Tak. Byłeś tam pierwszy. Być może widziałeś rzeczy, których nie było już, kiedy zjawili się technicy.

Kreuthner pokręcił głową.

– To było naprawdę zadziwiające. Wszystko co do joty jak za pierwszym razem. Siedział na ławce w tym samym miejscu. Ta sama pozycja. Takie same nacięcia próbne. Dokładnie jak u Kramm. Z wyjątkiem tego, że przyjechał na nartach. Kramm przyszła na piechotę.

– To rzeczywiście osobliwe. Mam na myśli nacięcia próbne.

Wallner napompował sobie kawy z termosu. Nacięcia próbne często pojawiały się przy próbach samobójczych. Przy pierwszym cięciu większość osób dziwi się, jakie to bolesne, i wycofuje się. Ci zdeprymowani po kilku próbach akceptują ból i przystępują do dzieła z większą determinacją.

– Dlaczego sprawcy tak bardzo zależy na tym, żeby to wyglądało na samobójstwo? Przy pierwszym zabójstwie jeszcze mogę to zrozumieć. Ale przy drugim musiał przecieżyć wiedzieć, że będziemy podejrzewać morderstwo.

– A jeśli to jednak były dwa samobójstwa? Dwoje ludzi chciało zrobić nas w balona i wszystko zainscenizowało?

– Myślę, że samobójcom przyświeca jednak inny cel niż wodzenie policji za nos. I nie da się tego zgrać tak dokładnie, jak mówiłeś.

– No dobra. Czyli sprawca ma takie widzimisię, że aranżuje wszystko, jakby to było samobójstwo, chociaż wie, że my wiemy, że to morderstwo.

– Tak. Tak to musiało się odbyć. Może to wynik jakiegoś zapętlenia synaps. Ale może to również coś oznaczać. Coś, co może nas do niego zaprowadzić.

Kreuthner wzruszył ramionami.

– Znajdujemy się dopiero na samym początku. Ach, a tak swoją drogą, właściwie to nie moja sprawa. Ale rano zgłosiłeś, że jesteś chory. Tak tylko mówię. Mogą być z tego kłopoty.

– Nie poszedłem do roboty, bo... eee... chciałem coś sprawdzić na własną rękę w sprawie tego morderstwa. No i nie zapominajmy, że to ja wykryłem kolejne przestępstwo. Naprawdę nie wiem, o co masz pretensję.

– Nie mam pretensji. Nie jestem twoim przełożonym. Daję ci tylko przyjacielską radę. A druga to taka: wszyscy wiedzą, że chciałeś pokazać miejsce zbrodni tym kobietom ze związku strzeleckiego. Sennleitner rozповідаł o tym, zanim w ogóle wzięłaś wolne.

– Kurwa – rzucił Kreuthner i nagle pobałdł.

– Teraz to i tak nie ma znaczenia – skwitował Wallner. – A coś ty taki blady?
Kreuthner popatrzył na niego z bezbrzeżną rozpaczą i wydusił z siebie jedno
słowo:
– Sennleitnerowa!

Konie i osły zostawiła na pastwisku. Oczywiście nie miały tam nic do jedzenia, w końcu leżało sześćdziesiąt centymetrów śniegu. Ale to lubiły. Niektóre tarzały się w śniegu. Pusto było teraz bez Sophie. Do oczu Daniela nieustannie napływały łzy. Bez przerwy myślała o siostrze. Najchętniej położyłaby się do łóżka i już nie wstała. Ale trzeba było doglądać zwierząt. Nie miała wyboru. I dobrze. Dobrze, bo inaczej utonęłaby w bólu albo żalu nad samą sobą. Tylko że nie było jej łatwo. Prace, które do tej pory wykonywały we dwie, teraz musiała robić sama. Niekiedy przychodzili wolontariusze, czasem tylko na popołudnie, czasem na cały dzień. Ale robota czekała codziennie. I było jej dużo.

Wyrzuciła ze stajni obornik i naniosiła świeżego siana. Kury i koty siedziały na ściankach boksów i obserwowały ją przy pracy. Wyszła na podwórze i rozcięła foliowe opakowanie czterystukilowej beli siana, by roznieść jego zawartość po przegrodach.

I wtedy coś usłyszała. Nie potrafiła dokładnie powiedzieć co. Śnieg tłumił dźwięki. Ale odgłos się nasilał, jakby nadjeżdżał samochód. Cofnęła się o dwa kroki, żeby rzucić okiem na drogę dojazdową. Do gospodarstwa rzeczywiście zbliżała się terenówka. Może ktoś z tych, którzy na widok drogowskazu zbaczą z drogi, sądząc, że obejrzą tu zwierzęta.

Kiedy samochód podjechał bliżej, zobaczyła, że w środku siedzi jeden samotny mężczyzna. Nie wyglądał na turystę, który chce pokazać dzieciom osiołki. Mężczyzna wysiadł z wozu. Był szczupły, ale umięśniony, choć już dobrze przekroczył pięćdziesiątkę. Chód miał sprężysty, twarz pobrużdżoną. Daniela pomyślała, że przypomina Charlesa Bronsona, i przez chwilę poczuła się nieswojo na myśl, że znajdzie się z tym człowiekiem sam na sam. Nieznajomy uśmiechnął się, przywitał i podał jej rękę.

– Szczęść Boże – odezwał się z bawarskim akcentem. – Jestem Frank.

– Szczęść Boże – odparła, patrząc na przybysza niepewnie, pytająco. –

W czym mogę panu pomóc?

Frank rozejrzał się wokół.

– Więc to jest azyl dla zwierząt?

– Tak – odpowiedziała. – Ale u nas nie ma zwiedzania.

– Nie, nie. – Zaśmiał się. – Nie jestem tu, żeby oglądać. Chciałbym tu pracować.

– A skąd ten pomysł?

– Mam doświadczenie. Dorastałem na wsi. Mieliśmy też koniki. Piękne haflingery. Chodziliśmy zawsze na paradę koni Leonhardi. A zimą ścigaliśmy się na sankach w Rottach.

– Fajnie, że dorastał pan wśród koni. Ale niestety, nie mogę nikogo zatrudnić.

– Nie chcę pieniędzy.

– Chce pan tu pracować jako wolontariusz?

– Właśnie.

Daniela przyglądała mu się przez chwilę. W ogóle nie pasował do typu człowieka, który charytatywnie pracowałby dla azylu. Poczawszy od tego, że był facetem i nie przywiozła go żona ani dziewczyna.

– Jest pan bezrobotny? – zapytała w końcu.

– Nie. Czemu pani pyta?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale zdarza się, że chcą tu pracować ludzie, którzy... mają ze sobą problemy i traktują to jako rodzaj terapii. Nie mówię, że pan jest kimś takim. Tylko chciałabym wiedzieć, co kieruje osobą, która jest zainteresowana pracą tutaj.

– Rozumiem – powiedział Frank i zamilkł.

– Więc? Jak to jest u pana?

– Lubię zwierzęta.

– Ale chyba ma pan jeszcze jakieś inne zajęcie?

– Dostałem spadek. Właściwie jestem z zawodu elektrykiem. Potem długo pracowałem jako ochroniarz. A teraz mam dość pieniędzy, żeby nie musieć pracować. Teraz robię już tylko to, co mi sprawia przyjemność.

– Jest pan elektrykiem?

– Jeśli trzeba coś porobić przy elektryce, żaden problem. Umiem podłączać, kłaść przewody, montować gniazdka...

Nieufność Daniela stopniała. Wolontariusz bez problemów, z pieniędzmi i w dodatku elektryk z zawodu – to było jak wygrana w totka. Aż zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

– Kiedy może pan zacząć?

– Teraz – odparł Frank.

Jobst Tischler był panem postępowań przygotowawczych, przynajmniej jeśli miały w sobie potencjał, by zainteresować media. Ściśle rzecz biorąc, ich panią była prokuratura, ale Jobst Tischler jako jej przedstawiciel wyznawał przekonanie, iż instytucja i jego osoba są nierozdzielnie związane. Jego zdaniem w niemieckim systemie prawnym prokuratorzy odnosili sukcesy w śledztwach, o czym informowali opinię publiczną przed kamerami, a policja, jako organ pomocniczy, odpowiadała za wpadki. Większość swej energii Tischler, jak to karierowicze, poświęcał na szukanie winnych – co w pewnym sensie było istotą i sensem istnienia prokuratora.

Pierwsza narada nowo utworzonej komisji o roboczej nazwie „Morderstwa na Wallbergu” rozpoczęła się kwadrans po trzeciej. Tischler przyjechał specjalnie z Monachium, opuszczając w tym celu konferencję prasową poświęconą zabójstwu pewnego serialowego aktora. Jego zwierzchniczka, szefowa prokuratury, i tak wykorzystała tę okazję, by wpełznąć się przed kamery. A on tylko siedziałby jak jełop dwa krzesła od niej i wertując akta, zgrywał ważniaka. Dwa osobliwe morderstwa nad Tegernsee były bardziej obiecujące.

Wallner powitał członków komisji, w szczególności tych spoza powiatu, a Tischler nerwowo dał mu znak, że chciałby zabrać głos.

– Większość mnie zna – zaczął Tischler i obciągnął rękawy marynarki, które przy jego wzroście były odrobinę za krótkie. – Nie lubię górnolotnych przemówień. To, co chcę powiedzieć, można zawrzeć w kilku zdaniach: cieszę się na naszą współpracę i jestem pewien, że rychło odnotujemy w dochodzeniu pozytywne rezultaty. Komisarz Wallner cieszy się opinią znakomitego śledczego. Tak więc sądzę, że prędko nadrobimy czas, który straciliśmy na skutek przyjęcia hipotezy samobójstwa i skierowania śledztwa w złym kierunku. Właściwie brak było jakiegokolwiek śledztwa. No cóż, przyznam, że już przy pierwszej denatce czułem, że mamy do czynienia z przestępstwem. Ale ci, którzy mnie znają, wiedzą, że

chętnie powierzam pracę śledczą miejscowej policji. Dlatego przedwczoraj ograniczyłem się do wyrażenia swych obiekcji, natomiast nie nalegałem na zmianę podstawowych założeń śledztwa. I rzeczywiście: przy pierwszej ofierze niemal każdy dochodzeniowiec postawiłby na samobójstwo. Nikomu nie czynię zarzutów z tego powodu. Jednak może powinniśmy wyciągnąć z tego pewne wnioski i bardziej polegać na intuicji, a mniej na rutynie. A teraz: do dzieła! Czas nagli. Gdzieś tam grasuje morderca i nie spocznie, dopóki go nie ujmemy.

Przemowę Tischlera skwitowano niemrawymi oklaskami. Wszyscy czekali w napięciu na reakcję Wallnera.

– Dziękuję, panie prokuratorze. Drodzy koledzy, słyszeliście, co powiedział pan Tischler. Oby do tego nie doszło, ale już wkrótce może pojawić się kolejna ofiara. Słyszeliście również, że pan prokurator jest zaniepokojony stratą czasu. Owszem, przyznaję, byłem prawie pewien, że Sophie Kramm popełniła samobójstwo. Prawie. Dlatego zadzwoniłem do prokuratury i zapytałem o możliwość powołania komisji. A pan prokurator odpowiedział... zrobiłem sobie notatkę z tej rozmowy, żeby niczego nie popłatać... – Wallner zaczął przewracać kilka luźnych kartek papieru. W końcu znalazł żółty druczek z odręcznie sporządzoną notatką. – Pan prokurator powiedział, cytuję: „Chyba pan postradał rozum. Nie będziemy powoływać żadnej komisji z powodu jakiegoś samobójstwa”. Na moje zastrzeżenie, że być może mamy do czynienia z morderstwem, pan prokurator odparł, cytuję: „Jeśli to było morderstwo, to dam się dobrowolnie przenieść nad czeską granicę”. – Ostatnie zdanie wzbudziło pewną wesołość wśród obecnych. Wszystkich, z wyjątkiem Jobsta Tischlera, do którego Wallner zwrócił się uprzejmie: – Niech się pan nie przejmuj. Ja ciągle zapominam o różnych rzeczach. Moi ludzie powtarzają mi czasem słowa, które rzekomo do nich powiedziałem – nie do wiary. Mimo to chętnie przypomnę panu daną obietnicę po owocnym, miejmy nadzieję, zakończeniu dochodzenia.

– Wątpię, bym wyraził się w ten sposób.

– Wiedziałem, że pan tak powie. Dlatego wszystko sobie zanotowałem. Ale bez obawy. Nie będę obstawał przy swoim. Nawiasem mówiąc, ta myśl na temat intuicji i rutyny wydała mi się bardzo piękna. Mogę się pod nią podpisać.

Do pokoju weszła Janette i skierowała się prosto do Wallnera. Stała przy nim i szepnęła mu do ucha:

– Przepraszam. Jesteś potrzebny. Mike został postrzelony.

– Mike? Dlaczego? Kto to zrobił?

– To dość skomplikowane. Możesz się wyrwać?

Mniej więcej w tym samym czasie grupa ochotniczego pogotowia górskiego wyciągała ze śnieżnej jamy na Wallbergu Sennleitnerową, która tkwiła w niej od

czterech godzin. Była lekko wyziębiona, jednak miała dość siły, by wysłać Kreuthnerowi SMS-a o treści, która zawstydziłaby najbardziej zahartowanego sutenera.

Kiedy Wallner przybył na miejsce, przed domem jednorodzinny w Otterfing stało kilka radiowozów. Panowało wielkie zamieszanie. Nikt tak naprawdę nie wiedział, dlaczego ktoś otworzył ogień do policjantów. Mike został draśnięty pociskiem w lewe udo.

– Nie mam pojęcia, co ona do nas miała – zaczął relacjonować. – Dzwonię do drzwi i mówię grzecznie, że chcielibyśmy się rozejrzeć u niej w domu. Pokazałem jej nakaz. Ale kwity jej nie interesowały. Nagle mówi: momencik. I zaraz potem staje w oknie na piętrze i wrzeszczy, że mamy się wynosić. Ja na to, że niestety musimy wejść. Na co wystrzeliła. – Mike wskazał na lewą nogawkę dżinsów, którą trzeba było rozciąć, gdyż inaczej nie zmieściłby się w niej opatrunek.

– Była pijana?

– Na to wygląda.

Wallner zadarł głowę ku oknu na piętrze. Było uchylone, a zasłona zaciągnięta. Radiowozy zaparkowano w ten sposób, że dawały osłonę przed ewentualnym ostrzałem.

– Rozmawialiście z kimś z KIT-u?

Do zadań Zespołu Interwencji Kryzysowej należało przekazywanie rodzinom wiadomości o śmierci bliskiego oraz objęcie ich opieką psychologiczną bezpośrednio potem. KIT miał w swoich szeregach przeszkolonych wolontariuszy i był wzywany z reguły wtedy, gdy chodziło o śmierć dziecka, rodzica, małżonka albo ofiary przestępstwa. Mike skierował Wallnera do pięćdziesięcioletniej kobiety stojącej przy jednym z radiowozów. Nazywała się Veronika Keller i pracowała w zespole od kilku lat.

– Kiedy powiedziałam jej o śmierci męża, początkowo była apatyczna – relacjonowała kobieta. – Potem zaczęła płakać. Bardzo. Ale to normalne w takiej sytuacji. Zaoferowałam jej rozmowę. Ale ona nie chciała. Poprosiła mnie, żebym

sobie poszła. Nic się nie dało zrobić. Nie mogę nikogo zmuszać.

– Piła coś?

– Nie przy mnie. Ale przedtem owszem, dało się to wyczuć. No i widziałam szklanek z czymś mocniejszym. Chyba whisky. Niech pan zapyta córki.

– Ach, więc jest jakaś córka? – Wallner utorował sobie drogę przez tłumek funkcjonariuszy. Niektórzy czekali na przeszukanie mieszkania, inni mieli za zadanie zaprowadzenie porządku, bo zeszło się pół wsi, żeby obejrzeć widowisko. Janette zapytała, czy wezwać SEK[5]. Wallner zaprzeczył. Chciał najpierw wyrobić sobie zdanie o kobiecie, która czaiła się na piętrze za zasłoną.

Było po czwartej i zaczynało już zmierzchać. Na niebie wisiały ciemnoszare chmury, prószył lekki śnieg. Otoczony dom nagle zamigotał i w jednej sekundzie przemienił w rozgwieżdżony pałac. Włączyło się świąteczne oświetlenie. Widać było, że właściciel domu nie skąpił środków na dekoracje. Rozrzutna wystawność, z jaką drzwi, okna i balkony ozdobiono świetlnymi łańcuchami, które opadały migotliwymi kaskadami z dachu budynku ku zaśnieżonemu ogrodowi, wzbudzała nabożny respekt i nikogo nie pozostawiała obojętnym. Nawet Wallner zastygł na chwilę w dziecięcym zdumieniu. Potem wsiadł do policyjnego transportera, w którym Tina i Oliver otaczali opieką Leę Immerknecht.

Lea miała czternaście lat. Po oczach widać było, że płakała, poza tym jednak trzymała się nieźle. Wallner przedstawił się, złożył wyrazy współczucia i zapytał, czy da radę odpowiedzieć na kilka pytań. Przytaknęła.

– Ile wypila twoja mama?

– Butelkę whisky. Po wyjściu tych ludzi.

– Tych z zespołu interwencji?

– Tak.

– Chyba ma mocną głowę.

– Tak – potwierdziła Lea. Wyraźnie była wściekła na matkę, że musi świecić za nią oczami przed policją i zdawać relację z jej pijackich zwyczajów.

– Wiesz, od kiedy pije?

– Odkąd poszłam do szkoły, przez całe przedpołudnia nie ma nic do roboty i pije.

– To chyba dla ciebie bardzo trudne.

– Jestem całkiem normalną współzależnią – oznajmiła Lea, jakby była własną terapeutką. Patrzyła na Wallnera zmęczonym wzrokiem. – Chowam jej alkohol, pilnuję, żeby nikt nie przychodził, kiedy jest pijana, usiłuję utrzymać jej nałóg w tajemnicy, na ile to tylko możliwe, a przy niej udaję, że wszystko jest w porządku.

Wallner nic nie powiedział, próbował tylko postawić się na miejscu dziewczyny. Lea najwyraźniej nie dopuszczała do siebie smutku po śmierci ojca, bo ktoś w tej rodzinie musiał funkcjonować. Opanowanie, które okazywała,

w końcu jednak skończy się załamaniem.

– Okay. W takim razie powiedz mi, jak to zakończyć bez rozlewu krwi.

– Dobry pomysł. Jak dotąd nikt o to nie zapytał. Wszyscy chcieli tylko wzywać lekarza.

– Będziesz potrzebowała pomocy, nawet jeśli w tej chwili na to nie wygląda.

Ale dopóki jeszcze się nie załamałaś, powiedz, co powinniśmy zrobić.

– Czekać – rzuciła Lea.

– Na co?

– Zamknęłam łazienkę od zewnątrz. Matka nie może wyjść po alkohol. Za parę godzin zacznie ją ssać. Wtedy zrobi wszystko za szklanek whisky.

Wallner zapoznał się z sytuacją wokół domu i rozważył konsekwencje rady Lei. Być może będzie musiał przez pół dnia trzymać tu grupę funkcjonariuszy, aż pani Immerknecht skapituluje. Poza tym konieczna była ewakuacja domów w zasięgu strzału. Z drugiej strony było to niewielkie poświęcenie, jeśli dzięki temu nikt nie zostanie ranny. Miał nadzieję, że Lea ma rację i jej matka skapituluje, gdy tylko poziom alkoholu we krwi nieco opadnie. Istniała jednak i taka możliwość, że kobieta wpadnie w szal i zacznie strzelać na oślep, kiedy poczuje głód alkoholowy.

W końcu Wallner kazał technikom wejść do domu przez boczne drzwi położone poza zasięgiem strzału i zacząć pracę, żeby nie tracić czasu. Drzwi do łazienki były na piętrze, na antresoli. Wallner dla bezpieczeństwa postawił tam funkcjonariusza. Drzwi były wprawdzie zamknięte, ale nie wiadomo, co się mogło wydarzyć. Krok ten okazał się wyjątkowo trafny i w nieoczekiwany sposób posunął śledztwo naprzód.

[5] SEK (Spezialeinsatzkommando) – jednostki antyterrorystyczne policji niemieckiej.

Do pilnowania łazienki Wallner oddelegował Kreuthnera. Ten niespodziewanie zjawił się na służbie w zastępstwie kolegi. Poczytywał sobie na plus, że przyszedł do pracy pomimo choroby, i miał nadzieję, że to załatwi sprawę. Postawiono go pod drzwiami, ponieważ z jednej strony był doświadczony i liczono, że zachowa zimną krew, gdyby miało się zrobić gorąco. Z drugiej strony Wallner nie chciał, by Kreuthner stał nad technikami i działał im na nerwy wypytywaniem o rezultaty śledztwa albo (co gorsza) opowieściami o swych bohaterskich wyczynach.

Wallner usiadł z Janette i Leą w kuchni. Dziewczyna miała bystry umysł i dar obserwacji, który zapewne zaniepokoiłby jej ojca, gdyby miał o tym jakiegokolwiek pojęcie.

– Co to za pistolet, z którego strzelała twoja mama? Nie jest zarejestrowany – powiedziała Janette.

– Należał do taty. – Oddech Lei stał się ciężki. Powracały wspomnienia. – Miał go od zawsze. Rodzice kłócili się czasami z tego powodu. Mama chciała, żeby go wyrzucił. Ale tata mówił, że nie może. To było dla niego coś w rodzaju pamiątki.

– Pamiątki czego?

– Czasów studenckich.

– Pistolet?

– Tata nieustannie opowiadał, jak to wtedy chodzili na rozmaite akcje i chcieli obalić kapitalizm. I że to było tak naprawdę bardzo rozsądne.

– Twój ojciec pracował w zarządzie banku i jeździł dość drogim samochodem.

– Nie dostrzegął w tym sprzeczności. Mówił, że Andreas Baader też lubił szybkie samochody. Ale ja myślę, że on wcale już nie chciał obalać kapitalizmu. Chodziło mu o to, żeby nie wszystko kręciło się tylko wokół pieniędzy, żeby coś

zmienić. Żeby pozostawić światu coś dobrego.

– I co, robił to?

– Wspierał jakieś projekty w krajach Trzeciego Świata. Przekazywał, zdaje się, całkiem spore kwoty.

– Jakie konkretnie projekty?

– Jakieś spółdzielnie w Nikaragui, żeby ludzie sami sobie pomagali i uniezależnili się od kapitalistów, coś w tym stylu.

– Jak poznali się twoi rodzice?

– W Wackersdorfie. Pod koniec lat osiemdziesiątych.

– Na demonstracjach przeciwko zakładowi powtórnego przetwarzania paliw jądrowych?

– Tak. Podobno toczyli z gliniarzami prawdziwe bitwy. Ups! Sorry.

– „Gliniarz” jest w porządku. Czy to stąd ta awersja mamy do policji?

– Jeden uderzył ją w twarz gumową pałką. Od tamtej pory ma bliznę i nienawidzi policji.

– Rozumiem – rzekł Wallner i rzucił spojrzenie przez otwarte drzwi w stronę gabinetu, gdzie technicy szukali wskazówek, które mogłyby doprowadzić do mordercy Jörga Immerknechta. Na górze, na antresoli, stał Kreuthner. Opierał się łokciami o barierkę i obserwował, co się dzieje.

– Ty lepiej patrz na drzwi łazienki! – zawołał do niego Wallner.

Lea zaparzyła w ekspresie kawy dla policjantów i przygotowała tacę z filiżankami, łyżeczkami, mleczkiem i cukrem. Kiedy wynosiła tacę z kuchni, Wallner odprowadził ją wzrokiem. W jej ruchach nie było nieporadności, jakiej można by się spodziewać po nastolatce. Lea wyglądała bardzo dorośle.

– Masz jakieś podejrzenia co do tego, kto mógł zamordować twojego ojca? – zapytał, kiedy Lea wróciła do kuchni i wyjęła z lodówki sok pomarańczowy. Dziewczyna pokręciła w milczeniu głową.

– Czy w ostatnich tygodniach pojawiła się tutaj obca kobieta? Ktoś o przydomku Stalin?

– Stalin? – Słowo to zdawało się budzić w niej jakieś wspomnienie. – Jakieś dwa, trzy tygodnie temu wróciłam wieczorem do domu. Byłam u koleżanki. Ktoś właśnie od nas wychodził. Twarzy nie widziałam, ale osoba ta była wysoka i chuda. Tak mniej więcej w wieku rodziców. Zapytałam, kto to był. Rodzice powiedzieli tylko, że to dawna znajoma. I że im działa na nerwy. Chyba nazwali ją Stalin, kiedy rozmawiali między sobą.

– W takim razie twoja mama być może wie więcej o tej kobiecie?

– Pytanie tylko, czy powie.

– To się okaże. Czy twój ojciec znał Sophie Kramm?

Lea zastanowiła się, ale nic nie przyszło jej do głowy.

– Z Riedern. To taki przysiółek koło Gmund, niedaleko Moosrain.

Prowadziła azyl dla zwierząt.

– Nie, nigdy o niej nie słyszałam. Kto to taki?

– To kobieta, którą przedwczoraj znaleźliśmy na Wallbergu.

– Och – wyrwało jej się. – Nie, nie znam jej. A jeśli tata ją znał, to mi o tym nie powiedział.

– Czy mówił, że wybiera się na narty?

– Nie. Wiem tylko, że zadzwonił do banku i uprzedził, że go nie będzie. To było dziś rano. Trochę się zdziwiłam, ale rano nie rozmawiamy wiele ze sobą. Mam problemy z krążeniem.

– Znam to – powiedział Wallner i spojrzał na zegarek. – Jak myślisz, ile czasu minie, zanim twoja mama znów poczuje pragnienie?

– Raczej niezbyt długo – odpowiedziała Lea.

Dobiegł ich odgłos wystrzału.

Nora Immerknecht nacisnęła klamkę. To tylko potwierdziło, co wiedziała i tak: drzwi były zamknięte. Zażądała głośno, żeby je otworzono. Nikt nie miał prawa więzić jej w jej własnym domu. W kilku zdaniach, które wykrzyczała przez drzwi, jednaście razy użyła epitetu „pierdolone psy”. Kreuthner pokazał uspokajający gest, ponieważ u stóp antresoli zebrali się zaalarmowani koledzy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Powiedział im, że wszystko ma pod kontrolą, niech pracują dalej. Następnie zaproponował uwięzionej w łazience kobiecie, że otworzy drzwi – o ile ona najpierw wyrzuci przez okno pistolet. Kobieta odrzuciła tę propozycję, ponieważ wówczas byłaby kompletnie bezbronna, co w domu pełnym „pierdolonych psów” nie wchodziło w grę. Kreuthner drzwi zatem nie otworzył, zapytał jednak, czy pani Immerknecht nie zechciałaby napić się drinka. To do tego stopnia rozjuszyło uwięzioną, że z całej siły rzuciła się na drzwi. Ponieważ otwierały się do środka, efektem tych działań było stłuczone ramię. Drzwi pozostały zamknięte. Kreuthner właściwie zinterpretował dochodzące z łazienki jęki i oprócz szklanic piwa, whisky lub czego tam sobie życzyła, zaproponował także tabletkę przeciwbólową, pod warunkiem jednak, że spragniona pozbędzie się broni. To, co wydarzyło się potem, wprawiło w zdumienie nie tylko Kreuthnera.

Zamek niespodziewanie został roztrzaskany przez kulę i drzwi stanęły otworem. Kreuthner sięgnął po pistolet, ale nie znalazł go tam, gdzie powinien, czyli u prawego boku. Pocisk, który rozwalił zamek, o milimetry minął biodro policjanta i odstrzelił kaburę. I tak Kreuthner znalazł się oko w oko z rozjuszoną, dobrze uzbrojoną i zdecydowaną na wszystko Norą Immerknecht.

– Niech pani rzuci broń! – Kreuthner włożył w te słowa cały autorytet doświadczonego patrolowego. W odpowiedzi Nora Immerknecht zestrzeliła z sufitu kryształowy żyrandol. Policjanci w holu rozpierzchli się, kiedy uderzył o podłogę.

– Tędy – nakazała spocona, wściekła kobieta, wskazując lufą pistoletu na

drzwi. Kreuthner otworzył je i wszedł do pomieszczenia. Był to pokój Lei. – Mam zakładnika! – wrzasnęła Nora Immerknecht do policjantów na dole i weszła za nim do środka. – Pod łóżko! – rozkazała Kreuthnerowi, który zareagował na tę instrukcję lekką konsternacją. – No już, jazda! Potrzebne mi coś, co tam jest.

– Co? – chciał wiedzieć Kreuthner.

– Gówno cię to obchodzi, psie. Dawaj!

Kreuthner ociągał się, więc strzeliła w sufit i krzyknęła przez drzwi:

– Żyje, żyje. Tylko się nie posrajcie!

Kreuthner pośpiesznie zanurkował szczupakiem pod łóżko i znalazł tam zdumiewającą kolekcję napojów wysokowych.

– Whisky czy wódkę? – zapytał.

– Wódkę – padła odpowiedź. – Muszę zachować jasność umysłu.

Kreuthner wyłonił się z opróżnioną w połowie butelką wódki.

– Pani córka pije?

– Nie. Chowa przede mną. Otwieraj.

Kreuthner odkręcił nakrętkę, do czego Nora Immerknecht nie była zdolna, gdyż za bardzo trzęsły jej się ręce. Nie wypuszczając pistoletu, wzięła flaszkę w obie dłonie i pociągnęła kilka łyków. Od razu poczuła się lepiej. Kreuthner przyglądał jej się z zainteresowaniem.

– Co tak gały wybałuszasz? Nigdy nie widziałeś pijącej kobiety?

– Niech mi pani wierzy: na picciu to ja się znam.

Z zewnątrz dobiegł głos Mike'a:

– Leo, wszystko okay?!

– Tak, tak! – zawołał w odpowiedzi. – Zajmę się tym. Bez paniki.

Kreuthner usiadł na łóżku, Nora Immerknecht rozwaliła się na krześle biurowym. Przez chwilę milczeli. Ona piła. On się jej przyglądał. W końcu podała Kreuthnerowi flaszkę. Wziął łyka, potem jeszcze jednego i oddał jej butelkę.

– Po co to? – Kreuthner wskazał pistolet.

– Bronię domu.

– Zamierzamy ustalić, kto zamordował pani męża. I w tym celu musimy wejść do pani domu.

– Ja to widzę zupełnie inaczej. – Pociągnęła z butelki. Kiedy oderwała ją od ust, drżał jej podbródek. Płakała. Początkowo ledwie dostrzegalnie, z każdego oka po łezce, a potem łyzy popłynęły strumieniem. Dygotała na całym ciele, chowała mokrą twarz w dłoniach. Pistoletu mimo wszystko nie puszczała. Kreuthner, omijając ją wzrokiem, patrzył na ścianę, gdzie obok biurka Lei wisiała mapa powiatu. W obecności płaczących kobiet czuł się bezsilny. Chrząknął, uciekając wzrokiem, co wcale nie było konieczne. Nora Immerknecht pogrzyżyła się we własnym bolesnym świetle i wyglądała, jakby nic do niej nie docierało.

– Dostanę jeszcze łyka? – odezwał się po dłuższej chwili Kreuthner, by coś

powiedzieć i ponieważ naprawdę miał ochotę sobie golnąć. Flaszka powędrowała do niego. – Wie pani, kto zamordował pani męża? – zapytał, częstując się.

Łzy kobiety obeschły, jej zachmurzone spojrzenie przywarło do czapki Kreuthnera.

– Nie mam pojęcia. W ciągu ostatnich lat nic do mnie nie docierało. Już nawet nie znałam Jörga. – Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby nagle zrobiło jej się strasznie zimno. – Nasze małżeństwo właściwie przestało istnieć. A teraz on nie żyje. A córka mną gardzi. – Usiłowała zaśmiać się sarkastycznie, ale nawet i to jej nie wyszło. – Tak to się kończy. Chcieliśmy zmieniać świat. Tak, naprawdę. Wackersdorf. Człowieku, co tam się działo. Też tam byłeś?

– To sprzed mojej ery.

– Może byśmy się tam spotkali, a ty zdzieliłbyś mnie pałą po nosie.

– Możliwe. Ale mnie tam nie było.

– Okay, nie było cię. Tylko czy to robi jakąś różnicę?

Wzruszył ramionami. Nie rozumiał, do czego zmierzała. Alkohol najwyraźniej do reszty zamulił jej umysł.

– To wszystko nie robi żadnej różnicy. Już nie. I wiesz co? Ja to spartoliłam. Powodzenia, glino. Spieprzam stąd.

Uniosła pistolet i przez moment wyglądało, jakby chciała wycelować w Kreuthnera. Lufa powędrowała dalej i odnalazła drogę do ust kobiety.

Kreuthner zastanowił się, czy powinien wziąć to na serio.

– Co pani! Niech pani skończy svirować. I przestanie chlać.

Nora Immerknecht zaskoczona wyjęła pistolet z ust i zaśmiała się chrapliwie.

– Ty mi mówisz, że mam przestać chlać? Nie wierzę! – Pokręciła głową, zaczęła się śmiać i w końcu rozplakała się znowu, pociągając nosem.

– Dobra, okay. Sam też chlam. Tylko że ja nie mam powodów, żeby przestać.

– A ja mam?

– Pani ma dziecko.

– Jasne. Akurat byś przestał, gdybyś miał dziecko!

– Przestałbym. Nie tknąłbym nawet kropelki. Przysięgam.

Popatrzyła na niego szklanym wzrokiem i beknęła cicho.

– No, może i nie. Czy ja wiem! – Wstał i podszedł do biurka. Popatrzył na mapę powiatu, która przed chwilą przyciągnęła jego uwagę. – Ale przynajmniej bym próbował – powiedział do kobiety, która stała za jego plecami i trzymała w ręku pistolet. – Każdego dnia. Każdego pieprzonego dnia! – Usłyszał za sobą dźwięk uderzającego o podłogę pistoletu i się odwrócił. Znowu podniosła butelkę.

– Najpierw ją w spokoju dopijemy – oświadczyła. – Na to musi znaleźć się czas.

Lea załamała się, kiedy jej matka wzięła zakładnika i zabarykadowała się w pokoju. W jednej sekundzie z upiornie opanowanej nastolatki stała się chlipiącą kupką nieszczęścia. Wallner zorganizował przewiezienie jej do kliniki psychiatrycznej w Haar i wysłał z nią Janette. W pewnym momencie dziewczyna odrobinę oprzytomniała i poprosiła, by matkę również zawieziono do tej kliniki. Wielokrotnie przebywała już w niej ze względu na problem alkoholowy. Znali ją tam.

Jakiś czas później Nora Immerknecht pojechała w ślad za córką. Wyszła z Kreuthnerem z pokoju, spokojna i opanowana, choć nieco chwiejnym krokiem. Nie stawiając oporu, wsiadła do radiowozu. Mike i Wallner musieli przyznać, że Kreuthner w niektórych sytuacjach okazywał się niezwykle przydatny. Sierżant pojechał z nią do Haar, by bezpiecznie odstawić ją do szpitala. W wewnętrznej kieszeni marynarki munduru tkwiła mapa drogowa powiatu, która wisiała w pokoju Lei. Ktoś zaznaczył na niej trasę. I trasa ta wzbudziła jego zainteresowanie.

Gisela Burger miała ujmującą osobowość i prędko zaprzyjaźniła się z Katją. Już po półgodzinie pozwolono jej ułożyć małą do snu. Wallner i Vera dla pewności jeszcze raz zajrzeli do pokoju dziecka. Wszystko było w najlepszym porządku, Katja zaś sprawiała wrażenie zadowolonej z sześćdziesięcioletniej pani, która w przyszłości miała zajmować się nią pod nieobecność Wallnera i Very.

Przed nimi wciąż była najtrudniejsza część wieczoru: Manfred. Tuż przed przyjściem pani Burger musiał wyjść na zakupy. Kiedy cała trójka wróciła od dziewczynki do kuchni, siedział przy stole i ze zdziwieniem wpatrywał się w obcą kobietę.

– Cześć, jesteś już – zagałł Wallner, siłąc się na wesołość. – To jest mój dziadek, pan Wallner. A to pani Burger, o której ci już opowiadaliśmy.

Manfred gapił się na Wallnera, jakby kompletnie nic z tego nie rozumiał.

– Pani Burger – powtórzył Wallner. Nadal miał znakomity humor, choć w jego ton wkradła się nuta niecierpliwości. – Opiekunka, która od czasu do czasu będzie zajmować się Katją.

– Ach, ta! – zawołał Manfred i zmrużył oczy. – Nie poznałbym jej. Pewnie dlatego, że gdzieś zapodziałem okulary.

– Ale przecież nie znasz jeszcze pani Burger – wtrąciła Vera, starając się przemawiać miłym i troskliwym tonem. – Więc nawet w okularach byś jej nie poznał.

– To pani Burger nie jest ze mną spokrewniona?

– Dlaczego miałyby być z tobą spokrewniona?

– Ostatnio różni ludzie okazują się moimi krewnymi, o czym nie miałem pojęcia. – Nachylił się w stronę przyszłej opiekunki. – Ten tutaj – ciągnął, wskazując na Wallnera – to mój wnuk, jak mi powiedzieli niedawno. Zupełnie o tym nie wiedziałem.

– Manfred! O czym ty mówisz? – Wallner z bezgranicznym zdumieniem

popatrzył na równie skonsternowaną Verę.

– Wie pani, chodzi mi o to, że przecież mogli mi powiedzieć o tym wcześniej.

– Na pewno panu powiedzieli. Może pan po prostu zapomniał. Zdarza się – odparła pani Burger. Z jej słów przebijała pewna rutyna w obejściu z pacjentami chorymi na demencję. – Moja matka zapomniała nawet, że jestem jej córką.

– Trzeba było jej o tym powiedzieć. Wtedy byłoby jasne. Niech pani to zrobi zaraz po powrocie!

– Matka niestety zmarła rok temu.

– Nie szkodzi – skwitował Manfred. – W końcu każdy kiedyś kopnie w kalendarz. Gdzie się podziały te moje okulary, krucyfiks! – Manfred wstał i zaczął szperać po kuchni.

– Nie rozumiem, co się z nim dzieje – szepnęła Wallner do pani Burger.

– A ja to doskonale rozumiem – odpowiedziała szeptem. – Często tak jest, że rodzina zauważa to na końcu. To normalne, w końcu przebywa się z kimś codziennie i nie dostrzega zmian. Mogę dać państwu numer do neurolog, która leczyła moją matkę.

– Dziadkowi bardzo daleko do alzheimera. Proszę mi wierzyć.

– Skoro pan tak mówi. To pan zna go najlepiej. – Uśmiechnęła się, a on odniósł wrażenie, jakby kobieta i jego traktowała jak kogoś, kto ma pewne problemy z rzeczywistością. Manfred tymczasem z hałasem otwierał kuchenne szafki.

– Gdzie ostatnio miałeś okulary? – zapytała Vera.

– Brałem sok pomarańczowy z lodówki. Sprawdziłem na opakowaniu, czy jeszcze dobry.

– I? Był dobry?

– Nie. Przeterminowany. Ale wypilem i tak.

– To znaczy, że wtedy jeszcze miałeś na nosie okulary?

Manfred wzruszył ramionami. Vera otworzyła lodówkę. Obok opakowania wędliny leżały okulary Manfreda. Vera obejrzała się za siebie, bo ciekawiło ją, czy pani Burger to zauważyła. Zauważyła.

– Dlaczego wkładasz moje okulary do lodówki? – Manfred zwrócił się do żony swego wnuka.

– Chyba sam je tam włożyłeś.

– Ja? To już są szczyty! Ktoś mi je ukradł i włożył do lodówki. Żebym sobie odmroził uszyska. Co za bezczelność!

Pani Burger zniżyła głos i szepnęła do Wallnera:

– To mówi pan, że pański dziadek do tej pory zajmował się Katją? Był sam z dzieckiem?

Wallnera powoli zaczynała ogarniać wściekłość.

– Przepraszam na chwilę – odezwał się do pani Burger. I dodał do Manfreda:
– Pozwól ze mną, proszę!

– Co to za cyrk? – zapytał bez ogródek Wallner, kiedy znalazł się z dziadkiem w salonie. – Alzheimer to nie jest temat do żartów.

– To nie żarty. To poważny test.

– Słucham?

– A co, chcesz kupować kota w worku? Musimy przecież wiedzieć, jak ona sobie poradzi, kiedy ze mną będzie nietęgo. Sam mówisz, że u mnie już coś nie tak z głową.

– No weź przestań. Przecież nie to miałem na myśli.

– Dokładnie to miałeś na myśli. I może ze mną naprawdę jest coś nie tak. Jak z Froschederem. Przez ostatnie trzy lata strasznie się posunął. Tak z nim było, jak przed chwilą ze mną.

– Specjalnie włożyłeś te okulary do lodówki?

– No. Superpomysł, nie?

– Tak, znakomity. Pani Burger sądzi teraz, że na cały dzień zostawiamy Katję samą z niedołącznym dziadkiem. Powinienem się cieszyć, jeśli nie zawiadomi opieki społecznej.

– Przepraszam. Wytłumaczę jej to.

– Ach, tak? Bardzo jestem ciekaw jak.

Kiedy Manfred wrócił do kuchni, pani Burger przywołała na twarz uśmiech pielęgniarzki.

– Muszę coś pani wyznać – zaczął Manfred, starając się włożyć w swój głos maksimum powagi. – Sprawa jest następująca: ja wcale nie mam alzheimera.

– Ależ oczywiście, że nie – zgodziła się kobieta i pomogła Manfredowi usiąść na krześle. – Przecież nikt tak nie twierdzi. – Popatrzyła na Wallnera i Verę w oczekiwaniu aprobaty. Wallner zdusił w sobie pokusę, by się wtrącić. To Manfred nawarzył tego piwa. Niech sam próbuje się z tego wykryć.

– Myślę, że jednak tak pani sądzi.

– Ależ skąd. A teraz uspokojmy się troszeczkę. Wizyta obcych zawsze wprowadza pewne ożywienie prawda? – Pani Burger sięgnęła po rękę Manfreda i poklepała ją lekko.

– Wie pani co, ożywić to ja się dopiero ożywię! – W głosie Manfreda brzmiała wściekłość. Wallner posyłał mu za plecami pani Burger uspokajające gesty. – Chcę powiedzieć... – Próbował stłumić złość. – Celowo włożyłem okulary do lodówki, rozumie pani? Żeby tak wyglądało, jakbym miał alzheimera. Ale nie

mam.

– Ach! Celowo wkłada pan okulary do lodówki!

– Nie zawsze. Dzisiaj. Tylko dzisiaj.

– Naturalnie. Wcale nie chciałam powiedzieć, że zdarza się to panu ciągle.

– Powtarzam: nie mam szmergła. Nie uważam również, że jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Ten tutaj do mój wnuk Clemens, a to jego żona Vera. Wszystko to wiem. Rozumie pani?

– Z moją matką też tak było – zwróciła się do Wallnera pani Berger, nie puszczając ręki Manfreda. – Chwilami jasność umysłu powraca. Ale te momenty stają się coraz radsze. Proszę z nich korzystać.

– Na litość boską, dosyć tego! – Manfred zabrał rękę. – Nie mam alzheimera. Tylko udawałem! Dociera to do pani?

– Nie ma powodu do agresji, panie Wallner. – Zwróciła się ponownie do młodego Wallnera: – Moja matka pod koniec też była niestety agresywna.

– Mój dziadek naprawdę nie cierpi na demencję. – Wallner poczuł się w obowiązku zająć w końcu stanowisko. – On to wszystko zaaranżował. To prawda, co mówi.

Na twarzy pani Burger wymalowało się wreszcie zdumienie.

– Słucham? Po co robi coś takiego?

– Sam to pani wyjaśni. – Wallner nie mógł odmówić sobie szczypty ironii.

– To był taki figiel, rozumie pani? Trochę humoru nikomu jeszcze nie zaszkodziło, jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

Pani Burger nie rozumiała.

– Moja matka wiele lat cierpiała na alzheimera. Zapewniam pana, że to nie jest ani trochę śmieszne.

– Nie, oczywiście, że nie jest śmieszne. Tylko że... ach, sam nie wiem, czemu to zrobiłem. Chciałem tylko zobaczyć, jak pani zareaguje. Nawiasem mówiąc, znakomicie to pani wyszło. Szacuneczek! Brawurowo.

Kiedy pani Burger wychodziła, sprawiała wrażenie nieco skołowanej.

– To nie było zbyt pomocne – podsumowała Vera. Manfred zapewnił ją, że jest mu przykro. Ale jeśli opiekunka nie zna się na żartach, to nie jest odpowiednią osobą dla Katji.

Jadąc z Norą Immerknecht do szpitala w Haar, Kreuthner dowiedział się, że mapa drogowa w pokoju córki kiedyś była własnością jej męża. O ile sobie przypominała, Lea wzięła mapę z makulatury. Uwielbiała mapy i atlasy, potrafiła się w nie wpatrywać godzinami. Być może kompensowały jej orientację, której nie miała w życiu.

W drodze powrotnej Kreuthner wpadł na jeden z tych błyskotliwych pomysłów, które przychodziły mu do głowy zawsze wtedy, gdy był troszeczkę zawiany i w dobrym humorze. W starej chłopskiej zagrodzie, którą dostał w spadku po wuju Simonie, stało kilka plastikowych beczek z zacierem owocowym. Wuj Simon ukrył je z zamiarem przemienienia tego zimą w owocówkę. Kreuthner nie planował kontynuować gorzelniczej działalności wuja. Wiązało się z tym mnóstwo roboty, a ryzyko, że któregoś dnia jakiś kretyn chlapnie, iż kupuje księżycówkę od sierżanta Kreuthnera, było po prostu zbyt wysokie. Klientela na pędzone własnym sumptem produkty z natury rzeczy skłaniała się ku nadmiernej konsumpcji, a tym samym zwiększonej gadatliwości. Ponieważ więc Kreuthner nie miał żadnego rozsądnego zastosowania dla zacieru, z drugiej strony zaś zwierzęta w azylu od dłuższego już czasu nie kosztowały owoców, bo Danieli brakowało na to pieniędzy, Kreuthner postanowił obdarować schronisko.

Frank był robotny. Wyrzucał obornik, jakby w całym swoim życiu nie robił nic innego, zainstalował elektryczne ogrzewanie, żeby woda dla koni i osłów zimą nie zamarzała, na własny koszt zakupił również w markecie budowlanym niezbędne części. Był małomówny i nie pił. Aż ciut zbyt małomówny jak na gust Danieli, jakiś taki dziwny. Ogólnie jednak jego obecność w gospodarstwie była użyteczna, więc Daniela doszła do wniosku, że Frank, odkąd nie musiał pracować, po prostu się nudził i chciał wypełnić dni czymś pożytecznym.

Od ośmiu godzin bez przerwy pracował nad ogrzewaniem poidła. Jakiś czas temu zapadł już zmierzch. Daniela zaproponowała, że pojedzie po coś do jedzenia do Dürnach. Kiedy zniknął mu z oczu jej samochód, ruszył prosto do domu. W przedsiönku zdjął buty. Nie po to, by sprostać surowym wymaganiom Danieli w kwestii czystości, lecz by nie pozostawić śladów.

W pierwszej kolejności zaczął szperać w pokoju Sophie. Policja gruntownie wykonała tu swoją robotę. Może jednak przeoczyli jakiś świstek, jakąś niepozorną kartkę papieru, która wydała się bez znaczenia specom od zabezpieczania śladów. Może widniał na niej jakiś skreślony odręcznie numer. Policja zapewne nie tego szukała. Raczej nie szukała też numerów kont na Karaibach. Gdyby jednak wpadły im w ręce jakieś materiały na ten temat, zapewne dałoby im to do myślenia. Nie znalazł niczego. Nie było też komputera. Zabrali go policjanci z dochodzeniówki.

Za to pokój Danieli był nietknięty. Nie obejmował go zakaz przeszukania. W środku znajdował się komputer i cały rząd segregatorów. Wszystkie były porządnie opatrzone etykietami. Jeśli było tu coś interesującego, znajdzie to. Po kolei przeglądał segregatory. Zawierały dokumenty z kilku dziesięcioleci. Jednak nic przydatnego. Włączył komputer. Nie był to najnowszy model, ale działał. Dostępu nie utrudniało mu żadne hasło. Na tym odludziu Daniela musiała chronić dane najwyżej przed siostrą. A to najwyraźniej nie było tak istotne. Czekaając na uruchomienie komputera, Frank usłyszał trzask drzwi wejściowych.

Daniela po drodze zmieniła zdanie i podjechała tylko do najbliższej wioski. Zwykle omijała szerokim łukiem tamtejszego rzeźnika, tak jak wegetarianie unikają miejsca kaźni. Można było u niego kupić także kanapki z serem. Tak właśnie zrobiła i wróciła do domu.

W przedsiönku natknęła się na buty Franka, co w pierwszym momencie wcale jej nie zaniepokoiło. Może po prostu zmarł. Zajrzała do kuchni. Ale tam nie było nikogo, nie licząc dwóch tuzinów psów i kotów. Franka nie było również w łazience. Zastygła na moment w bezruchu i nasłuchiwała. W domu panowała cisza. Po chwili wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk, elektroniczne popiskiwanie, jakie wydaje komputer. Nie potrafiła zlokalizować, skąd dobiega. Poszła dalej do pokoju Sophie. Wycieraczka przed drzwiami leżała trochę krzywo. Ktoś musiał na niej stanąć. Daniela wyrównała ją starannie. Otworzyła drzwi, pokój był pusty. Obok znajdował się jej własny pokój. Może Frank był tam?

Frank nie mógł już cofnąć uruchamiania komputera. Nieoczekiwana sytuacja zestresowała go i dopiero kiedy urządzenie zaczęło wydawać dźwięki, przyszło mu do głowy najprostsze rozwiązanie: wyciągnąć wtyczkę. Z zewnątrz dobiegły go zbliżające się kroki Danieli. Gorączkowo myślał, co robi, kiedy kobieta wejdzie do pokoju. Jeśli go tu nakryje, jego czas w azylu dobiegnie końca. Nie miał czego szukać w pokoju Danieli. Po jego odejściu kobieta przedsięwzięmie na pewno jakieś środki bezpieczeństwa. A wtedy on niczego już tutaj nie znajdzie. Musiał

doprowadzić sprawę do końca. A to oznaczało przemoc. Szkopuł w tym, że nie miał pojęcia, co Daniela wie i czy w ogóle cokolwiek wie. Skończy się tak, że ona będzie martwa, a on tak samo głupi jak przedtem. Tyle że wtedy wzbudzi popłoch policji i sytuacja stanie się jeszcze trudniejsza. Frank wyjął zza paska nóż myśliwski z dwudziestopięciocentymetrowym ostrzem i ułożył luźno w dłoni. Ktoś nacisnął klamkę.

W kuchni błysnęło odbite światło. Dobiegało z zewnątrz. Ktoś wjechał na podwórze. Daniela zamknęła drzwi pokoju i wyszła przed dom, żeby sprawdzić, kto przyjechał.

Był to Kreuthner. Jego stary passat ciągnął przyczepę, na której stało sześć jasnych plastikowych beczek. Biegające wolno zwierzęta zebrały się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Serwus – przywitał się Kreuthner. – Przywiozłem coś.

– To miło. A co to jest?

– Owoce.

– Owoce?

– Dostałem w spadku. Po wuju Simonie. Pewnie zrobiliby z nich owocówkę. Teraz dostaną je konie.

– Ale czy to im nie zaszkodzi?

– Skądże. Owoce to owoce. Gdyby im miały zaszkodzić, toby nie żarły. – Kreuthner stoczył jedną z beczek z przyczepy. Wydawała się dość ciężka, sądząc po tym, jak uderzyła o przysypaną śniegiem ziemię. – Zaraz wypróbujemy.

– Ostrzegam cię! Jeśli coś się stanie zwierzętom, będziesz miał ze mną do czynienia.

– Nic się im nie stanie! Czemu zaraz jesteś taka podejrzliwa?

– Raczej ostrożna. – Gapiła się na plastikową beczkę. – Wiesz co? Nie chcę tego.

– No co ty! Zwierzyna zemrze ci na szkorbut, jak nie dostanie witamin.

– Powiedziałam nie. I basta. To moje gospodarstwo. I ja tu o wszystkim decyduję.

Kreuthner chciał coś odpowiedzieć, ale zauważył, że ktoś wyszedł z domu. Mężczyzna stanął za Danielą.

– Czy on sprawia jakieś problemy? – zapytał.

Spoglądał groźnie. Wprawdzie ani trochę nie dorównywał wzrostem Kummederowi, który był postrachem okolicy, ale sprawiał dużo bardziej brutalne wrażenie. Nawet po przegranej w *Schafkopf* Kummeder nie wyglądał tak niebezpiecznie.

– Nie. Wszystko w porządku. – Daniela pokazała na mężczyznę za swoimi plecami. – To jest Frank. Pomaga mi tu trochę. A to Leo.

– Ja też pomagam, jak mogę – zauważył Kreuthner.

– Byłeś w chałupie? – zapytała Franka.

– Szukałem bezpieczników. – Frank rzucił okiem na Kreuthnera. Nie miał pojęcia, czego ten tutaj szukał. Jego obecność była mu jednak nie na rękę. – Muszę lecieć.

– A co z kanapką?

– Wezmę ze sobą.

Kreuthner odprowadził terenówkę wzrokiem, dopóki jej tylne światła nie zniknęły za zakrętem.

– Nie podoba mi się ten gość. Skąd go wytrzasnąłeś?

– Przyjechał tu i chciał pracować. Nie on pierwszy.

Kreuthner nic na to nie powiedział. Widywał takie spojrzenie u ludzi, którzy popadli w konflikt z prawem. I jeśli się nie mylił, to Frank spoglądał dokładnie w ten sposób.

– Wiesz co? Przelejemy trochę zacieru do wiadra i zobaczymy, czy stworzenia w ogóle będą chciały to żreć.

Daniela się zawahała.

– No dobrze. Ale tylko trochę.

Kaspar był największym koniem w stajni, potężnym wałachem, którego nic nie było w stanie wytrącić z równowagi, pod warunkiem że zostawiało się jego boks otwarty. Gdy był zamknięty, koń wpadał w panikę. Zacier od Kreuthnera bardzo mu posmakował. Dali mu go w wiadrze, a wałach opróżnił je błyskawicznie i wylizał z niemal niepokojącym entuzjazmem. To przekonało Danielę, która radość Kaspara tłumaczyła tym, że długo nie jadł świeżych owoców. I tak zacier rozlano do wiader i podano złaknionym owoców zwierzętom. Danielę powinno właściwie coś tknąć, że zwierzęta tak bardzo pożyły fermentująco-słodkiej masy.

Daniela zaprosiła Kreuthnera na herbatę. Poczęstowała go także bułką z serem, której zapomniał Frank.

– Dlaczego nie jesz mięsa? – dopytywał się Kreuthner, odgryzając kęs bułki.

– Bo lubię zwierzęta.

– Ja też lubię zwierzęta. Ale pieczeń wieprzową też lubię. Trzeba iść na kompromis.

– Nie potrafię. Kiedy pomyślę, że to takie same zwierzęta jak tutaj, w azylu, to jakże mogłabym je jeść? Czytałam, że teraz można sobie wyszukać w Internecie prosiaka i obserwować, jak rośnie, aż do ubicia. Czy to nie perwersyjne? No weź, znasz świnkę, śmiejesz się, kiedy się tapla w błocie i cieszy życiem, a potem każesz ją ubić?

– Moja matka trzymała króle. Z nimi rzeczywiście było nefajnie, bo dawała im imiona. A kiedy martwe króle trafiały do zamrażarki, zaznaczała te imiona. A do mnie mówiła, Leo, idź no do piwnicy i przynieś Józia. Albo Lizę. Czy jak tam się nazywały.

– Czy to nie było okropne dla ciebie jako dziecka?

– Trochę to było dziwne, to prawda. – Kreuthner upił łyżeczek herbaty. – Masz może piwo? Piwo jest wegetariańskie.

Daniela podeszła do lodówki.

– No, z tym Józkiem to było – ciągnął Kreuthner. – Idziesz po niego i wyciągasz z zamrażarki. Weź, człowiek znał go osobiście, można powiedzieć. Ale smakować, to smakował. Taka potrawka z królika nie wygląda jak Józio, łapiasz? To jak z Hindusami.

– Hindusami? – Daniela wyjęła z lodówki butelkę piwa i postawiła przed nim na stole, nie zapomniawszy o podstawce.

– U nich, jak umrzesz, to rodzisz się na nowo jako krowa. Albo jako dżdżownica, jak będziesz miała pecha. W każdym razie w zupełnie innym

wcieleniu. No i Józio narodził się na nowo jako potrawka. To nadal Józio, a jednak nie Józio.

– Widzisz, dla mnie to jednak nadal Józio, taki, jaki był za życia.

– No to rzeczywiście głupio. A co robisz w święta? Boże Narodzenie bez gęsi to nie Boże Narodzenie.

– Wiesz, wszyscy się cieszą z tych świąt, dla wielu to najpiękniejszy okres w roku. Tylko dlaczego zawsze trzeba zabijać zwierzęta, skoro wszyscy się cieszą?

– No. – Kreuthner zadumał się i dla wspomnienia myślenia pociągnął spory łyk piwa. – Zawsze tak było. Nawet w Biblii składali ofiary ze zwierząt i je zjadali.

– Co tylko dowodzi, że Biblia jest dosyć podejrzaną książką.

– W Biblii jest trochę dyrdymałów, to fakt. Zamienił wodę w wino! Co za farmazony. Gdyby tak zamienił w piwo, tobym rzekł: szacuneczek. Pff, w wino! – Kiedy przystawił flaszkę do ust i poczuł alkohol, przypomniała mu się Nora Immerknecht. Zamarł. – Ale my tu gadu gadu, a ja bym zapomniał o najważniejszym. Znasz Jörga Immerknechta?

– Jörg... Zadzwoił do mnie przedwczoraj. Przeczytał w gazecie o Sophie.

– Znasz go?

– W sumie nie. Był znajomym Sophie. Znali się ze studiów. Dlaczego pytasz?

– Facet nie żyje.

– Co?!

– Siedział na tej samej ławce co... no, na Wallbergu. Z podciętymi żyłami.

Ręce Daniela zaczęły dygotać. Musiała odstawić kubek z herbatą. Przez gardło nie chciało jej przejść ani jedno słowo. Przerażona, z setkami pytań na ustach, wpatrywała się w Kreuthnera.

– Teraz to jasne – rzekł. – To morderstwo. Tylko co twoja siostra miała wspólnego z Jörgiem Immerknechtem?

– Nie wiem. Studiowali razem. W Monachium. Miałam wtedy piętnaście lat. Też go kiedyś spotkałam. Ale nie mogę sobie przypomnieć. To było dwadzieścia lat temu.

– Dlaczego ktoś miałby zamordować tego Jörga i twoją siostrę?

– Nie wiem. Wiem tylko jedno: parę lat temu coś się stało, Sophie nie chciała o tym mówić. Możliwe, że to miało coś wspólnego z Jörgiem. I ze Stalin.

– Tą kobietą, która była u was niedawno?

– Tak. Ona też była znajomą z dawnych czasów. Ale nie wymyślę, co się wtedy wydarzyło. Sophie nigdy mi o tym nie mówiła.

Kreuthner pomyślał o mapie, którą zabrał z pokoju Lei. Był niemal pewien, że kiedyś już spotkał Sophie Kramm. Na drodze, którą zaznaczono na tej mapie.

– Dowiem się, co się wtedy stało – oświadczył.

Daniela chciała go zapytać, jak to zamierza zrobić. Ale już nie zdążyła, bo

z zewnątrz dobiegł głuchy rumor.

Kaspar ze szklistym wzrokiem opierał się o bramę stajni. Beknął tak potężnie, aż kury rozpierzchły się na wszystkie strony. Srokaty kuce zataczały się po boksie i wpadały na siebie, gdy pod którymś ugięły się nogi. Również i w pozostałych boksach działy się dziwne rzeczy. Dwa konie zimnokrwiste kiwały się na boki jak marynarze i raz po raz grzmociły o ścianki działowe, kasztanka na rozjeżdżających się nogach gapiła się na Danielę i Kreuthnera, a osły urządziły istny kocioł. Gryzły się i kopały, aż nie chciało się wierzyć, że kłapouchy są tak pokojowo usposobionymi stworzeniami. Rzucały się na siebie jak banda ochlapusów. Wyrządzały sobie jednak niewiele szkody, ponieważ ich długie zęby kłapały w powietrzu, jakby zwierzaki poruszały się w zwolnionym tempie. Któryś przechylił łeb na bok i wymierzył, pomalutku otwierając pysk. Wysunął łeb w kierunku szarego zadu, jednak tak niepewnie, że trzeba by cudu, by jakiś ośli udziec przypadkiem trafił między osłe szczęki. Wierżganie też nie odbywało się według utartych wzorców. Gdy tylko zwierzęta unosiły tylne nogi, traciły równowagę i osuwały się na ziemię albo całkowicie przewracały i z mozołem dźwigały się z powrotem. Kura o imieniu Henry (którą brano za koguta, dopóki nie znaleziono pod nim czterech jajek) była pierwszą ofiarą tej apokalipsy. Leżała martwa i zmiażdżona między ogłupiałymi osłami.

– Co tu się dzieje? – Daniela nie posiadała się z przerażenia. – To ta pulpa, którą przywiozłeś. Co tam do tego dodałeś?

– Niczego nie dodałem. To tylko owoce. – Kreuthner zastanowił się chwilę. – Istnieje oczywiście możliwość, że przecier zaczął już fermentować.

– Co to znaczy?

– Wtedy powstaje alkohol.

– Daliśmy koniom alkohol?

– No, tak – ucieszył się Kreuthner. – To dlatego były na to takie łase. Nie ma się co przejmować.

– Jak ja mam się nie przejmować, przecież one są chore.

– E tam, farmazony prawisz. Nie są chore, tylko się świetnie bawią. Patrz, jak śmiesznie patrzy. – Kreuthner wskazał kasztankę. – Jest cała happy. Uwierz mi, ja się na tym znam.

– A co z kurą? Ona też jest happy?

– Przykro mi z jej powodu. Niektórzy po prostu nie tolerują alkoholu. Wszczynają bójkę. Moja rada jest taka: osłom już więcej nie dawaj. Nie mają wystarczająco mocnego charakteru, żeby umieć obchodzić się z alkoholem.

W tym momencie z bocznej ścianki oślej przegrody spadła jak worek kura. Dopiero teraz widać było, że i kury ledwie trzymały się na nogach.

– O Boże! Kury też się tego nażarły.

– Kurom oczywiście prędko nabije ze trzy promile. Ważą przecież tyle co nic. Ale niepotrzebnie się przejmujesz. Jutro wszystkie będą miały lekkiego kaca. Dasz im jeszcze trochę przecieru. Na tym polega trick: jak pochlejesz, to walnij sobie z rana pszeniczne piwko. Zobaczysz, będziesz jak nowo narodzona.

Daniela spod przymkniętych powiek spojrzała na Kreuthnera.

– Wynocha!

Następnego dnia przed południem było tak ciemno, że włączyły się latarnie uliczne. Zbliżał się najkrótszy dzień w roku. Odnosiło się wrażenie, jakby dzienne światło chciało zupełnie odpłynąć z podnóża Alp. Śnieg nie padał, ale wiał ostry wiatr przy siedmiu stopniach poniżej zera.

Wallner zrobił obchód komisariatu. Nieustannie dzwoniли ludzie, którzy widzieli kogoś na Wallbergu. Spisywano ich, zeznania protokołowano i w miarę możliwości sprawdzano wszystkie wskazówki.

Grupa policjantów dowodzona przez Janette zajmowała się ustalaniem, czy istniały jakieś powiązania między ofiarami. Dwóch techników komputerowych analizowało twarde dyski komputerów zabezpieczonych w mieszkaniach zamordowanych.

O jedenastej Wallner zwołał swoich ludzi: Mike'a i Janette oraz Tinę i Olivera z działu kryminalistycznego.

– Obawiam się, że musimy przyśpieszyć – oznajmił na powitanie Wallner. – Jeśli się nie mylę, to mamy do czynienia z serią zabójstw. A nieprzyjemną cechą serii jest to, że nigdy nie wiadomo, kiedy się zakończy. Mamy raport z obdukcji?

Oliver wręczył mu dokument.

– Niespodzianka! Jörg Immerknecht miał we krwi kwas 4-hydroksybutanowy, tak samo jak Sophie Kramm. Tętnica prawego przedramienia została przecięta fachowo. Zaryzykuję twierdzenie, że szukamy jednego sprawcy.

– Dzięki, Oliver. Twoje wnioski sporo ułatwiają. Czy mamy choć cięń wskazówki, dlaczego sprawca wybrał akurat te dwie ofiary?

– To może mieć coś wspólnego z nieżywą kobietą ze zdjęcia. Może ta dwójka zamordowała sfotografowaną. I ktoś chce się zemścić. – Janette jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu w aktach.

– Jak to możliwe, by prawnik i członek zarządu banku oraz pedagog społeczna z azylu dla zwierząt popełnili razem morderstwo? – Ponieważ nikt nie

chciał dać odpowiedzi na to pytanie, Wallner zwrócił się do Janette: – Okay. Janette, pojedziesz do tego azylu i wypytasz Danielę Kramm o Jörga Immerknechta. – Odwrócił się do Tiny, która współpracowała z komputerowcami. – Znaleźliście coś, co posunęłoby nas dalej?

– Nic. Żadne z nich nie pisało maili, nie miało znajomych na Facebooku, nic. Ale w szufladzie Jörga Immerknechta znajdowały się kalendarze biurowe z ostatnich piętnastu lat.

– Przeanalizowaliście już zapiski w nich?

– Wzięłam je do domu i przejrzałam. – Tina podała Wallnerowi wydrukowaną listę. – To są wszystkie spotkania z niejaką Sophie. Oczywiście nie wiemy, czy chodziło o Sophie Kramm. Często spotykał się także z jakąś Annette i trzykrotnie z kimś, kto nazywał się Stalin.

– Stalin!

– Kobieta o tym przydomku odwiedziła zarówno siostry Kramm, jak i Immerknechtów.

– No dobrze. Czyli mamy ogniwo łączące tych dwoje.

– Właśnie że nie mamy – zaprzeczył Oliver. – Dysponujemy tylko niedokładnym opisem i nie znamy jej prawdziwego nazwiska.

– Zarówno Daniela Kramm, jak i Lea Immerknecht zeznały, że Stalin była znajomą z dawnych lat. Może z czasów studenckich. Wiadomo, gdzie studiowały ofiary?

Janette przekartkowała papiery.

– Sophie Kramm studiowała w Monachium. A Jörg Immerknecht... momencik... – Wertowała chwilę. – Też.

– Dobrze. To jeszcze nic nie znaczy. Getynga byłaby bardziej interesująca. Ale ustalcie, czy są jakieś powiązania z tamtego okresu. Gdzie mieszkali, czy należeli do AStA[6], jakichś organizacji studenckich i tak dalej. Mail od Stalin sugeruje, że Sophie Kramm angażowała się w działalność polityczną.

– Co masz konkretnie na myśli?

– No, całe to „z socjalistycznym pozdrowieniem” i ten cytat z Marksa i Engelsa. Poza tym córka Immerknechta opisała swojego ojca jako człowieka, który nadal sympatyzuje z lewicowymi ideałami.

– Gość, który jest w zarządzie banku?

– Może to typ takiego wojownika, który walczy, maszerując przez instytucje. My też powinniśmy pójść w tym kierunku. Popytajcie w Rosenheimie w K5.

– Co to jest? – zapytał Oliver, który jeszcze nie był w Miesbach na tyle długo, by znać całą organizację policji w południowej Górnej Bawarii.

– Ochrona państwa – oświecił go Mike. – Urząd Ochrony Konstytucji obserwował kiedyś całe lewicowe środowisko studenckie. W czasach, gdy jeszcze działała RAF. To mogło być w tym samym czasie, w którym studiowali

Immerknecht i Kramm.

– Zajmę się tym – zaoferowała Janette.
– Znalazłam w kalendarzach jeszcze jedną ciekawą rzecz. – Tina wskazała listę w ręku Wallnera. – Spotkania z tą Sophie kończą się w roku dwa tysiące ósmym. Ostatnie odbyło się we wrześniu dwa tysiące ósmego.

– Sądzisz, że od tamtej pory już się nie spotykali?
– Na to wygląda.
– Wrzesień dwa tysiące ósmego, czy coś się wtedy wydarzyło?
– Kryzys bankowy. Plajta Lehman Brothers. – Oliver wykazał się wiedzą z historii najnowszej.

– Plajta Lehman Brothers była we wrześniu dwa tysiące ósmego? Jesteś pewien?

Oliver wystukał coś na klawiaturze. Gugłował.

– Dokładnie piętnastego września dwa tysiące ósmego. – Oliver uśmiechnął się, usiłując nie okazywać wyższości.

– Czy ty w dzieciństwie miałeś w ogóle przyjaciół? – zapytał Wallner.

– Ach, przyjaźń! Przyjaźń to koncept irracjonalny i zakłamany, a do tego strasznie przeceniany.

– Dzięki, Oliver. Nic dodać, nic ująć. Pomijając Lehman Brothers, czy ktoś ma jeszcze jakiś pomysł, co takiego kojarzy się z wrześniem dwa tysiące ósmego?

– Nikomu nic nie przychodziło do głowy. – Zdjęcie zwłok! Zostało zrobione jesienią. Torebka trafiła do sprzedaży latem dwa tysiące siódmego. Ciało jednak przeleżało prawdopodobnie w ziemi kilka miesięcy. To znaczy, że zdjęcie można datować najwcześniej na jesień dwa tysiące ósmego.

– Czyli kolejna poszlaka, że ofiary zabójstw, denatka ze zdjęcia i rok dwa tysiące ósmy jakoś się ze sobą łączą. Może zamordowali ją we wrześniu dwa tysiące ósmego – snuła domysły Tina.

Janette zamknęła akta i pokręciła głową.

– Nie, to musiało być jeszcze wcześniej. Ciało leżało w ziemi kilka miesięcy.

– Nie ogarniam tego. – Wallner siadł do komputera i otworzył okienko z mailami. – Być może zdjęcie tej denatki zrobiono we wrześniu dwa tysiące ósmego. Załóżmy, że tak było, załóżmy też, że zrobiły je nasze ofiary.

– Albo ktoś inny. W każdym razie wygląda na to, że zrobił je zabójca. Może ofiary wcale nie wiedziały o istnieniu zdjęcia. Albo i zwłok.

– Wszystko możliwe. Zdumiewające jest jednak, że obie ofiary zrywają ze sobą kontakt, i to dokładnie w tym czasie, gdy przypuszczalnie powstało zdjęcie. – Wallner otworzył mail. – Dobrze się składa. Właśnie dostałem wiadomość od kolegów z Monachium. Ustalili adres tej prostytutki. – W pierwszej chwili większość obecnych nie skojarzyła, o kim mówił.

– Tej, która prawdopodobnie ukradła kartę kredytową copywriterowi –

uzupełnił Mike. – Kartę, którą zapłacono za poszukiwaną torebkę. – Zwrócił się do Wallnera: – Tym adresem chyba nie jest cmentarz?

– Nie – odparł Wallner. – Kobieta żyje.

– Właściwie szkoda – skwitował Mike. – Czyli to nie ona jest na zdjęciu.

– Mieszka od jakiegoś czasu w Wasserburgu i prowadzi studio tatuażu.

– Dobrze – rzucił Mike. – To możemy połączyć przyjemne z pożytecznym.

Wallner chciał zakończyć odprawę, ale do środka wetknął głowę Kreuthner.

– Witajcie, przyjaciele. Jakoś zapomnieliście mnie zaprosić.

– Cholera – zaklął Wallner. – Kto zawałił?

– Dobra już, dobra, Clemens. Przecież wiem, że dobry jestem tylko wtedy, jak trzeba znaleźć paru truposzy. Tak na marginesie, byłem wczoraj u Daniela Kramm. Mówi, że jej siostra i Jörg Immerknecht razem studiowali.

– Jesteś pewien? – zapytała Janette. – Immerknecht studiował prawo, Kramm pedagogikę społeczną.

– Pomijając to – Wallner podszedł do drzwi, w których stał Kreuthner – wolałbym, żebyś zostawił przesłuchania nam. Nie zrozum mnie źle, ale ludzie reagują skrajnym zdenerwowaniem, kiedy policja przychodzi po parę razy. Poza tym to my mamy najlepszy ogląd sytuacji i wiemy, co można powiedzieć świadkom, a czego nie.

– Jasne, spoglądajcie sobie dalej z waszego wysokiego rumaka. Nie macie pojęcia, co tu w ogóle jest grane. Jeszcze się zdziwicie, jakich rzeczy ja się dowiaduję. Wiem o sprawach, o których wy możecie sobie tylko pomarzyć. Na razie. – Kreuthner odwrócił się i zniknął.

– Mówię ci, on wytnie jakiś numer.

– Mike, on zawsze wycina jakieś numery. Bądź tak dobry i podjedź pod komisariat. Musimy wybrać się do Wasserburga.

[6] AStA (Allgemeiner Studierendenausschuss) – zarząd samorządu studenckiego.

Otoczone meandrem rzeki Inn miasteczko Wasserburg leży trzydzieści kilometrów na północ od Rosenheimu i niemal zawsze wygląda szczególnie malowniczo. Całość opływanej przez Inn wyspy zajmuje średniowieczna starówka z wąskimi uliczkami, łukowatymi arkadami, gotyckim ratuszem, kilkoma równie starymi kościołami i górującym nad wszystkim zamczyskiem. Ze względu na świąteczny jarmark Wallner i Mike zostawili samochód na piętrowym parkingu koło mostu, którym można się było dostać na starówkę. Pieszko było pięć minut drogi do dowolnego punktu historycznego śródmieścia.

W stareńkim, ciemnym podwórzu, do którego wchodziło się z jednej z uliczek, znajdowało się studio tatuażu „Born to be wild”. Weszli do środka, gdzie właścicielka tatuowała właśnie wątlęgo nastolatka.

– Zejdzie nam się jeszcze z pół godzinki. Przez ten czas możecie sobie wyszukać motyw. Katalogi leżą na stoliku.

– Dziękuję – odezwał się Mike. – My mamy tylko kilka pytań.

Stefanie Hussvogel dobiegała trzydziestki, miała budzącą sympatię, choć nieco zniszczoną twarz z mnóstwem kolczyków, palce ozdobione pierścionkami, wytatuowane ramiona i długie czarne włosy z jasnymi odrostami. Błyskawicznie po wyglądzie trafnie oceniła przybyszów.

– Policja?

Wallner przytaknął. Hussvogel zakończyła sesję i spławiła chudzielca, u którego na ramieniu można było przeczytać słowo „Lissy”.

– To twoja dziewczyna? – zagadnął go Mike, żeby rozluźnić atmosferę.

– Nie, mama – mruknął nastolatek, narzucił na ramiona cienką kurtkę, na której widok Wallner zadygotał z zimna, i wyszedł.

– Proszę spocząć. – Pani Hussvogel wskazała starą skórzaną kanapę. Usiedli, a tatuażystka przysunęła sobie krzesło na kółkach.

– Ładnie tu pani ma – skłamał Wallner. – Zaczęła pani nowe życie?

– Tak. Trzy lata temu. Ale i w starym życiu nie zrobiłam niczego, co mogłoby was interesować.

– Cóż... niestety jest inaczej. – Wallner ostrożnie rozsunął suwak kurtki. W postawie Stefanie Hussvogel dało się wyczuć napięcie.

– Tamta historia z koksem już dawno powinna ulec przedawnieniu. O co chodzi? – Jej spojrzenie było wyzywające, podejrzliwe i czujne.

– Ma pani taką torebkę? – Mike wyjął z kurtki fotografię torebki, którą zrobił w „Dirndl-Rausch”, i podał ją kobiecie. Przyjrzała jej się i wyglądało na to, że rzeczywiście na serio się zastanawia, czy już ją kiedyś widziała.

– Nie znam jej.

– Naprawdę? Zapłacono za nią kartą kredytową.

– Moją?! – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie – zaprzeczył Mike. – Kartą pani ówczesnego klienta. To było jesienią dwa tysiące siódmego. Klient zauważył jej brak po wizycie u pani.

– Upadł na głowę? Nie ukradłam żadnej karty. Nigdy nie okradałam klientów. Co ja głupia?

– To w istocie dość niezwykle. Ale się zdarza. A w tym wypadku praktycznie nie ma innej możliwości.

Z twarzą kobiety działały się interesujące rzeczy. Początkowo Wallnerowi wydało się, że dostrzega na niej nieklamane oburzenie. Najwyraźniej jednak się mylił. Na jej obliczu malował się wyraz zadumy i coś w rodzaju poczucia winy.

– A czemu, do cholery, przychodzicie z tym akurat teraz?

– Ponieważ jest to istotny element śledztwa w sprawie zabójstwa.

Z jej twarzy dało się wyczytać panikę. Kto by chciał być wpłątany w zabójstwo? Sprawa stawała się nieprzyjemnie poważna.

– Nie ukradłam karty. A nawet gdyby, to i tak mi tego nie udowodnicie.

– Co do tego, to nie byłbym taki pewien. Jeszcze nawet nie zaczęliśmy na dobre dochodzenia. Nie chodzi nam udowodnienie pani kradzieży. Nam chodzi o torebkę. Musimy ustalić, czy to pani kupiła tę torebkę i co się z nią stało. Jeśli nam pani powie, nie będzie potrzeby drążyć dalej.

Hussvogel wpatrywała się w liczne pierścionki na swych palcach. Wallner dał jej czas. Wreszcie podniosła wzrok i powiedziała:

– Okay, kupiłam tę torebkę, płacąc kartą. Zadowoleni?

– Ma ją pani jeszcze?

Zawahała się chwilę.

– Nie.

– Dała ją pani komuś?

– Wyrzuciłam ją, kiedy się przeprowadzałam. Wywiozłam wtedy na śmietnik sporo rzeczy.

– Torebka kosztowała trzysta pięćdziesiąt euro. Wyrzuciła ją pani? – Mike

pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nic mnie nie kosztowała.
- Wywiozła ją pani do punktu utylizacji śmieci?
- Tak. Dlaczego pan pyta?
- Pamięta pani, czy wrzuciła ją do kontenera? Czy torebka poszła do odzysku? Lepsze rzeczy idą czasem do ponownej sprzedaży.
- Chyba ją chcieli sprzedać.

Wallner i Mike rozczarowani szli nieśpiesznie zimowymi uliczkami. Brudny śnieg zmieszany z solą i piaskiem zalegał na chodnikach, skądś dochodził zapach prażonych migdałów i grzanego wina. Prawdopodobieństwo, że w punkcie zbiórki odpadów ktoś przypomni sobie torebkę, nie mówiąc o osobie, której została odsprzedana, było zerowe. Jeśli torebka ze zdjęcia była tą samą, którą oddano do punktu, to znaleźli się w ślepej uliczce. Chyba że zdarzy się jakiś nieprawdopodobny przypadek. Wallner zatrzymał się i naciągnął czapkę na uszy.

- Popełniłem głupstwo – powiedział niespodziewanie.
- A mianowicie?
- Obserwowałeś ją?
- Co masz konkretnie na myśli?
- Jakie wrażenie sprawiała na początku? Kiedy powiedzieliśmy, że ukradła kartę?
- Była nieźle wkurzona.
- Właśnie. A zwykle jest to oznaka, że ktoś czuje się niesłusznie oskarżony.
- Przecież się przyznała.
- I tu właśnie popełniłem błąd. Powiedziałem, że jeśli się przyzna, zostawimy ją w spokoju.
- Myślisz, że wybrała najprostszy sposób, by nas się pozbyć?
- Może. – Wallner pomyślał chwilę. Powiało zapachem grzanego wina. – Nie – powiedział w końcu – to nie wszystko. Pod koniec miałem wrażenie, jakby coś przeskrobała i panicznie się bała, że się o tym dowiemy.
- To nie pasuje do jej zachowania z początku rozmowy.
- To znaczy?
- To znaczy, że wygadujesz bzdury.
- Mylisz się. Właściwa odpowiedź jest następująca: w trakcie tej rozmowy coś się wydarzyło.
- Niby co?
- Coś sobie przypominała. Nigdy ci się to nie przytrafiło? Ktoś ci mówi, że coś zawałiłeś, a ty jesteś przekonany, że to bzdura. Że to niemożliwe. I wtedy ci się przypomina: kurde, rzeczywiście zawałiłem!

– Wiem, o co ci chodzi. Ale jeśli ukradła kartę, to przecież by o tym pamiętała. Jeśli robiła to częściej, to i tak ma na sumieniu inne grzeszki. A jeśli to była jednorazowa akcja, to tym bardziej powinna ją pamiętać.

– Masz rację. Ale niewykluczone, że jest jeszcze inna możliwość, daj mi pomyśleć.

– Czy coś przemawia przeciwko temu, żeby myśleć przy grzonym winie?

Wallner pokręcił głową. Ruszyli dalej. Nie uszli dziesięciu kroków, kiedy Mike się zatrzymał.

– Ostatnio mój sąsiad się skarżył, że zaparkowałem na jego posesji. Ma kawałek łąki niedaleko naszego domu. Byłem przekonany, że mnie z kimś pomylił, że to nie ja. Bo wiem, że to kawał sukinsyna i w życiu nie stanąłbym na jego łące. Odpowiednio zareagowałem. Powiedziałem, żeby uważał z rozpowszechnianiem kłamstw o innych, i że powinien iść do okulisty i tak dalej. I nagle mnie trafiło: o kurwa!

Wallner nie odrywał oczu od Mike'a.

– I jak to było?

– Dwa dni wcześniej pożyczyłem samochód przyjacielowi i to on musiał zaparkować na posesji sąsiada.

Wallner wyjął z kieszeni kartkę. Było na niej kilka informacji o Stefanie Hussvogel. Wallner popukał palcem w dolną połowę kartki.

– Popatrz tutaj: Hussvogel ma młodszego brata.

Kiedy policjanci ponownie weszli na podwórze, w którym znajdowało się studio tatuażu, od razu usłyszeli głos właścicielki. Skarżyła się komuś na jego głupotę i oświadczyła, że – jak się wyraziła – nie ma zamiaru dłużej sprzątać po nim gówna. Ponieważ rozmówca nie odpowiadał, można było przypuścić, że pani Hussvogel telefonowała. Mike i Wallner zaczęli czekać do końca rozmowy, która nie przyniosła żadnych nowości, tylko dalsze wyzwiska.

– Telefonowała pani przed chwilą? – zapytał Wallner, wszedłszy do studia. – Do brata?

Hussvogel milczała.

– Czy mam rację, przypuszczając, że to pani młodszemu bratu ukradł kartę kredytową, gdy przyjmowała pani klienta?

Hussvogel milczała dalej. Z jej twarzy wyraźnie dało się wyczytać, że Wallner był na właściwym tropie.

– To bardzo szlachetne, że bierze pani na siebie winę, zwłaszcza że brat pani przebywa akurat na warunkowym.

– Nie powiem ani słowa więcej. Proszę opuścić moje studio.

– Są dwie możliwości. Albo ustalimy wszystko sami. Wówczas siłą rzeczy

zostanie wszczęte postępowanie przeciwko pani bratu. Z jakim skutkiem, tego nie wiemy. Albo wszystko pani nam powie. Wówczas przeciw nikomu nie będziemy musieli wszczynać postępowania. A zatem jeszcze raz: pani brat ukradł kartę kredytową i zapłacił nią za torebkę. Wie pani, komu ją kupił?

Stefanie Hussvogel przez chwilę się zastanawiała.

– Był wówczas z pewną striptizerką. Jestem pewna, że to był prezent dla niej.

Zadzwonili do brata, który potwierdził, że jesienią 2007 niejakiej Franzisce Michalski kupił torebkę w butiku ze strojami ludowymi. Nie wiedział, gdzie teraz przebywa Franziska. Związek wkrótce się rozpadł. Franziska Michalski poinformowała go, że poznała innego mężczyznę. Była w siódmym niebie, nosiła drogie ubrania i jeździła sportowym wozem. Nigdy więcej nie miał z nią kontaktu, choć próbował go nawiązać. Jakby zapadła się pod ziemię. Było to latem 2008 roku.

Podczas rozmowy Mike wyszukał w Internecie Franziskę Michalski. W książce telefonicznej widniała tylko jedna taka osoba. Kobieta nie mieszkała w Monachium.

– Zadzwoń do niej – rzucił Wallner.

W słuchawce odezwała się młoda kobieta, która jednak nie miała na nazwisko Michalski. Była pielęgniarką opiekującą się pewną panią w podeszłym wieku, która niedawno doznała wylewu. Mike uznał, że daruje sobie rozmowę ze starszą panią.

Wallner ponownie zwrócił się do brata Stefanie Hussvogel, który ciągle był na linii.

– Po dwa tysiące ósmym roku nie słyszał pan więcej o tej kobiecie?

– Latem dwa tysiące ósmego nastąpił koniec. Żadnych telefonów, żadnych maili. Jakiś czas potem przypadkiem spotkałem jej przyjaciółkę. Ona też nie miała o niej żadnej wiadomości. Jakby zapadła się pod ziemię.

Wallner poprosił o nazwisko tej przyjaciółki.

W holu komisariatu Kreuthner napatoczył się na Sennleitnera.

– Serwus – przywitał się Kreuthner i pociągnął łyk trzymanej w ręku kawy. Sennleitner tylko skinął głową. Od czasu incydentu na Wallbergu stosunki między nimi były nieco napięte.

– Stary, wiesz co? Cały czas próbuję się dodzwonić do Anneliese. Nie oddzwania i nie oddzwania.

– Chyba cię to nie dziwi?

– Ach, niby przez tę... historię na Wallbergu?

– Radzę ci przez jakiś czas schodzić jej z drogi. Nie ma o tobie zbyt dobrego mniemania.

– Bardzo mi przykro. Ale to przecież nie moja wina, że znowu pojawił się trup.

– Cztery godziny tkwiła w tej dziurze w śniegu. Cztery godziny! To cholernie długo.

– Okay, okay. Wyślę jej kwiaty. Ale muszę z nią pogadać. Chodzi o imprezę świąteczną.

Kreuthner jak co roku zajął się organizacją bożonarodzeniowej imprezy. Zawsze coś mu tam skapnęło, w zależności od tego, któremu z restauratorów dał zarobić. W tym roku policjanci mieli się bawić w sali parafialnej kościoła katolickiego. Salę załatwiła dysponująca rozlicznymi kontaktami Anneliese Sennleitner, tym samym zostawiając na lodzie Kreuthnera. Przynajmniej udało mu się polecić zaprzyjaźnionego sprzedawcę napojów. Kreuthner liczył również na zyskowny sposób zutylizowania otrzymanych w spadku czterystu litrów owocówki.

– Ach, racja! To jeszcze ci nie mówiłem? – Sennleitner nagle wyraźnie się skurczył. Może dlatego, że schował głowę w ramionach.

– O czym?

- To z salą parafialną ... wzięło się i rypło.
- Jak to „rypło”?
- Nie możemy tam urządzić imprezy. Pewnie się domyślasz dlaczego.
- No wiecie co! – Kreuthner był zły, że Sennleitner nie potrafił utrzymać w ryzach mściwej żony. Ten zaś przeprasza jąco wzruszył ramionami.
- I co teraz zrobimy? Nie dam rady ściągnąć teraz żadnego restauratora. Wszyscy są już pozamawiani.

Reprimenda Wallnera mocno dotknęła Kreuthnera. Stał z kubkiem kawy na parkingu, żeby w śnieżnej zadymce wypalić papierosa i pomyśleć. Po głowie wciąż chodziła mu tamta mapa drogowa. Dlaczego zaznaczono na niej akurat tę trasę, którą jechał wtedy za granatowym bmw? Numery wozu były podrobione, na co nie wpadłby prawdopodobnie żaden inny policjant poza nim. Ale on na to wpadł. Bo czuł, że z tymi robotami drogowymi i sygnalizacją w samym środku lasu coś jest nie tak. Gdyby Kummeder nie przycisnął go tak wtedy i gdyby tak nagle nie potrzebował pieniędzy, być może ustaliliby również, co było nie tak. Może wówczas Sophie Kramm i Jörg Immerknecht jeszcze by żyli. Kreuthner nie miał zielonego pojęcia, jak to się wszystko łączyło. Był jednak przekonany, że jakoś się łączyło. Nie miał do siebie pretensji, że gdyby zachował się właściwie, może nie doszłoby do dwóch zabójstw. To nie było w jego stylu. Zabójstwa popełnił ktoś inny. Kwestia winy była jasna. Fascynowało go jednak dziwne zrządzenie losu i jego poplątane, krzyżujące się ścieżki.

Co powinien zrobić? Oddać mapę Wallnerowi? Po tym, jak go przed chwilą potraktował? I pozwolić, by to inni rozwiązali kryjącą się za tym zagadkę? Nie, to nie wchodziło w grę. Kreuthner wyjął komórkę i zadzwonił do znajomej, która pracowała w wydziale ksiąg wieczystych. Punktu wyjścia zaznaczonej na mapie trasy nie dało się jednoznacznie przypisać do którejś z posesji. Znajdował się on na obrzeżach Miesbach, które w latach siedemdziesiątych zabudowano domami jednorodzinnymi. Po drugiej stronie miasta, na północnym wschodzie, linia urywała się na ziemi niczyjej. W każdym razie nie było tam żadnej miejscowości. Dokładniejsza mapa pokazywała, że na danym terenie znajdował się tylko jeden dom mieszkalny. Od 2007 roku był on własnością niejakiego Baptista Kruggera, który zgodnie z umową notarialną mieszkał w Miesbach. Jego adres znajdował się w okolicy, w której brała początek linia.

Trudne czasy po roku 2008 zakład produkcji świec przetrwał między innymi dlatego, że diecezja udzieliła mu pożyczki, którą załatwił stary Joachim Krugger dzięki swoim koneksjom. Baptist Krugger wszedł do zarządu fabryczki jeszcze przed skończeniem studiów. Wśród pracowników miał opinię zamkniętego w sobie i niekomunikatywnego. O postanowieniach kierownictwa załogę informowano za pośrednictwem maili. Pracownicze zwolnienia, które w ramach restrukturyzacji okazały się niezbędne, ze zwalnianymi i z radą zakładową musiał negocjować stary Krugger. Jego syn niechętnie wdawał się w dyskusje. Najlepiej się czuł, kiedy siedział sam ze swoim laptopem i kierował firmą jak w grze komputerowej. Z inicjatywy Baptista część produkcji przeniesiono do Europy Wschodniej, korzystając z kontaktów kościoła z Polską i Słowacją. Wkrótce finanse firmy osiągnęły dobry stan, tak że po latach strat wreszcie zaczęto osiągać zyski, choć niewielkie. Jeszcze cztery lata temu wyglądało na to, że Baptist Krugger nigdy nie będzie musiał zaprzętać sobie głowy cenami stearyny i prognozami sprzedaży zniczy. Potem jego świat odmienił się w ciągu jednej chwili. Posiadanie firmy, która wytwarzała namacalne rzeczy, od jakiegoś czasu wydawało mu się czymś znośnym, choć niezbyt ekscytującym.

Kreuthner przebrał się w cywilne ciuchy i pojechał do posiadłości Kruggerów. Drzwi otworzyła mu mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta. Kiedy przedstawił się jako komisarz policji kryminalnej, podtykając jej pod nos legitymację, wystraszyła się odrobinę. Różnica między legitymacją a blachą dochodzeniówki dla zerkającego na nią pobieżnie laika była nie do uchwycenia.

– O co chodzi? – zapytała zaniepokojona pani Krugger.

– Chciałbym porozmawiać z pani synem. Mogę wejść?

Kobieta wpuściła Kreuthnera do salonu, gdzie przyjemne ciepło dawał piec

kaflowy. Pomieszczenie było udekorowane świątecznie i pełne dewocjonaliów, stojących tu zapewne przez cały rok. Szczególnie rzucały się w oczy liczne świece. W całym domu unosił się słodkawo-lepki zapach wosku pszczelego.

– Pójdę po syna. Proszę poczekać.

Chwilę później wróciła z synem i mężem Joachimem. Mąż nie był zachwycony widokiem Kreuthnera. Nie dlatego, że wizyta policji ogólnie nie stanowiła powodu do radości, tylko dlatego, że Kreuthner przyszedł o czternastej. Przerwa obiadowa, którą u Kruggerów zawsze spędzano w domu, była święta. Wizyty, a nawet telefony w tym czasie traktowano jako skrajnie niestosowne.

– Co możemy dla pana zrobić? – zapytał Krugger, nie ukrywając irytacji.

– Chciałbym porozmawiać z pańskim synem. Chodzi o jego dom.

– Dom nie jest własnością syna, tylko moją i żony.

– Nie chodzi mi o ten dom, tylko o dom na Taubenbergu.

Na twarzy Joachima Kruggera pojawiło się zdziwienie. I złość.

– To musi być jakaś pomyłka. Mój syn nie ma żadnego domu. – Był taki pewny swego, że nawet nie spojrzał na Baptista.

– W księdze wieczystej widnieje coś innego.

Zdziwienie na twarzy Joachima Kruggera przemieniło się w pełne niedowierzania osłupienie. Powędrował spojrzeniem ku synowi. Ten z wahaniem wzruszył ramionami.

– O jakim domu on mówi?

– To nieporozumienie. Ja... wyjaśnię ci to później. – Zwrócił się do Kreuthnera: – Możemy pójść do mojego pokoju.

– Zostaniecie tutaj! To chyba również moja sprawa. W moim domu nikt nie ma przed sobą tajemnic.

– O jaki dom chodzi? – zapytała cicho pani Krugger.

– Nie wtrącaj się, dobrze? A ty – zwrócił się ponownie do syna – mi to wyjaśnisz. I to zaraz. Dlaczego masz jakiś dom, o którym nic nie wiemy?

– To ja tutaj zadaję pytania, panie Krugger. Pana syn jest pełnoletni i może sobie kupować tyle domów, ile zechce. To tak na marginesie. Chodźmy do pana pokoju.

– Nigdzie nie pójdziecie! To jest mój dom! Ja tu mówię, gdzie kto idzie!

– Za pozwoleniem, niech pan się liczy ze słowami. Tu chodzi o morderstwo. I jeśli nie chce pan przeczytać w prasie, że jest w to zamieszana rodzina Kruggerów, to na pana miejscu trochę bym się pohamował.

Joachim Krugger gapił się na Kreuthnera z otwartymi ustami. Jego żona pisnęła cichutko za jego plecami:

– Na litość boską, co się stało? Nic z tego nie rozumiem.

– Morderstwo? – zapytał cicho Krugger.

– Tak – potwierdził Kreuthner i przez chwilę napawał się lękiem, jaki

zobaczył w oczach przeciwnika.

Pokój Baptista Kruggera zdobił wielki plakat Steve'a Jobsa opatrzony żałobną krepą. Na biurku i podłodze wałały się wydruki z różnymi wykresami. Niektóre przypięte były do tablic magnetycznych. Przedstawiały wszystko, począwszy od indeksu giełdowego Hang Seng, a skończywszy na przebiegu cen ekologicznego oleju palmowego.

– Jest pan właścicielem tej posesji od dwa tysiące siódmego roku? – Kreuthner pokazał Kruggerowi wydruk mapy katastralnej, na której niebieskim długopisem obwiedziono granice działki. Mężczyzna przytaknął.

– W jaki sposób został pan jej właścicielem?

– Znajomy dostał ją w spadku, potrzebował pieniędzy. Kupiłem ją od niego. Właściwie to miał być rodzaj kredytu. Kumpel chciał ją odkupić ode mnie w późniejszym czasie po wyższej cenie. Ale nastąpił kryzys finansowy. Potem nie miał już na to pieniędzy.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym rodzicom?

– No wie pan, ja też mam jakieś życie prywatne.

– Ale przecież mieszka pan u nich, a nie u siebie.

– I?

– Po co kupować dom, jeśli się w nim nie mieszka?

– Kiedyś tam we dnie pomieszkowałem. Po co panu te informacje?

– Zna pan Jörga Immerknechta?

– Nie – odparł Krugger.

– Człowiek ten miał u siebie mapę drogową z zaznaczonym na niej pana domem.

– Jak to zaznaczonym?

– Zaznaczono na niej drogę stąd, od domu pana rodziców, do domu na Taubenbergu. Dziwne, prawda?

Krugger wzruszył ramionami.

– No, dziwne. Ale... no cóż, nie potrafię tego wyjaśnić.

– Szkoda. Sądziłem, że nam pan pomoże. Pan Immerknecht nie żyje.

– To ten gość z Wallbergu? – Krugger udał, że się namyśla. – Tak, czytałem o tym. To już drugi trup w tamtym miejscu.

– Zgadza się. – Kreuthner na chwilę pozostawił go w niepewności i rozejrzał się po pokoju. – Zajmuje się pan giełdą?

– Tak. To mój zawód. A właściwie część mojego zawodu.

Kreuthner podniósł z podłogi jeden z wydruków i mu się przyjrzał.

– Coś mi ten wykres przypomina.

Krugger milczał.

– Minęło już parę lat. Jakim samochodem pan jeździ?

– Dużym volvo. Mało pali i jest przestronny. Czasami muszę rozwozić

świece.

- Od kiedy ma pan to volvo?
- Musiałbym sprawdzić. Jakie to ma znaczenie?
- We wrześniu dwa tysiące ósmego jeszcze pan go nie miał, prawda?
- Nie, wtedy go jeszcze nie miałem.
- Miał pan wtedy starego golfa?

Kruger wyraźnie stracił pewność siebie. Skąd ten policjant o tym wiedział? Może tylko zgadywał. W końcu golf to nie była jakaś rzadkość. Albo to sprawdził. Dla policji to żaden problem. Tylko po co?

- Tak, miałem golfa. Wtedy jeszcze studiowałem.
- Widziałem podobne wydruki w pewnym starym golfie. Walały się wszędzie, po całym wozie. A wie pan, dlaczego pamiętam coś takiego po trzech latach?

Kruger milczał.

– Bo wprawdzie kierowca pasował do tego samochodu, ale nie do giełdowych kursów. Dziwna sprawa. To był koniec września dwa tysiące ósmego. Pamiętam, bo to był włoski weekend na Oktoberfeście. Przypomina pan sobie coś z tamtego okresu? Wrzesień dwa tysiące osiem?

- Kryzys finansowy. Plajta Lehman Brothers.
- Coś jeszcze? Z życia prywatnego?

Kruger wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Przykro mi. Nie mogę panu pomóc.

Kreuthner wyjął z portfela wizytówkę z zapisanym na niej odręcznie numerem swojej komórki i wręczył ją mężczyźnie. Z oczywistych względów nie mógł mu dać służbowej.

- Jestem pewien, że coś jeszcze sobie pan przypomni.

Jadąc do Wasserburga, Wallner zadzwonił do wydziału policji w Rosenheim zajmującego się kwestiami ochrony państwa. Zrelacjonował sprawę i wyraził przypuszczenie, że ofiary mogły należeć do osób, którymi interesował się Urząd Ochrony Konstytucji. Obiecano mu, że skontaktują się z urzędem najszybciej jak się da. Kiedy Wallner i Mike wracali na parking, oddzwoniono i zaproponowano jeszcze tego samego popołudnia spotkanie w Monachium. O tej porze tę drogę pokonywało się w godzinę.

Urząd Ochrony Konstytucji Bawarii pod względem położenia czy okazałości gmachu nie mógł się równać z innymi bawarskimi instytucjami. Znajdował się na północnych obrzeżach Monachium, w otoczeniu szerokich ulic łączących obiekty przemysłowe i administracyjne z głównymi arteriami komunikacyjnymi. Sam budynek miał porośniętą winoroślą ceglana fasadę, dla której kilka lat temu wymyślono określenie „monachijski klinkier”. Nad gmachem, zbudowanym na cudacznym planie litery „S”, górował wysoki maszt, na którym umieszczono rozliczne anteny.

Bernd Hauser przekroczył sześćdziesiątkę i wyczekiwał emerytury. Za czasów RAF-u zajmował się prowadzeniem agentów działających jako wtyczki w tak zwanych środowiskach lewicujących. Po rozwiązaniu RAF-u działalność ta z natury rzeczy osłabła. Nie było jasne, co obecnie należało do zakresu jego obowiązków, a Hauser wyraźnie nie zamierzał poruszać tego tematu z Mikiem i Wallnerem. Pomijając to, robił jednak niezwykle swobodnie, wręcz niedbałe wrażenie i emanował pewnością siebie osoby, która zna swój fach. Usiedli przy stoliku, na którym stała przygotowana kawa i pierniki. Hauser nalał kawy, a potem pogratulował Wallnerowi jego dochodzeniowych sukcesów ostatnich lat, czym dowiódł, że jako człowiek zajmujący się wywiadem dobrze odrobił lekcje. Wreszcie poprosił, aby wyłuszczyli sprawę.

– W ostatnich dniach nad jeziorem Tegernsee w dziwnych okolicznościach

poniosły śmierć dwie osoby. Niejaka Sophie Kramm oraz Jörg Immerknecht. Oboje z przeciętymi tętnicami i środkiem odurzającym we krwi znaleziono na Wallbergu. Przypuszczamy, że między ofiarami zabójstw istnieje jakiś związek i że związek ten być może zaprowadzi nas do sprawcy, a przynajmniej dostarczy nam dalszych wskazówek. Dotychczas ustaliliśmy jedynie, że oboje mniej więcej w tym samym czasie studiowali w Monachium, kobieta pedagogikę społeczną, mężczyzna prawo. Oboje mają tajemniczą znajomą z tamtego okresu, która chętnie cytuje dzieła Marksa i Engelsa i podpisuje maile socjalistycznym pozdrowieniem. Stąd przypuszczenie, że oboje, ujmijmy to w ten sposób, angażowali się w działalność studenckich środowisk lewicowych i byli pod obserwacją pańskich służb.

– Czuje się zaszczycony pokładanym we mnie zaufaniem, choć oczywiście nie obserwowaliśmy każdego studenta, który wziął udział w demonstracji przeciwko pershingom. Nawet jeśli niektórzy tak utrzymują. Przyznam, że nie całkiem zrozumiałem, w jaki sposób mielibyśmy przyczynić się do wyjaśnienia sprawy, zakładając oczywiście, że istnieje jakiś materiał na temat tej dwójki.

– To zależy od informacji, jakie otrzymamy. Założmy jednak, że ktoś z jakiegoś powodu wziął na celownik ludzi, którzy działali wówczas w tym środowisku. Być może udałoby nam się uniknąć kolejnych morderstw, ostrzec potencjalne ofiary. W tym celu musielibyśmy jednak wiedzieć, gdzie szukać powiązania między Kramm a Immerknechtem. Może wie pan o sprawach, o których nie wie nikt inny. Sprawach, które mogłyby stanowić motyw zabójstwa. Może o jakichś czynach przestępczych, za które ktoś chce się zemścić. Albo ktoś trafił do więzienia i pragnie teraz odwetu.

– Tak, byłoby fajnie, gdybyśmy mogli przysłużyć się w ten sposób. Podsunać jakieś historie o niewierności i zdradzie, o tym, jak ktoś po dwudziestu latach wychodzi na wolność i podstępnie morduje tchórzliwych zdrajców. No dobra, nie takie rzeczy się zdarzały. Ale musi pan wziąć pod uwagę, że mamy tu do czynienia z zupełnie normalnymi ludźmi, a nie z przestępcami wielkiego kalibru. Morderstwo jest w tych kręgach czymś niezwykłym.

– A nie podkładali bomb, nie wysadzali w powietrze ludzi? – wtrącił Mike.

– Ach, ma pan na myśli te kręgi!

– Tak.

– Wydaje mi się, że pan odrobinę przesadza.

– Być może – zgodził się Wallner. – Jednak znaleźliśmy przy mężczyźnie broń, która, jak ustaliliśmy, w latach osiemdziesiątych została skradziona z magazynów Bundeswehry. Była to akcja przypisywana RAF-owi.

– Cóż, skoro chcecie prowadzić dochodzenie w tych czcigodnych kręgach, to niestety, niewiele możemy wam pomóc.

– Sądziłem, że obserwowaliście to środowisko.

– Chcieliśmy.

Wallner zirytował się lekko.

– Co pan ma przez to na myśli?

– Mam na myśli to, że nigdy nie dotarliśmy do poziomu dowództwa RAF-u.

– To co robili wasi tajni agenci? Przecież ich wprowadziliście do organizacji.

Hauser wziął kartkę papieru i długopis i narysował trzy koncentryczne okręgi. W środkowym polu napisał „D”.

– Ten wewnętrzny krąg to poziom dowódczy. Do dziś niewiele o nim wiadomo. Terrorysty, których ujęto, uparcie milczą.

– I nigdy nie prześliznął się do niego żaden agent?

– Na początku lat dziewięćdziesiątych niejaki Klaus Steinmetz zdołał nawiązać kontakt z Birgit Hogefeld i Wolfgangiem Gramsem, co w mało chwalebny sposób skończyło się w Bad Kleinen[7]. Mimo wszystko. Myślę, że ani wcześniej, ani później kontrwywiad nie był bliżej jądra RAF-u.

– Ile czasu zajęło to tamtemu agentowi? – zainteresował się Mike.

– Bad Kleinen to był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci. Steinmetz pracował pod przykrywką od połowy lat osiemdziesiątych. Jakies osiem lat.

– Pan też pracował pod przykrywką?

– Nie. W Bawarii nie pracowaliśmy z funkcjonariuszami. Trudno jest zrobić lewackiego studenta z policjanta.

– To znaczy, że pracowaliście z amatorami.

– Tak, pracowaliśmy. Niektórzy z nich byli cholernie dobrzy. A najlepsze były kobiety i studenci prawa.

– I robili za informatorów z czystej miłości do ojczyzny? – Temat zaczął fascynować Wallnera.

– Mogę pana uspokoić. Dla czystej idei nie robił tego nikt, o ile wiem.

– Więc dlaczego?

– Dla pieniędzy. To proste.

– Ile się na tym zarabia? – Mike z zaciekawieniem pochylił się do przodu.

Hauser się uśmiechnął.

– Czego chce pan się ode mnie konkretnie dowiedzieć?

– Czy kontrwywiad obserwował Sophie Kramm albo Jörga Immerknechta? Albo oboje? Jeśli tak, jakie informacje możecie nam przekazać na ten temat?

Hauser skinął głową i zastanowił się, co mógłby dać Wallnerowi.

– Jeszcze dziś wyślę panu mailem wszystkie dane, jakie o nich mamy – powiedział Wallner.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne.

Wallner popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Sophie Kramm i Jörg Immerknecht od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego mieszkali we

wspólnym mieszkaniu studenckim. Obserwowaliśmy je. Wspólnota zaliczała się do kręgów sympatyzujących z RAF-em.

Wallner i Mike byli tak zaskoczeni tym nagłym objawieniem, że zaniemówili. Hauser ponownie wziął do ręki szkic i wskazał na zewnętrzny krąg.

– Ten zewnętrzny krąg to środowiska sympatyzujące z RAF-em. Dość dobrze je kontrolowaliśmy. Ludzie ci często gromadzili się w tak zwanych lewicowych komunach mieszkalnych.

– To znaczy, że organizowali też broń, dowody osobiste? Kradli samochody?

– Nie, nie. Broń Boże. To załatwiało dowództwo. Oni najwyżej troszczyli się o to, by ludzie ze środowisk lewicowych zgłaszali kradzież dowodu osobistego, który później odpowiednio preparowano. Albo organizowali demonstracje i ogólnie pracowali nad polityczną otoczką.

– To znaczy, że w ogóle nie mieli kontaktów z RAF-em?

– Nie bezpośrednio. Od tego byli łącznicy. Musieli być. Odpowiadali za komunikację pomiędzy poziomem dowódczym i środowiskiem sympatyzującym. To byli ci. – Hauser popukał w środkowy okrąg.

– Czy poprzez nich nie można było dotrzeć do poziomu dowództwa?

– My nawet dokładnie nie wiedzieliśmy, kim byli ci łącznicy. Wprawdzie oni również obracali się w lewicowych kręgach, ale nie mieli wywieszek na szyi. Kilkoro podejrzewaliśmy. Byli też tacy, którzy znikali albo nagle nie pojawiali się na zebraniu. Nikt o nich nie pytał. Roztaczali wokół siebie taką szczególną aurę, bo nikt nie wiedział, czym się zajmują. Ale wiadomo było, że jest to coś niesłychanie ważnego. Mieli kontakt z *tamtymi*. Wow, dla lewicowego studencika to było takie ekscytujące. Nawiasem mówiąc, dla naszych agentów też.

– Dlaczego nie śledziliście tych ludzi?

– Śledziliśmy. Były sytuacje, w których spotykali się z ludźmi z dowództwa.

Tak przynajmniej przypuszczamy.

– To dlaczego nic z tego nie wynikało?

– Obserwacja oznaczała podążanie w odległości kilkuset metrów, w miejscu, którego topografii się nie znało. Był tam jakiś typek z kapturem i w ciemnych okularach. Prędko się zmywał. Potrzeba by setki ludzi, żeby go obserwować. Na filmach to zawsze wygląda tak, jakby służby wywiadowcze w czasie rzeczywistym na wielkim ekranie śledziły wszystko z satelity. To oczywista bzdura. Jak myślicie, dlaczego CIA potrzebowała dziesięciu lat, żeby znaleźć Osamę bin Ladena? I to mając do dyspozycji nowoczesną technikę. W latach osiemdziesiątych żyliśmy jeszcze w epoce kamienia łupanego.

– Dobra. Wróćmy do naszych ludzi. Mieszkali zatem w lewicowej wspólnocie, ale nie byli bezpośrednio członkami RAF-u?

– Nie. Sympatyzowali z organizacją.

– Kto jeszcze mieszkał w tej wspólnocie?

Hauser wziął do ręki skoroszyt. Na temat wspólnoty miał chyba sporo raportów, bo skoroszyt był dość pękaty. Mężczyzna wertował przez chwilę sprawozdania i notatki służbowe, choć Wallner był pewien, że mógł wymienić ich nazwiska z pamięci.

– Mieszkańcy wciąż się zmieniali. Nie o wszystkich coś wiemy.

Wallner wąpił w to.

– Musimy skontaktować się z tymi ludźmi. Może zdołają nam jakoś pomóc. No i trzeba ich oczywiście ostrzec.

– Dostanie pan ich adresy. Szczególnie interesująca dla was może się okazać Annette Schilbichler. Cały czas mieszkała we wspólnocie z Kramm i Immerknechtem. Studiowała pedagogikę społeczną i skończyła studia równocześnie z Sophie Kramm. Po studiach ich drogi się rozeszły.

– Potem też ich obserwowaliście?

– To za dużo powiedziane. Mieliśmy na nich oko. Sytuacja się wyciszyła po tym, jak Frakcja ogłosiła rezygnację z przemocy. To było... momencik, w dziewięćdziesiątym drugim.

– Kto odpowiadał wówczas za obserwację wspólnoty?

– Mogę to sprawdzić – powiedział Hauser, zamykając skoroszyt.

– Niech pan posłucha, nie chce mi się grać w te tajniackie gierki. Muszę wyjaśnić dwa morderstwa i być może zapobiec dalszym. Pan dobrze wie, kto odpowiadał za obserwację. I wie pan również, kto wówczas był wtyczką.

– Pana zapytanie wpłynęło dość spontanicznie. Musimy to sprawdzić. I musimy chronić swoich ludzi. Nie możemy ich dekonspirować, jeśli nie wniosą do waszego śledztwa istotnych informacji. O ile dobrze zrozumiałem, na razie istnieją jedynie mgliste przypuszczenia, że cała sprawa ma podłoże polityczne.

– Czy we wspólnocie była wtyczka?

– Prosiłbym o trochę czasu. I parę punktów zaczepienia, żebyśmy nie odtajnili kogoś niepotrzebnie.

– No dobrze. Pytanie z innej beczki: czy mówi coś panu nazwisko Stalin? – Wallner próbował wyczytać coś z twarzy Hausera. Ten jednak od czterdziestu lat zawodowo zajmował się kłamstwami. Panował nad mimiką. Nie zdradzając niczego, odpowiedział pytaniem:

– A powinno?

– To owa tajemnicza znajoma ofiar. Wszystko wskazuje na to, że znali się z czasów studenckich. Stalin odwiedziła oboje na krótko przed ich śmiercią, co wywołało ich zaniepokojenie.

– Każę sprawdzić, czy nazwisko to pojawiło się w tym kontekście. Tylko Stalin? To przydomek, jak sądzę?

– Panie Hauser – uniósł się zirytowany Wallner. – Niech pan po prostu zapyta przełożonych, czy wolno panu poinformować nas, kto to jest, okay?

– Zajmę się tym – odparł Hauser i przywołał na twarz niezobowiązujący uśmiech.

[7] Bad Kleinen – miejscowość w Meklemburgii, gdzie w czerwcu 1993 w dramatycznej akcji jednostek specjalnych policji aresztowano terrorystkę RAF-u Birgit Hogefeld. Drugi z terrorystów Wolfgang Grams i jeden policjant zginęli.

Wallner zakończył rozmowę telefoniczną, potwierdzając, że spotkają się za pół godziny na jarmarku świątecznym przy placu Münchener Freiheit. Kobieta, z którą rozmawiał, przedstawiła się jako Tiffany. Dostał jej numer od brata tatuażystki z Wasserburga. Tiffany była przyjaciółką Franziski Michalski, zaginionej dziewczyny od torebki. Przypuszczalnie tej samej dziewczyny, której szczątki widniały na zdjęciu znalezionym przy obu ofiarach morderstwa.

Jadący dwa samochody za nim Frank, kiedy dowiedział się, dokąd zmierzają śledzeni, postanowił zaparkować samochód i pojechać dalej metrem. Na Schwabingu i tak nie znajdzie miejsca do parkowania, a nie było sensu jechać za nimi i ryzykować, że zostanie zauważony. Jeśli kobieta albo policjanci w ciągu pół godziny zmienią plany, to trudno. Jednak było to mało prawdopodobne.

– Facet coś przed nami ukrywa – powiedział Mike, mając na myśli Bernda Hausera z kontrwywiadu.

– Wiadomo. Pytanie tylko co.

– Mieszkał z nimi jeszcze ktoś, jestem tego niemal pewien.

– Ja też. I chyba wiem, dlaczego Hauser nie chce nam zdradzić, kto to był.

Mike pokiwał głową. Najwyraźniej myśleli o tym samym.

– Tajny agent?

– To miałyby sens, prawda?

Wallner ponownie wyłowił z kieszeni kurtki komórkę i wybrał numer Janette. Przekazał jej dane Annette Schilbichler z prośbą, by skontaktowała się z nią i poleciła jej jak najprędzej stawić się na komisariacie. Kobieta mieszkała w Herrschingu nad jeziorem Ammersee i pracowała w szkole specjalnej.

Tiffany miała dwadzieścia cztery lata i pochodziła z Rötze w Lesie Górnopalatynackim, gdzie znano ją jako Annikę Plungauer. Pracowała w barze

table dance niedaleko dworca Ostbahnhof, była ładna, miała długie blond włosy związane w koński ogon, duże usta i uśmiechnięte oczy. Ubranie, które nosiła, było drogie. Dziewczyna spodobała się Mike'owi. W każdym razie wydawał się nieco pobudzony, być może ze względu na wyobrażenie, że rozbierała się co wieczór w barze. Ku jego ubolewaniu Tiffany alias Annika Plungauer wyraźnie zainteresowała się Wallnerem. Cała trójka stała przy jednym z jarmarcznych stolików i popijała grzane wino (Tiffany i Mike) oraz herbatę (Wallner). Wallner ulokował się w bezpośredniej bliskości grzejnika tarasowego.

– No tak, Franzi – odezwała się Tiffany z prowincjonalnym akcentem. – Szalona dziewczyna z niej była. Kiedy ją widziałam ostatni raz, jeździła beemką. Taką bez dachu.

– Kiedy to było?

– Parę lat temu. Nie pamiętam, który to był rok.

– Dwa tysiące ósmy?

– Możliwe.

– Co pani wie o jej zaginięciu?

– Jeju, ona też pracowała w table dance. Któregoś dnia rzuciła tę robotę. Jeszcze ją pytałam: masz coś lepszego? A ona: żebyś wiedziała. Pochodziła skądś z północy. Zdaje się z Brandenburgii.

– Wie pani coś o jej rodzinie? – wtrącił Mike.

Tiffany z namysłem dmuchała na gorące wino.

– O rodzinie... nie, nic. Chyba była z domu dziecka. Neuruppin, jest taka miejscowość?

– Tak. Leży, zdaje się, w Brandenburgii. Ma pani numer tego baru?

– Jasne – rzekła Tiffany i uśmiechnęła się do Wallnera w taki sposób, że się poczuł nieswojo. Wyjęła z torebki wizytówkę baru i przesunęła ją po stole. Jej paznokcie, jak zobaczyli, kiedy przesuwała wizytówkę, były wielobarwnymi dziełami sztuki z małymi błyszczącymi kamykami. Wallner z nieco wymuszonym uśmiechem położył wizytówkę na stole przed sobą.

– Mówiła, dlaczego odchodzi?

– Poznała faceta. Mówię do niej, super, przyjdź z nim kiedyś. Ale jakoś nigdy nic z tego nie wyszło. On był jakiś taki strasznie zajęty.

– To on kupił jej samochód?

– Na to wyglądało. Bo ona skąd niby miała kasę? – Tiffany wskazała Wallnera kubek z herbatą. – Nic pan nie pije na służbie, co? Fajnie – powiedziała, wpatrując się w niego promiennym wzrokiem.

Wallner zrobił ręką nieokreślony gest, oznaczający, że on wprawdzie też uważa, że to fajne, ale z drugiej strony nie warto o tym mówić.

– Jak już pan wypyta mnie o wszystko, to czy nadal pan będzie na służbie?

– Dlaczego pani pyta? – rzucił rozbawiony.

– Niech pan do nas wpadnie. – Wskazała na wizytówkę. – Proszę powiedzieć, że jest znajomym Tiffany. Nie będzie pan musiał płacić.

– Dziękuję, to bardzo uprzejme. Ale muszę niestety wracać do domu.

– A ja się może zastanowię – wtrącił Mike.

Tiffany popatrzyła na niego lekko zaskoczona, może nie nieprzyjemnie, ale bez entuzjazmu.

– Tak – powiedziała. – Czemu nie? Przepraszam na moment.

Odeszła do toalety mieszczącej się w pobliskiej kawiarni.

– No nie wierzę! – wykrzyknął z irytacją Mike.

– Co takiego?

– Ona na ciebie leci. Tylko na ciebie.

– To raczej coś dla ciebie. Nie żeby nie wydała mi się sympatyczna. Tylko że ja mam żonę i dziecko.

– I co mi po tym? Gdybym nie był tu z tobą, nie popatrzyłaby na mnie nawet dupą.

– Taaak... albo się ma to coś, albo nie. Nie można się tego nauczyć.

Mike klepnął go po ramieniu i uśmiechnął się. Wallner odniósł wrażenie, że w tym uśmiechu był cień drwiny.

Na skraju jarmarku pogrążonego w deszczu ze śniegiem stał w bramie kamienicy męczyzna i im się przyglądał. Widział ich, choć od czasu do czasu zasłaniał ich przechodnie. Frank miał w uchu słuchawkę, połączoną przewodem z niewielkim odbiornikiem schowanym w kieszeni płaszcza. Był wnerwiony. Było zimno i mokro. Zastanawiał się, czy nie lepiej było przyjechać samochodem. Mógłby stanąć nim na podjeździe, tuż obok, niecałe dziesięć metrów stąd. W najgorszym razie musiałyby na chwilę odjechać, gdyby ktoś chciał wjechać w bramę. Zamiast tego musiał sterczeć na zimnie i wysłuchiwać jałowego flirtowania gliniarzy z młodą striptizerką. Nie mógł już niestety zapobiec ustaleniu przez policję tożsamości zaginionej kobiety. Jeden telefon w barze i będzie po sprawie. Mimo to wątpił, by to zaprowadziło ich dalej. Więcej niż ta Tiffany, czy jak jej tam było, pewnie i tak nikt nie wiedział.

Tiffany poprawiła w łazience usta, nakładając na nie odrobinę więcej szminki.

– Coś mi się jeszcze przypomniało – powiedziała, wróciwszy do komisarzy.

– Czy wy też tak macie, że ważne rzeczy zawsze przychodzą wam do głowy w toalecie? Ja na przykład, kiedy nie mogę przypomnieć sobie czyjegoś nazwiska, siadam na kibelku i od razu mi przychodzi do głowy.

– Tak, ze mną jest podobnie.

– Co nie? – Tiffany się rozpromieniła, patrząc na Wallnera. Mike studiował

bombki na sąsiednim straganie.

– Proszę mi powiedzieć jedną rzecz. – Wallner usiłował zachować zimną krew, co nie było łatwe, kiedy młoda i ładna kobieta wpatrywała się w niego tak promiennym wzrokiem. – Może to tylko kwestia pani wyjątkowo miłego usposobienia, ale czy pani przypadkiem cały czas nie robi do mnie słodkich oczu?

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził Mike. – Moja wiara w siebie została podkopana na wiele miesięcy.

– Przepraszam. Nie chciałam w pana wlepić spojrzenia.

– Żaden problem. Nie powiedziałem przecież, że pani wlepia we mnie spojrzenie, tylko robi słodkie oczy.

Upłynęło w milczeniu kilka chwil. Tiffany wyraźnie się nad czymś zastanawiała, a Wallner nie chciał przerywać jej toku myślenia. Równiutko złożył torebkę po cukrze, który kwadrans wcześniej wysypał sobie do herbaty.

– Przypomina mi pan kogoś. Kogoś, kogo bardzo lubiłam.

– Pewnie ojca – podsunął ze śmiechem i szczyptą kokieterii Wallner.

Tiffany pominęła to milczeniem. Mike się skrzywił, a Wallner przestał się śmiać. Zapadła pełna skrępowania cisza.

– Ach tak – powiedział w końcu.

– Zmarł cztery lata temu. Tak samo jak pan bawił się okularami. I też był takim typem spokojnego człowieka, o którym się sądziło, że wszystko ma pod kontrolą. Że wszystko będzie dobrze. Kiedy w dzieciństwie płakałam, zawsze szłam do niego, nie do mamy. Zawsze do taty. A on patrzył na mnie ze śmiechem. I wszystko było mniej straszne. Był taką skałą i opoką. Nic go nie ruszało.

– Brzmi to zupełnie tak, jakby był jego bliźniakiem – odezwał się Mike, spoglądając na Wallnera.

– Tylko nad rakiem nie umiał zapanować. – Tiffany zapatrzyła się w bombki.

– Przykro mi – rzekł Wallner i dodał po chwili: – Co pani sobie przypomniała w łazience?

– Ach, właśnie! Wie pan co, wydaje mi się, że to bardzo ważne! – Położyła rękę na przedramieniu Wallnera. – Franzi dała mi kiedyś numer telefonu, pod którym mogłam się z nią skontaktować. To był numer stacjonarny. Mówiła, że tam gdzie przebywa, nie ma zasięgu.

– Ma pani ten numer?

– Nie tutaj, musiałabym poszukać. Niedawno się przeprowadziłam. Mam go w pudle ze wszystkimi dokumentami. Jeszcze dziś w nocy po pracy poszukam i jutro do pana zadzwonię. Jeśli mi pan da swój numer – powiedziała kokieterijnie.

– Bardzo chętnie to zrobi – zapewnił ją Mike.

Umowa franczyzowa restauracji McDonalda na parkingu przy autostradzie Irschenberg była licencją na drukowanie pieniędzy. Właściwie nie było takiej pory dnia czy roku, kiedy lokal nie pękałby w szwach. Teraz, tuż przed świętami, przy złej pogodzie, o wpół do dziewiątej wieczorem, było w miarę spokojnie. Baptist Krugger uznał, że to dobre miejsce na spotkanie z Frankiem. Znajomych z sąsiedztwa tutaj nie spotka, a panował na tyle duży ruch, by nie rzucali się w oczy w tłumie. Na piętrze z kolei było wystarczająco dużo zacisznych kątów, w których można było porozmawiać bez przeszkód. Frank zamówił zestaw z big makiem, Krugger czekoladowe ciasto i kawę.

– I? Jak leci? – zapytał Krugger.

– Całkiem dobrze. – Frank ugryzł wielki kęs hamburgera i wsunął do ust parę frytek.

– Czytałem, że na Wallbergu znaleziono jeszcze jednego trupa.

– Tak. Niezłe bagno.

– Wiadomo, co na to policja?

Frank ostrożnie odłożył hamburgera na tacę i popił łykiem coli to, co miał w ustach.

– Sądzą, że to seria zabójstw.

Otworzył saszetkę z keczupem i wycisnął jej zawartość na frytki.

Krugger skinął głową i przyglądał się, jak Frank z wilczym apetytem pochłania big maca.

– Ten mężczyzna, którego tam znaleziono... czy on też ma coś wspólnego ze sprawą?

– Przypuszczalnie był wtedy z nimi. On i Sophie Kramm mieszkali razem w czasie studiów.

– Też taki społecznik?

– Nie.

– To kto?
– Bankowiec.
– Bankowiec? Jest pan pewien? W sensie, że dlaczego bankowiec miałby...
– Nie mam pojęcia. To wszystko jest dość absurdalne.
– Wie pan, w jakim banku pracował?
– Gdzieś sobie zapisałem. „Südbayerische” coś tam. Prywatny bank w Monachium. Przy Lenbachplatz.

Na twarzy Kruggera odmalowało się zdumienie, przyćmione nagłym olśnieniem, które uderzyło go jak policzek.

– Ta parszywa świnia! To przecież mój bank! Dlatego wiedział... – Krugger odsunął od siebie ciasto. Odechciało mu się jeść.

– Tak, świat jest zły – oznajmił Frank, który rzadko zbaczał na tematy filozoficzne. – Skoro człowiek już nie może ufać nawet własnemu bankowi.

– Cholera! To wszystko jest totalnie porąbane. Nie rozumiem.

– Nie musimy rozumieć. W każdym razie jest o jednego mniej.

– Tak. O kolejnego. Jakoś nie skręcam się z żalu. Nie wie pan przypadkiem – Krugger się zawahał – jak to się stało?

Frank, żując hamburgera, wpatrywał się w swego rozmówcę szaroniebieskimi oczami, jakby ten powiedział coś nieskończenie nudnego.

– No dobra. Nie chcę wiedzieć. Co z trzecią osobą? Była ich trójka. Mężczyzna, ten bankowiec, jak sądzę. I dwie kobiety.

– Jest pewna kobieta – Annette Schilbichler. Mieszkała z pozostałą dwójką. To było w latach osiemdziesiątych. Niewykluczone, że to ta druga.

– Co z pieniędzmi?

– Pracuję nad tym. – Frank popatrzył przez okno na dół. Z autokaru wysypała się gromadka nastolatków. Zastanawiał się, dokąd jadą o tej porze roku. Może na narty do Austrii w przedsezonowej promocji.

– Odwiedziła mnie dziś policja – powiedział niespodziewanie Krugger, wyrrywając Franka z zamyślenia. – Niejaki komisarz Kreuthner. Wiedział, że mam dom na Taubenbergu i zadawał mi dziwne pytania.

– Jakie pytania?

– Czy coś wydarzyło się we wrześniu dwa tysiące ósmego.

– Skąd wiedział o pana domu? – zdumiał się Frank.

– Nie mam pojęcia. To była dla mnie bardzo niezręczna sytuacja. Rodzice nie wiedzieli nic o domu. No i się dowiedzieli.

– Co im pan powiedział?

– Że to tylko pro forma, że wyświadczyłem przysługę przyjacielowi i choć oficjalnie kupiłem dom, ale za jego pieniądze. Ze względów podatkowych.

– Ze względów podatkowych? Zresztą mniejsza o to. Co jeszcze chciał wiedzieć ten komisarz?

Krugger mu opowiedział. Także o tym, że u Immerknechta znaleziono mapę drogową, na której była zaznaczona droga od domu rodziców Kruggera na Taubenberg.

– Niedobrze. Ale nikt w policji nie będzie umiał tego wyjaśnić. Jak się nazywał tamten komisarz?

– Kreuthner.

– W wydziale kryminalnym w Miesbach jest piętnastu śledczych. Żaden z nich nie nazywa się Kreuthner.

– Ale pokazał legitymację.

– Może to ktoś z komisji specjalnej. Z Rosenheim. Sprawdzę to. W każdym razie to dość dziwne.

– No – zgodził się Krugger i odetchnął ciężko. – Muszę przyznać, że zaczynam się denerwować.

Frank skończył jeść big maca. Połowa frytek wystygła na tacy.

– Nie chcę pana denerwować jeszcze bardziej, ale muszę coś powiedzieć.

– Co jeszcze? – Głos Kruggera zabrzmiał niemal płaczliwie.

– Wiedział pan, że Franziska przekazała komuś numer stacjonarny domu?

– Co?

– Wygląda na to, że dała go koleżance z baru. Może nawet jeszcze komuś. Tego nie wiem. Czy kiedykolwiek ktoś dzwonił pod ten numer?

– Nie przypominam sobie. Kurwa mać, mówiłem jej przecież, żeby nikomu nie dawała tego numeru.

Krugger w zamyśleniu popatrzył w dół na autokar. Miejsce przed nim było teraz puste. Z nieba padały gęste płatki śniegu. Prawdziwego śniegu, nie śniegu z deszczem. Irschenberg leżał sto pięćdziesiąt metrów wyżej niż Monachium.

– Jeśli policja się o tym dowie, to trafią do mnie.

– Policja już się dowiedziała.

Krugger wybałuszył z przest్రachem oczy.

– Ale jeszcze nie mają numeru.

– To znaczy...?

– Nic nie znaczy. Niech się pan uspokoi i zostawi wszystko mnie. Za to mi pan płaci. Ach, skoro o tym mowa. To krępujące, że muszę przypominać.

– Przepraszam. Całkiem zapomniałem z tego stresu.

Krugger wyjął z kieszeni marynarki niedużą, białą kopertę i położył ją na stoliku. Frank podniósł ją i nie zaglądając do środka, schował do kieszeni płaszcza. Paru nastolatków weszło na górę i hałaśliwie rozglądało się, gdzie by usiąść. Frank wstał.

– Muszę iść. Niech się pan nie śpieszy. – Wziął tacę, w przelocie ścisnął ramię Kruggera, sygnalizując mu, by jeszcze został, i zniknął w tłumie młodzieży.

Krugger zapatrzył się na ledwie tknięte ciasto czekoladowe. W żołądku

utworzyła mu się wielka klucha. Bał się. Poza tym coraz bardziej doskwierała mu myśl, którą dotychczas wypierał: zakładając, że Frankowi rzeczywiście uda się dotrzeć do pieniędzy, jaki miałby powód, żeby mu je oddać? Jeśliby go oszukał, to owszem, nieodwracalnie ucierpiałyby na tym jego reputacja w środowisku. Ale przy tej sumie Frankowi mogło to być obojętne. Krugger przewidział wcześniej ten problem, zapewniono go jednak, że Frank jest pod tym względem godny zaufania. Ale co się stanie, jeśli Frank naprawdę zdobędzie te pieniądze? Wcale nie musiałby mu o tym mówić. Bo i po co? Musiałby tylko powiedzieć: sorry, nie udało się.

Słodki zapach ciasta uderzył go w nozdrza, wywołując mdłości. Wstał i odszedł, zostawiając tacę. Stał w śnieżnej zadymce przed wejściem do restauracji i popatrzył na parking nocą. Miał tylko tę jedną szansę. Musiał się modlić i mieć nadzieję.

Baptist Krugger miał pietra. I to wyraźnego. W sumie mógł uznać, że to bez znaczenia, dopóki płacił. Lecz to nie było takie proste. Frank gotów był zrobić wiele, by go wybronić przed policją. Aktualnie sprawy zmierzały jednak w złym kierunku. Za pośrednictwem Tiffany Wallner natrafił na trop dziewczyny, tajemniczy komisarz Kreuthner (koniecznie musiał się dowiedzieć, kto to właściwie jest) z jakiegoś powodu wziął na celownik wydarzenia z września 2008. Sprawa mogła się rypnąć. A wtedy? Cóż, nie musiał być jasnowidzem: Krugger zacznie śpiewać jak kanarek. Wniosek był taki, że gość absolutnie nie mógł trafić w ręce policji. Frank musiał trzymać rękę na pulsie i we właściwym momencie poczynić odpowiednie kroki, zanim sprawa wymknie się spod kontroli. Nie miał zbyt wiele czasu.

Jego myśli krążyły wokół tych i podobnych problemów, kiedy jadąc A8, zbliżał się do zjazdu na Holzkirchen. Tu odbijało się do azylu dla zwierząt. Był bardzo blisko pieniędzy. Czuł to. Daniela mogła je załatwić albo przynajmniej do nich doprowadzić. Jednocześnie stałaby się niebezpiecznym świadkiem. Jakoś polubił tę kobietę i zastanawiał się, czy nie było możliwości pozostawienia jej przy życiu. Nic nie przychodziło mu do głowy. Tej nocy Frank nie skręcił na Holzkirchen.

Kiedy czerwony passat wjechał na podwórze, śnieg przestał padać. Włączył się czujnik ruchu nad bramą stajni, a w samej stajni też paliło się światło. Kreuthner najpierw zajrzał przez okno do kuchni, nie zobaczył tam jednak nikogo i odwrócił się w stronę stajni. Panowała cisza. Kury siedziały nieruchomo na ściankach grodzących boksy. Tu i tam w sianie albo na podwyższeniu siedział kot. Tacyt leżał na ziemi pod otwartym końskim boksem, na chwilę odwrócił łeb do przybysza i z powrotem złożył go na swych potężnych łapach, jakby jego wizyta

była najmniej istotnym ze wszystkich wydarzeń na świecie. Kreuthner nie słyszał nic poza kurami, które nie mogły powstrzymać się od grzebania. Konie jak otumanione stały w boksach i ani drgnęły. Podszedł do jednej z otwartych przegród i zobaczył głowę Daniela. Odwróciła się do niego, na jej twarzy widniało zmęczenie.

– Ach, to ty – powiedziała. Bez pretensji, tylko z lekkim zdziwieniem. – Myślałam, że przyjechała weterynarz.

Kreuthner podszedł bliżej. Daniela klęczała na ziemi. Na kolanach trzymała łeb Kaspara, który leżał obok niej, oddychając ciężko i wpatrując się szklistym okiem w sufit.

– Co z nim? – zapytał.

– Nic. Umiera. – Daniela głaskała mokrą szyję Kaspara.

– Czy to... przez ten zacier? – Kreuthner wszedł do boksu i uklęknął obok niej.

Pokręciła głową.

– Jest stary. W końcu kiedyś przychodzi ten moment. – Przez ciało wałacha przebiegł lekki dreszcz. – Możesz mi podać komórkę? Leży na stole przy drzwiach.

Kreuthner przyniósł jej telefon. Daniela zadzwoniła do weterynarz, która już dawno powinna tu być. Okazało się, że utknęła w świeżym śniegu i musiała czekać na wyciągnięcie z zasy przez ciągnik. Za pięć minut powinna się zjawić.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić parę razy.

– Wiem. Zostawiłeś wiadomość. Nie miałam ochoty oddzwaniać.

– Przepraszam za wczoraj.

– W porządku. Myślę, że zwierzętom się podobało. – Poklepała konia. – Twój pierwszy rausz, Kaspar. Jeszcze dane ci było to przeżyć w twoim końskim życiu. – Daniela westchnęła ciężko.

– Ile on ma lat?

– Czterdzieści. Był pierwszym koniem w tutejszym gospodarstwie. To już tyle lat. Wybuchł pożar w stajni, a o nim zapomniano, bo jakoś nikt nie był za niego odpowiedzialny. Pięcioro ludzi na nim jeździło.

– Przeżył.

– Tak. Ale trafiła go rozżarzona belka. Tutaj. – Na zadzie widać było pięćdziesięciocentymetrowe piętno. – Miał otwartą ranę. I zamiast go przeprosić, że przez nich o mały włos nie spłonął żywcem, odesłali go do rzeźni. Bo z otwartą raną nie nadawał się pod siodło. Moja siostra wykupiła go z rzeźni.

Opowieść Daniela jakby tchnęła w Kaspara nowe życie. Uniósł łeb i spróbował wstać, ale w pół ruchu osunął się, spróbował ponownie i znów poniósł porażkę.

– Musimy mu pomóc – powiedziała Daniela, kiedy koń usiłował wstać po raz trzeci. We dwoje zaparli się barkami o bok Kaspara. Ta słaba podpora

wystarczyła mu, by dźwignąć się na nogi. Zlany potem koń stał na drżących nogach.

– Jak się czujesz? – przemówiła do niego Daniela. – Możesz zrobić parę kroków? – Pociągnęła ostrożnie za uzdę. Kaspar wykonał krok na bok i stracił równowagę. Ponownie musieli go podeprzeć.

– Myślisz, że się z tego wykaraska?

– Nie. Ale byłoby lepiej, gdyby umarł na dworze. Wtedy rakarz nie musiałby ciągnąć go przez całą stajnię. To niezbyt piękny widok.

Kreuthner trzymał rękę na ciele zwierzęcia.

– Oddajesz go rakarzowi?

– To tylko jego zewnętrzna powłoka. Kaspar będzie już wtedy w końskim raju. – Przejechała zgrzebłem po szyi konia. Z podwórza dobiegł dźwięk podjeżdżającego samochodu.

Kerstin, lekarka weterynarz, odprawiła już do nieba wiele zwierząt. Mimo to stała przy koniu z wielkim żalem. Cichym głosem rozmawiała z Danią, mówiąc, że Kaspar miał piękne życie i że kiedyś wszystko się kończy, i że wie, jak ona się teraz czuje. Potem przygotowała strzykawkę i zapytała, czy jest gotowa. Daniela pokiwała głową. Kerstin powiedziała do Kreuthnera, żeby pomógł koniowi położyć się na boku, kiedy zastrzyk zacznie działać. On też pokiwał głową. Kerstin zaaplikowała zwierzęciu zawartość strzykawki. Upłynęło kilka chwil i Kaspar zachwiał się, jego nogi osłabły i w końcu ugięły się pod nim. W trójkę podparli go tak, by mógł się położyć na boku. Daniela trzymała rękę pod jego łbem, dopóki jego serce nie przestało bić. Kerstin powiedziała, że to nie jest konieczne.

– Wiem, że on już nic nie czuje. Ale mam wrażenie, że tak jest mu lżej – powiedziała Daniela.

Siedzieli w kuchni, Kreuthner pił piwo, Daniela wiśniówkę ze schedy po wuju Simonie. Kerstin pojechała, a oni nakryli Kaspara derką. Rakarz miał przyjechać dopiero następnego dnia.

– W ogóle nie jesteś smutna? – zapytał Kreuthner. Dziwiło go, że Daniela nie płacze.

– To jest azyl dla zwierząt. Tu się umiera każdego tygodnia.

– Tak tylko mówię. Bo on tu był tak długo.

– Tak – powiedziała, drapiąc Trolla, norweskiego kota leśnego, który rozłożył się u niej na kolanach. – Kaspar był tu pierwszy. Przemięte stworzenie. Teraz już mu dobrze.

– W niebie dla koni?

– Tego mu życzę. – Daniela zdjęła z kolan kota, który miauknął krótko, i poszła do lodówki po ogórki konserwowe. – Chcesz?

– Nie, dzięki. Do piwa nie pasują.

Daniela usiadła przy stole ze słoikiem i odgryzła kęs ogórka.

– Może Kaspar jest już razem z twoją siostrą. Wyobrażam sobie, jak powiedziała do tych w niebie: hej wy, na ziemi jest taki jeden koń, którego chciałabym mieć tutaj. A na to któryś: ty, kostucha, sprowadź no tę czarną szkapinę, coby Sophie miała towarzystwo do czasu, aż przyjdzie reszta.

Daniela uśmiechnęła się, wokół jej oczu pod zasłoną cienkich, jasnych włosów utworzyły się małe zmarszczki i pogłębiły się, pociemniały.

– Też to sobie czasem wyobrażam. I jak galopują w słońcu po kwietnych łąkach, i zawsze jest wiosna, takie rzeczy.

– Wiosna jest fajna. Albo lato. Wieczna zima to słaby pomysł na raj. Gdyby tak mieli dwa miesiące zimy, ale bez jesieni, to jeszcze. Po lecie od razu, pstryk, zima. Nic pomiędzy. Dziś trzydzieści stopni, jutro minus dziesięć. I musieliby mieć też taką górę jak Wallberg. I żeby nocą spadło tak z metr śniegu. A w dzień słońce, biały puch. A kiedy po dwóch miesiącach masz tego po dziurki w nosie, pstryk, trzydzieści stopni, i dalej już lato. – Kreuthner przyniósł sobie kolejne piwo. Wizja zaświatów poprawiła mu humor. – Jeśli istnieje coś takiego jak raj, to tak właśnie wygląda. Jestem tego pewien.

– Tylko że nie istnieje – odparła Daniela i ugryzła ogórka.

– Ach tak? – Kreuthner popatrzył na nią z pewnym zdziwieniem. – Myślałem, że Kasper trafił do końskiego nieba?

– On tak. Ale dla ludzi nie ma nieba. – Ciemne dziecięce oczy Daniela patrzyły w przestrzeń.

– Dla zwierząt jest, a dla ludzi nie?

– Czy ja wiem? Coś mi mówi, że dla nas, kiedy już następuje koniec, to jest koniec. Nic po nim nie ma.

– Mnie tam wszystko jedno, czy coś potem będzie. W sumie też w to nie wierzę. Ale czemu dla koni?

Daniela wzruszyła ramionami.

– Zwierzęta zasłużyły na to, żeby pójść do nieba. Nikomu nic złego nie zrobiły.

Kreuthner z namysłem pociągnął łyk z butelki, odstawił ją (Daniela podsunęła mu podkładkę), wreszcie pokręcił głową.

– Nasz kot kiedyś codziennie zabijał myszy. Po kilka. A raz młodą wiewiórkę. Koty nie idą do nieba?

Troll, który w tym czasie ponownie zajął miejsce na kolanach Daniela, przeciągnął się, zamruczał i wbił pazury w obrus, by po chwili zainteresować się nogą od stołu.

– Te, co drapią meble, nie – oznajmiła Daniela i zepchnęła kota z kolan. – Zwierzęta nigdy nie wszczynają wojen. – Daniela napełniła kieliszek wiśniówką,

jakby to wyjaśniało ostatnie z pytań. – Mówię ci: jeśli ktoś w ogóle idzie do nieba, to zwierzęta. My, ludzie, jesteśmy tylko paskudną pomyłką stwórcy świata. Czegoś takiego jak my nikt nie chce. Najlepiej do raka i na mydło. W zaświatach, oczywiście. W przenośnym znaczeniu, rozumiesz?

– Szkoda. Myślałem, że wuj Simon spogląda z nieba, patrzy, czy wszystko robię tak, jak chciał.

Daniela upiła trochę wiśniówki.

– Chyba go bardzo lubiłeś, tego swojego wuja, co?

– A gdzie tam. To był stary jełop. Za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, raczył mnie jakimś głupim tekstem. – Kreuthner zajął do butelki. – No dobra. Czasami mi go brakuje. Ale jak burzą dom w sąsiedztwie, to też mi go brakuje, albo jak zetną drzewo. Nie lubię, jak coś się zmienia. Kiedy sam coś zmieniam, to jeszcze ujdzie. Ale jak *coś* się zmienia? Łapiesz? Jak ktoś coś zmienia w moim życiu, bez pytania, nie mogę tego ścierpieć. Im dłużej to coś było w moim życiu, tym mniej mogę ścierpieć, gdy znika. Jak Kaspar. Był tu dwadzieścia lat. To oczywiste, że teraz, kiedy go nie ma, została po nim dziura. A twoja siostra była jeszcze dłużej.

– Tak – powiedziała Daniela i przysiadła się do niego na ławę. – Brakuje mi jej – rzuciła. – Posuń się trochę.

Kreuthner przesunął się na bok. Daniela położyła głowę na jego kolanach i zamknęła oczy.

– Czasami, odkąd jej nie ma, jestem bardzo zmęczona. Potwornie zmęczona.

Kreuthner czuł ciężar jej głowy na swoich udach i ciepło, jakim promieniowała Daniela, patrzył na jej drgające od czasu do czasu rzęsy, na rzadkie, prawie białe włosy i usta, które otworzyły się powoli, kiedy zasnęła.

Kobieta siedziała w sekretariacie kancelarii. Obok sporadycznie przechodziły asystentki – czasem (rzadziej) adwokaci – i stłumionym krokiem, z teczkami, w których niosły papiery do podpisania, znikwały w pokojach za zamkniętymi drzwiami. Budynek przy Nymphenburger StraÙe był nowoczesny, otoczony starymi budowlami. Znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie siedziby zarządu krajowego CSU. Latem ulica była zielona i pełna ruchu. Teraz leżał tu śnieg.

– To już nie potrwa długo. Doktor Sperber ma jeszcze tylko jedną rozmowę telefoniczną. Powinna zaraz się zakończyć.

– Nie ma problemu – odpowiedziała. I tak miała szczęście, że mecenas szybko znalazł dla niej czas. Sekretariat utrzymany był w różnych odcieniach bieli. Minimalistycznie. Widok antycznych mebli lub interesujący rysunek słoików drewna zapewne rozpraszałby pracowników. Tutaj nie było niczego, co mogłoby ich dekoncentrować, nie licząc niewielkiej choinki na białej ladzie recepcji, przeciwko której najwyraźniej nikt nie odważył się zaprotestować. Kobieta się bała. Cholernie się bała. Jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie, a ona nie miała nikogo, kogo mogłaby prosić o pomoc.

– Pani pozwoli ze mną, pani Schildbichler. Pan doktor Sperber jest już wolny. – Recepcjonistka wyrosła przed nią z uśmiechem. Annette Schildbichler, bez reszty zaabsorbowana swym strachem, nie widziała, kiedy nadeszła.

Doktor Sperber był mężczyzną po czterdziestce, wysportowanym, całkiem siwym i bardzo wysokim. Poprosił Annette Schildbichler, by zajęła miejsce przy stole konferencyjnym i sam również usiadł. Recepcjonistce kazał przynieść kawę.

– Nie mam niestety zbyt wiele czasu, ponieważ musiałem przyjąć panią między dwoma innymi spotkaniami. Powiedziała pani jednak, że chodzi o Jörga

Immerknechta.

– Zgadza się – odparła i wzięła głęboki wdech. Wyjęła z kieszeni garsonki niewielką kopertę i przekazała ją mecenasowi. W środku znajdował się list zaadresowany do Sperbera.

Drogi Martinie,

w razie mojej śmierci albo gdybym nie był już w stanie jasno się wyrażać i samodzielnie podejmować decyzji, proszę, abyś przekazał list, który złożyłem u Ciebie 6 października 2008, okazicielkom niniejszego pisma. Osobami tymi są Annette Schilbichler, urodzona 31.07.1962, oraz Sophie Kramm, urodzona 04.02.1964. Powinieneś je pamiętać z mojej studenckiej wspólnoty mieszkalnej. W razie gdyby jedna z nich w chwili, gdy otrzymasz to pismo, nie żyła, zdeponowany list ma otrzymać ta, która przeżyła. Odpowiedzi na liczne pytania, które prawdopodobnie Ci się nasuną, mogą udzielić Annette i/albo Sophie. Czy to zrobią, pozostawiam do ich uznania. Jeśli zechcą Ci zawierzyć, proszę, abyś udzielił im pełnego wsparcia (przede wszystkim prawnego), byleby nie zaistniał konflikt interesów. Wspaniale było mieć Cię za przyjaciela. Do zobaczenia w innym życiu.

Jörg

Sperber podniósł wzrok znad listu. Poblądł lekko, odetchnął głęboko i położył kartkę przed sobą na stole.

– Przepraszam, nie poznałem cię od razu. Minęło już ponad dwadzieścia lat.

– Nie widywaliśmy się wtedy zbyt często. Też bym cię nie poznała.

– Jörg nie żyje? – zapytał w końcu po przerwie.

Pokiwała głową.

– Tak. Zmarł wczoraj.

– Niezmiernie mi przykro. Nie widziałem go od trzech lat. Mieliśmy niewiele punktów stycznych. Ale pisywaliśmy do siebie maile. Był chory?

– Nie. On... – Zawahała się, popatrzyła przez okno na przysypaną śniegiem Nymphenburger Straße. – Został zamordowany.

Sperber drgnął.

– Słucham?

– Ktoś go zamordował. Tak samo jak... Sophie.

Sperber przez dłuższą chwilę siedział z rozchylonymi ustami, jakby nie przychodziło mu do głowy nic inteligentnego.

– Wiadomo, kto to zrobił? – zapytał wreszcie ochryplym głosem.

- Nie.
- Ale dlaczego...? I Sophie...? Czy to jest jakoś powiązane? Nie rozumiem. O co tutaj chodzi? – Wskazał na list.
- Tego wołałabym ci na razie nie mówić. Sama jestem w szoku i muszę to wpierw przemyśleć. Poza tym, prawdę mówiąc, boję się jak diabli, że będę następna.
- Annette, na litość boską! Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Czy tam grasuje szaleniec, który chce unicestwić całą waszą niegdysiejszą wspólnotę?
- Nie wiem, czy to szaleniec. Mam pewne podejrzenia. Ale wiedzieć, nie wiem.
- Musisz iść na policję. Powiedz, co podejrzewasz. Muszą to sprawdzić. Tylko idź. A tymczasem weź jakiś pokój w hotelu albo możesz pomieszkać u mnie. Mamy domek w ogrodzie.
- Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony. Ale najpierw muszę wiedzieć, czego sama chcę. – Za oknem z gałęzi jednego z drzew alei posypał się śnieg, porywając ze sobą kolejne śniegowe czapy i płosząc kosa. – Jeśli pójdę na policję, będę potrzebować adwokata. Pomógłbyś mi?
- Naturalnie. Jörg przecież prosił o to w liście. Musiałbym jednak dokładniej zapoznać się ze wszystkim. Być może będę reprezentował rodzinę Jörga. Może zaistnieć konflikt interesów.
- Zajmujesz się prawem karnym?
- Głównie. – Popatrzył z namysłem na swą rozmówczynię. – Zawsze się dziwiłem, dlaczego przekazał mi ten list. Sprawy spadkowe to właściwie nie moja działka. Myślę, że on wiedział dlaczego.
- Annette Schildbichler zagryzła wargę, jakby zastanawiając się, czy może powierzyć mecenasowi tajemnicę.
- Zaczekasz chwilę na zewnątrz? Muszę wykonać kilka telefonów. Kto prowadzi dochodzenie w sprawie morderstw?
- Chyba policja w Tegernsee. Oba ciała znaleziono na Wallbergu.
- W takim razie to podpada pod Miesbach. – Wyglądał, jakby się wahał. – Bądź tak dobra i zaczekaj na zewnątrz. Zastanów się, czy chcesz mi o czymś powiedzieć.

Sperber wykonał kilka telefonów i przekonał się, że Sophie Kramm i Jörg Immerknecht rzeczywiście nie żyją. Udał się do kancelaryjnego sejfu, podzielonego na kilka boksów, którymi dysponowali poszczególni partnerzy. W boksie Sperbera znajdowało się kilka listów i paczek klientów, którzy przebywali w areszcie i wydali odpowiednie dyspozycje, aby w określonych okolicznościach przekazać komuś zdeponowane przedmioty. Sperber nie

interesował się zawartością depozytów i miał nadzieję, że nie staje się w ten sposób winnym pomocnictwa w jakichś ciężkich przestępstwach. List Jörga Immerknechta był zalakowany i miał zwykły format.

Annette Schildbichler z pewnym niepokojem obejrzała kopertę i zważyła ją w dłoni. Była bardzo cienka, zawierała zapewne tylko jedną kartkę, najwyżej dwie. Włożyła list do kieszeni kurtki, nie otwierając go. Sperber tymczasem nalał jej kawy.

– Nie chcę cię do niczego nakłaniać – rzekł. – Ale z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że powinnaś iść na policję. Nie wiem, o co w tym chodzi. Sama potrafisz lepiej ocenić, w jak dużym jesteś niebezpieczeństwie. Nie lekceważ tego. Jeśli ktoś dwukrotnie mordował, to trzeci raz nie robi mu różnicy.

Annette Schildbichler skinęła głową.

– Jeśli opowiem ci, co się kryje za tym listem, prawdopodobnie mi nie uwierzysz. To po prostu zbyt niewiarygodne. – Rozejrzała się po pomieszczeniu. – Rozmowy między klientem i adwokatem są poufne, prawda?

– Absolutnie. Popelnię przestępstwo, jeśli zdradzę szczegóły tej rozmowy.

Zdawała się coś rozważać, nabrała powietrza, jakby zbierała się do zrzucenia z barków ciężaru, którego już nie mogła unieść. W tym momencie zadzwoniła komórka. Annette Schildbichler z irytacją popatrzyła na Sperbera.

– To nie mój – powiedział.

Dwoma ruchami wyłowiła telefon z kieszeni. Numer na wyświetlaczu był nieznany.

– Schildbichler – odebrała. – Tak, mogę. Jeśli pan chce, możemy się spotkać w Monachium... Jestem w Nymphenburgu. To może w kawiarni przy Platz der Freiheit?... Dobrze. Do zobaczenia. – Rozłączyła się.

Sperber popatrzył na nią pytająco.

– To policja. Odezwę się jutro.

Kreuthner dotarł do komisariatu w dobrym humorze, choć tej nocy niewiele się wydarzyło. Daniela zasnęła na jego kolanach. Po jakimś czasie ostrożnie zdjął jej głowę i sam ułożył się na wolnej części ławy. Nad ranem, gdy Daniela była w łazience, napalił w piecu i zaparzył kawy. Razem zjedli śniadanie (wegetariańskie: bułki z dżemem), razem wyczyścili stajnię i razem zczekali na rakarza, który miał zabrać Kaspara. Był mroźny poranek, niebo czyste, a słońce, które pojawiło się nisko nad horyzontem na południowym wschodzie, pociągnęło krajobraz pastelami. Widać było Wallberg i sąsiedni Setzberg, za nimi masyw Guffertu, który z tej perspektywy wydawał się wyższy od Wallbergu, jakby leżał bliżej. Dalej na zachód był Rosstein, Buchstein i przypominający namiot grzbiet Hirschbergu. Wszystkie szczyty bieleły się z powodu spadłego minionej nocy śniegu. Kreuthner siedział z kubkiem parującej kawy na ogrodzeniu wybiegu dla koni, obok niego Daniela. Niewiele rozmawiali, tylko patrzyli na pokryte śniegiem pastwiska na południu, gdzie za moreną lodowcową skrywało się jezioro. Konie i osły stały na białym wybiegu i wydychały gęste obłoki pary. Zwierzęta też lubiły te dni, kiedy mogły oddychać rześkim powietrzem, wszystko było klarowne i czyste, a niebo niemal bezchmurne. Był spokojny grudniowy poranek, święta za pasem.

– Piękna pora na umieranie – powiedziała Daniela, myśląc z żalem o Kasparze.

– Tak – zgodził się Kreuthner – jeśli już umierać, to tylko w grudniu.

Odjeżdżając, Kreuthner podzielił się z Daniellą pomysłem, by urządzić policyjną imprezę bożonarodzeniową w azylu. Nie tylko skapnęłoby trochę pieniędzy, ale rozreklamowałoby się schronisko, może ktoś przejąłby patronat nad którymś zwierzątkiem. Ku jego zdumieniu Daniela się zgodziła. Jednak tylko pod

warunkiem, że nikt nie będzie wchodził do chałupy, poza tym nie chciała nikogo w stajni, ponieważ większość ludzi tylko robiła bałagan, ona zaś była zdania, że jej życie i bez tego znajduje się w wielkim nieładzie. Kreuthner zaproponował, by na czas imprezy wypuścić zwierzęta ze stajni – przede wszystkim konie i osły. To dodałoby szczególnego uroku, bo osły kojarzyły się z Bożym Narodzeniem, świętą rodziną i szopką. Również i to Daniela zaakceptowała, pod warunkiem że w nocy nie będzie zbyt mroźno.

Wallner z samego rana, z pierwszym kubkiem kawy w ręku, zadzwonił do Annette Schildbichler i poprosił o spotkanie. Zgodziła się. Już miał wyruszać do Monachium, kiedy zadzwoniła i odwołała spotkanie.

- Wypadło mi coś ważnego. Będę mogła dopiero jutro – powiedziała.
- Wie pani, że Jörg Immerknecht i Sophie Kramm zostali zamordowani?
- Owszem, wiem. Myśli pan, że to ma coś wspólnego ze mną?
- Uważamy, że to prawdopodobne. Nie chciałbym siać paniki, ale muszę panią ostrzec, że być może grozi pani niebezpieczeństwo. Niech pani będzie ostrożna i unika sytuacji, w których znajdzie się pani sama z kimś, komu nie ufa pani w stu procentach.
- To nie brzmi zbyt dobrze – odezwała się ochryłym głosem.
- Przykro mi. Nie mam dla pani lepszych wiadomości. O której możemy się jutro spotkać?
- Powinnam właściwie iść do pracy.
- To spotkanie jest ważniejsze.

Annette Schildbichler pomyślała chwilę.

- Proszę przyjść do mnie jutro rano. Ma pan mój adres?

Wallner potwierdził i rozłączył się. Nie czuł się dobrze z tą sprawą. Spróbował zadzwonić się do Tiffany, dziewczyny z baru. Miała wyłączoną komórkę. A pod numerem stacjonarnym nikt nie podnosił słuchawki. Również i to go niepokoiło. Poprosił Janette, by w regularnych odstępach czasu próbowała zadzwonić się do Tiffany.

Frank przez całą noc nie zmrużył oka, warując pod domem Tiffany. Na próżno. Dziewczyna nie przyszła. Bar zamykano o piątej nad ranem. Powinna się zjawić gdzieś między piątą o szóstą. Może poznała kogoś. Wkurzające to wszystko. Rozważał przez chwilę włamanie. To było jednak ryzykowne. Kto tam wie, jaki bajzel czekał go w jej mieszkaniu. Ten pieprzony numer telefonu mógł być wszędzie. Kilka lat temu przetrząsał na zlecenie pewne mieszkanie w poszukiwaniu kokainy. Przez trzy godziny wywracał wszystko do góry nogami, aż zauważył, że

właściciel mieszkania ma podejrzenie dużo dziurkaczy biurowych. W sumie osiem sztuk. Kokaina była w pojemnikach na konfetti! Nie, Frank nie chciał ponownie narażać się na coś takiego. Dziewczyna w końcu musiała wrócić. Przyniósł sobie kawę z piekarni znajdującej się trochę dalej w dół ulicy. Nie spuszczał wzroku z drzwi domu. Wsiadł do wozu, wypalił papierosa, sączył kawę i czekał. Na tym polegała jego praca.

O piątej Tiffany pojechała z dwiema koleżankami na dyskotekę, gdzie dała się poderwać młodemu mężczyźnie. Powiedział jej, że handluje używanymi komórkami i robi na tym niesamowitą kasę. W każdym razie Tiffany domyślała się, że mniej więcej to właśnie wykrzykiwał jej do ucha, kiedy stali niedaleko parkietu. Chłopak fajnie wyglądał i był pewny siebie, co jej się podobało. Ale był bardzo młody. Nawet nie miał trzydziestki. Porównała go z poznanym dwa dni temu komisarzem i musiała przyznać, że starsi mężczyźni wydawali jej się bardziej atrakcyjni. Kiedy oznajmiła handlarzowi używanych komórek, że wraca do domu sama, stał się agresywny z powodu urażonej męskiej dumy. Ponieważ miał mocno w czubie, Tiffany wołała przenocować u koleżanki, która mieszkała tuż obok dyskoteki. To wprawdzie nie oszczędziło jej spotkania z Frankiem, ale opóźniło je o kilka godzin.

O dziesiątej Wallner natknął się w biurowej kuchni na Kreuthnera, który czekał tam na szefa, ponieważ było powszechnie wiadomo, że ten codziennie o dziesiątej przychodzi po swoją trzecią kawę. Wallner wahał się chwilę, czy zostawić kurtkę puchową w gabinecie. Do kuchni było tylko parę metrów. Ale te przypadły na korytarz. A cieć zawsze zostawiał w nim otwarte okno, jakoby po to, by wietrzyć go z zapachu kawy, który mu przeszkadzał. Wybierając się do kuchni bez okrycia, można było nieźle zmarznąć. W końcu zwyciężył rozsądek i Wallner włożył kurtkę – już i tak, poruszając się po budynku, rozpiął ją, żeby nie wyglądać idiotycznie.

– I? Jak idzie śledztwo?

– Całkiem nieźle. Właśnie tkwimy w klinczu z Urzędem Ochrony Konstytucji. Mieszkanie, które zamieszkiwały kiedyś wspólnie ofiary, było obserwowane. Przypuszczamy, że w grze maczał palce jakiś agent pracujący pod przykrywką, którego tożsamości nie chcą nam zdradzić.

Wallner nie widział powodu, by nie informować Kreuthnera o stanie śledztwa, skoro ten już o to pytał. Wprawdzie nie należał do komisji, ale to on odkrył ciała i przemówił do rozsądku pani Immerknecht. Poza tym nie wiadomo, czy w jakiś inny sposób nie przyczyni się do rozwiązania sprawy.

– Ale nadal nie macie pomysłu, dlaczego ktoś ich zamordował?

Wallner wlał sobie resztki kawy i wypłukał szklany dzbanek.

– Przypuszczamy, że to ma coś wspólnego ze zwłokami z fotografii. Ale prawdę mówiąc, rzeczywiście nie mamy pomysłu.

– Może ja bym miał.

– A podzieliłbyś się nim z nami? – Wallner nalał wody do ekspresu.

– To jeszcze nic konkretnego. Powiem wam, jak będę wiedział więcej.

– Tylko nie rób głupot, dobra? Jeśli coś wiesz, to powiedz. To może uratować komuś życie.

Kreuthner się zawahał.

– Leo, wiemy, że jesteś łebski facet, masz intuicję i dobre pomysły. Bardzo to cenię. Szczerze. Ale wiemy też, że zdarzyło ci się parę rzeczy skopać. Więc jeszcze raz: jeśli coś masz, to podziel się tym z nami.

– Kiedy będziesz miał czas?

Wallner spojrział na zegarek.

– O dwunastej?

– Dobra. Wpadnę.

– A poza tym? Co z imprezą świąteczną?

– A, właśnie. Zaszła mała zmiana.

Wallner popatrzył na niego pytająco.

– Sala parafialna nie wypaliła. Przez knowania Sennleitnerowej.

– Przez ten incydent na Wallbergu?

– Nie do wiary, ale tak. Przecież to zupełnie nie moja wina.

– Zapomniałeś o niej. Tkwiła w śniegu przez kilka godzin. Też bym się wkurzył.

– Byłem w szoku. To były drugie zwłoki na tej samej ławce. Pokaż mi takiego, który w podobnej sytuacji wszystko miałby pod kontrolą.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Ja z tym nie mam problemu. Mówię tylko, że w pewien sposób rozumiem Anneliese. – Wallner napełnił ekspres wodą i zmielonymi ziarnami i włączył go. W milczeniu czekał, aż kawa się zrobi. Wziął kubek i wyszedł na korytarz. – O dwunastej u mnie.

Był już prawie na zewnątrz, kiedy Kreuthner go zatrzymał.

– Czekał chwilę! Co to jest?

– Co? – Wallner się odwrócił.

– No to, na ramieniu. – Kreuthner podszedł do niego i obmacał kurtkę puchową. – Odwróć no się.

W górnej części rękawa, w miejscu zszycia z plecami, coś było. Wyglądało jak nieduży patyczek. Wallner zdjął kurtkę i przyjrzał się temu bliżej.

– Może to dutka pióra.

– Farmazony gadasz. W środku jest samo pierze.

Kreuthner przesunął palcami po patyczku o grubości wkładu do długopisu i stwierdził, że pod spodem tkwi coś większego. Wallner też wyczuwał zgrubienie.

– Masz rację. Tu coś jest. Skąd się wzięło?

Obejrzał dokładnie kurtkę. Najpierw z zewnątrz. Nie było żadnych dziur. Zlustrował podszewkę i znalazł w rękawie niewielki kawałek taśmy klejącej. Spod niej wyłoniło się rozcięcie, przez które ktoś wsunął do środka przedmiot. Po krótkiej szamotaninie Wallner tą samą drogą wydobył go na światło dzienne. Był to czarny sześcian z wystającym z niego grubszym drutem. Kreuthner i Wallner przyglądali mu się w milczeniu. Kiedy Kreuthner otworzył usta, by coś powiedzieć, Wallner położył palec na ustach. Następnie podszedł do lodówki i włożył czarną kostkę do zamrażalnika.

Chwilę potem pluskwa została zdezaktywowana. Oliver, który był kryminalistyką, znał się trochę na urządzeniach podsłuchowych. Pracował kiedyś dla kontrwywiadu w Berlinie.

– Od kiedy ją masz? – Oliver z uznaniem zważył małe urządzenie w dłoni.

– Przypuszczalnie od wizyty w Urzędzie Ochrony Konstytucji.

– To raczej mało prawdopodobne. Po pierwsze, nie wolno im tego robić.

– Bardzo śmieszne. A po drugie?

– Ten gadżet pochodzi z Izraela. Wydaje mi się, że u nas ufają raczej rodzimej technice. W każdym razie tak było u nas w Berlinie.

– Cholera. Nie mam pojęcia, od kiedy jestem podsłuchiwany.

– W każdym razie ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby schować pluskwę w twojej kurtce puchowej. Dzięki temu miał zagwarantowaną obserwację praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Oliver wyszczerzył się bezczelnie. Kreuthner też nie mógł powstrzymać się od drwiącego uśmiechu.

– Wiem, że za moim plecami stroicie sobie żarty z mojej kurtki. Jestem ponad to, okay?

– Nie, Clemens, nie zrozum tego źle. Twoja kurtka jest kultowa. A po tym incydencie – Oliver wskazał pluskwę – to już w ogóle.

– Naprawdę cały czas podsłuchiwali mnie za pomocą tego gadżetu?

– Nadajnik ma zasięg trzystu, czterystu metrów. W zależności od pogody nawet więcej. Więc jeśli ktoś stoi na parkingu, słyszy, o czym mówi się u ciebie w biurze.

– A jeśli jechał za mną do Wasserburga albo do Monachium...

– To oczywiście również. Słyszał rozmowy w samochodzie.

– Albo w Urzędzie Ochrony Konstytucji.

– Tak. Zabawne, że profesjonalni szpiedzy wpuszczają gościa z podsłuchem.

Poproszono do rozmowy Mike'a.

– Jaka jest najgorsza opcja?

- Co masz na myśli?
- Jakie najbardziej poufne informacje mogły znaleźć się w obcych rękach?
- Ta, że Annette Schildbichler mieszkała razem z dwiema ofiarami i że nawiązaliśmy z nią kontakt.
- Jeśli morderstwa rzeczywiście wiążą się z byłą wspólnotą, to sprawca o tym wie. A przynajmniej wie, że Schildbichler była trzecią lokatorką.
- Zgadza się. Ale jeśli chce ją zlikwidować, to wie także, że pozostało mu niewiele czasu.
- Ostrzegłeś ją.
- Mam nadzieję, że potraktowała serio to ostrzeżenie.
- A co z tym tajniakiem z Urzędu Ochrony Konstytucji? – wtrącił się Kreuthner.
- Dla sprawcy powinno być nowością, że wspólnota znajdowała się wtedy pod obserwacją. I że jest tajny agent, który może dostarczyć nam informacji. Hauser, dzięki Bogu, nie powiedział, kto to taki.
- Sprawca może się tego domyślić. Przypuszczalnie lepiej zna ówczesne struktury niż my.
- To wszystko spekulacje. A my zakładamy jako pewnik, że to sprawca podpiął koledze Wallnerowi podsłuch – powiedział Mike.
- A kto inny mógłby to zrobić?
- Nie mam pojęcia. Ale ten numer z pluskwą wygląda na profesjonalną robotę.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Chcę przez to powiedzieć, że nasz morderca prawdopodobnie jest psychopatą i dokonuje zbrodni według rytuału, który stworzył w swoim chorym umyśle. To mi nie wygląda na robotę profesjonalnego zabójcy. Facet od pluskwy to zawodowiec.
- Może morderca płaci facetowi z pluskwą – wtrącił Kreuthner.
- To niewykluczone – zgodził się Wallner. – Albo morderca jest psychopatą, ale takim, który pracuje bardzo sumiennie. Inaczej nie dałby rady popełnić dwóch tak podobnych do siebie zbrodni. A ktoś, kto zdołał to zrobić, poradzi sobie i z pluskwą.
- Może i tak. – Mike nie był do końca przekonany. – Ta striptizerka, której tak się spodobałeś, zadzwoniła do ciebie?
- Nie... – Wallner spochmurniał. – Czego mógł dowiedzieć się podsłuchujący?
- Że jesteśmy na tropie martwej dziewczyny ze zdjęcia.
- I że Tiffany miała nam dać numer stacjonarny, pod którym ostatnio była osiągalna zmarła. *Shit.*

Wallner wyjął z portfela numer komórki Tiffany i sięgnął po telefon. Znowu

odezwała się poczta głosowa. Wallner poprosił o pilne oddzwonienie. Powiedział, że chodzi o numer, który Tiffany miała przekazać policji. Kiedy się rozłączył, poszukał wzrokiem Mike'a.

- Mam złe przeczucia. A ty?
- Podobnie – odpowiedział Mike.

Tiffany wyszła od koleżanki około jedenastej i włączyła komórkę. Odsłuchiwała wiadomość Wallnera, który pytał, czy znalazła numer Franziski Michalski, zaginionej dziewczyny od torebki. Postanowiła, że oddzwoni do niego, kiedy wróci do domu i odszuka numer.

Frank od dwóch godzin zastanawiał się, czy pojechać do azylu i zająć się Danielą Kramm. Tiffany mogło nie być przez cały dzień. Przeciwno temu przemawiało, że wczoraj prosto z jarmarku zamierzała jechać do baru, a nie miała ze sobą ani bagażu podróznego, ani żadnej większej torby. Raczej nie będzie chciała spędzić całego dnia, nie zmieniawszy bielizny. Tak przynajmniej przypuszczał, bazując na swojej znajomości kobiet.

W końcu zdecydował argument, że dziewczyny z baru table dance pracowały do czwartej, piątej nad ranem i spały też odpowiednio długo. Frank nastawił się na kilka dodatkowych godzin czekania. O wpół do dwunastej jego cierpliwość została nagrodzona. Pojawiła się Tiffany i weszła do budynku. Frank zgasił papierosa i pojechał parę przecznic dalej.

Mieszkanie Tiffany nie było duże. Mimo to mieściło sporo zakamarków, w których swą zapomnianą egzystencję mógł wieść świstek z numerem telefonu, tym bardziej że młoda kobieta całkiem niedawno się przeprowadziła i nie rozpakowała jeszcze wszystkich kartonów. W starym biurku, które zabrała ze sobą ze swojego dziecięcego pokoju, kartki z telefonem nie znalazła. Pomyślała o stojaku na dokumenty, gdzie gromadziła papierzyska, składane jedne na drugich w kolejności chronologicznej. Karteluszek powinien być gdzieś na samym dole, ale go tam nie było. Nie pozostawało jej nic innego, jak wziąć do ręki każdy papier z osobna.

Rozległ się dzwonek. Tiffany podirytowana podeszła do drzwi i wcisnęła

guzik domofonu.

– Dzień dobry, pani Plungauer. Moje nazwisko Grieser, jestem z policji kryminalnej w Monachium.

– Dobrze, i co z tego?

– Koledzy z Miesbach prosili, żebym odebrał od pani numer telefonu. Podobno wie pani, o co chodzi.

– Właśnie go szukam. To może chwilkę potrwać. Chce pan poczekać?

– Żaden problem. Mogę wejść na górę?

– Mieszkam na parterze.

Zabzyczał domofon otwierający drzwi.

Tiffany wskazała policjantowi miejsce na kanapie i zapytała, czy chce kawy. Odmówił, dziękując.

– Wydaje mi się pan skądś znajomy – rzekła, sortując stertę z papierami.

– Nie sądzę, żebyśmy się znali. Niektórzy mówią, że jestem podobny do Charlesa Bronsona.

– Możliwe. Może dlatego pana twarz wydaje mi się znajoma.

– Co to właściwie za numer telefonu? – zapytał Frank, żeby zmienić temat.

Rok temu wziął zlecenie od właściciela baru, w którym pracowała Tiffany. Ściśle mówiąc, chodziło o byłego pracownika baru, który okradł właściciela (tak przynajmniej twierdził właściciel, a Franka zadaniem nie było podawanie w wątpliwość informacji zleciodawców). W każdym razie, wykonując zlecenie, złamał tamtemu człowiekowi kość jarzmową, co było bardzo bolesne, pociągało za sobą długie leczenie i w pewnych kręgach odczytane zostało za sygnał, że nie można bezkarnie okradać właściciela baru. Wstępna rozmowa przed tym przedsięwzięciem odbyła się właśnie w barze. Parę dziewczyn przeszło obok ich stolika, niektóre gapily się na Franka z pewnej odległości. Domyślały się, że z facetem, którego szaroniebieskie oczy szklily się tak brutalnie, szef negocjuje nieczyste interesy. Możliwe, że wśród tych dziewczyn była Tiffany.

– To numer mojej dawnej koleżanki. Zaginęła kilka lat temu i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

– Pewnie nie pamięta pani tego numeru?

– Nie, oczywiście, że nie. Zresztą to było trzy lata temu. Dała mi wtedy kartkę z numerem.

– Rozumiem. I nie wie pani, gdzie wówczas mieszkała? Po numerze kierunkowym?

– Przykro mi. Nawet nie spojrzałam wtedy na tę kartkę.

Frank uznał, że lepiej, aby tak zostało. Gdyby po znalezieniu wpatrywała się w karteluszki zbyt długo, musiałby ją niestety... Prawdopodobnie musiał to zrobić i tak. Bo zobaczyła jego twarz, a ta była charakterystyczna. Policja natychmiast wszczęłaby poszukiwania fałszywego policjanta. Przeklął w myślach Baptista

Kruggera. Nie dało się przewidzieć, że ten szajs zacznie zataczać takie kręgi. Tak to niestety bywało, kiedy policja zwietrzyła jakiś trop. Obserwując szperającą w papierach Tiffany, Frank rozmyślał o Kreuthnerze, który, jak się dowiedział, pracował wprawdzie w policji w Miesbach, ale nie jako komisarz dochodzeniówki, tylko zwykły patrolowy. Ze zdjęcia wynikało, że to właśnie tego mężczyznę spotkał w azylu dla zwierząt.

Zadzwoił telefon. Tiffany przerwała poszukiwania, podeszła do leżącej na kanapie torebki i chciała wyjąć komórkę. To załatwił jednak za nią policjant. Popatrzył na wyświetlacz, a potem na bezbrzeżnie zdumioną Tiffany.

– Hej, co panu przychodzi do głowy? To moja! Pewnie dzwonił właśnie pana kolega z Miesbach.

Frank wyłuskał smartfon z jej rąk. Znał ten numer. I owszem, właśnie dzwonił kolega z Miesbach.

– Niech pani idzie szukać tego numeru telefonu.

– Akurat! Niczego nie będę szukać. Niech pan opuści moje mieszkanie.

– Co się pani tak rzuca. Numer telefonu w zamian za komórkę, taki jest *deal*.

– O co tu w ogóle chodzi? Mogę zobaczyć... pana legitymację? – Ostatnie słowa Tiffany zabrzmiały bojaźliwie.

– Naturalnie – powiedział Frank, sięgnął za poję kurtki i wyciągnął nóż myśliwski. Tiffany cofnęła się i podbiegła do drzwi. Był szybszy. Chwycił ją za rękę, zanim do nich dotarła, i uderzył w twarz. Tylko raz, ale tak celnie i niewyobrażalnie mocno, że pod jej lewym okiem natychmiast zaczął się tworzyć krwiak.

– Idź szukać tego pieprzonego numeru! Masz dziesięć minut.

Tiffany z przerażeniem wpatrywała się w nóż w ręku Franka.

Szukała w papierach, między książkami, w pudełkach i pojemnikach zawierających rozmaite szpargały. Szukała gorączkowo, oddychając płytko, zdjęta nieopisanym strachem. Miała nadzieję, że mężczyzna, który na pewno nie był z policji, pójdzie sobie, kiedy znajdzie ten numer. Z oczu płynęły jej łzy wściekłości, że nie mogła znaleźć tego przekłętogo karteluszką. Musiał być w mieszkaniu, bo go na pewno nie wyrzuciła. Nie zrobiłaby tego. Cały czas chciała zadzwonić do Franzi. Aż w końcu minęło tyle czasu, że zrobiło jej się wstyd. I przekładała to na jakieś nieokreślone później.

Siedzący na kanapie intruz położył nóż na niskim szklanym stoliku przed sobą. Ostrze miało zęby i otwory, i wyglądało na wykonane z twardej, ostrej stali. Co z nią robi, jeśli nie znajdzie numeru telefonu? Zamorduje ją, oszpeci twarz? Jeśli ją zabije, będzie musiał szukać sam. Podejmie takie ryzyko? Wysypała na podłogę zawartość małego, sześciokątnego pudełka. W środku były klucze, stare

bilety kolejowe, nieważna karta kredytowa, dwa żółte plastikowe gwizdki, których pochodzenia nie mogła sobie przypomnieć, tekturowa podkładka pod piwo z browaru w Tegernsee, pojedynczy ochraniacz na rękę do jazdy na rolkach, pół kostki z kartkami do notatek z nadrukiem firmy transportowej... Podkładka! Franzi zanotowała numer na podkładce pod piwo. Odwróciła ją, i rzeczywiście. Był tam! Tiffany spadł z serca tak wielki ciężar, że zaczęła dygotać i płakać z radości. Zapłakana podeszła do kanapy i podała mężczyźnie podkładkę. Popatrzył i skinął głową.

Frank rozpoznał numer. To faktycznie był numer telefonu do domu Baptista Kruggera na Taubenbergu. Gdyby wpadł w ręce policji, byłoby po sprawie i po zleceniu. A tego nikt nie chciał.

– Okay. Bardzo ładnie – rzekł i popatrzył przyjaźnie, żeby uspokoić kobietę.
– Niech pani słucha. Zrobimy tak: odwróci się pani i zacznie liczyć do stu. Potem może pani zrobić, co chce. Jeśli opowie pani o naszym spotkaniu policji, przyjdę ponownie. A wtedy nie będę już taki miły. Jasne?

Pokiwała głową.

– Dobrze, w takim razie niech się pani teraz odwróci i popatrzy na ścianę. Może pani zamknąć oczy.

– Tak, tak, ale niech pan już idzie.

– Co pani powie policji, jeśli zacznie wypytywać o numer telefonu?

– Że nie mogłam go znaleźć.

– Tak właśnie zrobimy. A teraz żegnam. Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

Tiffany zgodziła się z nim w duchu, ale wołała nic nie mówić. Frank wziął nóż ze stolika, wstał i popatrzył na plecy kobiety. Pod błękitnym kaszmirowym sweterkiem odznaczał się kręgosłup, prawie widać było żebra i klatkę piersiową, która zaciskała się i rozciągała szybkimi, nagłymi ruchami. Musiał objąć czoło Tiffany lewą ręką i pociągnąć w tył, żeby przeciąć jej gardło, zanim zacznie wykonywać w obronie ruchy rękoma. W teorii brzmiało to łatwo, ale Frank nie miał w tych sprawach zbyt dużej wprawy. No i czuł opory, kiedy chodziło o kobiety (z tego powodu był nawet trochę z siebie dumny). Szkopuł w tym, że jeśli czegoś nie przećwiczyło się tysiące razy, nie działało się automatycznie i należało liczyć się z niespodziankami. Frank wziął głęboki brzuszny oddech i skoncentrował się. Zrobił krok do przodu, wyciągnął lewą rękę, by zdecydowanym gestem, bez ociągania się złapać za czoło kobiety. Coś jednak poszło nie tak. Kobieta krzyknęła i uchyliła się. Usiłował dosięgnąć jej głowy, którą kręciła jak szalona, waląc rękoma na oślep. Jego ostatnim ratunkiem był kopniak w żebra, który wytrącił ją z równowagi. Trzymała się już tylko regału z książkami, żeby nie upaść. Regał zachwiał się, zauważyła to i umyślnie pociągnęła za mebel, przewracając go w tym momencie, w którym Frank chciał

ponownie zaatakować. Regał wysypał swą zawartość na dywan i na moment zatarasował drogę Frankowi, co wystarczyło, by kobieta uciekła do łazienki i zamknęła się w niej od środka.

– Niech pani wyjdzie. Nic pani nie zrobię – odezwał się Frank do łazienkowych drzwi. – To było nieporozumienie. Przepraszam. – Nie sądził, by uwierzyła w te bzdury. Zadał sobie pytanie, gdzie się mogła podziać jej komórka. Leżała na kanapie. To go trochę uspokoiło, ale nie rozwiązywało problemu. Drzwi łazienki dzielił od naprzeciwległej ściany niecały metr. Otwierały się do środka. Frank ocenił odległość, uderzył obcasem buta w miejsce nad klamką i zaparł się o ścianę. Już za pierwszym kopnięciem udało mu się częściowo odłamać metalowy sztyld klamki. Po drugim sztyld odpadł i drzwi zostały otwarte. Tiffany usiłowała domknąć je, napierając na nie ciałem, co ostatecznie skazane było na klęskę, jako że Frank ważył dwa razy więcej od niej.

Kiedy znalazł się w środku, zmieniła taktykę i zabarykadowała się za otwartymi drzwiami, przyciągając je do siebie. Sięgnął ręką za drzwi i chwycił ją za włosy. Krzyczała i drapała. Bez litości wyciągnął ją i przycisnął głową do podłogi. W ferworze walki upuścił nóż, który leżał teraz za drzwiami, poza jego zasięgiem. Żeby go podnieść, musiał na chwilę puścić kobietę. W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

Mike wcisnął dzwonek opatrzony nazwiskiem „A. Plungauer”. Odpowiedziała mu cisza.

– Może nocowała poza domem – spekulował Mike.

– Może. – Wallner zlustrował ulicę, licząc, że kobieta właśnie w tej chwili pojawi się na horyzoncie. I wtedy coś usłyszał. Cichy, ale powtarzający się dźwięk. Zabrzmiał jak krzyk. – Co to było?

– Dochodzi ze środka – zauważył Mike. Obaj nasłuchiwali. Ulicą przejechał samochód i zagłuszył wszystko inne. Kiedy się oddalił, odgłos się powtórzył.

– Czy tam ktoś krzyczy?

Mike skinął głową i wcisnął wszystkie dzwonki na domofonie. Po nieskończeniu długiej chwili z głośnika rozległ się zrzędlawy kobiecy głos.

– Poczta – powiedział Mike.

Rozległ się brzęczyk otwieranych drzwi. Policjanci weszli na klatkę schodową. Krzyki były tu głośniejsze. Dobiegały zza drzwi na parterze, opatrzonych tabliczką z nazwiskiem Plungauer.

Mike i Wallner dopadli do nich, zaczęli łomotać w nie i wołać „policja!”. Kobieta w mieszkaniu krzyczała dalej. Mike wziął rozpęd i rzucił się na drzwi. Ani drgnęły. Mike z wykrzywioną z bólu twarzą trzymał się za bark. Wallner nie miał czasu na współczucie. Krzyki ustały. Wyciągnął broń i krzyknął:

– Odsunąć się od drzwi! Będę strzelał w zamek! – Zaczekał kilka sekund

i wycelował.

– To na pewno dobry pomysł? – jęknął Mike.

– Nie. Ale nie mam lepszego. – I zawołał głośniejszym głosem: – Strzelam!

W tym momencie usłyszeli chrobot obracanego w zamku klucza. Ktoś nacisnął klamkę. Wallner wycelował broń w szczelinę w drzwiach.

Frank biegł, zostawiając w śniegu ślady stóp. Kolejny błąd w tej gównianej sprawie. Zeskoczył na kontener na papier, skąd pokonując dwumetrowy mur, dostał się na podwórze czynszówki, gdzie dozorca bardziej przykładał się do roboty i porządnie odśnieżył i wysypał żwirkiem swój rewir. Chudy facet w szlafroku wyszedł z domu z workiem śmieci i gapił się na Franka, który z zakrwawionym nożem w ręku i popłochem w oczach nie wzbudzał wielkiego zaufania. Chudzielec zawrócił na pięcie i pobiegł z powrotem, pośliznął się (dozorca nie był widać aż tak dokładny) i wymachując kończynami, wyłożył się jak długi. Frank zdziwił się, że facet mimo to nie wypuścił worka z rąk, ale nie zaprzętał tym sobie dłużej myśli, tylko przez bramę wybiegł na sąsiednią ulicę.

Pośpiesznie wytarł nóż śniegiem z krawężnika, schował go i wskoczył do odjeżdżającego właśnie z przeciwległej strony ulicy miejskiego autobusu. W środku nikt nie patrzył mu w oczy, jakby samym wyglądem sugerował, że nie życzy sobie, by się na niego gapić, i że robi się nieprzyjemnie, jeśli ktoś nie uszanuje tego życzenia. Większość wyczuwała, czy ktoś jest w stanie przywalić komuś z całej siły w twarz. Frank zawsze był dumny ze spojrzenia à la Charles Bronson. Teraz wolałby zrezygnować ze swego charakterystycznego oblicza.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął podkładkę pod piwo, przyjrzał jej się, po czym schował. Przekłęty numer telefonu był bezpieczny. Uratował dupę swemu zleceniodawcy. Przypuszczalnie nie na długo. Zresztą dupa Baptista Kruggera od jakiegoś czasu przestała go obchodzić. Miał swój interes w tym, by Krugger jak najdłużej pozostał nie niepokojony przez policję: dopóki tak było, policja nie dowie się o nim, Franku.

Po trzech przystankach wysiadł i wędrował ulicami położonymi bliżej centrum, gdzie panował nieco większy ruch. Musiał uporządkować myśli, poukładać w kolejności rzeczy do załatwienia. Ponieważ przeczuwał, że ta cała historia nieuchronnie zakończy się katastrofą (właściwie już połowicznie do niej

doszło), widział tylko jeden sensowny cel: pieniądze. Oczywiście było, że już tylko Annette Schilbichler mogła sprawować kontrolę nad kontem. To ona musiała być tą trzecią kobietą. Nie była nią Daniela, tyle udało mu się ustalić. W jej starym komputerze znalazł kalendarz sięgający roku 2006. Dwudziestego czwartego września 2008 była na trzydniowym seminarium poświęconym pielęgnacji koni. A zatem Annette Schilbichler. Natychmiast zadzwonił do niej z budki telefonicznej.

– Nazywam się Grieser. Jestem dawnym znajomym Sophie Kramm. Właściwie przyjacielem jej rodziców, kiedy jeszcze żyli. Dowiedziałem się, że Sophie zginęła w straszny sposób.

– Tak, wiem – powiedziała Annette Schilbichler. – Od dawna się z nią jednak nie widziałam.

– Przykro mi. Chyba się przyjaźniłyście. Tak czy owak: chodzi o to, że Sophie przysłała mi niedawno list. W nim był kolejny list, który miałem przekazać pani, jeśli coś by jej się przytrafiło.

– Mnie?

– Tak. Tylko pani. Sophie pisze, że to sprawa życia i śmierci, by otrzymała pani ten list. Naprawdę nie wiem, co to wszystko ma znaczyć. I odnoszę wrażenie, że chyba powinna pani pójść na policję. To oczywiście pani sprawa. Pragnąłbym tylko jak najprędzej przekazać ten list. A nie chciałbym wysyłać go pocztą, co chyba pani rozumie.

– Nie, nie, absolutnie. Gdzie mogę się z panem spotkać?

– Mogę go pani podrzucić. Po południu będę w okolicach Ammersee.

– Świetnie. Może pan przyjść około trzeciej?

– Tak, to da się zrobić.

– I proszę pilnować listu. Wie pan, co jest w środku?

– Nie. Jest zaklejony. I nie chcę wiedzieć.

– Naturalnie. W takim razie o trzeciej. Wie pan, gdzie mieszkam?

– Adres jest na kopercie.

Frank schował komórkę i popatrzył w niebo. Przez cienką warstwę zimowej mgły przebierała tarcza słońca. Wciągnął w płuca zimne powietrze i rozejrzał się wokół. Mróz, śnieg, przygnębieni ludzie. Zostawi to za sobą i resztę swych dni spędzi gdzieś, gdzie jest ciepło, a ludzie są radośni. Tylko nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd.

Jeśli chodzi o delikatne przedsięwzięcia, Frank nauczył się, by nie zostawiać samochodu bezpośrednio w miejscu zdarzenia. Raz mu się zdarzyło, że sąsiad zadzwonił na policję, podczas gdy on w mieszkaniu obok spuszczał komuś łomot. Udało mu się wprawdzie uciec, ale nie mógł dostać się do samochodu, bo ten stał bezpośrednio pod domem, otoczony trzema wozami patrolowymi na sygnale. Kiedy następnego dnia udał się po samochód, sąsiad rozpoznał go i podał numery

policji. Przez własne niedbalstwo Frank zaliczył dwa lata za ciężkie uszkodzenie ciała. Ale czegoś się nauczył.

Kiedy wsiadał do swojej terenówki, z bezpiecznej odległości widział przed apartamentowcem migające niebieskie światła.

Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, Frank pośpiesznie podniósł nóż i wrócił do łazienki, gdzie Tiffany ponownie zabarykadowała się za drzwiami. Nie było łatwo zadać śmiertelny cios, bo dziewczyna wymachiwała rękoma, jakby wstąpił w nią sam diabeł, nie dając mu ani jednego punktu do ataku. Nóż wprawdzie haratał jej ramiona i zadał jedną czy dwie rany w bark, ale to nie wystarczyło, aby zabić. W chaosie usiłował przynajmniej trafić w tętnicę szyjną. Kobieta miała szczęście. Jeden cios minął tętnicę o kilka centymetrów. Kiedy gliniarze stanęli pod drzwiami i zapowiedzieli, że przestrzelą zamek, Frank musiał odstąpić od ofiary i czmychnąć przez okno. Tiffany, otworzywszy drzwi mieszkania, usiadła na podłodze, mocno krwawiąc z ramion i barku. Na jej twarzy malowała się bezgraniczna trwoga.

Dziewczyna została przewieziona do szpitala. Znajdowała się w ciężkim wstrząsie, podejrzewano, że dłuższy czas nie będzie można jej przesłuchać. Wallner i Mike nie mieli ani opisu sprawcy, ani pojęcia, czego chciał. Wallner obawiał się, że napastnikowi chodziło o numer telefonu, który miała znaleźć Tiffany. Poprosił techników monachijskiej dochodzeniówki, żeby zabezpieczyli w mieszkaniu wszelkie notatki, które choć trochę przypominały numer telefonu.

– Dziewczyna prawie straciła życie. Co za idiota ze mnie. – Wallner stał z Mikiem pod apartamentowcem i zastanawiał się, co robić dalej.

– Nie miej do siebie pretensji. Kto mógł się spodziewać, że będziesz na podsłuchu? Przecież to jakiś absurd.

– Ale i fakt, niestety. Jak ustalić, kto podrzucił mi pluskwę do kurtki?

– Pomyślmy. Przecież ty prawie nigdy jej nie zdejmujesz. U ciebie w domu albo na komisariacie to by było zbyt zuchwałe.

– Okay. Zastanówmy się, gdzie jeszcze ktoś mógłby mieć ku temu okazję.

– Byliśmy w Monachium w tym sklepie ze strojami ludowymi. A potem u gościa, któremu ukradziono kartę kredytową.

– Z facetem od karty poszliśmy do kawiarni. Powiesiłem kurtkę w szatni?
Mike wzruszył ramionami.
– Nie mam pojęcia. Raczej nie. Z reguły jej nie zdejmujesz.
– W lokalu? Nie gadaj głupstw.
– Nie, to fakt. Chyba że jesteś w towarzystwie kobiety. Wtedy jest ci głupio.
– Nie mam pojęcia, co ty bredzisz. Zdejmuję kurtkę, normalnie, jak każdy człowiek.

Mike podniósł rękę w geście triumfu.

– Wiem: musieliśmy wziąć stolik przy drzwiach. Przy drzwiach, czyli jakieś dziesięć metrów od nich. W każdym razie strasznie się piekliłeś, że za każdym razem, kiedy ktoś wchodzi, od wejścia ciągnie zimmem. Przypominasz sobie teraz?

Wallner myślał intensywnie.

– Okay... możesz mieć rację. Zdaje się, że wyjątkowo postanowiłem nie zdejmować kurtki.

– A wtedy przyszła kelnerka – zarechotał Mike – i zapytała, czy ci ją powiesić w szatni. – Pokręcił głową. – Boże, ale żenada.

– Żadna żenada. Powiedziałem, że nie, bo zaraz wychodzimy.

– I siedzieliśmy tam z godzinę. Ty w kurtce puchowej.

– Do rzeczy – rzucił Wallner podirytowany. – Czyli to się nie stało w kawiarni.

– Nie. To może w Wasserburgu?

Wallner pokręcił głową.

– Nie było sytuacji, w której mógłbym zdjąć kurtkę.

– Racja. – Mike pokiwał głową i popatrzył na Wallnera.

– Mówisz to ironicznie czy jak?

– Człowieku, coś ty taki wrażliwy? Wcale nie ironicznie. Masz całkowitą rację. W Wasserburgu nie rozstawałeś się z kurtką ani na chwilę.

Wallner się skrzywił. Doznał bolesnego olśnienia.

– *Fuck!* Wiem, gdzie to było.

– Mianowicie?

– Po wizycie w kawiarni, czyli po spotkaniu z facetem od karty, kiedy jechaliśmy do domu, zadzwoniła do mnie tamta kobieta. Ta ze wschodnioeuropejskim akcentem. Pojechaliśmy do Gmund i spotkaliśmy się z nią w restauracji na kąpielisku.

– Ach tak! Pamiętam. Grzecznie odwiesiłeś kurtkę na wieszak. Chociaż stolik był jeszcze bliżej drzwi. Taaak, cudowna siła kobiecości.

– Przestań chrzanić. Po prostu nie było takiego przeciągu jak...

Mike nawet nie próbował zachować powagi.

– Dobra, niech ci będzie – ustąpił Wallner. – Powiesiłem kurtkę na wieszaku. Nawiasem mówiąc, to było jedyne spotkanie, kiedy ktoś poprosił nas

o przyjechanie w konkretne miejsce. Przypuszczam, że ktoś dał tamtej babce trochę kasy, żeby nas zajęła, a sam podrzucił w tym czasie pluskwę.

– Jeśli sobie dobrze przypominam, przekazała nam informacje, które sprawdzamy do usranej śmierci.

– I? Coś z nich wynikło?

Mike wyjął komórkę. Kazał połączyć się z policjantką z komisji śledczej, która miała za zadanie sprawdzić, czy w latach 2007–2008 w którymkolwiek z monachijskich hoteli pracowała Czeszka o imieniu Elisabeta. Rozpytanie nie przyniosło jak dotąd żadnych rezultatów, co w obliczu najnowszych ustaleń wcale ich nie zdziwiło. Mike powiedział koleżance, że może zakończyć ustalanie i zająć się czymś sensownym.

Podczas gdy Mike rozmawiał przez telefon, zabręczała komórka Wallnera. Dzwoniła sekretarka starosty powiatu, pragnąc w imieniu szefa wysondować, czy w związku z morderstwami toczy się śledztwo przeciwko niejakiemu panu Kruggerowi.

– Właściwie nie udzielamy osobom postronnym takich informacji. Dlaczego starosta chce to wiedzieć?

– Pan Krugger skarżył się, że wczoraj był u niego ktoś z policji kryminalnej i zdaje się, że trochę dziwnie się zachowywał.

– Ten Krugger od świec?

– Dokładnie. To nie jest oficjalne zapytanie. Ale pan Krugger zasiada w radzie powiatu. No i starosta jest... powiedzmy, odrobinę zaniepokojony.

– Jak się nazywa policjant, który był wczoraj u pana Kruggera?

– Niejaki komisarz... momencik... Kreuthner.

Mike zauważył wnerwione spojrzenie Wallnera i popatrzył na niego pytająco.

– Wszystko jasne. Proszę przekazać panu staroście, że się tym zajmę. – Wallner rozłączył się i pokręcił głową.

– Co się dzieje?

– Kiedyś go uduszę – zapowiedział Wallner.

W drodze do Miesbach postanowili, że każą sporządzić portret pamięciowy kobiety ze wschodnioeuropejskim akcentem i prześlą go policji w Monachium w nadziei, że jakiś funkcjonariusz albo agent kiedyś gdzieś ją widział.

– Czyli jest ktoś, kto był gotów posunąć się do zabójstwa, bylebyśmy tylko nie dowiedzieli się, kim była nieżywa kobieta ze zdjęcia. Zgadza się? – Mike podsumował ustalenia dnia.

– Albo ktoś nasłał na nią zabójcę. Skłaniałbym się raczej ku temu. Mężczyzna działa brutalnie i rozważnie, czego dowodzi przykład z pluskwą.

– Pytanie, czy to on zamordował tę dwójkę na Wallbergu.

– Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że nie. Zabójstwa z Wallbergu popełniono bardziej subtelnie.

– Z drugiej strony dziś sytuacja była inna. Może musiał improwizować, a potem jeszcze my mu przeszkodziliśmy.

– A cholera wie. Brakuje nam po prostu jednego ogniwa. Powiązania między zamordowanymi na Wallbergu a nieżywą kobietą ze zdjęcia.

– Może trzeba zapytać Kreuthnera. On zawsze ma dobre pomysły. – Mike wyszczerzył się w uśmiechu.

Wallner posępnie wpatrywał się w śnieżny krajobraz wzdłuż autostrady, usiłując dodzwonić się do Annette Schildbichler. Włączała się tylko jej poczta głosowa.

Kreuthner zapukał, chociaż drzwi były otwarte. Wallner zatelefonował do kolegów z Herrschingu nad jeziorem Ammersee z prośbą, żeby ktoś podjechał do Annette Schildbichler. Nie można się było do niej dodzwonić ani na komórkę, ani na stacjonarny. Po wszystkim, co dziś zaszło, stawał się coraz bardziej nerwowy. Wallner kiwnął ręką Kreuthnerowi, by wszedł.

– Wejdz i zamknij drzwi.

Kreuthner zrobił, co mu kazano.

– Chcesz kawy? Coś chyba zostało w dzbanku w kuchence.

– Nie, dziękuję. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mamy mały problem.

Kreuthner usiadł na krześle, które pokazał mu Wallner.

– Wiesz, jakoś tracę rozeznanie, jeśli chodzi o moich podwładnych.

– A to jakim cudem?

– Najwyraźniej mamy wśród nas komisarza Kreuthnera.

– Ach, no coś ty. A to numer. To ktoś z zewnątrz, z komisji śledczej?

– Nie. W komisji nie ma żadnego Kreuthnera. – Wallner pozwolił, by jego słowa zaczęły oddziaływać. Kreuthner milczał. – Byłeś wczoraj u Kruggerów?

– Ja? A ja tam niby po co?

– Też bym to chciał wiedzieć.

– Nawet ich nie znam.

– Leo, mogę ich tu wezwać. Chętnie przyjadą. Stary Krugger skarżył się na ciebie do starosty.

– A co to nas obchodzi? Starosta może nam naskoczyć.

– Nie o to chodzi. Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Tym razem przesadziłeś. Podałeś się za komisarza policji kryminalnej.

– Mój Boże! To jakaś katastrofa czy co? Tylko trochę sondowałem grunt. Co za różnica jako kto. Jestem z policji. To nie wystarczy?

– Nie, to w rzeczy samej nie wystarczy. Nie masz żadnych uprawnień do przeprowadzania czynności śledczych. I dobrze o tym wiesz. Nie zamierzam zamiatać tego pod dywan.

– Powiesz Höhnbichlerowi?

Höhnbichler był szefem policji porządkowej i bezpośrednim zwierzchnikiem Kreuthnera. Znajdował się na tym samym szczeblu policyjnej hierarchii co Wallner, który jeśli chodzi o dyscyplinę, nie odpowiadał za Kreuthnera.

– Nie. Nie powiem mu. Ty to zrobisz.

Kreuthner z irytacją wyjrzał przez okno.

– Boże drogi! Zgraja biurokratów!

– O tak. Jesteśmy urzędnikami państwowymi. Nie powiedzieli ci tego, jak cię zatrudniali?

Kreuthner milczał.

– Dobra. A teraz chciałbym wiedzieć, czemu tam węszyłeś. Nazwisko Krugger jakoś na razie się nie pojawiło w śledztwie.

– Ach, coś takiego! A jednak chcesz wiedzieć.

– Owszem, chcę wiedzieć. Szanse, że to rzeczywiście może mieć jakieś znaczenie, stoją pół na pół. To ci muszę przyznać.

– Zaraz wracam – oznajmił Kreuthner i wyszedł z gabinetu Wallnera. Po

trzech minutach wrócił z mapą drogową, którą rozpostarł na biurku.

- Co to jest?
- Mapa powiatu. Należała do Jörga Immerknechta.
- A w jaki sposób znalazła się w twoich rękach?
- Wisiała w pokoju jego córki. Zobaczyłem ją tam i zabrałem.

Wallner nie potrafił wyrazić swego zdumienia. Wpatrywał się w Kreuthnera z otwartymi ustami.

- Podwędziłeś ją?
- Zabezpieczyłem. To dowód rzeczowy.
- Dobrze, nazwijmy to tak: przywłaszczyłeś sobie dowód rzeczowy.
- Gadasz farmazony. Technicy w życiu nie zabraliby tej mapy. Po pierwsze, jak mówiłem, wisiała w pokoju córki. A po drugie: czy ty byś ją zabrał? Sam popatrz.

Wallner przyjrzał się mapie.

- Nie sądzę. Chociaż zaznaczono na niej jakąś trasę. Być może najpierw bym o to zapytał. No dobrze. Prawdopodobnie bym ją tam zostawił.

– Właśnie – rzucił Kreuthner. – Właśnie!

– No i? Oświeć mnie. Co ta mapa ma wspólnego z morderstwami?

– Zaznaczona droga prowadzi z domu Kruggerów w Miesbach do innego domu na Taubenbergu. I ten dom, jak ustaliłem, należy do młodego Kruggera. Baptist mu na imię.

Wallner patrzył bezradnie.

- A teraz uważaj: stary Krugger nie wiedział, że młody ma własny dom.
- Z punktu widzenia stosunków międzyludzkich całkiem interesujące. Ale jeszcze raz: co to ma wspólnego z naszą sprawą?

– To teraz ja zapytam ciebie: dlaczego w domu Immerknechta wisi mapa, na której zaznaczona jest droga z domu Kruggera do innego domu?

– To w istocie ciekawe pytanie. A córki przypadkiem nie pytałeś?

– Owszem. Zadzwoiłem do niej. Nadal przebywa w szpitalu w Haar. Wzięła tę mapę z makulatury i nie wie, dlaczego ktoś zaznaczył na niej tę trasę. Teraz twoja kolej.

– Momencik. Z całym poważaniem dla twojej intuicji. Jeśli w pokoju dziecięcym widzę na ścianie mapę, na której zaznaczona jest jakaś trasa, a nie mam pojęcia, co jest jej początkiem i jej końcem... bo tak przecież tak było, prawda?

Kreuthner przytaknął.

– Chodzi mi o to, że do tego momentu mapa nie budzi żadnych podejrzeń. W najlepszym razie myślę sobie, że ktoś zaznaczył na niej drogę, która ma dla niego jakieś znaczenie. Ale w życiu nie przychodzi mi do głowy, że to może mieć jakiś związek z zamordowaniem danej osoby. I tobie też nie. Więc?

– Więc co?

– Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego.

Kreuthner zastanowił się, czy wtajemniczyć Wallnera. Wychodziło na to, że musiał powiedzieć mu więcej – choć nie wszystko.

– No dobra. Przeprowadzałem kiedyś kontrolę drogową. I to dokładnie w tym miejscu, w którym jest krzyżyk. – Kreuthner wskazał na odpowiednie miejsce na mapie. – Była tam w lesie sygnalizacja świetlna, na której zatrzymały się dwa samochody.

– Z powodu robót drogowych?

– Tak to wyglądało. Tylko że światła cały czas wskazywały czerwone. I w ogóle to wyglądało podejrzanie.

– Podpowiadała ci to intuicja czy jest w tym coś więcej?

– Wiesz, jak to jest, kiedy coś się nie trzyma kupy. Kierowca nie pasuje do samochodu. Ciuchy nie pasują do kierowcy. Było kilka takich szczegółów, które po prostu do siebie nie pasowały. Oczywiście to kwestia wyczucia. Dlatego nie mogłem nic zrobić. – Kreuthner kwestię pieniędzy uznał za zbyt drugorzędną, żeby wspominać o niej w swej relacji.

Wallner pomyślał chwilę. Sam nie wiedział, co o tym sądzić.

– Nie powiedziałem ci jeszcze, kiedy to było. – Na twarzy Kreuthnera zakwitł uśmiech, który mógł być tylko zwiastunem bliskiego triumfu. – To był dwudziesty czwarty września dwa tysiące ósmego.

Wallner po raz pierwszy był pod wrażeniem.

– Aha – odezwał się. – Z tego okresu mogło pochodzić zdjęcie martwej kobiety. Rozumiem. – Popatrzył podejrzliwie na Kreuthnera. – Tylko mi nie mów, że masz jakiś pomysł, jak to wszystko ze sobą się łączy?

– Nie. Właśnie próbowałem się tego dowiedzieć.

– I?

– Kruggerowie milczą jak Sycylijczycy. – Kreuthner złożył mapę. – Musielibyśmy przeszukać dom.

Wallner był nawet skłonny to zrobić. Zdawał sobie tylko sprawę, że ten pomysł nie wywołałby zachwyty u prokuratora Tischlera.

– Pomijając fakt, że niełatwo byłoby przekonać prokuratora do naszych przeczuc... – Zawahał się.

– Co dalej?

– Musiałbym oczywiście powiedzieć Tischlerowi, że Krugger poszedł na skargę do starosty. Nie chciałbym, żeby sam się o tym dowiedział. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– No tak, i co?

– Tym samym sprawa nabierze dla Tischlera wydźwięku politycznego. To by oznaczało, że zanim wlezie w pokrzywy, będzie chciał mieć pewność, że się nie sparzy. A nie możemy mu dać tej pewności. – Wallner wyjął Kreuthnerowi mapę

z ręki. – To zostanie tutaj. I nie zapomnij pójść do Höhnbichlera.

Kiedy Kreuthner zamknął za sobą drzwi, Wallner odebrał telefon. Dzwoniono z Herrschingu.

Gmina Herrsching niejedno zawdzięczała swemu położeniu nad jeziorem Ammersee u stóp klasztoru Andechs. Ammersee miało rozliczne plusy. Było tu więcej przestrzeni niż nad niewielkim Tegernsee, które leżało wciśnięte między góry. Mimo to widać było Alpy, a kiedy wiał fen, wydawały się nawet w zasięgu ręki. Pomimo turystyki i bliskości Monachium jezioro zachowało w sobie coś pierwotnego, czego niektórzy znawcy Górnej Bawarii odmawiali sąsiedniemu Starnberger See, które uchodziło za skażone pieniędzmi.

Wallner i Janette przybyli do zaśnieżonego i świątecznie oświetlonego miasteczka około piątej. Zapadł już zmrok. Mike został w Miesbach, żeby zorganizować poszukiwania sprawcy, który o mały włos nie zabił Anniki Plungauer alias Tiffany. Jadąc nad Ammersee, Wallner zadzwonił do prokuratora Tischlera w sprawie nakazu rewizji obu domów Kruggerów. Wobec karygodnego postępowania Kreuthnera Tischler zżymał się nad zuchwałością tej prośby i oświadczył, że on się pod tym z całą pewnością nie podpisze. W każdym razie nie bez konkretnych przesłanek.

Dwupiętrowy dom czynszowy, przed którym się zatrzymali, pochodził z lat siedemdziesiątych i składał się z ośmiu mieszkań, z których każde miało drewniany balkon albo kawałek ogródka. Zachodni balkon Annette Schildbichler na pierwszym piętrze wychodził na jezioro. Roztaczał się z niego piękny widok, ponieważ budynek leżał na zboczu wzgórza. Policjanci utorowali sobie drogę przez tłumek gapiów i okazawszy legitymacje mundurowemu pilnującemu porządku za taśmą, zostali powitani przez komisarza policji kryminalnej z Fürstenfeldbruck, pod którą z powodów znanych wyłącznie fachowcom od administracji podlegał Herrsching, mimo iż powiat Starnberg znajdował się znacznie bliżej.

W mieszkaniu Annette Schildbichler pracowali specjaliści od zabezpieczania śladów. Tina była już na miejscu i służyła technikom wsparciem, głównie w kwestii znajomości szczegółów poprzednich morderstw. Wallner i Janette

spotkali ją na klatce schodowej.

– Ten sam wzorzec – powiedziała Tina. – Wykrwawienie na skutek przecięcia tętnic. Znow wygląda to na samobójstwo. Zakładam, że obdukcja wykaże obecność GHB.

– Są jeszcze jakieś inne podobieństwa? Poza rodzajem zgonu? – zapytał Wallner.

– Denatka siedzi na krześle ogrodowym i spogląda na jezioro. Może właśnie o to chodziło sprawcy.

– Nie było zdjęcia?

– Ach, właśnie! Naturalnie. Ponownie mamy tu zdjęcie ekshumowanych zwłok, tym razem w torebce denatki.

– Ofiary wyglądają, jakby popełniły samobójstwo, spoglądają na jezioro, za każdym razem z góry, i mają przy sobie zdjęcie, na którym widać ekshumowane zwłoki zaginionej kobiety – podsumowała Janette. – Mamy już jakąś analizę profilowania?

Profilowaniem kryminalistycznym zajmowali się specjaliści z LKA.

– Pracują nad tym – odpowiedział Wallner. – Ale sama wiesz, ile to trwa.

Profileryzy odmierzali czas w tygodniach i miesiącach.

– Są świadkowie? – zapytała Janette.

Dwupokojowe mieszkanie pana Kohla było małe, czyste i urządzone w stylu neobawarskim z kolorowymi relikdami lat osiemdziesiątych. Miało nieduży taras z ogródkiem. Ponieważ policjant z Fürstenfeldbruck przekazał prowadzenie rozmowy Wallnerowi, komisarz dla rozluźnienia atmosfery zauważył, że latem ogródek z pewnością jest uroczy.

– Ach, wie pan – odpowiedział słabym głosem Kohl. Siedział w szlafroku i kapciach w fotelu i też sprawiał wrażenie słabego. – Ogródek to tylko obowiązek. Może zdrowemu to i miło posiedzieć blisko natury i tak dalej. Ale ja jestem na wcześniejszej emeryturze, niezdolny do pracy. – Zaśmiał się z goryczą. – Zdyskwalifikowany w wieku pięćdziesięciu pięciu lat! Człowiek harował i harował, aż do kalectwa. Jak kto głupi, to dobrze mu tak.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł Wallner. – Ale widzę, że ma pan stąd dobry widok na wejście do budynku.

– O tak. Widzę każdego, kto wchodzi. Prawie każdego. I oczywiście tylko wtedy, kiedy siedzę w tym fotelu. No, ale siedzę przecież niemal cały czas. Chyba że jestem u lekarza, jak dziś przed południem. Plecy zrujnowane, stawy – wszystko! Wie pan, jak to jest, gdy się ma reumatyzm?

– Słyszałem, że to może być bardzo bolesne. Ale wróćmy do...

– To jest taki ból, mówię panu, nie ma pan pojęcia – wszedł mu w słowo

Kohl. – Najgorszemu wrogowi nie życzę. Najgorszemu wrogowi! To jest istne piekło! I jeszcze człowiek wysłuchuje, jaki to z niego symulant. Że to niby psychosomatyczne. Tylko dlatego, że nie potrafią nic znaleźć, konowały.

– Tak, o to dziś nietrudno.

– Psychosomatyczne! Dranie. W takim wspaniałym kraju żyjemy. A jak się dla tego czystego kraju zaharujesz, człowieku, to ci jeszcze dadzą kopa w dupę, ogłędnie mówiąc. Psychosomatyczne!

– Przy całym zrozumieniu dla pana sytuacji... ale chciał nam pan powiedzieć, co zaobserwował.

– Ach, to! Tak, tak. Ten facet po południu. To było tuż przed trzecią. Przyjeżdża taki jeden. Terenówką. Ciekawe, skąd ludzie mają forszę. Taki wózek kosztuje spokojnie z pięćdziesiąt kawałków. Gdzie tam. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, jak się chce jakie takie wyposażenie.

– Widział pan z fotela samochód? – Wallner, siedzący na krześle naprzeciwko Kohla, odwrócił się do okna i przekonał, że ulicy, która leżała nieco poniżej budynku, nie było widać.

– Stałem akurat przy oknie, kiedy przyszedł. Muszę regularnie wstawać. Bo jak człowiek siedzi cały dzień, to może się przyplątać *decubitus* jak nic.

Wallner skinął głową. Było oczywiste, że nic mu to pojęcie nie mówi. Popatrzył na Janette. Ona nie była mądrzejsza.

– Odleżyny. To jest dopiero diabelstwo. Na początku niczego nie czujesz. Takie małe zacerwienie. Wygląda niewinnie. Ale biada, jak to przeoczysz albo nic z tym nie zrobisz. Ani się obejrzysz, a tu otwarta rana. A wtedy do widzenia. Znajomego zabrali do szpitala z otwartymi odleżynami. Trzy miesiące i kaplica. A jak mówię „otwarte”, to mam na myśli dziury w ciele wielkie jak pięść. Kości widać. Człowiek gnije na żywca!

– W takim razie to bardzo rozsądne, że wstaje pan raz na jakiś czas. Więc stał pan przy oknie, kiedy przyjechał terenówką mężczyzna i podszedł do drzwi do budynku.

Kohl przytaknął.

– Może pan opisać tego mężczyznę?

– Mniej więcej w moim wieku. Metr siedemdziesiąt. Mocno zbudowany. Ale nie gruby. Napakowany. – Kohl ponownie zaśmiał się gorzko. – Na pewno nie ma nic z plecami.

– Widział pan, do których zadzwonił drzwi?

– Nie. Ale słyszałem dzwonek w mieszkaniu nade mną.

– Słyszał pan coś jeszcze?

– Stał tam jakiś czas. I wszedł dopiero wtedy, kiedy ktoś wychodził z budynku. Niech mnie pan nie pyta, kto to był. Nigdy przedtem go nie widziałem. Znaczący tego, co wychodził.

– Słyszał pan jeszcze jakieś odgłosy z mieszkania pani Schildbichler?

– Nic, zupełnie. Żadnych odgłosów walki. Nic. Chyba jej nie zatłukł, co? –
W zmęczonych oczach Kohla zabłysła niepohamowana ciekawość.

– Musimy poczekać na rezultaty obdukcji. Może pan opisać tego umięśnionego mężczyznę? Do portretu pamięciowego?

– Pewnie. Ale rysownik musiałby przyjechać tutaj. Widzi pan chyba, w jakim jestem stanie.

– To się robi na komputerze. Ale opłacimy panu taksówkę.

Dochodziła szósta, kiedy Wallner dodzwonił się do Berndta Hausera z Urzędu Ochrony Konstytucji.

– W czym mogę pomóc, panie Wallner?

– Dziś została zamordowana Annette Schildbichler. Ze sporym prawdopodobieństwem przez tego samego sprawcę.

– Przykro mi z tego powodu. I czego pan ode mnie oczekuje?

– Nazwiska przykrywkowca wraz z aktualnym zdjęciem.

Po drugiej stronie linii na kilka sekund zapanowała cisza.

– Czy jest podejrzewany o dokonanie zabójstwa?

– Teoretycznie tak. Praktycznie musimy najpierw ustalić, czy jest potencjalnym sprawcą, czy ważnym świadkiem, a może kolejną ofiarą. Na pewno jednym z trojga.

– Zobaczę, co się da zrobić. Jest już dosyć późno.

– Panie Hauser, pan pracuje w wywiadzie. James Bond też nie ma fajrantu o piątej.

– O, znowu żart o Bondzie.

– Proszę mi wybaczyć moje prowincjonalne poczucie humoru. Chcę oznajmić, co następuje: sprawca w ciągu kilku ostatnich dni zamordował troje ludzi i być może ciężko zranił kobietę. Miała szczęście, że zjawiliśmy się w samą porę. Sprawa jest pilna!

– Niech mi pan da swój adres mailowy.

Kilka minut później Wallner otrzymał zdjęcie Josephy Leberecht wraz z kilkoma danymi personalnymi. Agent, który szpiegował we wspólnocie Immerknechta, Kramm i Schildbichler, był kobietą. Zdjęcie pokazano Kohlowi, a także innym lokatorom. Nikt jednak nie przypominał sobie kobiety. Wallner ponownie zadzwonił do Hausera.

– Panie Hauser, dziękuję za szybką reakcję. Na miejscu zbrodni najwyraźniej

nikt nie widział tej Leberecht. Mimo wszystko chcielibyśmy z nią porozmawiać.

– Więc czemu pan do niej nie zadzwoni?

– Już to zrobiłem. Zgłasza się poczta głosowa. Pomyślałem, że może ma pan inny numer, niejako na użytek służbowy.

– Spróbuję dotrzeć do Leberecht inną drogą. Mogę zadzwonić do pana prywatnie?

– Tak. Dam panu numer swojej komórki.

Kiedy Wallner się rozłączył, odebrał telefon od Janette.

– Znaleźliśmy w mieszkaniu list. Sprawa zaczyna się robić interesująca – poinformowała.

Policja w Herrschingu udostępniła dwa pomieszczenia, w których mogli pracować śledczy. Uzgodniono, że sprawę zabójstwa Annette Schildbichler przejmie komisja specjalna z Miesbach. Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie trzy zbrodnie albo zostały popełnione przez tego samego sprawcę, albo istniał między nimi ścisły związek. Janette z kilkoma funkcjonariuszami siedziała przy dłuższym ze stołów i wklepywała coś w komputer. Obok niej leżała komórka oraz bezprzewodowy aparat stacjonarny.

– Co robisz? – zapytał Wallner, stawiając przed nią kubek kawy i przyciągając od sąsiedniego stolika plastikowe krzesło.

– Dzięki – odpowiedziała, spoglądając na kawę. – Robię listę zapisanych w pamięci numerów. Zestawienie wszystkich rozmów prowadzonych przez Annette Schildbichler przed jej śmiercią, zarówno z komórki, jak i ze stacjonarnego. A także połączenia, których nie odebrała.

– Znalazłaś coś ciekawego?

– Telefon z budki telefonicznej w Monachium. Niecałe dziesięć minut po napadzie na twoją striptizerkę.

– W pobliżu jej mieszkania?

– Nie bezpośrednio. Czekał chwilę... – Wpisała do Google Maps adres Tiffany. Następnie powiększyła fragment i pokazała na lokalizację budki telefonicznej. – Stąd.

– Jaka to odległość?

Janette włączyła pomiar odległości i wymierzyła odcinek. W linii prostej wynosił 1,7 kilometra.

– Trochę za daleko. Telefon zadzwonił dokładnie osiem minut po tym, jak weszliście do mieszkania.

– Ale oba miejsca są położone przy jednej linii autobusowej. Pamiętam to z czasów, kiedy mieszkałem w Monachium.

– Tak. Może złapał autobus. Tylko że najpierw musielibyśmy ustalić, kto to

był.

– Mike pracuje nad tym – powiedział Wallner. – Chciałaś mi coś pokazać.

Janette wyjęła ze stosu papierzyk przezroczystą plastikową koszulkę i położyła ją przed Wallnerem. W środku znajdował się wydruk listu.

Netti, Netti! Co to za historie? Naprawdę myśleliście, że możecie mnie odprawić z kwitkiem? I to po całej tej politycznej robocie, jaką odwaliliśmy, łącznie z 3000 rozmów o sprawiedliwości i znaczeniu systemu. tak zwyczajnie po ludzku, byłoby wyjątkowo rozczarowujące, gdyby drzemałyby we mnie jeszcze jakieś oczekiwania. I to uczucie, że ktoś cię wydymał, co za syf! Tylko że ja już niczego od was nie oczekuję – czy to nie smutne? Odpowiedz sobie na pytanie, dlaczego tak jest – brak jakichkolwiek oczekiwań wobec ludzi, o których się myśli, że się ich zna jak nikt inny. z którymi się żyło i walczyło. Ale stop – popadam w sentymenty. może dlatego, że moglibyście mi podziękować za tyle rzeczy, ale nie robicie tego, tylko mnie wykluczacie. Tak z ręką na sercu – kto wam mówił: „bezcelowe jest mówienie o możliwości działań, trzeba udowadniać możliwości poprzez czyny”. Fakt, to wymyślił Lenin, ale to moje słowa – i tak mi dziękujecie? Nie mogę w to uwierzyć! Wy niewdzięczni umysłowi obskuranci! no dobrze, przejdźmy do rzeczy i odsuńmy na bok te uprzejmości: uważam, że wasze zachowanie jest kompletnie chujowe i dlatego żądam miliona jako przeprosin. Jeśli ich nie dostanę, moje zachowanie w stosunku do was też stanie się chujowe, a mianowicie w taki sposób, że zasypię was gliną jak gówno piachem. Pieniądze oczywiście przekazane zostaną na szczytny cel. Tylko nie oczekujcie pokwitowania. Odpowiedz mi proszę najpóźniej za tydzień.

ZSP + bar

– Jak myślisz, co oznaczają te skróty? – zapytała Janette.

– Z socjalistycznym pozdrowieniem, ale *bar*? *Burn after reading*?

– Może.

Wallner zabębnił nerwowo palcami po plastikowej koszulce, podczas gdy Janette dopiła ostatni łyk kawy z papierowego kubka, zezując na swego zwierzchnika.

– Język i pisownia bardzo przypominają mail, który znaleźliśmy u Sophie Kramm – zauważył Wallner.

– To pisała ta sama osoba. Może ta tajemnicza Stalin?

Terenówka sunęła na południe szosą B2 w kierunku Murnau. Czubek Zugspitze jaśniał w ostatnich promieniach słońca i był to jeden z niewielu pięknych momentów tego dnia. Niepowodzeń było za to kilka. Cały czas powracał do sprawy ze striptizerką z Monachium. Wizyta nad Ammersee też nie przebiegła po jego myśli. Owszem, kobieta nie żyła i w ten sposób zniknął być może ostatni człowiek, który mógł się okazać niebezpieczny dla jego zleceniodawcy. Tego jednak nie wiedział na pewno. Nikt nie mógł tego wiedzieć. Trójka ludzi, jedna tajemnica. Pytanie tylko, jak długo ta tajemnica pozostała w kręgu tej trójki.

W Murnau uświadomił sobie, że nie jadł przez cały dzień. Zajechał do gospody, gdzie spędził dwie godziny, rozmyślając o swoim położeniu. Rezultat tych rozważań okazał się zaskakująco klarowny: musiał dostać się do pieniędzy i zniknąć. Nie wiedział, ile czasu mu jeszcze zostało. Może ze dwa dni. Pod warunkiem że Baptist Krugger nie straci zimnej krwi. Frank wziął do ręki jedną z trzech komórek na kartę, które gwarantowały mu anonimowość, i zadzwonił do Kruggera.

– Gdzie pan jest? – zapytał bez wstępów.

– W domu – odparł Krugger.

– Niech pan się stamtąd ulotni. Kupił pan ten dom tylko pro forma. Więc pan tam nie mieszka, okay? Policja nie może tam wejść bez nakazu. Ale mogą pana obserwować. A wtedy zaczną się zastanawiać, co pan Krugger porabia w tym miejscu.

– Dobrze, w porządku. Zaraz wrócę do Miesbach. A tak w ogóle to mój ojciec poszedł na skargę do starosty. Przez tego komisarza.

– I?

– Powiedzieli, że to sprawdzą. Nie mam pojęcia, czy to dobrze, czy źle.

– Sam nie wiem, prawdę mówiąc. W Miesbach nie ma żadnego komisarza Kreuthnera w dochodzeniówce. Jest tylko ktoś o tym nazwisku w porządkowej.

Jeśli to był on, to dostanie naganę i na pewno nie będzie dłużej brał udziału w dochodzeniu.

– Dobrze. Miejmy nadzieję, że tak się stanie. Jest coś nowego?

– Owszem. Mam ten numer telefonu.

– Skąd go pan... – Krugger urwał i uświadomił sobie, że nie powinien o to pytać. Bardzo się bał, że Frank mógłby kogoś zranić albo nawet zabić. Zdawał sobie sprawę, że człowiek przez niego wynajęty się nie cacka. Jak długo pozostawał w nieświadomości, co konkretnie wyprawiał Frank, mógł sobie wmawiać, że sprawy nie zaszły za daleko. – Mniejsza o to – powiedział w końcu. – Jest pan pewien, że ona nie zapamiętała tego numeru?

– Mogę wykluczyć to niemal całkowicie.

– Co to znaczy „niemal całkowicie”?

– Dziewięćdziesiąt osiem przecinek siedemdziesiąt dziewięć setnych procent.

– Przepraszam. To było... głupie pytanie. Co dalej?

Frank oszczędził swemu zleceniodawcy informacji, że kobieta od numeru telefonu leży w szpitalu i kiedyś złoży zeznania.

– Nadal szukam pieniędzy. Chciałem zająć się tym teraz bardziej intensywnie. Ach tak, powinien pan wiedzieć o jednym... – Frank bawił się podstawką, na której stała szklanka z wodą. Zgiął ją na pół. Teraz istotne było znalezienie właściwych słów. – Annette Schilbichler nie żyje. Trzecia kobieta.

– Och. To przykre.

– Została zamordowana. W taki sam sposób jak dwie pozostałe ofiary. Zresztą i tak przeczyta pan o tym w gazetach.

– Okay. W takim razie wiem, czego się spodziewać. To oznacza... no cóż, to pewne zabezpieczenie, jak sądzę.

– A ja myślę, że nie powinniśmy tyle gadać przez telefon. Odezwę się, jak będę miał coś nowego.

Okolo siódmej wieczorem Frank wszedł do samochodu i pojechał wzdłuż Alp do Bad Tölz, a stamtąd dalej w kierunku Tegernsee. Mijał oświetlone świątecznie choinki w zaśnieżonych ogródkach, w oknach migotały świetlne łańcuchy. Nienawidził Bożego Narodzenia. Do ośrodka dwudziestego trzeciego grudnia rok w rok przyjeżdżali rodzice lub inni krewni i zabierali ze sobą inne dzieci. Chociaż na święta! Każdemu zbierało się wtedy na sentymynty. Czekał, aż po niego też ktoś przyjedzie, może wujek, dziadkowie. Nigdy to nie nastąpiło. Matka była w zakładzie dla nerwowo chorych, a ojciec rozpowiadał na prawo i lewo, że na święta sprowadzi chłopaka do domu. A kiedy dwudziestego trzeciego rodziny zabierała inne dzieciaki, Frank odbierał tylko telefon od ojca, że w tym

roku nie da rady. Co roku z coraz z głępszą wymówką. Za każdym razem był bardziej pijany. Nie, Frank przy najlepszych chęciach nie potrafił pojąć, co takiego pięknego jest w świętach. Światła w domach przypominały mu nocne plaże na Karaibach. Przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Łańcuchy wisiały nie na przykrytych śniegiem świerkach, tylko na palmach. A pod palmami brązowoskóre dziewczyny uśmiechały się i przyjmowały fundowane im przez Franka kolorowe koktajle z parasolkami. Takie święta dałoby się wytrzymać.

W małym, rozświetlonym świątecznymi świecidełkami miasteczku Waakirchen droga odbijała w prawo w stronę Tegernsee. Frank pojechał jednak prosto w kierunku Miesbach. Po dwóch kilometrach skręcił w prawo w polną drogę biegnącą przez pastwiska. Wiejskie zagrody stały rozrzucone w sporym oddaleniu. Polna droga została odśnieżona, ale miała ubitą śnieżną nawierzchnię. Jej brzegi połyskiwały w świetle reflektorów. Na zwały śniegu, odrzucone na boki przez pług, napadało nowego śniegu. Mróz ścisnął, było minus czternaście stopni. W stajni paliło się światło. Frank wysiadł z samochodu i wszedł do środka. Panował tu niemal całkowity bezruch. Pogdakiwały tylko kury. Bokiem przemknął kot. Konie i osły w ciszy przeżuwały siano i bez zainteresowania przyglądały się przybyszowi.

– Leo? – usłyszał głos Danieli. Wyłoniła się z jednego z końskich boksów i popatrzyła na niego zdumiona.

– Cześć, Frank. Co ty tu robisz?

– Cześć. Pomyślałem sobie, że wpadnę zobaczyć, czy działa ogrzewanie. Mroźną mamy noc.

– Działa. Nic nie zamarzło. Świetnie się sprawiłeś.

– Dziękuję. – Frank rozejrzał się po stajni i przebiegł w myślach kolejne kroki, które powtarzał w głowie po wielokroć, jadąc tutaj. W jego wyobrażeniach decydujące rzeczy miały się rozegrać w domu. Tam gdzie były wszystkie dokumenty i komputer. Tam gdzie były schowane wielkie pieniądze, a ściśle rzecz biorąc, dostęp do nich. To mogło być tylko tam. – Chciałbym obgadać z tobą kilka spraw. Możemy wejść do domu?

– Jasne. Tylko tu trochę ogarnę.

Frank popatrzył wokół i mimo najlepszych chęci nie widział nic, co trzeba by ogarnąć.

– Co ty tu chcesz sprzątać?

– Widły obok ciebie nie stoją na właściwym miejscu, na przykład. Ale nie zaprzataj tym sobie głowy. Może już pójdziesz do chałupy?

Frank burknął coś w odpowiedzi i ruszył z miejsca.

– Tylko pamiętaj zdjąć buty. Leży tyle śniegu...

– Jasne. Zdejme.

Dwadzieścia minut później Daniela weszła do kuchni. Było ciepło. Frank

dolożył drewna do ognia. Jego kurtka wisiała na krześle.

– Powiesić ci kurtkę w przedpokoju?

– Zostaw. Lubię mieć ją pod ręką.

– Powieszę ją na wieszaku – uparła się Daniela i wraz z okryciem zniknęła w przedpokoju. Frank, marszcząc czoło, odprowadził ją wzrokiem i wyobraził sobie, jak tu będzie wyglądało, kiedy wszystko przetrząśnie i jakim przerażeniem Daniela zareaguje na ten chaos. Tylko że wtedy będzie miała zupełnie inne troski. Miał nadzieję, że wszystko pójdzie gładko. Sprawdzał nóż myśliwski, który miał przypięty do paska.

– Usiądź, proszę – powiedział, kiedy Daniela wróciła do kuchni.

– Zrobię herbaty.

– Nie, usiądź. To ważne.

Daniela wyglądała na poirytowaną. Prędkim ruchem i bez widocznego powodu przetarła zlew wilgotną szmatką i usiadła przy stole.

– O co chodzi? Zaczynam się denerwować... Coś się stało?

– Posłuchaj, musimy pomówić o paru sprawach. I powinniśmy to zrobić w spokoju. Im mniej się będziemy stresować, tym lepiej dla nas obojga. Okay?

– Nie całkiem rozumiem.

Frank pieczołowicie wyjął z pochwy nóż i położył go na stole, jakby to była ofiara składana bogom. Irytacja na twarzy Daniela jeszcze się pogłębiła. Zadzwoił telefon.

– To pewnie Leo. Przepraszam. – Podeszła do kredensu i podniosła słuchawkę.

– Kramm... Aha... Tak, Daniela Kramm. – Popatrzyła na zegarek. – Tak, mogę. Dobrze. Będę za dwadzieścia minut. – Odłożyła słuchawkę i wróciła do stołu. Nóż nadal na nim leżał. – Dzwonili z policji. Muszę jechać do Miesbach. Czegoś ode mnie chcą. Co zamierzałeś mi powiedzieć?

Frank przeklął w myślach ten dzień. Jeśli Daniela najpóźniej za pół godziny nie dojedzie do Miesbach, policja sprawdzi, gdzie się podziała. A tego potrzebował teraz najmniej. Wziął nóż ze stołu i schował go z powrotem do pochwy.

– Chciałem wyjaśnić ci parę rzeczy w związku z elektryką i jak w razie potrzeby dokonać nożem paru napraw, kiedy mnie nie będzie. To może zająć do jutra.

Frank zjechał z głównej drogi w lewo w kierunku Waakirchen i Bad Tölz, a Daniela odbiła w prawo na Miesbach. Po dobrym kilometrze Frank dotarł do ronda, objechał je dookoła i tą samą trasą wrócił do polnej drogi. Jakies trzysta metrów dalej po prawej stronie drogi leżała szopa należąca do innego gospodarstwa. Frank zaparkował SUV-a za szopą, by nie był widoczny z drogi prowadzącej do azylu, i nastawił się na długie oczekiwanie.

Przed drzwiami wejściowymi do komisariatu stał przystrojony kolorowymi lampkami świerczek w doniczce. Lampki paliły się co wieczór do dwudziestej pierwszej. Kreuthner wyszedł po Danielę do portierni. Pokazał jej wywieszkę na tablicy ogłoszeń, informującą, że impreza świąteczna została przeniesiona do azylu dla zwierząt z powodu „niedających się przewyciężyć niezgodności z pewnymi osobami”.

– Mówię ci jeszcze raz: nie chcę mieć w domu żadnych obcych. Niech no mi tylko któryś wlezie w butach...

– Nie martw się. Wszystko odbędzie się na podwórku. Ustawimy ławy piwne, grzejniki i tak dalej.

– A gdzie ludzie będą chodzić za potrzebą?

– Wynajmiemy dwa toitoie. Jutro się wszystkim zajmę.

– Masz na to czas?

– Oj tam, akurat dobrze się składa. Bo... jestem na urlopie.

– Specjalnie wzięłeś urlop?

– Ujmijmy to tak: mój szef uznał, że przez jakiś czas nie powinienem przychodzić do pracy. Żeby zdjąć mnie z linii ognia.

– Linia ognia brzmi groźnie.

– Nie, nie. W sensie politycznym.

Daniela popatrzyła na Kreuthnera ze zdumieniem.

– Oj, no wiesz, wsadzałem nos w pewne sprawy, co nie spodobało się staroście i innym ważnym personom, rozumiesz? Z nimi nie ma żartów.

– Ustaliłeś coś w sprawie Sophie?

– W tej chwili nie mogę ci nic powiedzieć. Ale to może okazać się decydujące.

Wallner był u siebie z Janette. Przywitał się z Danielą. Kreuthner, choć właściwie nie był na służbie, mógł zostać. Daniela była niejako jego świadkiem.

- Możemy zaproponować pani coś do picia? Kawy? Ciasteczko?
- Nie, dziękuję. Gdyby mieli państwo herbatę. Byle nie czarną. Owocową.
- Zobaczę, czy jest – zgłosiła się Janette.
- Jeśli nie, to nie ma sprawy.

Janette wysłała do parzenia herbaty praktykanta, który liczył, że dzięki nadgodzinom uda mu się poznać tajniki śledztwa w sprawie morderstwa. Daniela zajęła wskazane miejsce przy stole konferencyjnym i odruchowo wyrównała rozpostarte na nim papiery.

– Zakładam, że jest pani na bieżąco w sprawie wydarzeń z ostatnich dni – zaczął Wallner, spoglądając z ukosa na Kreuthnera. – Znalezione zwłoki dwóch kolejnych osób, obu z przeciętymi tętnicami. Obie te osoby podczas studiów mieszkały z pani siostrą w jednym wspólnym mieszkaniu. – Wallner przysunął do siebie wyrównany przez Danielę stosik, znalazł w nim zdjęcia Jörga Immerknechta oraz Annette Schildbichler, podsunął je kobiecie i ułożył stertę tak samo jak ona. – Zna pani te osoby?

– Wydaje mi się, że już je widziałam. Ale to było dawno temu. Kiedy Sophie studiowała, ja miałam jakieś piętnaście lat. Oczywiście od czasu do czasu odwiedzałam siostrę i przy tej okazji widywałam jej współlokatorów. Ale jak mówiłam, to było prawie dwadzieścia lat temu. Wtedy wyglądali zupełnie inaczej. – Przyjrzała się fotografii Immerknechta. – Ten chyba studiował prawo. Jörg.

– Jörg Immerknecht.

– On był całkiem w porządku. Jej nie lubiłam. Miała w sobie coś takiego strasznie fanatycznego i chciała wciągać mnie w dysputy polityczne.

– Annette Schildbichler.

– Annette! Tak, teraz sobie przypominam.

– Czy pani siostra po zakończeniu studiów utrzymywała kontakty z tymi ludźmi?

– W pierwszych latach nie potrafię powiedzieć. Wówczas nie widywałyśmy się zbyt często. Po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku częściej odwiedzałam Sophie w gospodarstwie, ale nigdy nie było u niej nikogo z dawnej wspólnoty.

– Kiedy wprowadziła się pani do gospodarstwa?

– To było w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Od tamtej pory nie widziałam tam nikogo z jej znajomych. Z wyjątkiem tej kobiety, która odwiedziła nas niedawno. Nie wiem dokładnie, kto to był.

– Do tego zaraz wrócimy. Czy pani siostra kontaktowała się z nimi w inny sposób? – Wallner popukał w fotografie. – Listy, telefony, maile?

– Nie, przynajmniej nic takiego nie pamiętam. Wiem jednak, że raz do roku miała takie spotkanie z dawnymi znajomymi. Jeździła do Monachium i zostawała na noc.

– Nigdy nie opowiadała o tych spotkaniach?

– Opowiadała. Ale to było mało interesujące. Wiem, że ten prawnik poszedł do pracy w banku. Sophie na początku bardzo się z tego powodu denerwowała, bo na studiach był mocno lewicowy. Tak jak Sophie. Ale w jej zawodzie to typowe. A ta kobieta... Annette?

– Tak, Annette.

– O niej niewiele mówiła. Zdaje się, że została nauczycielką w szkole specjalnej. Co tu opowiadać?

– Dobrze. W takim razie przejdźmy do tej kobiety.

Wyjął z uporządkowanej sterty kolejną kartkę ze zdjęciem. Przedstawiało Josephę Leberecht, tajną agentkę, której dane przesłał kontrwywiad.

– To ona! – Daniela nie wahała się ani sekundy. – Kobieta, która przyjechała do azylu. Kto to jest?

– To czwarta lokatorka ówczesnej wspólnoty. Niestety, nie udało nam się z nią jeszcze porozmawiać. Powiedziała pani, że ta kobieta groziła pani siostrze. Proszę jak najdokładniej zrelacjonować, co pani pamięta z tego spotkania.

Daniela wpatrywała się w fotografię, myśląc intensywnie.

– Powiedziała coś w rodzaju: „Jeśli nie zrobisz tego, co chcę, będziesz miała kłopoty”. I nie zabrzmiało to tak, jakby miała na myśli „podam cię do sądu”. To była poważna groźba. Siostra okropnie się bała, nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać. Tylko że ja znałam ją jak nikogo innego na świecie. Nie wykluczam, że naprawdę obawiała się o swoje życie.

– Nie domyśla się pani, dlaczego kobieta jej groziła? I czego od niej chciała?

– Miałam wrażenie, że chodziło o coś z przeszłości. Sophie nie mówiła mi, co to było. I czego chciała tamta. – Daniela zapatrzyła się w przestrzeń. – To raczej nie mogły być pieniądze. Przecież my nic nie mamy.

Kreuthner odprowadził Danielę do drzwi i wrócił do gabinetu Wallnera. Ten tymczasem ponownie zadzwonił do Hausera, któremu nie udało się skontaktować z Josephą Leberecht, obiecał jednak, że będzie próbował dalej. W trakcie rozmowy wszedł Mike z informacją, że portret pamięciowy kobiety ze wschodnim akcentem rozesłano po Monachium w nadziei, że w ten sposób uda się im dotrzeć do mężczyzny, który założył Wallnerowi podsłuch. I rzeczywiście był pewien odzew. Kolega z K83, komórki zajmującej się przestępczością narkotykową, twierdził, że miał już kiedyś do czynienia z tą kobietą. Zamierzano jak najszybciej zweryfikować te informacje.

– I jak? – zapytał Kreuthner, wróciwszy do biura. – Daje nam to coś?

– Wraz z dwoma mailami, które znaleźliśmy u zamordowanych, daje nam to co najmniej uzasadnione podejrzenie, że Josepha Leberecht szantażowała ofiary zabójstwa. To oznacza, że jeśli nie zechce z nami rozmawiać, doprowadzimy ją siłą. – Wallner pomyślał chwilę. – Zaraz z samego rana zadzwonię do Tischlera.

Niech na wszelki wypadek przygotuje nakaz aresztowania.

– A jak Tischler zapatruje się na nakaz rewizji?

– Trzęsie portkami. Jeśli nie damy mu czegoś naprawdę konkretnego, nie będzie nakazu rewizji domu Kruggera.

– A jeśli on w tym czasie usunie dowody?

– Nic na to nie poradzę. Bez nakazu nie będzie rewizji.

– Oj, tam... – Kreuthner rozwalił się na krześle, złożył ręce na brzuchu i zakręcił młynka kciukami. – Wcale nie jest powiedziane.

– Leo, tylko bez głupich numerów. Już jesteś zawieszony. Kiedyś cię w końcu wywalą.

Kreuthner wstał i położył rękę na ramieniu Wallnera.

– Przecież nie masz innego wyboru. Jeśli będzie afera, liczę na ciebie.

Wallner jęknął i powiódł wzrokiem między Kreuthnerem a Mikiem, który stłumił uśmiech.

– Czego się szczerzysz?

– Nie szczerzę się, tylko uśmiecham. I uważam, że jeśli narobi bigosu, powinieneś trzymać jego stronę. On ma rację. Nie mamy wyboru.

Zrobiło się zimno. Frank co jakiś czas włączał silnik, żeby nagrzać samochód. Początkowo zastanawiał się, czy przeszukać gospodarstwo pod nieobecność Danieli. Nie wiedział jednak, kiedy się spodziewać jej powrotu. Gdyby zauważyła, że był w jej domu, zaczęłaby coś podejrzewać i zawiadomiłaby tego swojego policjanta. Lepiej poczekać, aż wróci i wtedy na spokojnie przystąpić do rzeczy. Jeśli zdoła nakłonić ją do mówienia, i tak będzie mógł sobie darować poszukiwania.

Po dwóch godzinach wysiadł, żeby ulżyć sobie za szopą. Z pewną fascynacją gapił się na strumień moczu, który parował w chłodzie grudniowej nocy i wycinał w śniegu ciemną dziurę. Zastanawiał się, czy na Syberii mocz mógł zamarznąć podczas sikania. Niedawno dowiedział się z pewnej audycji w telewizji, że gorąca woda na dużym mrozie zamarza szybciej niż zimna. Więc czemu nie ciepły mocz? Przyrodnicze rozważania przerwał mu odgłos nadjeżdżającego samochodu. Chwilę potem zabłysnął snop światła, który na szczęście nie omiótł go schowanego za szopą. Frank poczłapał z powrotem do terenówki i popatrzył za oddalającymi się światłami wozu, który skręcił do azylu. Wymacał tkwiący w pochwie przy pasku nóż i ruszył pieszo do zagrody.

Kiedy Daniela wróciła do azylu, temperatura spadła do siedemnastu stopni poniżej zera. Mimo to Troll, norweski kot leśny, wciąż był w ważnych sprawach poza domem. Daniela nie mogła się nadziwić, że nawet w środku zimy znosił do chałupy świeże myszy. Niestety, miał w nawyku zostawiać wnętrzności i głowę ofiar. Rano leżały na jedynym perskim dywanie, który ciotka pozostawiła jej w spadku wraz z chałupą. Teraz podążył za nią do stajni, gdzie sprawdziła, czy ogrzewanie wody w poidłach dla koni nie nawaliło przy tym mrozie. Działo. Frank odwalił kawał dobrej roboty. Boks Kaspara nadal był otwarty i tak miało zostać, dopóki nie wprowadzi się inny koń. Tymczasem jego lokum odkrył i zaanektował Tacyt. Zauważyła, że koty porozwalały siano w przejściu między boksami. Zamiotła je, zostawiając w stajni nieskazitelny porządek. Przemierzając podwórze, dostrzegła jakiś cień obok traktora pod wiatą. Nie było to nic niezwykłego w zagrodzie pełnej zwierząt. Nieustannie coś gdzieś przemykało i się skradało. Przez chwilę zastanawiała się, kto poza Trollem odważył się wyjść na ten ziąb. Ponieważ żadne zwierzę nie przyszło jej do głowy, wyparła myśl i poszła do chałupy.

Piec w kuchni przygasł. Przed wyjazdem dołożyła do ognia brykiet z kory drzewnej, który utrzymywał żar przez wiele godzin. Jeszcze się żarzył, więc musiała tylko dorzucić parę szczap.

Zaparzyła ziółek i pomyślała, czy nie strzelić sobie kielicha. Sporo ostatnio piła. Odkąd zabrakło Sophie, wszystko straciło sens, a alkohol przynajmniej pomagał jej zapaść w sen. Za parę dni policja wyda ciało siostry. Musiała zająć się pogrzebem. Wzięła kartkę i zaczęła sporządzać listę żałobników. Trzeba powiadomić krewnych. Większość nie widziała Sophie od lat. Przyjaciół nie miała wielu, na ogół byli to wolontariusze, którzy pracowali w azylu. Daniela zaliczyła ich do przyjaciół Sophie, swoich zresztą też. Dopisała ich nazwiska. I jeszcze Kerstin, lekarka weterynarz. Wpisała też Franka. Ale on nie znał Sophie. Skreśliła

go. Chcąc upewnić się, że o nikim nie zapomniała, poszła do pokoju siostry po adresy, które Sophie wpisała do pamięci swojego komputera. Policja wprawdzie zabezpieczyła sprzęt, zostawiła jednak kopię twardego dysku, bo były na nim dane potrzebne do prowadzenia azylu.

Uruchomiła komputer i wtedy usłyszała odgłosy. A przynajmniej wydawało jej się, że słyszy. Dochodziły z podwórza po drugiej stronie budynku. Biuro wychodziło na tyły. Nie była pewna, komputer popiskiwał podczas uruchamiania i może to on był źródłem dźwięków. Wyszła z pokoju i nasłuchiwała chwilę w ciemnym korytarzu. Cisza. Absolutna cisza. Tylko jej własny oddech i ciche poskrzypywanie deski pod jej stopą. Przez drzwi dobiegło z podwórka pełne pretensji miauczenie. Wpuściła do środka lamentującego przeraźliwie Trolla, który otarł się przelotnie o jej nogi i podszedł do miski, żeby się pokrzepić po przygodach mroźnej nocy.

Drukarka wypluwała wypełnione adresami kartki. Między kolejnymi arkuszami Daniela usłyszała śmiech. Urywany, nierealny i dobiegający z bardzo daleka. Zaraz jednak z urządzenia wysunęła się z bzyčeniem kolejna kartka i z szelestem legła na poprzedniej. Znowu śmiech. Za każdym razem między kolejnymi kartkami. Kiedy drukarkę opuścił ostatni arkusz papieru, śmiech ustał. Daniela wróciła do kuchni. Ogarnęła ją niepewność. Naprawdę słyszała śmiech czy to zwykłe urojenie? Doląła sobie wiśniówki. Może powinna chlapnąć sobie jeszcze ze dwie, trzy i pójść spać. Jutro wszystko wróci do normy.

Z zamkniętymi oczami wlała w gardło wiśniówkę i wtedy znowu to usłyszała. Upiorny śmiech. Rozbrzmiewał pośród nocy, daleki, a jednak wyraźny. Chrapliwy, mechaniczny, szyderczy. Koty i psy w kuchni nie poruszały się, ale mocno strzygły uszami, by złowić dźwięk.

Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku dni wyjęła strzelbę myśliwską z szafki na broń. Włożyła buty i wyszła na podwórze. Światło nad bramą stajni oślepiło ją i uniemożliwiło sprawdzenie ciemniejszych zakamarków podwórza położonych bliżej drogi dojazdowej. To stamtąd dochodził śmiech, który teraz, kiedy znalazła się na dworze, wdzierał się wysoką częstotliwością w uszy, niesamowicie ordynarny i nieludzki zarazem, jakby wydawała go z siebie kukła. Daniela postąpiła kilka ostrożnych kroków naprzód, aż zostawiła światło stajennej lampy za plecami. Wreszcie mogła coś widzieć. Mężczyznę. Stał z szerokim uśmiechem wśród nocy, otoczony żółtym światłem i wydychanymi obłoczkami pary i trzymał w ręku nieduży przedmiot przypominający lniany woreczek. I to z tego woreczka dobiegał śmiech.

Daniela przyszpiliła go wzrokiem i odezwała się:

– Szajba ci odbiła?

– No coś ty, to przecież fajne – odparł Kreuthner i podszedł bliżej. Ścisnął woreczek i ordynarny śmiech umilkł. – Wiesz, co to jest? – Wyciągnął do niej rękę

z woreczkiem. – Mieszek śmieszek. Oryginalny, z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku. Jeden z pierwszych. Tylko baterie ma nowe.

Daniela opuściła strzelbę. Wyglądała, jakby się zastanawiała, co o tym sądzić.

– Część schedy. Znalazłem w chałupie wuja Simona. Chorobliwie gromadził rzeczy. Niczego nie wyrzucał.

– Chcesz się stać taki jak on?

– Nie bądź taka ponura. – Ścisnął mieszek, który znów wydał z siebie wyuzdany rechot. Kreuthner zaniósł się niepohamowanym śmiechem, aż zgiął się wpół, przyciskając rękę do brzucha. – Kto wymyśla taki szajs!

– Możesz to wyłączyć?

Kreuthner posłuchał.

– Wystraszyłeś mnie na śmierć. Myślałam, że na podwórku jest nie wiadomo co.

– Przepraszam. Właściwie to chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

– Dlaczego? Martwisz się?

– No wiesz, ktoś tu morduje ludzi.

– Nie o mnie mu chodzi. Inaczej już dawno byłabym trupem.

– Myślę, że mimo to powinienem dzisiejszej nocy zostać tutaj. Co ty na to? – Kreuthner uśmiechnął się do niej tak niewinnie, jak tylko potrafił.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – oznajmiła i przetarła rękawem swetra lufę strzelby.

Kreuthner podszedł, wyjął jej broń z ręki i z uznaniem obejrzał.

– Po co wegetariance fuzja?

– Nie bój się. Nie strzelam do zwierząt.

Odebrała mu strzelbę, dała znak, by poszedł za nią, i wróciła do chałupy.

– Znasz reguły. Do środka bez butów, rzeczy odkładasz z powrotem na miejsce i żadnych umizgów.

Kreuthner pomyślał chwilę, po czym skinął głową.

– Tej trzeciej jeszcze nie znałem, ale dobrze, że o niej wspomniałaś.

Kreuthner trzymał w jednym ręku piwo, w drugim papierosa. Siedzieli owinięci kocami na składanych krzeselkach, w palenisku płonęły szczapy buczyny. Mróz spadł do minus dwudziestu stopni, niebo było całe w gwiazdach. Troll siedział na kolanach u Kreuthnera i pilnował, by żadna mysz nie zapuściła się w jego rewir.

– Dlaczego ciągle tu jesteś? – Daniela piła herbatę, której naląła sobie do wielkiego niebieskiego kubka z termosu.

– Lubię cię – odpowiedział.
– Dlaczego? W ogóle do siebie nie pasujemy.
Wzruszył ramionami.
– Do mnie nikt nie pasuje. Nawet nie chciałbym być z kimś, kto jest taki jak ja.
– Nie wydaje mi się, żeby między nami coś wyszło.
– Nie należy z góry zakładać, że nie. Trzeba się sobie przyjrzeć. Dopiero potem można powiedzieć, czy coś z tego będzie. Mam dobre przeczucia.
– Dlaczego wysłali cię na urlop?
– Już ci mówiłem.
– Przecież nie dlatego, że prowadziłeś śledztwo. Coś musiałeś zbroić.
Kreuthner wzruszył ramionami.
– Podąłem się za komisarza policji kryminalnej.
– Serio? – Uśmiechnęła się ukradkiem.
– Jeśli prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa, to musisz być w dochodzeniówce. Już trochę prowadziłem tych dochodzeń w życiu. I zawsze wynikały z tego problemy.
– Więc czemu to robisz?
– Bo jestem w tym dobry.
Daniela popatrzyła na gwiazdy.
– Będzie tęskniła tam w górze za swoimi zwierzakami.
Kreuthner podążył za jej wzrokiem ku gwiaźdzystemu firmamentowi, wydmuchując w ciche nocne powietrze kółka dymu.
– Czemu akurat zwierzęta? Przecież studiowała coś związanego z socjologią.
Po tym pracuje się z ludźmi.
– Taaak, kto zna ludzi, ten kocha zwierzęta.
– Miała złe doświadczenia?
Daniela podniosła butelkę wiśniówki tkwiącą w śniegu obok krzeselka i wlała całkiem sporo do kubka.
– W latach osiemdziesiątych poznała w Wackersdorfie faceta, który też brał udział w demonstracjach przeciwko WAA[8]. To był taki wyluzowany gość o lewicowych poglądach, z włosami w kucyk, w skórze. Luzak Thilo. Zakochała się w nim i przez jakiś czas było im ze sobą dobrze, przynajmniej tak mówiła. Co dzień jakaś demonstracja, zadymy z glinami. Thilo powtarzał, że nie może mieć dzieci, bo jest bojownikiem politycznym i musi zbawić świat. Zanim zdążył zbawić, wskoczył do łóżka z przyjaciółką Sophie, Annette, a potem się zmył. Siedem lat później Sophie dowiedziała się, że jest żonaty, ma dwójkę dzieci i od jakiegoś czasu jest szefem kadr w firmie zarządzającej domami starców. I tak lewicowy bohater zaczął wyrzucać z roboty ludzi. To nią mocno wstrząsnęło. Zwierzęta takich rzeczy nie robią.

– Bo nikt nie zatrudni konia na stanowisku szefa kadr.

– Tak. Pewnie dlatego.

Kreuthner usiłował zmienić pozycję, bo zdrętwiała mu noga. Musiał znieść pełne dezaprobaty spojrzenie monstrualnego kota na swych kolanach.

– Jak właściwie trafiłaś do azylu?

– Chcesz całą historię?

– Jestem na urlopie. Mam czas.

Daniela dołożyła drewna do pieca i popatrzyła w zamyśleniu na języki ognia, które buchnęły z paleniska.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim rodzice zginęli w wypadku. Miałam siedem lat, Sophie osiemnaście. Dlatego dorastałam u dziadków. W Reichersbeuern, niedaleko stąd. Sophie też. Rok później zdała maturę i wyjechała na studia do Monachium.

– A dziadkowie byli w porządku?

– Przez całe życie nienawidzili się nawzajem i prawie ze sobą nie rozmawiali. I jedno, i drugie próbowało przeciągnąć mnie na swoją stronę. Innymi słowy, było mi u nich beznadziejnie. Jedyne szczęśliwymi momentami były te, kiedy przyjeżdżała Sophie. Na początku często, prawie co weekend. Potem coraz rzadziej. Żałowałam, że nie mogę widywać jej częściej, ale byłam za mała, żeby odwiedzać ją w Monachium. Dlatego niewiele wiedziałam o tej jej wspólnocie mieszkalnej. Raz zabrała mnie z sobą, miałam wtedy czternaście lat. Poza tym jednym razem dziadkowie nie pozwalali mi jeździć do miasta. Myślę, że byli zazdrośni. Wiedzieli, że to nie oni są dla mnie jak rodzice, tylko Sophie. Sophie była dla mnie wzorem do naśladowania. We wszystkim. Chciałam być taka jak ona. A kiedy w końcu dorosłam, też wyjechałam do Monachium. To było w dziewięćdziesiątym czwartym.

– Ale wtedy twoja siostra już nie studiowała.

– Nie. Pracowała. Ale mieszkałam u niej przez jakiś czas.

– I poszłaś na ten sam kierunek?

– Nie na pedagogikę. Sophie często wyjeżdżała do Ameryki Środkowej i brała tam udział w jakichś projektach socjalnych. Fascynowało mnie to. Dlatego poszłam na romanistykę ze szczególnym uwzględnieniem hiszpańskiego.

– To jak trafiłaś na to gospodarstwo?

Troll w końcu opuścił kolana Kreuthnera i pognął do szopy na narzędzia. Najwyraźniej buszowały w niej myszy.

– W dziewięćdziesiątym szóstym Sophie dostała w spadku po ciotce gospodarstwo. Byłam wtedy jeszcze na studiach. Przyjeżdżałam tu, kiedy tylko mogłam, pomagałam. To się stało dwa lata później. – Nalała jeszcze kieliszek wiśniówki i upiła łyk. – Nie tylko chciałam być taka, jak Sophie. Podobali mi się także ci sami faceci.

– Ale chyba nie luzak Thilo?

– Nie, wtedy miałam dziesięć lat. Nie, nie. Ten, o którego chodziło, miał na imię Uwe. Pewnego dnia zjawił się w azylu i zaczął tu mieszkać z Sophie. Taki trochę hippis, z długimi włosami i motorem. Miał w sobie coś. No i ja też się w nim zabujałam. Pewnego dnia Sophie nakryła nas na sianie. Oczywiście zrobiła się wielka afera, siostra mnie wyrzuciła i zerwała ze mną kontakty. Rozumiałam to. Ale strasznie bolało. Trzy lata. Nigdy nie oddzwoniła, nie odpisywała na listy. Wtedy nie miała jeszcze adresu mailowego. – Z szopy dobiegło prychnanie i jazgot, a po chwili z mroku jak strzała wyprysnął obcy kot i czmychnął w stronę polnej drogi. Troll wyszedł z ciemności i z zadowoleniem polizał łapę. Robotą załatwiona. – W dwa tysiące pierwszym roku byłam tu przypadkiem w okolicy. Jechałam samochodem i usłyszałam w radiu o Word Trade Center. Świat jakby się zawalił. I pomyślałam sobie: a co, jeśli Sophie o niczym nie wie? Pojechałam do niej i powiedziałam, żeby włączyła telewizor. Siedziałyśmy przed nim, patrzyłyśmy, jak wałęsa się wieże, płakałyśmy i trzymałyśmy się w objęciach. Powiedziałam jej, że strasznie za wszystko przepraszam, a ona na to, że bardzo za mną tęskniła, a ten Uwe i tak był sukinsynem i pogoniła go pół roku później. Od tamtej pory nigdy więcej nie wyjechałam. To był najpiękniejszy okres w moim życiu.

Ogień migotał na twarzy Daniela, po jej policzkach spływały dwie łzy.

– Powiedz... – Troll po wykonanej robocie z powrotem zajął miejsce na kolanach Kreuthnera. – Dobrze znałaś siostrę. Pewnie sobie o wszystkim opowiadałyście.

– Też tak myślałam. – Otarła łzy.

– I nie masz pojęcia, dlaczego ktoś morduje jednego lokatora wspólnoty za drugim?

– Chciałabym to wiedzieć. Najwyraźniej było w jej przeszłości coś, o czym mi nigdy nie wspomniała.

[8] WAA (Wiederaufbereitungsanlage) – zakład powtórnego przetwarzania paliwa jądrowego.

Poranek był tak samo mroźny jak noc. Słońce wisiało nisko na bezchmurnym niebie. Kreuthner musiał odpalić starego passata za pomocą kabli rozruchowych. Postanowił, że wpadnie na złomowisko Lintingera po nowy akumulator, albo przynajmniej taki, który działał. Frank z samochodu obserwował manewry na podwórzu. Wrócił na swój posterunek o siódmej, spędziwszy noc w czterogwiazdkowym hotelu w Bad Wiessee. Dopisze to Kruggerowi do rachunku. Jeśli zdobędzie forszę, oczywiście tego nie zrobi. Po pierwsze, nie był małostkowy. Po drugie, zanim Krugger będzie miał okazję pokryć rachunki, on będzie już się wylegiwał na karaibskiej plaży. Frank przyłożył lornetkę do oczu. Daniela wjechała swoim samochodem na podwórze i stanęła maską przy masce passata. Frank chętnie by pomógł Kreuthnerowi odpalić samochód. Ale wtedy policjant dowiedziałby się o jego obecności, a tego wolał uniknąć.

Kreuthner odjeżdżał w cikliwym nastroju. Ostatni raz odwrócił się do Daniela, która z zaróżowionymi od mrozu policzkami pomachała mu na pożegnanie. Spod jej czapki wymknął się płowy kosmyk włosów i opadł na twarz. Kreuthner miał motyle w brzuchu. Nie tylko dlatego, że był zakochany. Był także zaniepokojony. Gdzieś tutaj w okolicy grasował morderca, który zlikwidował troje ludzi. Daniela była w niebezpieczeństwie. Niewykluczone, że wiedziała zbyt dużo – może nawet nieświadomie. Kreuthner pojechał do Miesbach, a stamtąd odbił na północ do Weyarn. Parę kilometrów za Miesbach skręcił na wschód w wąską drogę, którą dopiero co przejechał pług śnieżny. Przebiegała obok położonego w pewnym oddaleniu od jezdni domu Baptista Kruggera. Dojazd do posesji, zapewne nawet niewyasfaltowany, nie był odśnieżony. Podjazd tarasowały za to pozostawione przez pług zwały śniegu. Kreuthner się tym nie przejął. I tak nie zamierzał zostawiać samochodu koło domu. Niełatwo było jednak znaleźć inne miejsce do zaparkowania. Wszędzie na skraju jezdni zalegały metrowe hałdy śniegu, którym nie dałby rady nawet wóz z napędem na cztery koła. Musiał

podjechać do następnego gospodarstwa pół kilometra dalej i tam zostawić samochód, o ile właściciel domu się zgodzi.

Jakieś pięćdziesiąt metrów przed drogą dojazdową Kreuthner ruszył na przełaj przez pastwisko. Nie chciał pozostawiać śladów na drodze. Miał do pokonania jakieś sto pięćdziesiąt metrów w głębokim śniegu. Z trudem dobrnął do posesji. Za drewnianym ogrodzeniem rósł żywopłot z dzikiej róży, kaliny i innych krzewów. Latem stanowił dobrą osłonę przed gapiami, bez liści jednak był całkiem ażurowy. Dom był nieduży, zbudowany w bawarskim wiejskim stylu, zapewne zaraz po wojnie, kiedy ludzie nie mieli jeszcze zbyt wygórowanych wymagań. Później ktoś dobudował boczne skrzydło, szczerze przeszklone i przykryte płaskim dachem. Czy przybudówka w ogóle była legalna, należało wątpić, ponieważ powiatowe przepisy budowlane nie dopuszczały płaskich dachów. Zapewne nikt specjalnie się tym nie przejmował, jako że dom stał na odludziu.

Zachodnią granicę działki porastały gęste zarośla. Tutaj przed spojrzem ciekawskich chroniły również cisy, niewielkie świerczki i inne wiecznie zielone krzewy. W utworzonej przez nie swoistej niszy stał kamienny krzyż porośnięty bluszczem. Kreuthner minął taras i przeszedł lewą stroną na tyły domu. Okna zasłaniały nowoczesne metalowe rolety. Pod ścianą ułożono w stertę drewno opałowe, obok widniały drewniane drzwi z zamkiem cyfrowym otwieranym za pomocą szyfru. Kreuthner pomyślał chwilę, zeskanował wzrokiem otoczenie i zawiesił wzrok na stosie szczap. Obudziły się w nim wspomnienia. Wróciło wspomnienie biednego domku, w którym mieszkał wraz z matką. Tam też koło drzwi leżała sterta drewna, a pod trzecią szczapą schowany był klucz. Tyle że żaden złodziej nie marnowałby czasu na włamywanie się do Kreuthnerów. Najbardziej wartościowym przedmiotem był u nich dwunastoletni czarno-biały telewizor. Kreuthner przykucnął i zajrzał w szczeliny między szczapami. Nie trwało to długo. Dostrzegł coś płaskiego, połyskującego jak tworzywo sztuczne. Rodzaj plastikowej karty. Odłożył leżące na niej polana i wyciągnął zafoliowany skrawek papieru wielkości karty kredytowej. Na kartoniku widniał sześciocyfrowy numer. Wpisał go na klawiaturze przy drzwiach, coś kliknęło i mała diodka zaświeciła na zielono.

W środku czekał go kompletnie inny świat. Cały parter był jednym wielkim pomieszczeniem, pomijając toaletę i schowek. Znajdował się w nim aneks kuchenny. Podłogę wyłożono ciemnym parkietem z litego drewna, ściany ogołoco z tynku, a ceglany mur pobielono. Tu i tam wisiał nowoczesny obraz, który, gdyby zapalić światło, byłby oświetlony pojedynczym spotem, czego Kreuthner na wszelki wypadek nie zrobił. Przez wychodzące na taras niezasłonięte żaluzjami okno z pancerzego szkła wpadało do środka wystarczająco światła. Pośrodku pomieszczenia stała ogromna sofa, która tak samo jak pasujący do niej stolik oraz pozostałe meble charakteryzowała się ekskluzywnym wzornictwem

i musiała kosztować fortunę. Kąt pokoju najbardziej oddalony od okna był wyposażony w komputer i kilka płaskich ekranów. Na ścianach wisiały wykresy z kursami giełdowymi oraz artykuły z ekonomicznych magazynów oraz dzienników.

W całym pomieszczeniu nie było żadnych osobistych przedmiotów, z wyjątkiem zdjęcia młodej kobiety na kominku. Było wykonane przez profesjonalnego fotografa, któremu udało się ją uchwycić w momencie marzycielskiej melancholii nadającej jej nieskazitelnie pięknej, ale na co dzień zapewne zwyczajnej twarzy pewną tajemniczość, sugerującą głębię duszy, która w szczególny sposób poruszała oglądającego. Kolejne oprawione w srebrne ramki zdjęcia dziewczyny stały na biurku obok komputera. Kreuthner wyjął z ramki jedno z nich i schował do kurtki.

Komputer wprawdzie dał się uruchomić, ale zażądał podania hasła. A tu nie było już sterty szczap. Kreuthner wyłączył urządzenie i zaczął przeszukiwać dom.

Sypialnia na piętrze nie była zbyt duża, ale ewidentnie zaprojektowana przez architekta wnętrz. Było mało prawdopodobne, by nerd i syn producenta świec sam wykształcił w sobie tak ekstrawagancki gust. Kreuthner za jeszcze dziwniejsze uznał to, że sąsiadujący z sypialnią pokój przerobiono na garderobę. Żaden facet nie urządzał sobie w mieszkaniu garderoby, chyba że był homoseksualistą albo projektantem mody. I rzeczywiście, w garderobie wisiały niemal wyłącznie damskie ubrania. Całość uzupełniały trzy regały zawierające niemal sześćdziesiąt par damskich butów.

Z zewnątrz dobiegł warkot silnika, któremu towarzyszyło metaliczne szuranie. Kreuthner podszedł do okna i uniósł rolety na tyle, by wyrzeć przez szczelinę. Drogą dojazdową przedzierał się pług. To raczej nie był dobry znak. Być może właściciel zapowiedział swoje przybycie. Pora się zbierać.

Wróciwszy na parter, Kreuthner ponownie zawiesił wzrok na komputerze. Wydawało się logiczne, że komputer był chroniony hasłem. Pasowało do tego zabezpieczenie wejścia szyfrem, pancerne szkło od strony tarasu i nowoczesne metalowe rolety na parterze. Właściciel domu był ostrożny. A to z kolei pasowało do tego, że Baptist Krugger trzymał istnienie posiadłości w tajemnicy. To jednak zupełnie klóciło się ze schowaną wśród szczap kartą z szyfrem. Po co zadawać sobie trud zabezpieczenia drzwi kodem, jeśli deponowało się go w miejscu dostępnym dla wszystkich tuż przy nich? Bo właściciel nie potrafił go zapamiętać? Istniały lepsze metody. Zaczęło ogarniać go coraz silniejsze poczucie, że coś z tym domem jest nie tak i że powinien go opuścić jak najprędzej.

Wrócił do tylnych drzwi, ponieważ frontowych, jak się przekonał, nie dało się otworzyć od środka. Ku swemu zaskoczeniu to samo stwierdził i przy tylnym wyjściu. Drzwi nie miały nawet klamki. Jedyna droga na zewnątrz prowadziła przez okno. Okno na taras było jedną wielką szybą, której nie dało się ani uchylić,

ani otworzyć. Kreuthner podszedł do jednego z mniejszych, bocznych okien zasłoniętych roletami. Obok framugi znalazł prosty przełącznik. Wcisnął go i roleta powędrowała do góry. Model okna był dwuskrzydłowy, nowoczesny, który zwykle otwierało się, ciągnąc za uchwyt. Tyle że tutaj uchwyt z nieznanых powodów został zdemontowany. Ogarnęły go złe przeczucia. I rzeczywiście: żadne okno w całym domu nie dało się otworzyć. Ponadto każde wykonane było ze szkła przeciwwłamaniowego. Nie mógł go zatem rozbić. Tkwił w pułapce.

Zastanawiał się, co zrobić. Jeśli udałoby mu się złapać telefonicznie Wallnera, ten może zlitowałby się i wy dostał go stąd. W końcu na swój sposób przyklasnął tej nielegalnej misji. Poza tym, mimo wszelkich dzielących ich różnic, facet był w porządku i nie zostawiłby go w tym położeniu. Kolejna niespodzianka czekała Kreuthnera, kiedy popatrzył na wyświetlacz komórki: w domu nie było zasięgu. W ogródku był jeszcze bez zarzutu. Krugger najwyraźniej założył elektroniczne ekranowanie. Facet przerobił swą tajną siedzibę na perfidną pułapkę na złodziei – i Kreuthner właśnie w nią wpadł. Ostatnią, słabą nadzieją był telefon stacjonarny. Lecz ten, jak można się było spodziewać, był zabezpieczony szyfrem przed niepowołanym użyciem.

Z zewnątrz dobiegł dźwięk nadjeżdżającego pojazdu. Trzasnęły drzwi, po czym rozległy się dwa męskie głosy. Ktoś zbliżał się do domu.

Starania Mike'a zmierzające do ustalenia tożsamości nożownika z mieszkania Tiffany wreszcie przyniosły rezultaty. Kobieta ze wschodnim akcentem, która miała odwrócić uwagę Wallnera, podczas gdy ktoś (przypuszczalnie nożownik) instalował w jego kurtce pluskwę, została rozpoznana na portrecie pamięciowym sporządzonym zgodnie ze wskazówkami komisarzy. Trudniła się prostytutką. Ponieważ nie chciała zadzierać z policją, gotowa była współpracować i zeznała, że pewien nieznajomy skontaktował się z nią telefonicznie i zapytał, czy wykona dla niego niewielkie zadanie. Miała się umówić w konkretnym lokalu z niejakim komisarzem Wallnerem z policji w Miesbach i opowiedzieć mu coś o jakiejś torebce, tak by zająć go przez jakieś pół godziny. Ponieważ nieznajomy dobrze płacił, zgodziła się i połowę pieniędzy od razu zainkasowała, połowę zaś po spotkaniu z Wallnerem. Facet nie powiedział jej, skąd wziął jej namiar i dlaczego ją wybrał. Nigdy też nie spotkała się z nim osobiście. Podczas spotkania z Wallnerem i Mikiem zapamiętała jednak pewnego mężczyznę, który wyszedł do przedsionka, gdzie znajdowała się szatnia, parokrotnie zerknąwszy ukradkiem w stronę ich stolika. Zbyt krótko widziała jednak jego twarz, by ją sobie przypominać. Mogła opisać za to jego wzrost i posturę, wiedziała, że był około pięćdziesiątki, a przez telefon mówił z silnym bawarskim akcentem. Monachijska policja podejrzewała, że musiał być karany za przestępstwa związane z prostytutką, inaczej nie wybrałby do tej misji kobiety z tego środowiska.

Na podstawie informacji kobiety i paru innych kryteriów zawężono grupę potencjalnych sprawców do sześciu podejrzanych, których zdjęcia okazano kobiecie. Nie udało jej się jednoznacznie zidentyfikować mężczyzny z lokalu. Cała szóstka była karana, w większości za przestępstwa z użyciem przemocy. Nasuwało się pokazanie zdjęć podejrzanych także striptizerce Tiffany. Lekarze prowadzący kategorycznie się jednak temu przeciwstawili. Psychiczne obciążenie, jakim byłaby

konfrontacja z jej ciemniejszym – choćby tylko na fotografii – mogło się okazać zbyt wielkie. Nie pozostawało im nic innego, jak prześwietlić każdego kandydata z osobna. Jeden z nich od czterech tygodni przebywał w areszcie śledczym w Stadelheim, inny od trzech dni ze złamaną w bójce ręką leżał w szpitalu i również nie wchodził w rachubę. Mike wraz z dwójką policjantów próbowali ustalić do spółki z kolegami z Monachium, co pozostała czwórka robiła w czasie, gdy dokonano przestępstwa. Mozolne przedsięwzięcie, jako że wszystkich czterech łączyła niechęć do rozmów z policją i brak jakiejkolwiek gotowości do współpracy.

Wallner tymczasem zlecił dwóm funkcjonariuszom skontaktowanie się z Josephą Leberecht, była tajną agentką kontrwywiadu, i zaproszenie jej na przesłuchanie do Miesbach. Leberecht zastłoniła się ważnymi sprawami i nie zamierzała przyjechać. Przewidując tego rodzaju przeszkody, Wallner z samego rana zadzwonił do prokuratora Tischlera z prośbą o nakaz aresztowania Leberecht. Ponieważ pracowała kiedyś dla Urzędu Ochrony Konstytucji, Tischlerowi spodobał się ten pomysł, miał on w jego oczach *media value*, jak się wyraził. Późnym popołudniem dwóch funkcjonariuszy zadzwoniło do mieszkania Josephy Leberecht i przedstawiło jej nakaz aresztowania.

Tymczasem sytuacja Kreuthnera robiła się coraz gorsza. Przed domem Baptista Kruggera wysiadło z samochodu dwóch mężczyzn i ruszyło w kierunku drzwi.

Kreuthner nie miał zbyt wiele czasu na zastanawianie się. Na parterze znalazł drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do piwnicy. Również były zamknięte. Toaleta nie wchodziła w grę, któryś z przybyszów mógł mieć pełen pęcherz. Pozostawał schowek. Przy odrobinie szczęścia nikt niczego nie będzie tam szukał i Kreuthner poczeka w środku, aż faceci sobie pójdą. Może uda mu się jakoś wymknąć w ich obecności, co stanowiło najlepsze wyjście. Bo jeśli odjadą, on nadal będzie tkwił w pułapce.

Mężczyźni, którzy weszli do pokoju, mieli około trzydziestki, byli potężnie zbudowani i ubrani w uniformy prywatnej firmy ochroniarskiej. Dysponowali szyfrem niezbędnym do otwarcia drzwi. Wchodząc, starannie obtupali śnieg ze sznurowanych traperów i włączyli światło, po czym zamknęli za sobą drzwi. Następnie bez chwili wahania skierowali się do schowka, otworzyli go, wyciągnęli Kreuthnera, rzucili go na podłogę i założyli mu kajdanki. Wszystko to odbyło się w sposób wyjątkowo spokojny i rutynowy. Na protesty Kreuthnera jeden z nich kazał mu stulić pysk i wymierzył dwa policzki, wskutek czego przez najbliższe pół godziny twarz paliła go jak ogień. To jednak okazało się jego najmniejszym problemem.

Kreuthner siedział ze skutymi rękoma na taborecie. Jeden z mężczyzn stał

przed nim, popatrywał to na niego, to przez okno, przestępował znudzony z nogi na nogę i milczał. Drugi, najwyraźniej wyższy rangą, siedział przy biurku i sporządzał fotokopie dowodu i prawa jazdy Kreuthnera. Sierżant zwykł przechowywać legitymację służbową w kieszeni munduru i w tej chwili był bardzo szczęśliwy z tego nawyku. Podczas przetrząsania jego kurtki ochroniarze natknęli się na zdjęcie kobiety, które Kreuthner zwinął z biurka, jednak uznali, że nie ma ono znaczenia, gdyż włożyli je z powrotem. Po skopiowaniu dokumentów ochroniarz podszedł do swego towarzysza, schował dowód i prawo jazdy do portfela Kreuthnera, a ten do jego kurtki. I ramię w ramię z partnerem stanął przed nim.

– To pana dom? – zaczął.

Kreuthner skrzywił się z irytacją.

– A jak się panu wydaje?

Ochroniarz podszedł bliżej.

– Ty, chłoptaś, to nie jest odpowiedni moment na bezczelność. Zapytam tylko raz: czy to twój dom?

– Nie.

– No proszę, jednak można. Więc to nie twój dom?

Kreuthner milczał.

– Pytałem cię o coś!

– Nie, to nie jest mój dom – odpowiedział Kreuthner z nieco większą pokorą, zapatrzony w podłogę. Ogarnęło go przeczucie, że jest to przyjemniejsza część rozmowy.

– Ach, więc to nie jest twój dom. To co tu robimy?

– Ja... nawalił mi samochód i chciałem zatelefonować. Drzwi były otwarte, więc wszedłem.

– Tutaj nie ma otwartych drzwi. Nie ma takiej możliwości.

– W sensie, że na tyłach, w stercie drewna była kartka z szyfrem. Pomyślałem sobie, że zajrzę do środka i wezwę pomoc.

Facet wyjął z kieszeni komórkę Kreuthnera, którą odebrał mu zaraz na początku.

– A dlaczego nie zadzwoniłeś z komórki?

– Nie działa tutaj. Może pan sprawdzić.

– Oczywiście, że tu nie działa, ty głąbie. Tu jest ekranowanie, żeby takie palanty jak ty nigdzie nie mogły się dodzwonić. Ale na zewnątrz – chwytając za ucho Kreuthnera (co było nad wyraz bolesne), przekręcił jego głowę w stronę okna na taras – tam jest superzasięg.

– Widocznie się nie pokazał. Czasami mi komórka wariuje.

– A więc włamaliśmy się tutaj, żeby zatelefonować?

– Niczego nie ukradłem. Wszystko jest. Może się pan rozejrzeć.

– Tylko że do telefonu podeszliśmy na samym końcu.

Kreuthner już chciał zaprzeczyć, ale mężczyzna pokazał na rogi pokoju. Teraz, kiedy tamten mu zwrócił uwagę, policjant zauważył kilka małych kamer. Były schowane, ale sprawne oko nie miało kłopotów z ich dostrzeżeniem.

– Wszystko tu przekopałeś. Nie znalazłeś niczego, co by się dało zwędzić? Wybredni jesteście? Polecam komputer. Meble też są pioruńsko drogie. Może tylko trochę nieporęczne.

Kreuthner milczał. Facet odwrócił się do towarzysza.

– Co z nim robimy?

Zagadnięty z wyniosłym rozbawieniem wzruszył ramionami. Jego zwierzchnik odwrócił się z powrotem do Kreuthnera i nachylił ku niemu.

– Moglibyśmy wezwać policję. To byłoby dla ciebie mało przyjemne.

To się akurat zgadzało, choć z innych powodów, niż myślał ochroniarz.

– Pewnie jesteś na warunku. Wyczuwam coś takiego z daleka. Znam was, złodziejasków. Niefajnie, jak przez taki szajs zaliczy się parę latek, co?

Kreuthnerowi mimo najlepszych chęci nie przychodziło do głowy nic, co mógłby odpowiedzieć. Rozwahał przez moment, czy ujawnić, że jest z policji. Ale goście, których miał przed sobą, byli zawodowcami. Od razu się połapią, że nie miał najmniejszych uprawnień, by wtargnąć do domu.

Ochroniarz poklepał Kreuthnera po policzku.

– Masz szczęście, amigo. Nasz chlebodawca nie upiera się przy formalnościach. Myślę, że uda nam się załatwić to bez policji. To już jest coś, prawda?

– Byłbym naprawdę wdzięczny. Ulotnię się i nigdy więcej mnie nie zobaczycie.

Facet zaśmiał się, popatrzył z rozbawieniem na swojego kolegę, a potem – z jeszcze większym rozbawieniem – na Kreuthnera. Roześmiał się ponownie, pokręcił głową, jakby stanął twarzą w twarz z wyjątkowym naiwniakiem, który nie ma pojęcia o podstawowych sprawach.

– Dla wyjaśnienia: bez policji. Myślę, że jesteście zgodni co do tego. Myślę, że jesteście też zgodni co do tego, że potrzebujemy zabezpieczenia, łapiesz?

– Jakiego zabezpieczenia?

– Że zrozumiałeś lekcję. Bo inaczej za dwa tygodnie znowu będziemy musieli cię stąd wywalić. A przecież tego nie chcemy. Musimy mieć pewność, że zrozumiałeś. Że tu nie można wchodzić. Okay?

– Ale przecież zrozumiałem.

– Teraz tak mówisz, bo się boisz. A ja ci nie wierzę. Takie gostki jak ty łatwo zapominają. Sparzycie sobie palec, a następnego dnia już o tym nie pamiętacie.

– Mówię przecież, że zrozumiałem. Czemu miałbym przychodzić drugi raz? Skoro wiem, że tu wszystko pozabezpieczane. Z kamerami i tak dalej. – Kreuthner

czuł w ustach nieprzyjemną suchość.

– Wiesz, to nie ma nic wspólnego z logiką. Wy to po prostu macie w genach. Musicie się włamywać, kraść i wkurwiać ludzi. Nie potraficie inaczej. – Chwył Kreuthnera za nos i potrząsnął nim ze śmiechem. – Wolno ci. Wkurwiał ludzi, jak chcesz. Nam to wisi. My musimy tylko zagwarantować, że nie będziesz już wkurwiał naszego zleceniodawcy. To nic osobistego. Taka robota. – Z udawanym ociąganiem zerknął na kolegę. Ten z równie źle udawanym żalem, że na tym polega ich robota, potwierdził, po czym wyszczerzył się tak, że Kreuthner pożałował, iż tego dnia w ogóle wstał z łóżka.

– Hej, koledzy, przecież możemy się jakoś dogadać. Nie musicie tego robić. Ja... mam pieniądze.

Szef wyciągnął z kurtki Kreuthnera jego portfel i sprawdził przegródkę na banknoty. W środku znajdowało się piętnaście euro. Dziesiątka i piąтак. Podetknął mu pod nos żalodne banknoty.

– Chyba nie chcesz nas przekupić? Nie mówisz tego serio. Jesteśmy ludźmi honoru. To nas obraża. – Zwrócił się do kolegi. – On nas chciał przekupić.

Ochroniarz z udawanym przerażeniem przewrócił oczami, podczas gdy jego szef schował banknoty do portfela, a ten starannie umieścił w kurtce Kreuthnera.

– I właśnie o to mi chodzi: ta nieuczciwość, to tkwi głęboko w was. Potwornie trudno to wykorzenić. Dlatego powinieneś być wdzięczny, że pomożemy ci troszkę, abyś wrócił na właściwą drogę.

Facet zaczął zdejmować kurtkę. Najwyraźniej to, co zamierzał zrobić, miało sprawić, że robi mu się ciepło. Jego towarzysz poszedł w jego ślady i zakasał rękawy.

– Hej, chłopaki! Nie wygłupiajcie się. No co wy? Pogadajmy. To przecież jakiś absurd. Popatrzmy na to całkiem trzeźwo: ja do was nic nie mam, wy do mnie nic nie macie. Po co ten cały stres? Trzeba się jakoś dogadać. Ja... miałbym na przykład beczułkę wiśniówki. Własnej roboty. Dziś nikt już takiej nie pędzi.

Przemowa Kreuthnera w najmniejszy sposób nie przeszkodziła im w przygotowaniach. Zdjąwszy kurtki i zakasawszy rękawy, jednocześnie sięgnęli po czarne gumowe pałki, które mieli przytroczone do pasków.

– Na miłość boską! Co z wami jest? Pięćdziesiąt litrów wiśniówki! Czterdzieści osiem procent! To cały rok rauszu.

– Walniesz sobie flaszkę, jak skończymy – powiedział ochroniarz i uderzył pałką o lewą dłoń.

Słońce, które rano jeszcze świeciło, schowało się za chmurami. W południe na parking przed biurowcem sypał śnieg. Panował półmrok i w większości biur policji kryminalnej w Miesbach paliło się światło. Kobieta, która wysiadła przed budynkiem z radiowozu, miała ręce skrupowane na plecach białymi plastikowymi kajdankami. Ubrana była w krótkie zimowe palto i dżinsy. Zważywszy na jej wiek, intensywnie kasztanoworude włosy musiały być farbowane. Miała ładną twarz, a zmarszczki wokół jej oczu i ust świadczyły o burzliwym, choć nie zawsze szczęśliwym życiu. Mogła mieć około pięćdziesiątki. Dwóch mundurowych zaprowadziło ją do wnętrza budynku, najpierw do służby bezpieczeństwa, potem, kiedy otwartą się drzwi na klatkę schodową, na pierwsze piętro.

Funkcjonariusz w mundurze zameldował, że podejrzana jest w pokoju przesłuchań. Wallner odparł, że za dwie minuty będzie u niej, i popatrzył przez okno. Na dolnej krawędzi szyby zebrała się cienka warstewka śniegu, pojedyncze płatki przywierały do niej i topniały. Wallnera martwił wiatr. W drodze do pokoju przesłuchań znajdowało się owo wiecznie uchylone okno. Kiedy wiał wiatr, w korytarzu panował morderczy przeciąg. Wallner zdecydował się włożyć kurtkę. Niech sobie koledzy gadają za jego plecami. Ale, do jasnej cholery, był szefem policji kryminalnej w Miesbach i ubierał się tak, jak uważał za stosowne.

Kobieta siedziała z nogą założoną na nogę i splecionymi na udach dłońmi. Kiedy Wallner przedstawił się krótko i usiadł po przeciwnej stronie stołu, uśmiechnęła się, spoglądając jasnoniebieskimi, zmęczonymi oczami. Mike i Janette zajęli miejsca po bokach. Wallner czytał przez chwilę w aktach, milczał, wertował akta, czytał dalej. W końcu popatrzył na zatrzymaną.

– Mam nadzieję, że nie miała pani zbyt wielkich nieprzyjemności. Pani obecność była niestety konieczna. Nazywa się pani Josepha Leberecht? – zaczął przesłuchanie Wallner.

Kobieta milczała.

– Zamordowano troje ludzi. Istnieje podejrzenie, że ma pani coś wspólnego z tymi zabójstwami.

– Brzmi mało konkretnie. Jakiego rodzaju miałyby być mój związek ze śmiercią tych ludzi?

– Do tego przejdziemy za chwilę. Oczywiście może pani poprosić o obecność adwokata.

– Dziękuję. Studiowałam prawo.

– Nie chciałbym pani urazić, ale nawet doświadczeni adwokaci angażują kolegów po fachu.

– Poradzę sobie. – Leberecht skrzyżowała ręce na piersi.

– Jak pani uważa. – Wallner ponownie zajrzał do akt. – Życzy sobie pani kawy?

– Tej, którą czuć w całym budynku?

– A zatem nie. Nazywa się pani Josepha Leberecht. Data urodzenia?

Leberecht milczała znudzona.

– Musimy przez to przejść. Niechże pani okaże odrobinę dobrej woli. Wówczas szybciej zajmiemy się bardziej interesującymi kwestiami.

– Dziesiątego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego roku.

Ustalanie danych personalnych przebiegło dalej bez większych oporów.

– Jest pani prawniczką?

– Byłam. Jestem niezależną pisarką.

– Czy z tego się pani utrzymuje?

– Co panu do tego, z czego żyję?

– Jeśli właściwie interpretujemy fakty, to stosowała pani szantaż wobec swoich znajomych. Czy pani sytuacja finansowa ostatnio się poprawiła?

– W każdym razie nie jestem na państwowym garnuszku.

Wallner wyjął ze skoroszytu trzy arkusze papieru. Na każdym z nich widniało portretowe zdjęcie.

– Zna pani te osoby?

– Tak.

– Zamordowała pani te osoby?

Leberecht pomiętosła palcami dolną wargę i spojrzeniem spod przymkniętych powiek omiotła stół.

– Jakie było pytanie?

– Czy zamordowała pani te trzy osoby.

– Chciałabym na razie pozostawić to pytanie otwarte.

– Czyli nie zaprzecza pani, że zamordowała te osoby? – Mike z trudem ukrywał antypatię do przesłuchiwanej.

– Chyba pan wie, co to znaczy pozostawić pytanie otwartym.

Wallner wyjął z akt zdjęcie i przesunął je po stole. Na widok fotografii

wyraz twarzy kobiety zmienił się tylko nieznacznie, jednak Wallnerowi wydało się, że dostrzega na niej cień obrzydzenia. A może to był lęk?

– Zna pani to zdjęcie?

– Nie.

– Domyśla się pani, kto to może być i co oznacza ta fotografia?

– Nie.

– Zdjęcie to znaleziono przy każdym zwłokach. Morderca chce coś w ten sposób zakomunikować. Jakież przypuszczenia?

– Powiedziałałam już, że nie mam pojęcia, co oznacza to zdjęcie i skąd pochodzi. Byłby pan tak uprzejmy i nie zadawał mi tego samego pytania po kilka razy? W przeciwnym razie to będzie trwało w nieskończoność.

– Z całym szacunkiem, musimy uwzględnić, że pani kłamie i w końcu zmieni zdanie. Mieliśmy nikłą nadzieję, że to zdjęcie oraz pani szantaż są jakoś powiązane. To dość oczywiste przypuszczenie.

– Nie ma pan absolutnie żadnego pojęcia, o co w tym chodzi, prawda?

– Troje ludzi, których pani szantażowała, nie żyje. Troje dawnych znajomych, z którymi przez lata nie utrzymywała pani kontaktu. I do tego zdjęcie, o którym rzekomo nikt nic nie wie. Pani Leberecht, oczekujemy od pani spójnej odpowiedzi na pytanie, jak to się ze sobą łączy.

Leberecht przesunęła ręką po stole, jakby chciała zetrzeć zeń okruchy.

– Nie do końca wiem, czy chcę to panu powiedzieć.

– Czyli jednak ma nam pani coś do powiedzenia?

– Każdy ma coś do powiedzenia. Skąd mam wiedzieć, którą z moich licznych odpowiedzi chciałby pan usłyszeć.

– A ja myślę, że pani wie. – Wallner wymieszał kawę. – Kawa nie jest wcale taka zła, jak pachnie. Może jednak?

– Dobrze. Proszę. Bez mleka, cztery kostki cukru.

Nikt się nie ruszył.

– To ja tu jestem szefem – odezwał się Wallner do Janette i Mike’a. – Na pewno nie będę przynosił kawy.

– Dobrze już. – Mike wstał z miejsca. – Nie chcę, żeby powstało wrażenie, że siedzą tu sami macho. Dwie kostki cukru?

Leberecht popatrzyła na Wallnera.

– Proszę wysłać kogoś, kto sprostą temu zadaniu.

Janette pokazała Mike’owi cztery palce.

– Dam radę. Proszę dać mi szansę – oznajmił Mike i wyszedł.

– W tej chwili znajduje się pani na czele listy podejrzanych. Jeśli to pani dokonała tych zbrodni, to teraz nadarza się okazja, by ulżyć swemu sumieniu. Jeśli to nie pani, to proszę wyjaśnić nam, o co chodzi z tym szantażem.

– Wówczas musiałabym przyznać, że dopuściłam się szantażu. Załóżmy, że

rzeczywiście tak było. Wówczas obciążylabym się swymi zeznaniami.

– Z jednej strony tak, z drugiej zaś odciążylaby się pani. Zdjęłaby pani z siebie straszliwy zarzut popełnienia trzech zabójstw.

– To, co mi w panu przeszkadza, to pańska represyjna postawa ogólna. Jeśli mnie nazywa pan szantażystką, to jak nazwać pana?

– Proszę być dla mnie pobłażliwą. Przez cały dzień mam do czynienia ze złymi ludźmi. To nie pozostaje bez wpływu. Chce pani teraz zeznawać czy nie?

Mike wrócił z kubkiem kawy opatrzonym napisem „Ktoś to musi robić” i postawił go na stole przed przesłuchiwaną. Do tego spodeczek z kilkoma saszetkami z cukrem oraz łyżeczką.

– Cztery kostki cukru to rzecz relatywna, skoro nie mówiliśmy o wielkości naczynia. Proszę się obsłużyć samej.

Leberecht uśmiechnęła się, ale tylko na sekundę. Niewątpliwie był to jednak uśmiech.

– To kubek Kreuthnera – zauważyła Janette.

– I co z tego? Nie ma go dzisiaj.

– Tak tylko mówię. On jest wrażliwy na punkcie swojego kubka.

– Słyszała pani – zwrócił się Mike do Leberecht. – Proszę postarać się nie odgryźć brzegu.

Leberecht wsypała do kawy zawartość czterech saszetek i starannie wymieszała. Upiła łyk, po czym odezwała się do Wallnera.

– Proponuję układ.

– Mianowicie?

– Uniknięcie kary za popełniony ewentualnie szantaż. Który w danym wypadku i tak byłby próbą szantażu.

– Musiałbym najpierw zatelefonować do prokuratora w Monachium.

– Nie macie tu własnych?

– Jak się pani wydaje, gdzie my jesteśmy? Tu jest prowincja.

Kwadrans później Wallner doniósł, że prokuratura zaakceptowała układ. W chwili obecnej Leberecht musiała jednak zgodzić się na porozumienie ustne. Można jednak zawrzeć ustalenia w protokole. Kobieta oznajmiła, że byłoby jej to na rękę.

– Umowa obowiązuje jednak tylko wtedy, jeśli przekaże nam pani istotne dla sprawy informacje. A konkretnie, co się kryje za pani żądaniem miliona euro.

– Bez obaw. Będziecie usatysfakcjonowani.

– Dobrze – zgodził się Wallner i włączył dyktafon.

Frank jeszcze godzinę czekał w pewnej odległości od azylu i obserwował przez lornetkę rozwój sytuacji. Chciał mieć pewność, że będą sami. O ile wiedział, tego dnia miało nie być wolontariuszy. Przychodziła ich garstka, a każdy z nich miał określone dni pracy w azylu. Spojrzał na zegarek i już chciał zapalić silnik, kiedy minęła go półciężarówka z przyczepą należąca do handlarza napojami i skręciła w drogę dojazdową do azylu.

Frank przypatrywał się z oddali, jak kierowca wyładowuje z przyczepy dziesięć zestawów ław piwnych i z pomocą Danieli ustawia je pod ścianą. Potem z paki zdjęto sześć grzejników tarasowych, taką samą ilość butli z gazem oraz mnóstwo mniejszego sprzętu, którego nie mógł rozpoznać. Po odjeździe handlarza Frank odczekał jeszcze pół godziny, uruchomił silnik i ruszył do azylu.

W połowie drogi zauważył Danielę, która wyszła z domu i wsiadła do samochodu. Najchętniej by jej w tym przeszkodził, lecz ona już jechała w jego stronę. Po obu stronach dojazdu piętrzyły się pozostawione przez pług sterty śniegu, które tak zawężyły jezdnię, że dwa samochody nie mieściły się obok siebie. Frank zahamował, wysiadł i podszedł do wozu Danieli. Odkręciła szybę i popatrzyła na niego zdziwiona.

– Cześć, Frank. Nie wiedziałam, że dziś będziesz.

– To był spontaniczny pomysł. Właściwie to chciałem z tobą pogadać.

– Nie możemy tego odłożyć?

– To nie potrwa długo.

– Przykro mi. Muszę jechać do Tyrolu. To naprawdę ważne. Może jutro.

Albo dziś wieczorem? Po powrocie.

Frank zastanowił się, czy zmusić ją do pozostania, zdecydował jednak, że najpierw wysonduje sytuację.

– O której będziesz z powrotem?

– Może o szóstej.

– Hm. Głupia sprawa. Przyjechałem na darmo.
– Chciałeś tylko pogadać?
Popatrzył na nią niezdecydowanie.
– Bo w sumie jest parę rzeczy do zrobienia. O ile nie miałbyś nic przeciwko temu, że będziesz pracował sam.
Nie, Frank nie miał nic przeciwko temu.
– To żaden problem. Tylko musiałbym wejść do domu.
– No jasne. Masz! – Dała mu pęk kluczy. – Jeszcze nie sprzątnęłam oślich przegród. No i trzeba by wyczyścić zgrzebłem konie. Żeby jakoś wyglądały. Będziemy tu mieli imprezę świąteczną policji.
– Coś takiego!
– No, tak wyszło. A tak w ogóle to pod stajnię leży cała sterta węży świetlnych do przypięcia. Właśnie je przywieźli. Na imprezę. Nie znam się na tym. Ty przecież jesteś elektrykiem. Mógłbyś sprawdzić, czy w ogóle da się je jakoś podłączyć? Żeby nie wywaliło korków.
– Jasne. Wszystko posprawdzam. – Wziął od niej klucze. – Spodziewasz się dziś kogoś?
– Właściwie to nie. Wolontariusze dziś nie przychodzą. Dlaczego pytasz?
– Tak tylko chciałem wiedzieć. W razie czego. – A zatem będzie miał kilka godzin na to, by w spokoju się rozejrzeć. – A po co jedziesz do Tyrolu?
– Jadę do innego azylu. Chciałam go obejrzeć i zobaczyć, czy możliwa byłaby jakaś współpraca. Dam ci numer jakby co. – Wyciągnęła z kieszeni kurtki wizytówkę azylu dla zwierząt „Inntal”, oderwała karteczkę z bloczku, który znajdował się na środkowej konsoli porządnie ułożony obok dwóch długopisów, i zapisała mu numer telefonu. – Wiesz, gdzie znajdziesz coś do picia – powiedziała, wręczając mu świstek z numerem telefonu.
Skinął głową.
– O szóstej będziesz z powrotem?
– Pewnie już cię wtedy nie będzie?
Jeśli do tej pory nie znajdzie numerów paru kont wraz z hasłami, to z pewnością jeszcze tu będzie.
– Możliwe, że jeszcze będę. Roboty jest dość. – Lepiej, żeby nie zdziwiła się po powrocie, że w domu pali się światło. – Możesz mi dać znać przez komórkę, jak już będziesz wracać. Napalę w piecu.
– Jesteś prawdziwym skarbem. – Mrugnęła do niego z wdzięcznością.
Mozolnie wymanewrował samochód z dojazdówki, przepuścił Daniłę i z radością pomyślał o kilkugodzinnych poszukiwaniach skarbu na terenie posesji.

– Ta kawa przypomina mi nasiadówki AStA – powiedziała kobieta i przysunęła do siebie kubek. – To też jest ta solidarnościowa kawa z Nikaragui?

– Nasze państwo jest biedne. Nie może sobie pozwolić na solidarność z Nikaraguą. Obawiam się, że pije pani kawę wyzyskiwaczy. Ale chciała nam pani o czymś opowiedzieć – przypomniał Wallner i skontrolował, czy dyktafon jest włączony.

– Racja. Tylko musiałabym trochę cofnąć się w czasie. Czy to będzie problem?

– Nie płacą nam od godziny, ale i tak mamy czas.

– Dobrze. Bo wszystko zaczęło się od mojej matki. Gerlinde Leberecht. Była adwokatem, tak jak mój ojciec, a jej mąż. Odnosiła tylko więcej sukcesów niż on. Dlatego rozwiódł się z nią w latach siedemdziesiątych. Choć nie to podał jako przyczynę rozvodu. Ale odbiegam od tematu. W konsekwencji, co zaważyło na mojej dalszej drodze życiowej, przestałam lubić matkę. Była twardą kobietą, a ja żywiłam przekonanie, że to ona zniszczyła naszą rodzinę. Zabawne, że nie możemy do końca odciąć się od przykładu tych, którzy nas wychowali, choćbyśmy nie wiem jak bardzo nie chcieli być tacy jak oni. Bo na tym, trzeba panu wiedzieć, polegał mój dylemat. Nie chciałam być taka jak matka. Lecz aby się od niej uniezależnić, musiałam stać się jak ona: być twardą jak stal kobietą, która podąża własną drogą. Więc poszłam na prawo – jak matka. Prawnicy zawsze wydawali mi się najbardziej wyrachowanymi i zdegenerowanymi podmiotami naszego społeczeństwa. Klika łotrów, którzy dzięki tajemnej wiedzy trzymają pod jarzmem wszystkich pozostałych. Podobało mi się to. Chciałam być jedną z nich. Oczywiście matka sfinansowała mi studia, ale naturalnie dawała mi tylko tyle, żebym musiała dorabiać w czasie ferii. Myślę, że i tak zwróciło jej się to dzięki ulgom podatkowym na dziecko. Mimo to przy każdej okazji wytykała mi, że jestem na jej garnuszku. Nienawidziłam tego. Szczerze, chciało mi się od tego rzygać. Tak bardzo, że prostytutka wydała mi się całkiem znośną alternatywą. No

cóż, sama postępowałam podobnie. Tyle że byłam w tym lepsza. Pewnego dnia siedziałam sobie w kafejce w Würzburgu – tam studiowałam – a do mojego stolika podszedł młody gość i zapytał, czy może ze mną pogadać. Z jakiegoś powodu powiedziałam, że tak, więc się do mnie przysiadł. Powiedział, że obserwuje mnie jakiś czas, że zasięgnął języka i słyszał o mnie wiele dobrego. Że jestem łebska babka, oblatana w prawie i zaangażowana społecznie. To mu się spodobało. I czy nie chciałabym mieć stałych dochodów. Nie musiałabym robić nic innego, jak dalej studiować. Tyle że w Monachium. I musiałabym wejść w środowisko lewicowców, poznawać ludzi i regularnie zdawać raporty. W pierwszej chwili pomyślałam, że się przesłyszałam. Facet chciał mnie zwerbować na szpicla. Serio rozważałam, czy nie wykrzyzczyć tego na cały głos. To mogłoby być ciekawe. Bo ta kafejka była ulubionym miejscem spotkań UM i podobnej hołoty.

– Powiniennem wiedzieć, co to jest UM? – zapytał Mike.

– Ugrupowania marksistowskie. To byli tacy polityczni pajace, uważali się za strasznych radykałów. Ale mniejsza o to. Bo ostatecznie tego nie wykrzyzczałam. Facet zrobił mi wykład na temat ochrony państwa prawa przed terrorystami, że moja praca może ratować ludzkie życie i tak dalej. Nic mnie to nie obchodziło. Ale potem podsunął mi kartkę. A na niej widniała kwota w markach. Więc zapytałam, czy to moja roczna gaża. A on na to: rozliczamy się co miesiąc. I żebym się przespała z tą myślą. A potem odszedł. Następnego dnia przyklepałam sprawę, a matce powiedziałam, że się przenoszę do Monachium. Matka na to: „Monachium nie wchodzi w grę, za dużo rzeczy będzie cię tam rozpraszać”. Powiedziałam jej, że może mnie pocałować w dupę. I to było, o ile dobrze pamiętam, ostatnie zdanie, jakie matka usłyszała z moich ust. To musiało być w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku. Trochę teraz skrócę. Począwszy od osiemdziesiątego piątego, zaczęłam wnikać w lewicowe środowisko Monachium.

– Interesowałyby mnie, co było na tej kartce. Ta miesięczna gaża – przerwał jej Mike. – Nie musimy tego podawać do protokołu.

– To podchodzi pod zobowiązanie do dochowania tajemnicy, które wówczas podpisałam. Informacja ta powinna być bez znaczenia dla pańskiego dochodzenia. Mogę zdradzić tylko tyle, że to były naprawdę wielkie pieniądze.

– A co musiała pani za to robić? – Wallner skierował rozmowę z powrotem na służbowe tory.

– Chodziłam na mityngi polityczne, angażowałam się w AStA, brałam udział w akcjach i demonstracjach i stopniowo poznawałam ludzi. Ponieważ to tam pojawiali się ci podejrzeni, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Czy to nie było trudne? – zapytała Janette. – Tak wyraźnie okazywać polityczne przekonania, których się wcale nie podziela?

– Moje przekonania były lewicowe, przynajmniej w moim rozumieniu. Nie miałam z tym najmniejszego problemu. Moi rodzice byli lewicowi, kumple

w szkole też. Wszyscy byli lewicowi. Musiałam tylko dokonać mutacji z myślącej lewicowo na zaangażowaną lewicowo. To nie jest wcale takie trudne, jeśli cały czas przebywa się z lewakami.

– Okay. Była pani lewicowa. Ale potem... – Janette najwyraźniej miała problemy z mentalnością Josephy Leberecht – ...potem zdradziła pani tych, po których stronie pani stała?

– Z czasem odzwyczaiłam się od myślenia w mieszczańskich kategoriach moralnych. Zna pani Maxa Stirnera?

– Nazwisko wydaje mi się znajome.

– Niech pani nie opowiada bzdur. Nigdy nie słyszała pani tego nazwiska. Niemiecki filozof. Pierwsza połowa dziewiętnastego wieku. Reprezentował dość radykalne poglądy, które dziś nie zostałyby potraktowane nawet jak zmiksowane ekskrementy przedwcześnie dojrzewającego nastolatka, stąd słusznie popadły w zapomnienie. Ale w tamtym czasie dużo mi dał. Powiedział między innymi: nie jestem upoważniony tylko do tego, czego nie robię ze szczerego serca, czyli do czego sam siebie nie upoważniam. Mocne słowa, wpłynęły bardzo na moje życie. Ale nie jesteśmy na sesji terapeutycznej. Wróćmy do mojej ówczesnej pracy. Poznawałam zatem ludzi, mocno się angażowałam, od czasu do czasu pisałam jakieś raporczki. Nie było w nich jednak niczego istotnego. I znowu chodziłam na demonstracje, zakłócałam przysięgi rekrutów, rozlepiałam na czarno plakaty i popełniałam podobne wykroczenia. Byłam wtedy jeszcze o lata świetlne od jakiegokolwiek kontaktu z RAF-em. Ale wprowadziłam się do lewicowej wspólnoty mieszkalnej. I od tego momentu moja opowieść powinna was zainteresować. Poza mną we wspólnocie mieszkały dwie kobiety i jeden facet. Jedną z kobiet była Sophie Kramm. Typ filantropijnej dobrochciejki. Studiowała pedagogikę socjalną, nikogo nie krzywdziła, była pełna zrozumienia dla innych, pomagała, gdzie się dało. Nie była może bigoteryjna, ale miała czasem w sobie coś takiego, że człowiek wydawał się sobie dobry. Nigdy nie powiedziała, że musisz się więcej angażować czy coś w tym stylu. Nie, to były takie emanacje. Znamy to słowo?

– Nie do końca – przyznała Janette.

– To niech sobie pani sprawdzi. Jörg Immerknecht był jedynym facetem we wspólnocie. Taki typ Andreea Baadera. Bardzo dominujący. I bardzo dogmatyczny. Z dnia na dzień potrafił jednak zmienić zdanie. Miał swój urok, absolutnie. Charyzmę. Kiedy przemawiał na jakimś mityngu, to babkom wilgotniało w majtkach. Najbardziej Annette Schilbichler. Ale do tego przejdziemy za chwilę. Jörg tak jak ja studiował prawo, ponieważ na tym kierunku można osiąść wiedzę o władzy. A przeciwnika najłatwiej pokonać jego własną bronią, mawiał. Wniknąć do instytucji. Pokonać system od środka. Lewicowe poglądy i szybkie samochody nigdy nie stały dla Jörga w sprzeczności. Andreas

Baader też miał słabość do samochodów. I broni. To naprawdę schizofreniczne. Chodziliśmy na wszystkie pokojowe demonstracje, a jednocześnie wspieraliśmy zbrojną walkę RAF-u. Wie pan, co było najbardziej ekscytującym wydarzeniem w życiu Jörga Immerknechta?

Leberecht rozejrzała się po kręgu słuchaczy. Wallner odpowiedział ostrożnie:

– Kiedy dostał pistolet?

– Halo! Nieźle. Opowiem wam, jak to było: pewnego wieczoru dzwoni Geoffrey. Był to podobno łącznik RAF-u. W każdym razie na takiego się kreował. Oczywiście nikt nigdy otwarcie o tym nie mówił. Ale dla nas było jasne: Geoffrey zna tamtych z wewnętrznego kręgu. Nie wyobrażacie sobie, z jaką czcią był traktowany. Osobiście jestem zdania, że Geoffrey tylko zgrywał ważniaka. W każdym razie dzwoni pewnego wieczoru i mówi, że musimy przenocować dwie osoby. Przyprowadził ich, mężczyznę i kobietę. Ledwie się odzywali, od razu poszli do pokoju Jörga spać czy co tam innego robić. Następnego ranka zniknęli. A pod poduszką Jörga leżał pistolet. Zapomnieli go zabrać. Nikt nie miał pojęcia, kim byli. Jörg jednak był przekonany, że tą kobietą była Birgit Hogefeld.

– Pewnie się wydam pani kompletną ignorantką, ale... – wtrąciła Janette.

– Przynajmniej pani pyta. Birgit Hogefeld była centralną postacią tak zwanej trzeciej generacji RAF-u. Właściwie duchem. Od dziesięciu lat w podziemiu. Niewyobrażalne, spotkać kogoś takiego. To był... – Josepha Leberecht przybrała teatralny ton – ...poziom dowództwa! Praktycznie równa Bogu! Muszę przyznać, że też byłam nieco pod wrażeniem.

– Dlaczego nie zawiadomiła pani kontrwywiadu?

Leberecht wskazała dyktafon. Wallner wyłączył go.

– Bo od razu bym się zdemaskowała. A wtedy koniec z pieniżkami. Poza tym sama nie wiem. W tamtym czasie często sypiałam z Jörgiem. Nie byłam do końca pewna, po czyjej stoję stronie. To nieuchronne, kiedy człowiek latami podszywa się pod kogoś. W którymś momencie staje się tym innym człowiekiem. Nie można kończyć roboty o piątej i wracać do prawdziwego życia. Nie ma już prawdziwego życia, jest tylko życie szpicla. Niejeden tego nie wytrzymał.

– Pani nie?

– Kobiety są twardsze. Ale gdyby mnie pan zapytał, czy zrobiłabym to jeszcze raz – nigdy przenigdy.

– Czy w czasie ferii semestralnych opuszczała pani wspólnotę?

– Właściwie nie. Razem jeździliśmy na wakacje. To były pobyty wolontariackie w Albanii, ale czasem też zwykłe wypady do Grecji. Piękne czasy.

– Zakochała się pani kiedyś? – zapytała Janette.

– Tak – odparła Leberecht i przesunęła kubek po stole w stronę Mike'a. – Dolewka? – Mike ruszył się z miejsca. Przesłuchiwana spojrzała na Janette i jej

wzrok złagodniał na moment. – Owszem, zakochałam się. To zawsze się zdarza. – Milcząc, w zamyśleniu patrzyła chwilę na powierzchnię stołu i bawiła się jednym z pierścionków na palcu. Potem zwróciła się do Wallnera. – Nie opowiedziałam jeszcze o Annette Schildbichler.

– Niech to pani zrobi.

– Cóż, jeśli Jörg byłby Andreasem Baaderem, to Annette chętnie zostałaaby jego Ulrike Meinhof albo Gudrun Ensslin. Niestety, natura nie obdarzyła Annette zbyt hojnie. Widzieliście chyba jej zwłoki. Uwierzcie mi: dwadzieścia pięć lat temu bynajmniej nie wyglądała lepiej. Jörg naturalnie nigdy z nią nie teges. Ona wprawdzie nieustannie próbowała, kiedy był pijany, ale nie bywał aż tak pijany. Annette nienawidziła za to Sophie i mnie.

– Za co?

– No, za to, że Jörg z nami sypiał. A Bóg wie, że nie byliśmy jedyne. Nas przynajmniej uszczęśliwił od czasu do czasu. I mimo to wspólnota trzymała się razem przez pięć lat. Większość czasu byliśmy zazdrosne i nieszczęśliwe. Ale były też pięknie chwile. W Grecji albo w Wackersdorfie, kiedy siedzieliśmy przy ognisku i śpiewaliśmy razem bojowe pieśni. *Wszyscy razem* Botsów to był nasz hymn. No i cóż. W końcu zabawa się skończyła i wspólnota uległa rozwiązaniu.

– Czy to oznaczało także koniec pani zajęcia?

– Nie. Obserwowałam potem lewicowych aplikantów. Ale to już inny temat.

– Dobrze. Więc wspólnota uległa rozwiązaniu. Kiedy to było?

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym.

– Ale utrzymywaliście potem kontakt?

– Nie od razu. Nie interesowała mnie kariera Sophie. Zajmowała się jakąś pracą socjalną. Za to zniknięcie Annette było całkiem przyjemne. Jörg robił aplikację w Bambergu. Stamtąd pochodzi jego późniejsza żona, Nora. Poznał ją w Wackersdorfie. Właściwie na tym wszystko mogło się skończyć. Ale jak mawiają Chińczycy, złotym pędzlem malowane są wspomnienia. W którymś momencie człowiek zapomina o wszystkim, co go wkurzało. I tak skrzyknęliśmy się i spotykaliśmy raz do roku. To były potajemne spotkania. Głównie dlatego, że Jörg nie chciał, aby dowiedziała się o nich jego żona. Była zazdrosna. Przynajmniej o mnie i o Sophie. No i było w tym coś z konspiracji. Prawie nie pisywaliśmy do siebie maili, nie dzwoniliśmy. Wysyłaliśmy listy, które następnie paliliśmy. Takie małe dziwactwo. Przypuszczam, że nie znaleźliście zbyt wielu śladów naszych kontaktów.

– Nie. Poza pani dwiema wiadomościami dla Kramm i Schildbichler. Dlaczego wysłała pani maila do Sophie Kramm?

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się do siebie. – Jeśli w ogóle, to zrobiłabym to, bo mail napędziłby jej większego strachu niż list. W Internecie jest się tak bardzo narażonym na atak.

– Dobrze, czyli spotykaliście się raz do roku. Gdzie?

– W „Atzingerze” przy Schellingstraße.

– Ach? Naprawdę? To ta knajpa jeszcze istnieje?

– Owszem. Jedna z niewielu studenckich knajpek, które przetrwały.

W czasie studiów spędziliśmy tam sporo czasu.

– Więc kto zamordował trójkę pani współlokatorów? – dociekał Wallner.

– Tego to i ja panu nie powiem. Ale mogę panu zdradzić, co się wydarzyło piętnastego września dwa tysiące ósmego roku. Tego dnia wyjątkowo spotkaliśmy się w „Alter Simpl”, nie w „Atzingerze”. Niech pan sam wyciągnie wnioski.

Jörg zarezerwował stolik w tylnej części lokalu. W „Atzingerze” właśnie trwał remont i istniały obawy, że po nim knajpa nie będzie już tym, czym była. Tym samym „Alter Simpl” był jednym z ostatnich monachijskich tradycyjnych lokali. Jego nazwa wywodziła się od legendarnego tygodnika satyrycznego „Simplicissimus”, a jego ówczesna właścicielka Kathi była, jak niesie wieść, za pan brat z twórcami pisma. Znakiem firmowym karczmy był czerwony buldog „Simplicissimus”, a logo to podarował karczmarce jeden z założycieli czasopisma. W przeciwieństwie do oryginału restauracyjny buldog nie rozrywa łańcucha cenzury, tylko biedzi się nad otwarciem butelki szampana.

Jörg jak co roku zjawił się w garniturze bez krawata. Przyszedł prosto z pracy. Annette wydała mu się jeszcze bardziej zawzięta i zgorzkniała niż ostatnim razem. Wprawdzie parę lat temu przestała nosić własnoręcznie dziergane włóczkowe ubrania, ale i tak nie miała zadatków na *fashion victim*. Na szyi miała zawiązaną niedobraną jedwabną apaszkę, a kaszmirowy sweterek prawdopodobnie był jedynym, jaki miała. Być może kupiła go dopiero po południu, by zrobić wrażenie na Jörgu. Tak przynajmniej przypuszczała Josepha, kiedy na powitanie objęła i ucałowała Annette, przy czym „ucałowała” było przesadą, gdyż policzki obu kobiet nie zbliżyły się nawet na pięć centymetrów. Sophie jak zwykle się spóźniła. Wybaczone jej to. Zawsze była taka niezorganizowana.

Zamówili treściwe potrawy, a do nich piwo. Sophie wybrała szpecle z serem i sałatkę. Kiedyś nie była wegetarianką, ale odkąd prowadziła azyl dla zwierząt, nie chciała jeść mięsa. Jörg drwił z tego, ale Sophie traktowała sprawę poważnie. Przy jedzeniu wymieniano plotki i nowiny, głównie to, którzy ze starych znajomych się rozstali i wszczęli rozwodową wojnę. Doniesienia o ślubach należały już do przeszłości, podobnie te o narodzinach. Większość z nich była dobrze po czterdziestce i miała to już za sobą. Za to zaczęły pojawiać się pogrzeby. Starego wiarusa z AStA, Kurta, dorwał rak płuc. Można się było tego spodziewać, tyle

kopcił. Teraz, po wszystkim, wiadomo było, skąd się wzięły jego zapadłe policzki, które zaczęto dostrzegać u niego jakieś dwa lata temu. Potem zaczęli wyciągać wojenne opowieści: Wackersdorf, demonstracja przeciwko pershingom i historia noclegu Birgit Hogefeld, jeśli to ona u nich wtedy spała. Tak, Jörg miał jeszcze tę broń. Pewnego dnia zamknął go za to, żartował. Pistolet na pewno został skradziony z magazynów Bundeswehry. Josepha poradziła mu, żeby nie strzelał z niego za często. I żeby trzymał go w miejscu niedostępnym dla córeczki. W dzisiejszych czasach dzieciaki miały skłonności do amoku. I wtedy przeszli do politycznego tematu dnia. Wydarzyło się coś niewiarygodnego: zbankrutował amerykański bank. Instytucja finansowa. Lehman Brothers. Czy to nie początek końca kapitalizmu?

– System niszczy sam siebie – orzekł Jörg. – Kapitalizm jest zżerany przez chciwość.

– Jak w ogóle mogło do tego dojść? Twój bank też jest w to zamieszany? – dopytywała Annette.

– To się stało tak: Amerykanie jak głupi kupowali domy. Sęk w tym, że właściwie nie mieli na to pieniędzy. Przynajmniej wielu z nich. Więc banki im je pożyczały. Zabezpieczeniem kredytów były domy. A domy były drogie, bo każdy je kupował. To podbijało ceny. Do tego momentu wszystko jest w najlepszym porządku, pieniądze pracują na siebie i są zabezpieczone wartością nieruchomości. Zdarza się, że niektórzy nie byli w stanie spłacać drogiego kredytu. Dom trafiał wówczas pod młotek i szedł na sprzedaż. Nadal nie ma tragedii. Ale gdy zjawisko to osiągnie masę krytyczną, na rynku znajdzie się więcej domów niż chętnych do ich kupna. Co się wtedy dzieje? Ceny spadają. I co jeszcze? Bank, który do tej pory miał jako zabezpieczenie dom o wartości dwustu tysięcy dolarów, teraz ma dom o wartości tylko stu tysięcy. I wtedy ktoś wpada na genialny pomysł, żeby z takich złych kredytów porobić papiery wartościowe. W jaki sposób to się odbywa, to zbyt skomplikowane, żeby to wyjaśnić. Faktem jest, że sprzedawali te lipne papiery na całym świecie. A kiedy bańka nieruchomościowa w końcu pękła, pieniądze przepadły. Jakby poszły z dymem. Sprytniejsze banki przewidywały to już lata wcześniej i w odpowiednim czasie odsprzedały swoje papiery głupim bankom. Nasz też. To znaczy, że w tej chwili nasza sytuacja jest niezła. Tylko że marna to pociecha, jeśli za to splajtują inne banki.

– Co wam to przeszkadza?

– To nam przeszkadza o tyle, o ile pożyczylismy innym bankom pieniądze. Banki zawsze pożyczają sobie wzajemnie pieniądze, jeśli nie mają z nimi co zrobić. A jeśli twój dłużnik plajtuje, to masz problem. To jest efekt domina. Tego wszyscy się boją. Jeśli pada taki gigant jak Lehman, to może to spotkać każdego.

– Czyli ostatecznie walka RAF-u jednak się opłaciła – skwitowała Annette i z uśmiechem poprawiła apaszkę.

- Akurat.
- Dlaczego nie?
- Bo RAF nic nie działał. A to dlatego, że to byli wyszkoleni działacze podziemni. Byli w tym dobrzy. Większości przecież nie ujęto do dziś. Ale nie mieli pojęcia o gospodarce. Jak chcesz pokonać przeciwnika, skoro nie wiesz, jak on działa? To było naiwne.
- A jednak mało się nie posikałeś na samą myśl, że mógłbyś do nich dołączyć. – Josepha uśmiechnęła się do Jörga.
- Zawsze uważałem konsekwencję RAF-u za godną podziwu. Tylko że nic nie działałi. Już wtedy to widziałem. Sorry.
- Czciłeś ich. To był kult gwiazd.
- Gówno prawda! Owszem, walka z imperializmem to było coś fantastycznego. Jedno trzeba im przyznać: myśleli perspektywicznie. Przecież to, co dziś wyprawiają Stany, jest o wiele bardziej ekstremalne niż Wietnam. Ale z mojej strony to nie było gloryfikowanie bohaterów. Kto tak twierdzi, jest nie w porządku.
- Masz jeszcze ten pistolet Birgit Hogefeld?
- Mam, i co z tego? Pamiątka z czasów studenckich.
- Raczej przedmiot kultu. Wyrzuć go.
- Ani myślę. Do czego właściwie zmierzasz?
- Przecież wiesz, jaka jest twoja ulubiona maksyma: rewolucji nie nosi się na ustach, żeby o niej mówić, tylko w sercu, żeby za nią ginąć!
- O mało nie zginęliśmy. W Nikaragui.
- Tak, ponieważ autobus, który miał nas dowieźć do kooperatywy, nie miał hamulców. Che Guevara chyba nie to miał na myśli.
- Zawsze uważałam, że to realna opcja. Znacząca walka zbrojna. Ale ty nie dostałeś się do tych kręgów. – Annette znów poprawiła apaszkę.
- Sophie popatrzyła na nią zdumiona.
- Serio byś w to weszła?
- Jasne, że tak. Przecież mogliśmy tylko wspierać ich z zewnątrz i przeprowadzać akcje dla przygotowania przedpola. Ale gdyby nadarzyła się okazja... myślę, że bym to zrobiła. Ty nie?
- Sophie wzruszyła ramionami.
- Tylko wtedy, gdyby wyszło z tego coś sensownego. Jeśli mam być szczerą, nigdy nie uważałam, że wysadzanie ludzi w powietrze to coś dobrego.
- I tak trafiało tylko tych, którzy sami mieli krew na rękach.
- Czczą gadanina. Żadne z was nigdy nie zrobiłoby czegoś naprawdę.
- Łącznie ze mną – powiedziała Josepha. – Bez końca tylko dyskutowaliśmy, a inni podkładali bomby i strzelali.
- Nie wiem, skąd u ciebie ta pewność? Tak dobrze nas znasz? – Jörg

zaczynał się trochę wkurzać.

– Wystarczająco długo razem mieszkaliśmy. Nie jesteście zamachowcami samobójcami.

– Nie, to nie. Ale gdyby nadarzyła się okazja, żeby zrobić coś sensownego, tobym w to wszedł.

– Stosując przemoc?

– Stosując przemoc.

– Tylko że nie było nic sensownego do zrobienia?

– Tłumaczyłem ci już: oni nie rozumieli kapitalizmu. Więc nie mogli go skutecznie zwalczać. To, co robili, mijało się z celem. Zresztą wtedy miałem niewielkie pojęcie o gospodarce.

– Ale dziś masz.

– Owszem.

– Więc czemu by nie zrobić czegoś dziś? Nie tylko masz pojęcie o pieniądzach, masz też pieniądze. Idealne warunki dla rewolucjonisty.

– Tylko że dziś mamy inne czasy – powiedziała Sophie.

– Dlaczego? Zawsze jest dobry czas, by czynić to, co właściwe. Pytanie tylko, co byłoby właściwe?

Jörg namyślał się parę sekund, przeżuwając gulasz.

– Redystrybucja.

– Zabrać bogatym, dać biednym.

– Naturalnie. Jasne, taką akcją może i nie zbawisz świata. Ale możesz wiele osiągnąć. Jakie rzeczy można by zdziałać z dziesięcioma milionami w Nikaragui? Setkom, tysiącom ludzi wiodłoby się lepiej. A forszę straciłby tylko jeden. I nie zrobiłoby mu to żadnej różnicy, bo w porównaniu z Trzecim Światem nadal byłby niewyobrażalnie bogaty.

– Świetna sprawa. Niestety, w trybie przypuszczającym.

– Okay. Więc zrobmy to po prostu. – Jörg zamówił jeszcze jedno piwo u przechodzącej obok kelnerki. – Podsunęłaś nam pewien konkretny pomysł. Bierzemy się do tego?

Nastała krępująca cisza.

– To jakiś żart, tak? – odezwała się w końcu Sophie.

– Nie, mówię poważnie.

Kobiety popatrzyły po sobie, jakby znalazły się w kiepskim filmie. Jörg nachylił się nad stołem i zniżył głos. Jego towarzyszki przysunęły bliżej głowy.

– Mam na myśli akcję polegającą na uszczknięciu dziesięciu milionów i skierowaniu ich tam, gdzie są naprawdę potrzebne. Jeśli o mnie chodzi, niech to będzie ta Nikaragua. Przemoc, owszem, ale inteligentna. Nikt nie traci życia, nikt nie zostaje ranny. I nikt nie trafia za kratki. Wielokrotnie odgrywałem to sobie w myślach. To zdumiewająco proste, jeśli się wie, jak to zrobić. To byłaby rzecz,

jakiej RAF nigdy nie osiągnął.

– Odgrywałeś to sobie? – Sophie była zszokowana.

– Tak. Ty nigdy nie odgrywałaś niczego w głowie?

Sophie najwyraźniej tego nie robiła.

– Ja wiele razy odgrywałam sobie w głowie podobne rzeczy. Zamachy i tak dalej. Wiem, to brzmi jak wariactwo. Ale to po prostu we mnie jest. Przypuszczalnie mam w genach kryminalną energię – powiedziała Annette i na nowo udrapowała na szyi apaszkę.

Sophie i Josepha wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zgodne w tym, że lizusowska próba Annette zyskania w oczach Jörga była szczytem żenady.

– Okay – odezwał się Jörg i jeszcze bardziej ściszył głos, co wobec poziomu hałasu w knajpie było zupełnie zbędne. – A teraz na serio: która z was weszłaby w to, gdybyśmy rzeczywiście mieli to zrobić?

– Weź przestań, przecież to zwykła mrzonka.

– O nie. To realia. W mojej głowie wszystko już jest gotowe.

– Komu chcesz zabrać szmal? – zapytała z napięciem Annette.

– Mamy pewnego klienta, który idealnie by się nadawał. W ciągu ostatnich dwóch lat zrobił niezłą kasę. Spekulował na zniżkujący DAX. Zainwestował niewiarygodnie dużo w opcje sprzedaży. Jak myślisz, ile takie opcje będą warte jutro?

– On na pewno ma jakichś goryli czy coś. Jak chcesz się do niego dobrać?

– Poznałem go. On w ogóle nie wygląda na takiego, który ma tyle kasy. Musimy oczywiście ustalić jeszcze, jak się do niego dobrać. Ale jestem pewien, że się da.

– Co masz konkretnie na myśli?

Rozejrzał się wokół. W lokalu był ścisk.

– To może nie jest właściwie miejsce na domawianie szczegółów. Ale jedno wam powiem: to jest wykonalne. Jasne, zawsze istnieje minimalne ryzyko.

– Naprawdę myślisz, że uszłoby nam to na sucho? – Josepha była coraz bardziej zainteresowana.

– Tak. A wiecie dlaczego? Bo przez ostatnie dwadzieścia lat niemal w ogóle nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, nie jesteśmy na celowniku policji, nie figurujemy w rejestrach. Nawet gdybyśmy pozostawili ślady DNA i odciski palców – czego nie zrobimy – nawet wtedy nikt nie będzie mógł nic z nimi zrobić. A potem będziemy postępować jak zwykle. Spotkamy się raz do roku. Postanowimy, co robimy z pieniędzmi, i tyle. Jeśli to będzie konieczne, będziemy wysyłać listy i je palić. Żadnych maili. Żadnych telefonów. Żadnych śladów.

Sophie zaśmiała się krótko i z niedowierzaniem, ale i pewnym namysłem. Pokręciła głową.

– Można by sądzić, że traktujesz to serio.

– Pomyślcie: przez wszystkie te lata tylko biliśmy pianę i wmawialiśmy sobie, jak niezmiernie istotne jest to, o czym gędzimy. A przez ostatnie dwadzieścia lat nawet nie biliśmy piany. Jasne, możemy nadal siedzieć na tyłkach i czekać, aż zgnijemy. Ale możemy też sięgnąć po ostatnią szansę, żeby coś zrobić. A kiedy się położymy do trumny, będziemy mogli sobie powiedzieć: hej, nie żyłeś na darmo.

Kelnerka postawiła zamówione piwo Jörga na stole. Natychmiast wziął wielki łyk i odstawił szklanę na podkładkę, zdecydowanie kiwając głową.

– Sam nie wiem, dla mnie byłoby to ważne.

Wallner kazał przynieść sobie talerz z ciasteczkami i z namysłem gryzł twardą cynamonową gwiazdkę.

– Czy tamtego wieczoru nastąpiły pewne ustalenia?

– Nie. Nie doszło do tego. Jörg nie chciał omawiać tego w miejscu publicznym. Powiedział, że wszyscy powinniśmy się przespać z tym pomysłem.

– A potem?

– Pozostali przestali się odzywać. Pomyślałam sobie, dobra, to był jeden z tych poronionych pomysłów, które rodzą się w knajpie. Mimo to po tygodniu napisałam do Jörga. Z pytaniem, co z naszymi planami. Nic, odpowiedział. To była tylko taka gra myślowa. Początkowo na tym poprzestałam. Wszak to był absurd, żeby naprawdę wprowadzić coś takiego w życie. Ale potem zaczęłam raz po raz odtwarzać w myślach tamten wieczór. Widziałam przed sobą Jörga, jakim wzrokiem patrzył, jaki był poważny i zdeterminowany. Byłam pewna, że miał gotowy plan. Może nawet już od lat. Taka idée fixe, która nie chce się od człowieka odczepić. Tamtego wieczoru postanowił wdrożyć swój plan. Byłam o tym przekonana. Dlatego jeszcze raz chciałam z nim porozmawiać i pojechałam do niego do banku. Chciałam popatrzeć mu w oczy, przekonać się, czy jest wobec mnie szczery. Ale go nie zastałam. Wziął tydzień wolnego. Wydało mi się to dziwne, choć może to tylko moja zwyczajna paranoja. W każdym razie coś mnie tknęło i zadzwoniłam do szkoły Annette. A tam mi powiedziano, że jest na tygodniowym zwolnieniu lekarskim. A Sophie nie było w azylu. Miała wrócić dopiero wieczorem. I wtedy po raz pierwszy zaczęłam coś konkretnie podejrzewać.

– Leberecht zanurzyła kawałek herbatnika w kawie i włożyła go do ust.

– Czy skontaktowała się pani z Immerknechtem ponownie?

– Tak. Po tym jego rzekomym urlopie. Pojechałam do banku i zażądałam rozmowy. Wściekł się, że przyszłam bezpośrednio do niego. W ogóle zachowywał się skrajnie nerwowo i oczywiście zaprzeczył, jakoby robili coś za moimi plecami.

Ale kłamał. Jestem tego pewna.

– Jak pani sądzi, dlaczego pozostali nie chcieli, by wzięła w tym pani udział?

– Jest wiele powodów. Zazdrość u Annette. U Jörga strach, że wysunę się na pierwsze miejsce. Potrafię być bardzo władcza. Nie na darmo nazywali mnie Stalin. Niewykluczone, że nigdy mi nie ufali. Nie wiem tego. Człowiek popada w paranoję, kiedy przez wiele lat pracuje pod przykrywką. Może po prostu czuli się ze mną nieswojo i nie wiedzieli, co o mnie myśleć.

– Przyłączyłaby się pani?

Leberecht chwyciła kolejnego herbatnika i mu się przyjrzała.

– Myślę, że tak. Tak, pewnie wzięłabym w tym udział. – Uśmiechnęła się ujmująco do Wallnera. – Już nie jestem na służbie.

– Czy poza intuicją miała pani jakieś konkretne przesłanki wskazujące na przestępstwo?

– Owszem. Dlatego niedawno znów, nazwijmy to tak, zwróciłam się do moich przyjaciół. Od niepamiętnych czasów wspieramy pewien projekt w Nikaragui. Raz do roku przekazuję na konto pewnej tamtejszej spółdzielni jakąś kwotę, a oni przysyłają mi parę zdjęć i list z podziękowaniami. Parę miesięcy temu nadeszła pora przelewu. I znowu dostałam zdjęcia. I widzę, że pobudowali szpital z własnym generatorem prądotwórczym i salą operacyjną z prawdziwego zdarzenia. Od dwudziestu pięciu lat chcieli mieć coś takiego. Ale nigdy nie wystarczało im pieniędzy. To mnie zaciekało. Zadzwoiłam do dyrektora spółdzielni. Znam go osobiście z czasów, gdy jeszcze ich odwiedzaliśmy. A on mi mówi, że wpłynęła darowizna. Kilkaset tysięcy euro. I to już po raz trzeci w ciągu trzech lat. Darowizna była anonimowa. Ale raz przyjechał señor Immerknecht i dowiadywał się o postęp prac. Zapytali go, czy te pieniądze są od niego. Nie potwierdził, ale też i nie zaprzeczył. Tylko się nadał jak paw i powiedział, że nie chce rozmawiać o pieniądzach. I wtedy wszystko stało się jasne.

– Sądziła pani zatem, że pani przyjaciele ukradli klientowi banku Immerknechta dużą sumę pieniędzy i zażądała swej części?

– W tej chwili wolałabym nie wchodzić w szczegóły. Myślę, że to nie jest istotne z pana punktu widzenia.

– Nie do końca tak jest. Istnieje przecież abstrakcyjna możliwość, że dostała pani pieniądze i zlikwidowała świadków szantażu.

– Abstrakcyjna, jak pan się wyraził. Uważa pan, że któreś z nich doniosłoby na mnie na policję? Chyba raczej nie, skoro uprzednio ukradli te pieniądze.

– Na pewno? Ale dobrze, zostawmy tę kwestię otwartą. Nurtuje mnie inne pytanie: co właściwie zrobili pani przyjaciele? Innymi słowy: w jaki sposób zdobyli pieniądze? I kim był ten klient, którego oskubali?

– Tego, niestety, nie udało mi się ustalić. Podejrzewam, że pan ma lepsze możliwości.

– Sprawdzaliśmy, jakie przestępstwa odpowiedniego rzędu wielkości zgłoszono w danym okresie. Nie znaleźliśmy niczego, co pasowałoby choćby w przybliżeniu.

– Może po prostu nigdy nie zostało zgłoszone.

– To byłoby niezwykle.

– Być może oskubali klienta z lewych pieniędzy.

– Też się nad tym zastanawiałem. Ale najwyraźniej człowiek ten całkiem oficjalnie miał pieniądze na koncie w banku Immerknechta. To bank w Monachium, nie w Liechtensteinie.

Leberecht skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła skwaszona na Wallnera.

– Niech pan przestanie kręcić nosem na moje informacje. Niech pan coś z nimi zrobi. A tak w ogóle to chciałabym już iść.

Wallner myślał przez chwilę i zdecydował:

– Będzie się pani codziennie osobiście stawiać na policji w Monachium. Do czasu, gdy zwolnimy panią z tego obowiązku.

Wsadziwszy Leberecht do samochodu jadącego do Monachium, Wallner, Janette i Mike poszli coś przekąsić na Unterer Markt w Miesbach.

– Wierzysz w tę jej opowieść? – zapytała Janette, rozgrzebując na talerzu rybę.

– To dość skomplikowana historia – orzekł Wallner. – Trudno byłoby wymyślić coś takiego. Ale ona jest inteligentna i dziesięć lat żyła z wymyślania opowieści. Poprosiłem kolegów z Monachium, by ją obserwowali. W żadnym razie nie można ufać tej kobiecie.

– Jest zimna jak ryba. – Mike zabrał się do gulaszu z jelenia. – Można się po niej spodziewać wszystkiego. Sposób popełnienia morderstwa też do niej pasuje. Taka nie rzuciłaby się na kogoś z nożem. Co mnie zastanawia, to ta cała sprawa z fotografią. Po co miałyby robić coś takiego?

– Żeby podrzucić fałszywy trop. Żeby to wyglądało na czyn obłąkanego seryjnego mordercy.

– Ale ona ma rację – zaproponowała Janette. – Po co miałyby popełniać te zbrodnie? Żadne z tej trójki by na nią nie doniosło. Przecież wtedy sami trafiliby do więzienia.

– Pod warunkiem że ta historia jest prawdziwa. Poza tym nie wiadomo, co siedzi w głowach takich ludzi. To nie są zawodowi gangsterzy. Może jedno z nich było gotowe iść na policję, bo nie mogło dłużej znieść poczucia winy. Wtedy wpadłaby oczywiście i Leberecht. Tylko że w tej chwili nie wiemy nawet, czy oni w ogóle popełnili jakieś przestępstwo, nie mówiąc o tym jakie. Jeśli rzeczywiście chodziło o setki tysięcy albo miliony euro, dlaczego poszkodowany tego nie

zgłosił?

Z braku odpowiedzi w milczeniu skupili się na jedzeniu, do momentu gdy rozdzwoniła się komórka Mike'a. Odebrał połączenie, co jakiś czas wtrącając „aha” i „w porządku”, wreszcie rozłączył się, schował komórkę i wrócił do gulaszu.

– Dzwoniła Tina. Kreuthner zjawił się w komisariacie.

– To on nie jest na urlopie?

– Jest. Podobno ustalił coś bardzo, bardzo ważnego.

– Ale chyba nie będziemy się stresować z jego powodu? – zapytała Janette.

– Nie. Zjemy spokojnie do końca. – Wallner wziął spory łyk bezalkoholowego piwa i z wyjątkowym spokojem odstawił szklanę.

– Czy wiadomo, co takiego bardzo, bardzo ważnego ustalił?

– Nie. Ale Tina mówi, żebyśmy się nie wystraszyli, jak go zobaczymy.

Kreuthner miał zabandażowaną głowę i dwa plastry na twarzy, spuchnięte i podbite oczy. Również i w innych miejscach na twarzy widniały kolorowe plamy.

– Wybuchł popłoch w tym twoim azylu? – Mike wyszczerzył się drwiąco, kiedy trójka policjantów weszła do gabinetu Wallnera, gdzie Kreuthner czekał na nich, konsumując bułkę z *Leberkäse*[9].

– Później się będę śmiał – odparł. – Pojedliście sobie, tak? Dobrze było?

– Super. Jest sezon na dziczyznę. Powinieneś serio się kiedyś z nami wybrać. Mają nawet dziczyznę w ofercie na lunch. Osiem osiemdziesiąt. Spoko cena.

– Dziękuję, ale nie jem zwierząt.

– A to dlaczego? – chciał wiedzieć Wallner.

– Bo to jest perwersja. Święta nadchodzą, wszyscy się cieszą. I dlatego że się cieszą, zabija się miliony zwierząt. Dla mnie to perwersja.

– A co ty właśnie jesz?

– Bułkę z *Leberkäse*. – Kreuthner wyraźnie nie był świadomy sprzeczności.

– A to nie mięso?

– To ser, jak sama nazwa wskazuje.

– Okay. – Wallner nie chciał drążyć tematu. Było oczywiste, że Kreuthner nigdy w życiu nie przyzna racji komuś innemu. A jeśli się próbowało wytknąć mu sprzeczność, jego argumentacja stawała się coraz bardziej absurdalna. Wallner miał jednak inne zmartwienia na głowie. – Co ty masz na twarzy?

– Przewróciłem się.

– I parę razy odbiłeś się od ziemi?

– To moja prywatna sprawa. Macie. Lepiej popatrzcie na to. – Kreuthner położył na biurku fotografię, którą znalazł w domu Kruggera. – Przypomina wam to coś?

Trójka policjantów w skupieniu studiowała zdjęcie.

– Franziska Michalski, niezływa kobieta ze zdjęcia – orzekła w końcu Janette.

– Bardzo dobrze! Franziska Michalski. – Kreuthner wsunął do ust ostatni kawałek bułki i odczekał chwilę, aby jego słowa wywarły odpowiednie wrażenie.

Wallner wziął fotografię do ręki.

– To zdjęcie nie pochodzi z akt, prawda?

– Prawda – przyznał Kreuthner i strzepał okruchy ze swetra.

– Więc skąd?

– Taaak, zaczyna się robić ciekawie, prawda?

– Owszem – odparł Wallner. – Zaczyna się robić ciekawie.

Kreuthner uśmiechnął się, co z jego pokiereszowaną twarzą wyglądało odrobinę głupawo, i przez chwilę napawał się poczuciem triumfu.

– To zdjęcie pochodzi z domu Baptista Kruggera. Co za dziwny zbieg okoliczności, że gość ma wszędzie zdjęcia tej babki. Dobry jestem, co?

– Chyba się tam nie włamałeś?

– Skoro nie mogłeś załatwić nakazu rewizji, to co miałem robić?

– Czy twoja kolorowa twarz ma coś wspólnego z włamaniem?

– To, jak mówiłem, jest moja prywatna sprawa. Załatw nakaz i zgarnij Kruggera.

– Dobrze. Ale potrzebuję kilku informacji.

– Ależ z ciebie urzędas. Po co ci tu jeszcze informacje? – Kreuthner wskazał zdjęcie kobiety.

– Muszę mieć w zanadrzu odpowiedzi na wszystkie pytania Tischlera. Inaczej nici z nakazu. Pytanie pierwsze: włamałeś się?

– Tak.

– To tam da się wejść do środka, ot tak?

– Trzeba wpisać kod.

– I wiedziałeś jaki?

– Kod jest schowany w stercie drewna koło drzwi.

Wallner z powątpiewaniem zmierzył go wzrokiem.

– I ten Krugger naprawdę jest takim jełopem?

– Jełop, niechluj, bałaganiarz. Bo ja wiem. W każdym razie tam był ten kod.

– Ktoś cię widział?

– Nie. – Kreuthner się zawahał. Wallner mimiką dał mu do zrozumienia, że powinien mówić prawdę.

– Nie bezpośrednio.

– Co to znaczy?

– Ci, co mnie widzieli, nic nie wygadają.

– Skąd wiesz?

Kreuthner milczał.

– Czy to ci sami, którzy zrobili ci z twarzy maskę karnawałową?

– To byli dwaj kolesie z firmy ochroniarskiej. Najwyraźniej mieli instrukcje,

żeby nie wzywać policji. W zamian było... to.

– Rozumiem. Bardzo mi przykro. – Wallner położył rękę na ramieniu Kreuthnera. – Niech więc to nie pójdzie na marne. – Odwrócił się do pozostałych. – Bądźcie tak dobrzy i zostawcie mnie na chwilę samego. Muszę wykonać trudny telefon.

Tischler miał za sobą postępowanie dowodowe, które zakończyło się kompletną klapą, i kiedy zadzwonił Wallner, był w fatalnym nastroju.

– Jak poszła ta sprawa z napadem w metrze?

– Wspaniale. Z trzech tak zwanych świadków żaden nie mógł sobie przypomnieć, który uderzył pierwszy. A ja dzięki tym trzem idiotom wniosłem oskarżenie. Dobrze panu radzę, żeby miał pan dla mnie pomyślne wieści.

– A czy kiedykolwiek usłyszał pan z moich ust inne?

– A więc?

– Z dużym prawdopodobieństwem wiemy, gdzie podziała się nieżywa kobieta ze zdjęcia.

– Co mam rozumieć pod sformułowaniem „z dużym prawdopodobieństwem wiemy”?

– No cóż, wiemy. Musimy tylko podeprzeć tę wiedzę dowodami.

– Gdzie się podziała ta kobieta?

– Jeden z tropów prowadzi do domu Baptista Kruggera.

– Chwila, moment! Kruggera? Czy to nie ten, który poskarżył się starości?

– To był jego ojciec. Jeden z naszych kolegów wykazał się nadgorliwością.

Ale to, co wiemy, jest naprawdę mocne.

– A co dokładnie pan wie?

– Pan Krugger ma w swym domu, o którego istnieniu nie wiedzieli nawet jego rodzice, liczne zdjęcia zaginionej. Nasz informator mówi o czymś w rodzaju ołtarzyka.

– A skąd ów informator ma takie wiadomości?

– Był w domu.

– Został zaproszony przez pana Kruggera?

– Nie można tego tak nazwać. Załatwił sobie wstęp na własną rękę.

– Tylko niech mi pan nie mówi, że ten informator jest funkcjonariuszem policji.

– I tak, i nie. W istocie jest funkcjonariuszem. Jednakże w czasie, kiedy odwiedził dom, nim nie był. Był w tym czasie zawieszony w czynnościach. Jeśli w ramach rozprawy wypłynie ten temat, nie będzie wątpliwości, że informator ów działał jako osoba prywatna. Oczywiście wbrew mojej woli i ku mojej wyraźnej dezaprobacie.

– Ale ponieważ mamy do czynienia z informacjami uzyskanymi w nielegalny sposób...

– ...nie możemy ich zignorować. Ma pan całkowitą rację.

– Owoce zatrutego drzewa, tak mówią na to amerykańskie sądy.

– O ile dobrze pamiętam nasze prawo, niemieckie sądy nie stosują tej doktryny. Poza tym czy rozciąga się ona również na dowody uzyskane przez osoby prywatne?

– Zbaczamy w teorię. Co się okaże, kiedy przeszukamy ten dom?

– Facet ma nieczyste sumienie. To dość oczywiste. Inaczej nie robiłby z tego domu takiej tajemnicy. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy wskazówki dotyczące miejsca, gdzie znajdują się zwłoki. Być może Krugger dostarczy nam kawałka układanki brakującego, by zrozumieć tło tych zbrodni.

– A przy braku szczęścia?

– Pozostaniemy przy zwykłej procedurze. Policja zaważyła sprawę.

– Bo tak będzie.

– A czy to ja będę mógł wystąpić przed reporterami, jeśli się uda?

– Załatwię panu ten nakaz. Ale nie zaczynajcie beze mnie.

[9] *Leberkäse* – rodzaj pasztetu z drobno mielonego mięsa wołowego, wieprzowego oraz boczku, tradycyjna potrawa bawarska. Wbrew nazwie (*Leber* – wątroba, *Käse* – ser), nie zawiera ani wątróbki, ani sera.

Droga dojazdowa była zastawiona policyjnymi pojazdami, niektóre z nich miały włączone koguty. Mieszkańcy sąsiednich gospodarstw stali z lornetkami na swych posesjach, próbując dojrzeć, co się działo w dziwnym domu. Plotki prędko rozniosły się po okolicy, od Warngau, przez Darching, aż po Weyarn. Wachlarz domysłów sięgał od zwłok kilkorga dzieci po muzułmańską sektę.

Baptist Krugger był na miejscu. Towarzyszył mu zaprzyjaźniony adwokat mający niewielkie pojęcie o prawie karnym, który rzucał tak absurdalne groźby, że pochłonięci pracą funkcjonariusze, słysząc je, tylko kręcili głową. Wallner i Janette stali przed domem razem z Kruggerem, jego adwokatem i prokuratorem Tischlerem. W środku tylko zawadzaliby Tinie, Oliverowi i innym technikom. Tina przyniosła teczkę z fotografiami, na których widniała zaginiona Franziska Michalski, na niektórych razem z Kruggerem. Pokazano zdjęcia Kruggerowi.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Tischler, który znajdował wielką przyjemność w tej akcji.

– Dawna przyjaciółka.

– Nic więcej nie mów. Ciągną cię za język, żebyś powiedział coś, co będą potem mogli wykorzystać przeciwko tobie – wtrącił się adwokat.

Wallner obserwował Kruggera. Jego oblicze miało barwę zepsutej ryby. Mężczyzna pocił się mocno pomimo zimna, a podkrążone oczy świadczyły o bezsennej nocy. Krugger był psychicznie wycieńczony.

– Nie musi pan niczego mówić. Może pan odmówić składania zeznań. Moim zdaniem jednak znajduje się pan w sytuacji, w której może pan tylko zyskać na współpracy z nami. Przecież sam pan najlepiej wie, co jeszcze tu znajdziemy.

– Nie wiem, czego właściwie chcecie. – Adwokat próbował jakoś zapracować na swoje wysokie honorarium. – Zaginęła kobieta. Dobrze. Być może pan Krugger ją znał. Być może.

– Przed chwilą powiedział przy świadkach, że była jego przyjaciółką –

wytknął adwokatowi Tischler.

– Jak zwał, tak zwał. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Absolutnie o niczym!

Wallner cenił obrońców, którzy wiedzieli, na czym polega ich fach. Tych, którzy wyznawali zasadę: przyznaj się do tego, co i tak można ci udowodnić. Ludzie pokroju tego mecenasa, którego nazwiska już zapomniał, marnowali tylko czas, a swym klientom stwarzali same kłopoty.

– Niech pan posłucha, te zdjęcia wykonano w czerwcu dwa tysiące ósmego. – Wallner pokazał datę na odwrocie jednego z nich. – Krótco przedtem Franziskę Michalski widziano żywą po raz ostatni.

– Jak pan myśli, jakie wnioski wyciągnie z tego sąd? – Tischler ponownie wywindował się na szefa dochodzenia. – Nawet jeśli nie znajdziemy zwłok, a podejrzewam, że w jakiś sposób pan się ich pozbył, nawet bez zwłok pańska sytuacja wygląda nieciekawie.

– Nic nie macie. Kompletnie nic – marudził adwokat.

– Co za bzdury pan tu wygaduje? Skazywano już na podstawie słabszych dowodów. Czy pan w ogóle kiedykolwiek prowadził proces karny?

– Jeśli nie zaprzestanie pan tych osobistych wycieczek, to natychmiast przerywamy. Nie musimy tego tolerować.

– Nie wiem, co pan chce tu przerywać. W każdym razie na pewno nie rewizję. A pan Krugger jest tymczasowo zatrzymany, więc raczej nas nie opuści. Jeśli chce pan odejść – proszę bardzo! Nie będę panu przeszkadzał.

Podczas tej słownej utarczki Wallner nie spuszczał Kruggera z oczu. Mężczyzna co jakiś czas spoglądał w jednym kierunku, udając przy tym, że tylko się rozgląda. Był kiepskim aktorem.

– Panie Krugger, co tam jest?

– Gdzie?

– Tam gdzie pan cały czas patrzy.

Krugger milczał.

– Myśli pan, że nie przetrząśniemy ogródka? Niech pan pokaże, co ma pokazać. Uznamy, że doprowadził nas pan na miejsce. Prokurator potraktuje to jako okoliczność łagodzącą.

– Niczego nie pokazuj, zrozumiałeś? Pozostaw mówienie mnie.

Tischler przewrócił oczami i zwrócił się szeptem do Kruggera:

– To właściwie nie moja sprawa. Ale jeśli go pan nie zwolni, będzie to pana kosztować parę latek.

– No! – zakrzyknął zduszonym głosem adwokat. – To będzie miało konsekwencje! Złożę zażalenie!

– Niech pan się ustawi w kolejce. – Tischler zwrócił się ponownie do Kruggera i dodał: – Co chce pan nam pokazać?

Krugger wziął głęboki wdech i podszedł do żywopłotu.

Stali w pewnej odległości od miejsca, które wskazał Krugger. Oliver z innym funkcjonariuszem ostrożnie usuwali wierzchnią warstwę śniegu. Ziemia pod nią była zmarznięta, technicy z trudem wbijali w nią szpadle. Minęło dobrych kilka minut, zanim łopata wreszcie na coś natrafiła. Oliver przestał kopać i ukląkł, żeby zbadać znalezisko. Była to damska torebka, całkiem dobrze zachowana, biorąc pod uwagę, że ostatnie trzy lata przeleżała w ziemi. Janette i Wallner porównali ją ze zdjęciem torebki z monachijskiego sklepu. Nie było wątpliwości, że to ta sama.

Nieco głębiej z ziemi wyłoniły się pierwsze kości. Baptist Krugger odwrócił się i nieruchomo wpatrywał w nagie gałęzie krzewów.

Przez głęboki śnieg do nich sześćdziesięcioletni na oko mężczyzna.

– Co tu się dzieje? – Popatrzył na Olivera, potem na wystającą z ziemi kość, w milczeniu pokręcił nieznacznie głową. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie. Zatrzymał wzrok na Baptiście Kruggerze, który nadal stał odwrócony do nich tyłem.

– Czego chce tu ten człowiek? – zapytał Tischler.

– To jest pan Krugger senior – poinformował jeden z policjantów.

– Kto go tu przepuścił? Może by ktoś go stąd zabrał.

Wallner podszedł do mężczyzny.

– Nie może pan tutaj zostać, panie Krugger. Proszę jechać do domu. Zadzwonimy do pana, kiedy będzie pan mógł porozmawiać z synem.

Stary raz jeszcze popatrzył na syna, który wciąż się nie odwracał, po czym jak małe dziecko, które zgubiło się w dziczy, zaczął z powrotem przedzierać się przez zasy.

Tischler stanął przy Baptiście Kruggerze.

– Panie Krugger, mamy do pana kilka pytań.

Frank wszystko przetrząsnął. Biurka, półki na dokumenty, szafki, nawet bieliźniarkę i kredens, ubrania, piwnicę, łazienkę, strych i oczywiście pokoje Sophie i Danieli. Nic. Komputer w pokoju Danieli – inaczej niż poprzednim razem – był chroniony hasłem. To utwierdziło Franka w przekonaniu, że miała dostęp do pieniędzy. Trudno, będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać na jej powrót.

Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki piwo, pomyślał chwilę i odstawił je z powrotem. To miały być najważniejsze godziny jego życia. Musiał zachować jasność umysłu. Zdecydował się na butelkę wody mineralnej. W tym samym momencie usłyszał zbliżający się samochód. Czyżby Daniela już wróciła? Przez okno kuchenne zobaczył wjeżdżającego na podwórze starego czerwonego passata. Widział już kiedyś ten samochód. To musiał być ten policjant.

Kiedy Kreuthner wysiadł, drzwi chałupy otworzyły się i na podwórze wyszedł Frank. Obrzucił spojrzeniem obitą twarz policjanta, ale nie skomentował tego, co zobaczył.

– Danieli nie ma.

– Aha – odparł Kreuthner. – A kiedy wróci?

– Pewnie za parę godzin. Pojechała do Tyrolu, żeby obejrzeć inny azyl dla zwierząt.

– A to czemu?

– Chyba chce z nimi współpracować.

Kreuthner skinął głową.

– Szkoda. Wyłączyła komórkę. Pewnie telefony z Austrii za drogie. No dobra, to wpadnę później.

– Przekażę jej. – Frank skinął głową na pożegnanie. Kiedy policjant wsiadł do samochodu, przyszło mu coś jeszcze do głowy. – Macie coś nowego? W sprawie morderstwa jej siostry?

– Tak. Możesz jej powiedzieć, że przyskrzyniliśmy gościa, który zamordował kobietę ze zdjęcia.

– Okay. Powiem jej. To ktoś tutejszy?

– Z Miesbach. Więcej nie mogę powiedzieć. Śledztwo jest jeszcze w toku.

– Jasne. Życzę powodzenia.

Frank odprowadził samochód spojrzeniem szaroniebieskich oczu, nieruchomo, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, tylko mrugając od czasu do czasu. W środku się cały gotował. Policja aresztowała zleceniodawcę. A sto razy mu mówił: trzeba się pozbyć zwłok. Proponował, że sam się tym zajmie. Na próżno. Dziewczyna miała zostać w ogrodzie. Krugger za nic na świecie nie chciał się pożegnać z tą kupką kości. Praca z amatorami to przekleństwo.

Krugger wiedział o Franku tyle co nic. Wystarczająco dużo jednak, żeby dostarczyć policji jego opis oraz parę istotnych punktów zaczepienia dotyczących jego osoby. Na koniec ten kretyn zapamiętał jeszcze jego numery rejestracyjne. Trudno powiedzieć, ile miał jeszcze czasu. Może do jutra.

Frank poszedł do kuchni, wziął telefon i wyjął z kurtki kartkę z numerem telefonu. W słuchawce odezwał się ktoś z azylu dla zwierząt „Inntal”. Frank przedstawił się wymyślonym nazwiskiem i zapytał, czy jest u nich pani Kramm. Rozmówca zaprzeczył, ale powiedział, że jej się spodziewają, i zapytał, czy coś przekazać. Nie, odpowiedział Frank, nie ma takiej potrzeby. Na koniec poprosił o przesłanie SMS-em adresu, aby przy okazji pobytu w Tyrolu móc odwiedzić azyl. Wspomniał, że wspiera parę instytucji, między innymi azyl Danieli Kramm. Kilka minut później adres przysłano mu na komórkę. Frank był wtedy już w drodze do Tyrolu. Do granicy zostało trzydzieści kilometrów.

Kobieta przy granatowym bmw dygotała lekko w chłodzie wrześnieego poranka, wpatrywała się w milczeniu w twarz Kreuthnera i przełykała ślinę. Widać było, że serce podchodzi jej do gardła. Sierżant ze spokojem sadysty obserwował, jak próbuje zapanować nad swoją mimiką.

– Co... – zastanowiła się, co właściwie chce powiedzieć. – Czego pan teraz ode mnie chce?

– To jest w każdym razie wykroczenie.

– Nie wiedziałam.

– Chyba pani wie, że to niedozwolone. Żeby sobie jeździć na numerach innego pojazdu.

Spięta kobieta skinęła w milczeniu głową. Kierowca golfa ruszył w ich kierunku.

– Mogę jakoś pomóc?

– Ta pani jeździ na numerach, na które zarejestrowano już inny samochód. To jest wykroczenie. O ile nie gorzej.

– O, to pewnie należy się mandat.

– Owszem, tanio nie będzie. – Kreuthner zmierzył mężczyznę wzrokiem. Robił wrażenie osoby opanowanej, nie tak tępej jak ta baba. Gdyby nie typowe dla drwala ubranie, Kreuthner przysięgłby, że jest adwokatem.

– To ile to wyniesie? – zapytał mężczyzna, obrzucając sierżanta spojrzeniem, które nie pozostawiało wątpliwości, że jest gotów negocjować w sprawie kwoty. W końcu to nie Trzeci Świat, gdzie policjanci z podziękowaniami przyjmowali dziesięć euro i paczkę papierosów.

– Płaci pan gotówką?

– Tak, myślę, że to się da zrobić. – Zwrócił się do kobiety: – Chętnie za panią założę. Odda mi pani przy okazji.

– Tak, oczywiście. Niech mi pan zostawi numer konta. – Kobieta znów była

w grze. Mogła się rozpocząć przyjemna część przedstawienia.

– No to zobaczmy – rzucił mężczyzna, wyciągając portfel, designerski model wykonany z drogiej skóry. To z jednej strony uspokoiło Kreuthnera, ponieważ pozwalało oczekiwać, że facet miał w nim więcej niż pięćdziesiąt euro. Z drugiej strony coraz bardziej nurtowało go pytanie, co tu właściwie było grane. Na tej planecie definitywnie nie było ani jednego drwala, który miałby portfel tego rodzaju. Kiedy mężczyzna wyjmował banknoty, Kreuthner ujrzał jego wypielęgnowane paznokcie. Takimi rękoma nie ścinało się drzew.

– Miałbym przy sobie sześćset. Nie wiem, czy to wystarczy?

Kreuthner pomyślał. Nie, nie wystarczy. Musiał oddać Kummederowi siedemset czterdzieści, a nie wiadomo, czy zbir nie zażąda odsetek za zwłokę.

– Przykro mi. Mandat opiewa na osiemset euro.

– Niech pan zaczeka – odezwała się kobieta, wyjęła ze swej bałaganiarskiej torby portmonetkę i grzebała w niej, dopóki w jej ręku nie znalazło się kilka pomiętych banknotów. – Mam sto siedemdziesiąt.

Kreuthner wziął je od niej, a potem gładkie i nowiutkie banknoty od mężczyzny.

– Nie będziemy toczyć wojny z powodu trzydziestu euro. Ale proszę doprowadzić do porządku te tablice. – Wycelował groźnie palec w kobietę.

– Jeszcze dziś każę to wyprostować – powiedziała z uśmiechem. Spektakl zaczął sprawiać radość wszystkim uczestnikom.

Kreuthner zerknął na zegarek. Miał jeszcze osiemnaście minut na oddanie pieniędzy Kummederowi. Mało, ale może zdąży.

– Zawracaj! – zawołał do siedzącego w wozie Schartauera. – Jedziemy do gospody „Pod młynem”.

Baptist Krugger słyszał głosy. Trudno mu było oddychać w ciemnym bagażniku. Z wysiłkiem udało mu się zsunąć zakrywający twarz koc. Słyszał, jak kobieta z samochodu rozmawia z jakimś mężczyzną, najwyraźniej policjantem. Kruggerowi było gorąco, jego serce łomotało tak dziko, że czuł tętno aż w gardle. Co miał robić? Wołać o pomoc? Tak, do cholery, powinien to zrobić. I zrobiłby to, gdyby... gdyby tak bardzo się nie bał. Tak wiele mogło pójść nie tak. A co, jeśli to jednak nie był policjant, jeśli tamci odjadą i uciekną, jeśli tylko chcą go przetestować, jeśli, jeśli, jeśli... Wtedy go zabiją, bo przekonają się, że gdyby puścili go wolno, nie można na nim polegać. Właściwie wszystko przemawiało za tym, żeby wołać o pomoc, każdy rozsądny człowiek tak właśnie by zrobił, szanse powodzenia wynosiły dziewięćdziesiąt osiem procent. Na litość boską! Gdyby miał jaja, a nie cholernego pietra! Wtedy!... Głos policjanta stał się cichszy, oddalał się od samochodu. Może już go nie było, może nie usłyszy go, gdyby zawołał. Gdyby

tylko nie miał takiego kurewskiego stracha, to powinien wydrzeć się na całe gardło. Krzycz w końcu. Krzycz!

Baptist Krugger nie zaczął krzyczeć, tylko się rozplakał. Po jego policzkach płynęły łzy rozpacz i złości na własne tchórzostwo.

Samochód ruszył i zatrzymał się kilka minut później. Kłapa bagażnika otworzyła się i mężczyzna z pistoletem kazał mu wysiadać. Porywacze zasłonili teraz twarze kominiarkami z otworami na oczy i usta. W trójkę (dołączyła do nich jeszcze jedna kobieta) wyciągnęli go z bagażnika. Podjechali pod jego dom na Taubenbergu, samochód stał tyłem do drzwi, a kłapa bagażnika ich zasłaniała, gdyby ktoś patrzył w ich stronę. Tylko że niemal nikt wtedy nie przechodził. Najwyżej chłop ze swoimi krowami. A i to dopiero późnym popołudniem. Nikt nie zobaczy, co tu się dzieje. Posesja była otoczona krzewami i zaroślami zasłaniającymi wszystko, przynajmniej teraz we wrześniu. To był jeden z argumentów przemawiających za jej kupnem.

Rozwiązali mu ręce i przypomnieli, żeby nie wyprawiał żadnych głupstw. Krugger ani myślał robić coś takiego. Porywacze najwyraźniej ocenili, że ryzyko jest niewielkie. Jego poprawne zachowanie w bagażniku zdało egzamin. Wzbudził ich zaufanie.

– No już, do domu! – polecił mężczyzna. Krugger stanął przy klawiaturze przy drzwiach i zawahał się. – Na co pan czeka? Niech pan wprowadzi kod!

W środku prędko zorientowali się w rozkładzie i znaleźli kąt z komputerem. Mężczyzna od razu usiadł przy nim i go uruchomił. Potem otworzył przeglądarkę z ulubionymi i wszedł na stronę Südbayerische Creditanstalt.

Ponieważ po piętnastym września opcje sprzedaży na zniżkujące instrumenty giełdowe nagle okazały się warte dziesięć milionów euro, Krugger sprzedał je i pieniądze włożył na konto o stałym oprocentowaniu. Musiał zorientować się w sytuacji i odczekać, jak się ona rozwinie. Inwestowanie w złoto czy inne instrumenty odporne na kryzysy nie wydało mu się teraz mądre, bo w to wchodzili teraz wszyscy. Jego konto w Südbayerische Creditanstalt pękało zatem w szwach. Jörg Immerknecht wiedział o tym, ponieważ jako członek zarządu miał dostęp do danych klientów. By uzyskać dostęp do odpowiedniej strony, zażądał od Kruggera hasła, następnie listy z numerami TAN i wszedł na konto. Kiedy skończył, wyłączył komputer i uruchomił przyniesiony ze sobą laptop.

Krugger przełknął ślinę.

– Ile pan...? – Głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Sam pan się przekona. – Jörg Immerknecht wetknął pendrive w laptop. – Trochę panu zostawiłem na drobne wydatki. – Wpisał coś na klawiaturze i kliknął ikonkę. Spochmurniał, co widać było na niezasłoniętej części twarzy. – Dlaczego

tu nie ma zasięgu? Na zewnątrz był!

Krugger zastanowił się, czy to właściwy moment na bohaterskie czyny, zrezygnował jednak i powiedział:

– Dom jest ekranowany elektronicznie.

– Niech pan to wyłączy. Raz dwa!

Krugger pośpieszył do drzwi, za którymi znajdowała się skrzynka z bezpiecznikami, i wcisnął przełącznik.

– No, to zobaczymy, ile to chłoptasiom zajmie. Z tymi przelewami SWIFT wszystko może się zdarzyć. Ale Südbayerische Creditanstalt powinien się sprawić w kilka minut.

Jörg Immerknecht długo przygotowywał się do tego skoku. Nie do tej konkretnej akcji z tą konkretną ofiarą, w tych konkretnych okolicznościach. Ale przeczuwał, że kiedyś do tego dojdzie. Że kiedyś będzie potrzebował kilku kont bankowych daleko stąd, na rynku offshore. Że dokona takiej operacji. I że będzie ona lepsza i skuteczniejsza niż którakolwiek akcja RAF-u. Ostatecznie Frakcja poniosła klęskę. Wyłożyła się na braku akceptacji i braku wiedzy o systemie, który zwalczała. I jedno, i drugie wynikało z tego, że terrorysta z czasem tracił kontakt z rzeczywistością, żył w świecie równoległym, nieustannie wśród takich jak on, wiecznie uciekając. Jörg Immerknecht nie chciał już obalać systemu. Zmienić – owszem. Podobnie jak niegdysiejsze współlokatorki z dawnej wspólnoty, w ramach swych zwiększających się z czasem możliwości wspierał socjalne projekty w Ameryce Środkowej, projekty, które znał, które jeździł oglądać. Podczas tych podróży stworzył bazę dla sieci rachunków bankowych. Założył trzy firmy w trzech krajach (Nikaragui, Salwadorze i Meksyku). Ich właścicielami za każdym razem byli mieszkańcy pobliskich slumsów, którzy za garść dolarów bez sprzeciwu dali sobie włożyć marynarkę i zaprowadzić się do notariusza lub sądu, gdzie podpisywali dokumenty założycielskie oraz wnioski o otwarcie konta bankowego. Z pomocą tych kont i firm otworzone zostały kolejne konta, rachunki offshore na Kajmanach, Mauritiusie i w Dubaju, dzięki czemu Jörg Immerknecht we wrześniu 2008 dysponował ośmioma kontami rozproszonymi na całym globie, między którymi mógł dowolnie przesuwac środki. Służby śledcze będą miały ograniczone możliwości przesledzenia przepływu pieniędzy, ponieważ kraje, w których prowadził działalność, wierzyły w dobrodziejstwo tajemnicy bankowej. A w razie czego trop doprowadzi do jakiegoś ćpuna ze slumsów w Mexico City, który – o ile jeszcze żył – pewnie nawet nie będzie pamiętał, że założył kiedyś jakąś firmę. Formalnie Immerknecht nie miał z tymi firmami nic wspólnego. Posiadał jednak na wyłączność najważniejsze mienie tych firm: hasła do rachunków bankowych.

Jörg zaimponował obu kobietom, mówiąc im o swojej sieci kont. Sophie była nieco sceptyczna, ponieważ pieniądze, które zamierzali odebrać Kruggerowi,

miałyby wylądować na kontach Jörga. Pytała, czy zadecydują wspólnie, na co miały zostać przeznaczone. Naturalnie, że tak, odpowiedział. Zapewnił, że nie będzie wydawał ich wedle własnego widzimisię. Początkowo jednak nie będą miały innego wyjścia, jak mu zaufać. W końcu to on wymyślił to wszystko. Zakładał, że będzie jedynym w ich gronie, który całkowicie ogarniał stworzoną sieć kont i potrafił się nią posługiwać.

Dopiero dużo później miało dojść do różnicy zdań w kwestii pieniędzy. Sophie chciała wspierać projekty zajmujące się ochroną zwierząt, między innymi swój azyl, gdyż kończyły jej się środki ze spadku. Jörg kategorycznie odmówił wydawania pieniędzy na zwierzęta, dopóki cierpieli głód ludzie. Sophie wszczęła dyskusję, dlaczego Jörg do dnia dzisiejszego miał wyłączną władzę nad swymi kontami – na których po odliczeniu dotychczasowych wydatków wciąż spoczywało sześć milionów euro – i ani myślał dzielić się hasłami ze swymi współpracownikami. Ponieważ on jest jedynym gwarantem, że wspólnie decydować będą o wsparciu konkretnych projektów, odparł na to. A skoro Sophie wykazała się chciwością, on nie zamierza udostępnić jej kont.

Podczas gdy Jörg Immerknecht czekał przy laptopie, aż jego rachunek bankowy na Kajmanach wzbogaci się o dziesięć milionów euro, Sophie Kramm zeszła z piętra po schodach, trzymając w ręku parę butów od Manolo Blahnika.

– Popatrz – powiedziała do Jörga. Znał tę markę, bo jego żona również chętnie ją kupowała, by uczynić znośniejszym swe życie *desperate housewife*.

Jörg podetknął buty Kruggerowi pod nos.

– Czyje to? Sam pan wkłada ukradkiem?

– One... są własnością mojej przyjaciółki. Zapomniała ich.

– Zapomniała? Takich butów się nie zapomina. Poza tym na górze jest pełna szafa – odparła Sophie. To wzbudziło ciekawość Jörga. Popatrzył na fotografie w kąciku komputerowym. Na wszystkich widniała ta sama młoda kobieta. Była zbyt atrakcyjna dla Kruggera, nawet jeśli uwzględniliby się jego pieniądze.

– To pana dziewczyna? – Jörg wskazał zdjęcia.

– Była dziewczyna – odpowiedział z wahaniem, skinąwszy głową.

– I ona zostawiła tutaj swoje „manole”?

– To ja je kupiłem.

– Sprezentował je jej pan. Dlaczego nie zabrała ich ze sobą?

Krugger zaczął się pocić.

– Ma pan już przecież te pieniądze. Czemu pan po prostu nie pójdzie? Rozstaniemy się i nigdy więcej nie spotkamy.

Jörg popatrzył na ekran laptopa.

– Jeszcze ich nie mamy. Więc jak? Jak to było z tą dziewczyną?

Krugger czuł się jak sparaliżowany. Mógł wymyślić jakąś prostą historyjkę. Ale ze stresu nie potrafił zebrać myśli. Przed oczami wirowały mu ogniste kręgi, kręciło mu się w głowie. W tym momencie do pokoju weszła z tarasu Annette. Wyrzała do ogrodu, żeby upewnić się, że nikt nie był świadkiem tego, co tu się działo. Ale zastłona z krzewów była doskonała, a najbliżsi sąsiedzi daleko. Zobaczyła desperację na twarzy Kruggera.

– Coś się stało?

– Zastanawiamy się właśnie, o co chodzi z tą panią. – Jörg pokazał jej zdjęcia. – Pan Krugger nie chce z nami rozmawiać.

– W ogrodzie też ona jest – oznajmiła Annette.

Stali przed kamiennym krzyżem umieszczonym w krzewiastej niszy, na którym również widniało zdjęcie młodej kobiety. Obszar pod krzyżem wyglądał jak świeżo rozkopany.

– To grób? – zapytał Jörg.

– Tak – przyznał łamiącym się głosem Krugger. – Ona... ona nie żyje.

– W Niemczech nie ma czegoś takiego jak grób w ogrodzie, chyba że psi.

Krugger milczał, ze zwieszonymi ramionami wpatrując się w ziemię.

– Gdzie są narzędzia ogrodnicze?

Pięć minut później Krugger odkopywał ziemię pod krzyżem, aż ukazała się ręka. Annette odskoczyła o metr.

– Na litość boską! Co to jest?

Krugger znieruchomiał.

– Kopać dalej – rozkazał Jörg. Krugger stopniowo, śledzony przerażonymi spojrzeniami kobiet, odsłonił na wpół rozłożone szczątki Franziski Michalski. Jörg zrobił kilka zdjęć swym nowym iPhone'em, po czym kazał Kruggerowi wejść do domu. Tam zrzucił zdjęcia na laptopa i wysłał je na swój adres mailowy.

– Nie mam pojęcia, w jakie gówno wdepnąłeś, człowieku. Ale chyba jesteśmy zgodni co do tego, że wszyscy wymażemy ten dzień z naszej pamięci. Czy to jasne?

Krugger skinął głową.

– Nie jestem pewien. Niech pan powie własnymi słowami, co jest jasne.

– Pan – Krugger przełknął ślinę – nie pójdzie na policję i ja nie pójdę na policję.

– No to mamy *deal*.

Baptist Krugger siedział w pokoju przesłuchań. Adwokata zwolnił. Chciał wszystko wyznać. Na stole postawiono kawę, herbatę i tacę z ciastkami Manfreda.

Krugger opowiedział o napadzie i o tym, że trójka zamordowanych najprawdopodobniej była jego porywaczami, którzy ukradli mu dziesięć milionów euro.

– Dlaczego pan tak przypuszcza? – zapytał Wallner. – Rozpoznał pan te osoby ze zdjęć w gazetach?

– Nie. Byli wtedy zamaskowani. Zleciłem komuś, aby to ustalił.

– Komu i żeby co ustalił?

– Facet nazywa się Frank. Nie mam pojęcia, czy to jego prawdziwe imię. Jest... to przestępca.

– Dlaczego zaangażował pan przestępcę? To przecież dość niebezpieczne.

– Miał odzyskać dla mnie pieniądze. Było mi obojętne, czy zrobi to przy użyciu legalnych metod. Potrzebowałem kogoś, kto nie będzie miał skrupułów. I za żadną cenę nie chciałem, aby policja znalazła zwłoki.

– Czy dopuszcza pan możliwość, że ten człowiek o mały włos nie zamordował niewinnego świadka, kobiety? Bo chciała nam przekazać pewien numer telefonu?

Krugger spoglądał na Wallnera z przerażeniem. Wprawdzie spodziewał się wielu rzeczy, ale dowiedzieć się konkretów to już inna sprawa. W dodatku, gdy rzecz nie dotyczyła kryminalistów, jak jego porywaczy.

– Nie wiem. Możliwe. Nie chciałem znać szczegółów tego, co robił.

Mike podsunął Wallnerowi skoroszyt z fotografiami przestępców. Byli to mężczyźni, których podejrzewano o umieszczenie podsłuchu w kurtce puchowej Wallnera.

– Czy to któryś z nich?

Krugger potrzebował dwóch sekund, by wskazać jedno ze zdjęć. Mężczyzna

na fotografii nazywał się Anton Schuckenrieder i był wielokrotnie karany za rozmaite przestępstwa z użyciem przemocy.

Wallner poprosił Janette, żeby zajęła się wysłaniem listu gończego za Schuckenriederem. Potem na powrót zajął się Kruggerem.

– Przejdźmy do właściwego przedmiotu rozmowy. Wydaje nam się, że wiemy, kim była zmarła: Franziska Michalski. Zgadza się?

Krugger skinął głową.

– W jaki sposób jej ciało znalazło się u pana w ogrodzie i jak zmarła?

Zanim Krugger rozpoczął spowiedź, upił łyk zimnej kawy. Drżącą ręką odstawił kubek na stół, nie przewracając go.

– W marcu mam urodziny – podjął. – Zazwyczaj ich nie obchodzę, bo i tak nie mam zbyt wielu przyjaciół i nie jestem typem imprezowicza. W ostatnich latach zabierałem rodziców na obiad do restauracji. Kolacja nie wchodzi w grę, bo oni jadają o wpół do szóstej, a dla mnie to za wcześnie. Tak też było w roku dwa tysiące ósmym. Po obiedzie z rodzicami pojechałem do swojego domu. Pracowałem przy komputerze i trochę się dziwiłem, że nikt nie dzwoni, nie przysyła maila, z wyjątkiem mojej ciotki z Kelheimu. Miałem trzech kolegów ze studiów. I żaden z nich jeszcze się nie odezwał. Przyjechali o szóstej, mieli coś do picia i była z nimi ta dziewczyna. Franz Hollmann, jeden z nich, od niego właśnie kupiłem ten dom, powiedział, że to znajoma z północy Niemiec. Dopiero później dowiedziałem się, że jej zapłacił i że tak naprawdę była striptizerką. Trochę się zabawiliśmy, ja rozmawiałem z dziewczyną. Była dla mnie bardzo miła, jasne, taką miała pracę. Była zafascynowana tym, że dom należy do mnie i że sam na wszystko zarobiłem na giełdzie.

– W dwa tysiące ósmym roku miał już pan tyle pieniędzy?

– W dwa tysiące czwartym dostałem w spadku dwieście tysięcy euro. Do marca dwa tysiące ósmego zarobiłem nieco ponad milion. Już na początku dwa tysiące siódmego roku było jasne, że bańka nieruchomościowa w USA w końcu musi pęknąć. Odpowiednio przetasowałem środki i postawiłem na bardzo duże ryzyko. Prawie całe pieniądze włożyłem w instrumenty pochodne z dużą dźwignią finansową. Mogłem je stracić w stu procentach. Ale byłem przekonany, że mam rację. Na wiosnę dwa tysiące ósmego miałem nieco ponad milion. Nie licząc domu, który był wart sześćset tysięcy, a za połowę zapłaciłem gotówką.

– Co było dalej z tą dziewczyną? Franziską Michalski?

– Chciała zostać na noc. Na to Franz, że za noc jej nie zapłacą. Ale ona powiedziała, że w porządku i niech się tym nie przejmują. I rzeczywiście została na noc. – W spojrzeniu Kruggera pojawiła się tęsknota. – Rodzicom powiedziałem, że przenocuję w Monachium u Franza. Następnego dnia wróciła do Monachium, a ja dałem jej numer komórki. Wieczorem zadzwoniła i przyjechała znowu. I wtedy zaproponowała mi układ: chciała zostać moją dziewczyną, a w zamian za to ja

miałem kupować jej rzeczy. Ubrania, buty, trochę biżuterii, chciała też mieć nieduży kabriolet. Pomyślałem sobie, czemu nie? Co masz z tych pieniędzy? Jasne, z jej strony to nie miało nic wspólnego z miłością. Nie jestem typem kobieciarza. Inni mają wygląd, mówiłem sobie, ja mam pieniądze. To były piękne czasy. Franziska była wesoła, niesamowicie pogodna. W dzień przeważnie jeździła do Monachium. Na początku także wieczorem. Potem raz nie przyjechała na noc. To bolało. Wiedziałem, że jeśli jej na to nie pozwolę, to odejdzie. Kiedy przyszło lato, częściej zostawała w domu, pracowała w ogródku i czytała. Niesamowicie dużo czytała. Grube powieści historyczne, bywało, że trzy na tydzień. Wieczorami grillowaliśmy albo ona coś gotowała. To był nasz najpiękniejszy okres. Lecz nie trwał długo. W którymś momencie zaczęła mnie krytykować, wytykać mi to, tamto. Że powinienem częściej wychodzić między ludzi, powinienem coś ze sobą zrobić, inaczej się ubierać, nosić inną fryzurę, nie siedzieć ciągle przy komputerze, że jestem społecznie niedorozwinięty. Nie wiedziałem, jak na to reagować, bo nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, dlaczego nagle mnie atakuje. I pewnego dnia zaczęła pakować swoje rzeczy. Wszystkie ubrania, które jej kupiłem, wszystkie buty. Zebrało się tego kilka walizek i toreb. Zapytałem, o co jej chodzi, a ona na to: za ciasno mi tu z tobą, odchodzę. Myślałeś, że zostanę wiecznie? Jakbym dostał obuchem w głowę.

– A jakie pan miał wyobrażenia?

– Prawdę mówiąc, żadnych. Myślałem, że tak zostanie. Że będziemy razem w moim domu, będziemy razem gotować i spać. Miałem nadzieję, że pewnego dnia oficjalnie zostaniemy parą. Że przedstawię ją rodzicom, a ona mnie swoim znajomym. Ale ona tego nie chciała. Myślę, że nie chciała się ze mną pokazywać.

– Nie odwzajemniała pańskich uczuć? – zapytała Janette.

– Myślę, że w jakiś sposób mnie lubiła, bo byłem miły i nie taki macho jak wielu jej znajomych. Tak, przez jakiś czas sądziła, że jestem fajny i może nawet... nie wiem, czy we mnie można się zakochać?

Zapadła krępująca cisza. W końcu Janette powiedziała:

– Z pewnością może się w panu zakochać jakaś kobieta. I być może tak było w przypadku Franziski Michalski. Tylko że najwyraźniej nie na długo.

– Nie. W końcu jednak chcą mieć swojego macho. No i tamtego dnia nadszedł ten moment. Miała mnie dosyć. Chciała wrócić do swego dawnego życia. Nie mogłem pojąć, że naprawdę zamierzała to zrobić. Po prostu odejść. Chwyliłem ją za ramię, przytrzymałem i powiedziałem: nie możesz tego zrobić, przecież było nam ze sobą dobrze, chcesz to wszystko zaprzepaścić? A ona, że mam ją puścić, i popatrzyła tak na mnie... Jak to powiedzieć... Widać było, że ta sytuacja jest dla niej nieprzyjemna, że ma wyrzuty sumienia, ale też, że czuje do mnie wstręt. Poczulem się nagle jak jakiś karaluch. Z takim obrzydzeniem na mnie patrzyła. I to mnie wkurzyło do szaleństwa. Cały czas ją trzymałem, ona chciała się wyrwać.

Doszło do szamotaniny na piętrze, gdzie był jej pokój. To się stało na schodach. – Krugger urwał. Oddychał ciężko i otarł pot z górnej wargi. – Mógłbym teraz powiedzieć, że podczas tej szamotaniny potknęła się i spadła ze schodów. Ale tak nie było. Byłem na nią wściekły, bo czułem się taki bezsilny w tej sytuacji. Przeżyłem najszcześniejszy okres w moim życiu, a ona chciała po prostu odejść, bo się mnie brzydziła. A potem... potem chciała mi jeszcze zabrać samochód. Nie miała nawet na tyle przyzwoitości, by go zostawić. Nie chodziło nawet o stratę finansową, to mi właściwie było obojętne. Nawet nie o jej brak skrupułów. Nie, to było... Dała mi w ten sposób do zrozumienia, że ten spędzony ze mną czas był tak straszny, że należy jej się samochód wart pięćdziesiąt tysięcy, za to, że tyle wytrzymała. – Kruggerowi napłynęły łzy do oczu. Wallner podsunął mu paczkę chusteczek, którą ten otworzył niezdarnie, wysupłał jedną, wytarł nią oczy, a na koniec wydmuchał nos. – Ja ją... popchnąłem. Ona mnie szarpała, ja ją szarpałem, w końcu zepchnąłem ją ze schodów. Nie mogłem się opanować...

– Kiedy to było?

– To było piętnastego czerwca dwa tysiące ósmego. W niedzielę. Właśnie wróciłem z kościoła.

– Pochował ją pan w ogrodzie?

Krugger skinął głową.

– Dlaczego nie pozbył się pan zwłok? Albo nie zlecił tego Schuckenriederowi? Na pewno by się tym zajął.

– Radził mi to zrobić. Tak, powinienem był to zrobić.

– Ale?

Krugger drgnął i przez chwilę śmiał się ponuro.

– Nie chciałem dać jej odejść.

Po przesłuchaniu do pokoju Wallnera wszedł Kreuthner, by dowiedzieć się, czy jego bolesna akcja się opłaciła. Komisarz zrelacjonował mu, co odkryli i co zeznał Krugger.

– Poza tym zidentyfikował mężczyznę, który chciał zasztyletować tamtą młodą kobietę w Monachium.

– Co to za jeden?

– Anton Schuckenrieder. Wielokrotnie karany. Słyszałeś coś o nim?

– Nic mi nie mówi to nazwisko.

Wallner podał mu skoroszyt ze zdjęciem Schuckenriedera. Kreuthner popatrzył na fotografię, a jego twarz momentalnie spochmurniała.

– Co jest? – zapytał Wallner.

– On pracuje w azylu. – Kreuthner sięgnął po komórkę.

Położony na wysokości tysiąca stu metrów azyl dla zwierząt „Inntal” wznosił się nad roztaczającą się pięćset metrów niżej doliną rzeki Inn. Droga do doliny opadała stromo wzdłuż uskoku. Po lewej stronie ciągnęły się pastwiska, które teraz pokrywała ponadmetrowa warstwa śniegu. W szczególnie urwistych miejscach tu i ówdzie widać było groźne nawisy śnieżne. Po prawej zbocze jeszcze większą stromizną opadało ku górskiemu strumykowi, który w pewnych porach roku stawał się lubianym przez kajakarzy rwącym potokiem. Daniela jechała powoli i ostrożnie, bo na ubitej śnieżnej nawierzchni co jakiś czas pojawiały się oblodzenia. Tu i tam po prawej stronie ukazywała się drewniana stodoła czy obora. Latem nocami chroniło się w nich młode bydło, które w dzień szukało pożywienia na stokach. Spiętrzone na skraju drogi zasy były niekiedy tak wysokie, że zasłaniały widok. Był to jeden z najbardziej śnieżnych grudni od wielu lat.

Wizyta w azylu ją uspokoiła. Schronisko wydawało się przyjemnym miejscem dla zwierząt, z rozległymi pastwiskami, na których w bezśnieżnych porach roku mogły paść się konie i osły. Właściciele azylu zgodzili się przyjąć podopiecznych Daniela, a przynajmniej większość, gdyby sama nie mogła dłużej prowadzić swojego. Dzięki temu będzie mogła spać spokojniej. Minęła czwarta po południu. W głębokich górskich dolinach zmierzch zapadał wcześniej niż na równinie. Daniela włączyła światła.

Droga była nieskończonym ciągiem zakrętów. Nie wiadomo było, co się za każdym kryje. Przez dziesięć minut z naprzeciwnika nie nadjechał żaden samochód. Mało kto jeździł tą trasą. Już prędeż latem, gdy piechurzy zostawiali samochody na parkingu niedaleko azylu, by rozpocząć wspinaczkę na jeden z dwutysięczników pasma Karwendel. Zimą było tu spokojnie. Daniela powoli pokonywała zakręty. Na jednej z pierwszych ostrych serpentyn zarzuciło tyłem wozu. Potem jechała już ostrożniej. Panował siarczysty mróz. Minus piętnaście stopni. Zza następnego zakrętu, omijającego skalny występ, błysnął snop światła, zapowiadając

nadjeżdżający samochód. Chwilę trwało, zanim zorientowała się, że samochód wcale nie jedzie. Pojazd zatrzymał się na drodze za skalnym występem. Nie zaniepokoiło jej to jednak. Mógł mieć wiele powodów, by stanąć. Może kierowca zakładał właśnie łańcuchy na koła.

Wyjechała zza zakrętu i zobaczyła wóz stojący w poprzek drogi. Musiała zahamować. Nic się nie poruszało, nie było widać żadnych osób, nikogo, kto zakładałby łańcuchy. Samochód był terenowy i w takich warunkach nie potrzebował łańcuchów.

Daniela zatrzymała się, próbując przeniknąć wzrokiem mrok i dostrzec kierowcę samochodu. Na próżno. Czyżby oddalił się od wozu? Poszedł po pomoc? Dlaczego? Miał awarię? Tylko czy zostawiłby samochód tak, żeby tarasował całą drogę? Jej serce zamarło, kiedy ktoś zapukał w szybę. Podskoczyła, jakby kopnął ją prąd, potem nacisnęła przycisk centralnego zamka. Na zewnątrz ktoś stał, ciemny, potężny, groźny. Nie mogła rozpoznać jego twarzy, stał tuż przy wozie. Nieznajomy nachylił się i zajrzał do środka. Frank. Daniela poczuła jednocześnie ulgę i dezorientację. Dał jej znak, żeby opuściła szybę.

– Cześć, Daniela, przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

– W porządku. Co ty tu robisz?

– Pojechałem za tobą, bo miałaś wyłączoną komórkę. Martwiłem się trochę.

– To miło z twojej strony. Zawsze wyłączam w Austrii komórkę. Minuta rozmowy przychodzącej kosztuje dwadzieścia dwa centy.

– Tak myślałem. W każdym razie cieszę się, że nic ci się nie stało.

Spojrzała na jego terenówkę.

– Coś jest nie tak z twoim samochodem?

– Głupia sprawa. Chciałem coś dokręcić pod maską. I wpadła mi do środka karta kredytowa. Widzę ją, gdzie leży, ale nie mogę jej dosięgnąć. Mam za grube ręce. Może mogłabyś mi pomóc?

– Jasne, oczywiście – powiedziała. – Może uda mi się ją chwycić moimi chudymi palcami.

Stała przed maską i popatrzyła na niego.

– Musisz mi poświecić, bo nic nie widzę.

– To nie będzie potrzebne – oznajmił i wyciągnął nóż. – Lepiej porozmawiajmy.

Daniela zatrzymała przestraszone spojrzenie na nożu.

– O co tu chodzi? – Cofnęła się i chciała wrócić do samochodu, ale Frank zagroził jej drogę. – Przepuść mnie, chcę wsiąść do samochodu.

– Nie, nie chcesz wsiąść do samochodu. Porozmawiasz ze mną. Czy to jasne? – Dla podkreślenia swych słów uniósł nóż w świetle reflektorów. Daniela zdrewniała z przerażenia.

– Twoja siostra ukradła forszę.

- Nieprawda. Moja siostra nigdy niczego nie ukradła.
- Może tak ci mówiła. Ale ukradła. I było to dziesięć milionów euro.

Daniela zaśmiała się krótko, desperacko.

– Chyba ci odbiło. Dziesięć milionów. Zauważyłabym to. Nie było nas stać nawet na paszę dla zwierząt.

– Uwierz mi, ukradła te pieniądze. I jestem niemal pewien, że wiesz, gdzie one są i jak się do nich dostać.

– To ty ją zamordowałeś?

– Gdzie jest forsa?

– Nie wiem. Zostaw mnie w spokoju.

Chciała go wyminąć, ale chwycił ją za rękę i pchnął na terenówkę. Upadła i uderzyła głową o reflektor. Frank podszedł do niej bez pośpiechu, docisnął kolanem jej pierś i przystawił nóż do gardła.

– Nie rób ze mnie idioty, bo zrobię ci krzywdę, jasne?

Daniela cała się trzęsła.

– Nie wiem, gdzie są te pieniądze. Skąd miałabym wiedzieć? – Słowa z trudem wydobywały jej się z krtani.

– Stąd, że twoja siostra ci powiedziała. Więc?

– Odłóż nóż, proszę. Boję się jak cholera. To... to nic nie da, jeśli mnie zabijesz. Nadal nie będziesz wiedział, gdzie są pieniądze.

– Mądrała z ciebie. I wcale nie zamierzam cię zabić. Wiesz, co zrobię? – Popatrzył na nią. Jej oddech był urywany, przyśpieszony, z jej ust w mroźną noc wydobywały się obłoki pary i eksplodowały w świetle reflektorów. – Podpalę ten twój pierdolony azyl. Razem ze wszystkimi zwierzakami. A potem porozmawiamy znowu.

Daniela pompowała kolejne obłoki pary w noc i jak sparaliżowana wpatrywała się we Franka. Światła samochodu padły na jego twarz. Jedno spojrzenie na nią wystarczyło, by przekonać się, że bez wahania podpaliłby zagrodę.

– Twoja siostra miała gdzieś hasła do rachunku bankowego. Gdzie one są?
– Nigdy mi tego nie powiedziała. Ja... chyba wiem, gdzie je schowała.
– Wszystko przetrząsnąłem. Lepiej powiedz mi o jakimś oryginalnym schowku.

– W stajni jest taki zlewozmywak, nad którym wisi lustro.
Frank skinął głową z zainteresowaniem.
– Za lustrem w murze jest luźna cegła. Można ją wyjąć. Tam chowała dokumenty i biżuterię.

– I jeszcze tam nie zajrzałaś?
– Prawdę mówiąc, zapomniałam. Nigdy nie było tam nic wartościowego.
– Weźmiemy twój samochód – powiedział Frank. – Ty prowadzisz.

Policja musiała już przesłuchać Kruggera. Możliwe, że szukali Antona Schuckenriedera i terenówki, która była na niego zarejestrowana.

Poszukiwania Antona Schuckenriedera trwały. Każdy policjant w Bawarii, a zwłaszcza w powiecie Miesbach, rozglądał się za jego pojazdem, co jednak z kilku powodów miało niewielkie szanse powodzenia: po pierwsze, było ciemno i samochody dało się rozpoznać tylko w oświetlonych miejscach. Po drugie, siły, które oddelegowano do poszukiwań Schuckenriedera, były mocno zredukowane, a to za sprawą następujących wydarzeń: personel pewnego średniej wielkości przedsiębiorstwa, świętujący w Fischbachau imprezę bożonarodzeniową, już o piątej po południu był do tego stopnia zamroczony alkoholem, że doszło na niej

do erotycznych ekscesów. Otóż szefowa kadr dłuższy czas przesiadywała na kolanach przedstawiciela handlowego cieszącego się wątpliwą, choć uwodzicielską sławą mężczyzny o wielkiej witalności. Do tego momentu sytuacja nie odbiegała od normy. Okazało się jednak, że również i asystentka prezesa żywiła cichą nadzieję, że spędzi ów wieczór na kolanach witalnego handlowca. Ponieważ groziło, że nadzieja ta zostanie zniweczona, asystentka wykonała telefon do męża szefowej kadr, który zabawiał się na innej imprezie bożonarodzeniowej kilka gospód dalej, i jak to często przy takich okazjach bywa, bez żadnego umiaru. Był jednak jeszcze na tyle trzeźwy, by zrozumieć wiadomość asystentki i natychmiast wyruszyć w drogę, w dodatku nie sam, tylko w towarzystwie paru kolegów gotowych wesprzeć rogowca, aczkolwiek na skutek nadmiernego spożycia grzanego wina niepokojąco pozbawionych wszelkich zahamowań. W chwili gdy ojciec prezesa celebrował swój tradycyjny występ w charakterze Świętego Mikołaja, mąż szefowej kadr wraz z druhami wpadli do gospody, przyłapali szefową kadr z witalnym handlowcem in flagranti i przystąpili do natychmiastowego pomszczenia hańby. W kulminacyjnym punkcie masowej nawalanki, która nastąpiła potem, rozegrała się istna bitwa dwóch kompletnych firmowych kolektywów, w której przebiegu, jak zeznali później świadkowie, Święty Mikołaj uzbrojony w nogę od krzesła i niepomny podeszłego wieku urządził prawdziwą jatkę. Jakkolwiek było naprawdę, konieczna była interwencja wszystkich dostępnych sił policyjnych.

W tej krytycznej sytuacji Kreuthnerowi cofnięto zawieszenie w czynnościach służbowych. Sierżant wraz ze Schartauerem, jedynym policjantem, który nie interweniował w Fischbachau, pojechali do azylu dla zwierząt w Riedern. Przed odjazdem Kreuthner poprosił Janette, by zajęła się namierzeniem telefonów komórkowych Schuckenriedera i Daniela Kramm – oba aparaty wyposażone były w funkcję GPS. Żaden z nich nie był włączony, ale to mogło się zmienić. Kreuthner wprawdzie nagrał Daniela wiadomość z ostrzeżeniem przed Schuckenriederem alias Frankiem, ale czasem informacja o nowej wiadomości ukazywała się z pewnym opóźnieniem.

Kiedy obaj policjanci dotarli na miejsce, gospodarstwo było pogrążone w ciszy i ciemnościach. Ku zdziwieniu Kreuthnera było otwarte. Daniela nigdy nie odjechałaby, nie zamknawszy uprzednio chałupy i bramy stajni. Frank nie zadał sobie trudu, by zrobić to przed odjazdem. Kreuthner wprawdzie o tym nie wiedział, ale od razu wydało mu się to podejrzane. We dwójkę przeczesali teren, sprawdzając, czy ktoś jest w obejściu. Nie zastali nikogo, zdumiał ich tylko panujący wszędzie nieporządek. Daniela nigdy w życiu nie zostawiłaby czegoś takiego.

- Co robimy? – zapytał Schartauer, kiedy wyszedł ze stajni z kwitkiem.
- Zostaniemy i zaczekamy. Albo przyjedzie Daniela lub Schuckenrieder,

albo zadzwoni Janette z informacją, że któraś z komórek jest włączona.

Daniela jechała powoli wąską drogą, w którą skręciła z drogi krajowej B472. Po kilkuset metrach w zasięgu wzroku pojawił się azyl. Frank dał jej znak ręką.

– Zatrzymaj się. – Popatrzył ku zagrodzie. W stajni paliło się światło. – Kurwa mać! Kto tam jest? – Zwrócił się do Daniela: – Dalej, wysiadaj!

Przeszli dobre sto metrów szosą, po czym skręcili w polny trakt prowadzący do obejścia. Z daleka widać było oświetlone podwórze i jakiś samochód. Na jego dachu dało się rozpoznać policyjnego koguta.

– To ten twój przyjaciel z psiarni. Gotowa?

Daniela miała ochotę krzyczeć, ale Frank przycisnął jej nóż do szyi.

– Ależ tu nudy – jęczał Schartauer. – Już wolałbym jechać do Fischbachau. Podobno strasznie się tam naparziali. Ponad czterdziestu rannych. Odlot, co?

– A idź mi z tą wsiową nawalanką. My tu ścigamy mordercę. To zupełnie inny kaliber.

Zabręczała komórka Kreuthnera. Dzwoniła Daniela.

– No wreszcie! – ucieszył się. – Gdzie ty się podziewasz? Od paru godzin próbujemy cię złapać. Odsłuchałaś wiadomość? Tę o Franku? Musisz się go strzec, jest potwornie niebezpieczny.

– Dlatego dzwonię – powiedziała. – Śledzi mnie. Jedźcie za mną z Austrii.

– Gdzie teraz jesteś?

– Patrząc od strony granicy, zaraz za Bayerwaldem. Na parkingu. Frank chyba pojechał dalej. Ale na pewno zawróci.

– Zostań w samochodzie. Jadę do ciebie. I zostaw komórkę włączoną. – Kreuthner posłał Schartauerowi naglące spojrzenie. – Gotów? Idzie o życie.

Schartauer lekko pobleął.

– Wyłącz to! – rozkazał Frank.

– Powiedział, że mam zostawić włączoną.

– Kurwa, wyłącz to cholerstwo!

Daniela drżącymi palcami nacisnęła wyłącznik komórki. Ekran zgasł. Zaraz potem policyjny radiowóz minął szopę na narzędzia, za którą stał samochód Daniela.

– Grzeczna mała. Prawdziwa żmijka z ciebie.

Jego twarz niczego nie wyrażała. Gestem dał Danieli znać, żeby ruszyła.

Na miejscu Frank nie zapalał światła. Zamiast tego najpierw weszli do chałupy po latarkę. Kiedy Daniela po przekroczeniu progu chciała zdjąć buty, popchnął ją, a ona wtoczyła się do kuchni w zaśnieżonych butach.

Przeszli do stajni, gdzie zdjęła lustro ze ściany nad zlewozmywakiem. Ukazał się nieotynkowany mur. Jedna z cegieł rzeczywiście dała się wyjąć, a za nią znajdował się wydrążony w ścianie otwór. Frank ponaglił kobietę gestem. Włożyła rękę do wgłębienia i wyjęła z niego niedużą szkatułkę.

– Zajrzysz do środka? – zapytała i chciała otworzyć puzderko.

– To mnie nie interesuje. Odłóż to.

Daniela postawiła szkatułkę na zlewie i ponownie sięgnęła do schowka. Tym razem wyjęła przezroczystą foliową koszulkę z kilkoma kartkami papieru. Podała ją Frankowi. Wziął plik i odszedł parę kroków na bok.

– Zostań tam – rozkazał, kiedy chciała podejść bliżej. W świetle latarki przeglądał papiery.

– Wygląda nieźle. Idziemy do komputera.

Podczas gdy Frank oglądał dokumenty, Daniela niezauważenie schowała leżący na zlewie scyzoryk.

W dwanaście minut dotarli na sygnale za Kreuth, osiągając średnią prędkość prawie stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Kreuthner usiłował dodzwonić się do Daniela, by spytać, gdzie dokładnie stoi. Miała wyłączony telefon.

– No nie wierzę! Wyraźnie mówiłem, żeby nie wyłączała!

– A właściwie to czemu Janette nie zadzwoniła? Przecież musiała widzieć, że komórka jest włączona.

– Racja – przyznał Kreuthner i zadzwonił do Janette.

– Stary, nie da się tak prędko – tłumaczyła. – Dopiero teraz przyznali nam dostęp.

– I jej komórka jest wyłączona, tak?

– W tej chwili tak. Była włączona tylko przez chwilę. Jakies dziesięć minut temu.

– I skąd się logowała?

– Między Kreuzstraße i Waakirchen.

– To niemożliwe. Przecież tam jest azyl. Dzwoniła z okolic Kreuth.

– Nie. Zdecydowanie nie. Dane mają dokładność co do metra.

Kreuthner popatrzył z przerażeniem na Schartauera.

– Zawracaj!

Daniela przycupnęła w fotelu. Dostała polecenie, żeby się nie ruszać. Frank siedział przy komputerze, z nożem w zasięgu ręki.

– Rany! Ja pierdzielę, czego to tak długo trwa! Nie macie tu ISDN?

– To dość stary komputer.

– Jebany rżęch! – Frank miał ochotę walnąć w monitor. Nie było czasu. Już go szukali. Podczas gdy na ekranie w ślimaczym tempie ładowała się strona banku na Kajmanach, Frank rozmyślał nad kilkoma istotnymi sprawami. Na przykład nad tym, kiedy zlikwidować Danielę. Miał już hasła i nieźle się zdziwił, że w sumie istniało osiem rachunków bankowych w strefie offshore. Ten na Kajmanach był zgodnie z dokumentacją rachunkiem podstawowym. Teraz nie chodziło o to, by dokonywać jakichś wielkich przelewów. Pieniądze leżały na kontach, a kiedy Daniela już nie będzie, nikt ich mu nie zabierze. Dzięki hasłom mógł nimi dysponować wedle własnej woli. W tej chwili musiał tylko przetestować, czy hasła są poprawne, przynajmniej to dla rachunku podstawowego. Gdyby coś poszło nie tak, Daniela mogła okazać się jeszcze potrzebna. Wpatrywał się w ekran. Strona wreszcie się załadowała. Kliknął na ikonę *Online Banking*. Po kolejnych nieskończenie długich minutach wyświetliło się pole do wpisania hasła. Frank zerknął na kartkę i starannie przepisał ciąg liter i cyfr. Wcisnął ENTER. Upłynęły trzy długie sekundy – i ekran przywitał go na rachunku bankowym. Kamień spadł mu z serca. Zobaczył stan konta, nieco ponad sześć milionów euro, i niemal się roztkliwił na myśl, że resztę swego życia spędzi beztrudnie pod palmami.

Daniela poruszyła się, jakby chciała wstać.

– Zostań tam – warknął na nią.

Ale ją ogarniał coraz większy niepokój, oddychała ciężko, gorączkowo. Chyba miała atak paniki. Wstał.

– Jezus Maria! Jeszcze mi tu hiperwentyluje.

Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona. Przemknęło mu przez głowę, że zapomniał zabrać z biurka nóż. Musiał się skupić. Jeszcze nie był na Karaibach.

– Przestań pajacować! – krzyknął, potrząsając nią. W tym momencie Daniela wysunęła prawą rękę w stronę jego brzucha. Poczł krótki, przenikliwy ból i dopiero po chwili pojął, że ugodziła go nożem. Walnął ją w twarz, złapał za ramię i wykręcił. Wypuściła szczyryk. Pociągnął ją za ramię z powrotem do komputera i chwycił za własny nóż. Nie wypuszczając go z ręki, obmacał ranę. Nie była głęboka, Bogu dzięki. Miał twarde mięśnie brzucha, a Daniela mało siły. Pchnął ją na podłogę i chwycił za cienkie, niemal białe włosy, odchylił jej głowę i przyłożył nóż do gardła.

I w tym momencie spostrzegł, że jej twarz staje się nagle niebieska. Po sekundzie pociemniała, by znów rozświetlić się na niebiesko. Potrzebował kilku sekund, by pojąć. To były światła radiowozu. Jego umysł pracował gorączkowo, rozważając poszczególne możliwości. Co mu zdołają udowodnić? Niewiele. Tamten incydent z dziewczyną w Monachium – poważne uszkodzenie ciała, jeśli dopisze mu szczęście. Daniela? Tak samo, plus pozbawienie wolności. Cztery, może pięć lat, po trzech latach wyszedłby na wolność.

– Wstawaj – powiedział do niej. – Przyjechał twój przyjaciel.

Frank alias Anton Schuckenrieder nie stawiał oporu podczas aresztowania. Inaczej niż jego zleceniodawca zażądał adwokata, po czym nabrał wody w usta.

Daniela doznała paru niewielkich obrażeń, które trzeba było opatrzyć w szpitalu. Kreuthner odebrał ją stamtąd późnym wieczorem i odwiózł do azylu, gdzie razem spędzili noc.

Dzień przebiegł pomyślnie dla Wallnera. Komisarz w pewnym sensie poczuł się uspokojony. Nie umiał wytłumaczyć dlaczego, ale miał przeczucie, że nie pojawią się już żadne kolejne zwłoki. Cieszył się na spokojny wieczór w gronie rodziny.

Kiedy wrócił do domu, Vera i Manfred byli w kuchni. Manfred gotował, Vera mu pomagała.

– Cześć – przywitał się. – Rewelacyjnie pachnie. Co to?

– Gołąbki i brukselka. Uzgodniliśmy, że solić będzie Vera.

– Dobrze, to ja położę małą spać.

– Właśnie jest kładziona – powiedziała Vera, wywołując tym jego zdumienie.

– A przez kogo, jeśli wolno spytać?

– Przez naszą nową opiekunkę – oznajmił Manfred i uśmiechnął się, jakby to była jego zasługa.

– Chwileczkę, my ją już zatrudniliśmy?

– Tu się nie ma co zastanawiać – powiedział Manfred. – Lepszej nie znajdziesz.

Wallner popatrzył pytająco na Verę.

– Naprawdę wspaniale obchodzi się z małą. Katja już ją pokochała.

– Co to za opiekunka? Skąd się wzięła? I dlaczego tak nagle? – Wallner zerknął podejrzliwie w stronę przedpokoju.

– To absolutnie miła, prosta dziewczyna – przekonywała Vera. – Jest ze wsi i uczyła się na przedszkolankę.

– Wiek?

– Ile, mówiła? – Vera popatrzyła na Manfreda. – Dwadzieścia cztery?

– Chyba tak. Tak.

– A, czyli tu jest pies pogrzebany. Pani Burger była dla ciebie za stara!

– Tego nie powiedziałem. Poza tym, co w tym złego, że ktoś jest młody i ładny? A może mi żałujesz?

– Nie, skąd. Z całego serca życzę ci młodej, ładnej dziewczyny. Mam tylko pewne obiekcje, jeśli o takich sprawach decyduje się za moim plecami.

– A jak inaczej, skoro cię nie ma całymi dniami? Poza tym musisz przyznać, że to głównie Manfred będzie musiał dogadywać się z opiekunką. Moim zdaniem to w porządku.

Wallner stanął obok Manfreda i zajął do żeliwnego garnka z gołąbkami.

– Niech i tak będzie. Jak znalazłeś tę dziewczynę?

– Na ulicy.

– Słucham?

– Wyszedłem z Katją na dwór, wybieraliśmy się po mięso na obiad. No i ona stała na ulicy.

– Czemu stała na ulicy?

Vera przewróciła oczami.

– Pewnie handlowała narkotykami. Bo czemu ludzie stoją na ulicy?

– W tej okolicy nikt nie stoi na ulicy. Nie ma powodu, by stać na ulicy. Można sobie iść ulicą, jeśli ktoś dokądś zmierza. Można coś robić na ulicy, odśnieżać albo zeskrobywać szron z samochodu...

– Clemens! Proszę cię! Prawdopodobnie robiła coś w tym rodzaju. Weź trochę wyluzuj. Nie jesteś na przesłuchaniu, tylko w domu, okay?

– To są całkiem proste pytania, które nasuwają się każdemu rozsądnemu człowiekowi. – Wallner popatrzył na Verę w oczekiwaniu jej aprobaty. Pokręciła w milczeniu głową. – Dobrze. Więc nie. – Milczał przez dwie sekundy, po czym zwrócił się do Manfreda: – To jak doszło do zatrudnienia tej pani?

– Zobaczyła Katję i od razu do niej: jaka grzeczna dziewczynka! No to zaczęliśmy sobie gawędzić, no i wyszło w rozmowie, że szukamy kogoś do opieki. A ona na to, że jest przedszkolanką. Więc ją zapytałem, czyby nie chciała. A ona, że w każdej chwili. Od razu przyszła i została.

Wallner skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na Verę.

– I nie nasuwają ci się żadne pytania?

Vera ograniczyła się do nieokreślonego gestu ręką.

– Przychodzi z ulicy i z miejsca zostaje opiekunką.

– Mój Boże, przecież niektórzy ludzie są trochę bardziej spontaniczni niż... my.

– Niż ja, chciałaś powiedzieć.

– Nie, niż my. Ja też bym tego nie zrobiła. A ty to już w ogóle, to prawda. Ale nie o to chodzi. Może byś ją najpierw poznał.

– Czy to znaczy, że jak będę miał wątpliwości, to mogę cofnąć decyzję?

– Oczywiście, że tak. Jeśli uznasz, że jest okropna. Ale nie uznasz. Jest

naprawdę najmiłą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

– Ten, kto nie polubi Anniki, musi być bardzo złym człowiekiem – oświadczył Manfred i pochylił się nad gołębkami.

– Dobrze, że w ogóle nie wywieracie na mnie presji w tej sprawie – zachnął się Wallner. W tym momencie usłyszał, że ktoś schodzi po schodach.

Miała na sobie golf, który całkowicie zakrywał opatrunek na szyi. Rany na ramionach również były schowane pod rękawami. Annika Plungauer alias Tiffany z miną winowajczyni uśmiechała się do Wallnera. Nie odezwał się ani słowem, ale wyraz jego twarzy sprawił, że Vera pytająco popatrzyła na wyraźnie zażenowaną nową nianię.

– Przepraszam, że tak wyszło. Chciałam tylko wpaść w odwiedzin.

– Pani... czekała na mnie pod domem?

– Nie, nie czekałam na pana.

– Pani Plungauer jest ważnym świadkiem w sprawie – objaśnił Verze, która spoglądała z coraz większą konsternacją.

– Ach tak? – rzuciła Vera.

– Pani mąż uratował mi życie. Chciałam zobaczyć przynajmniej, gdzie państwo mieszkacie.

– Dobrze. Więc teraz już pani wie.

– Pewnie, że wie – wtrącił Manfred. – Będzie przecież przyjeżdżać tu częściej. Mnie tam nie obchodzi, świadek czy nie świadek. I Katji też.

– Eee... Ale przecież ma pani inne zajęcie? Czy to już skończone?

– Ojej, przecież tamto to są zupełnie inne godziny pracy. Da się zrobić.

– No, słyszysz! Da się zrobić! To jest dziewczyna, jakie lubię: szczerą i prostolinijną. I dlatego mówię: witamy w naszej rodzinie! – Manfred popatrzył wyzywająco na Wallnera.

– Chciałbym porozmawiać z panią Plungauer w cztery oczy – oświadczył Wallner. I dodał, zwracając się do Anniki: – Proszę za mną.

Młoda kobieta siedziała na kanapie ze ściśniętymi kolanami.

– Jestem dyplomowaną przedszkolanką. Potrafię to robić.

– Nie wątpię w to. Ale czy nie ma pani odrobinę zbyt wysokich kwalifikacji?

– Czemu? Bo mam zajmować się dzieckiem?

Wallner przypatrywał się swoim dłoniom.

– Nie o to chodzi.

– Chodzi o to, że pracuję w table dance?

– Też nie. Chodzi o to, że nie traktuje tego pani jak pracy. W każdym razie nie tylko.

– Co pan ma na myśli?

– To, że chce pani zajmować się Katją, bo jest moją córką. Z wdzięczności czy z innych powodów.

Annika Plungauer również skupiła się na swych dłoniach, myślała nad czymś, ale nic nie powiedziała.

– To straszne, że pani ojciec musiał odejść tak wcześnie. Wyobrażam sobie, że nadal nie może się pani z tym pogodzić. – Popatrzyła na niego wilgotnymi oczami. – Ale nie mogę go pani zastąpić.

Kiedy dziewczyna wyszła, w kuchni zrobiło się cicho. Manfred był zły i milczał. Vera była bezradna.

– Nie rozumiem. Tylko dlatego, że cię nie zapytaliśmy o zdanie?

– Naprawdę myślisz, że jestem takim świrem, który musi wszystko kontrolować?

– Po prostu nie rozumiem, dlaczego nawet nie dałeś jej szansy.

– Nie mogę zatrudnić u siebie kogoś, kto jest świadkiem w sprawie o zabójstwo.

– Dlaczego? Gdyby już tutaj pracowała i stała się świadkiem później, wyrzuciłbyś ją?

Wallner jęknął. Vera miała oczywiście rację. To nie był powód.

– Jaki jest prawdziwy powód, że jej nie chciałeś?

Zawahał się. To nie miało sensu. Musiał im powiedzieć.

– No dobrze, skoro koniecznie chcecie wiedzieć. Annice nie chodzi ani o Katję, ani o pieniądze. Prawda jest taka, że ona na mnie leci. Dlatego chciała mieć tę pracę.

Wallner usiłował przybrać wyraz twarzy stosowny do powagi sytuacji. Obawiał się dyskusji z Verą. Wybuch wesołości u Very i Manfreda, który nastąpił potem, wydał mu się wyjątkowo idiotyczny i nie na miejscu.

Anton Schuckenrieder i Baptist Krugger przebywali w areszcie, Josepha Leberecht znajdowała się pod nadzorem policyjnym. Śledczy czekali jeszcze na wyniki niektórych analiz, między innymi porównanie śladów z miejsc zbrodni z DNA podejrzanych. Ponadto żywili nadzieję, że Schuckenrieder będzie zeznawał, być może w ramach ewentualnego porozumienia z prokuraturą. Nadchodził weekend i Wallner nie miał nic przeciwko temu, by delikwenci wykorzystali te dwa dni na przemyślenie tego i owego.

W piątek wieczorem w azylu dla zwierząt w Riedern odbyła się impreza bożonarodzeniowa policji z Miesbach. Atmosfera była wyjątkowo świąteczna, goście siedzieli pod rozgwieżdżonym zimowym niebem (przy grzejnikach), konie i osły w charakterze żywej dekoracji ulokowano za prowizorycznym ogrodzeniem w szopie na narzędzia, inne zwierzęta obserwowały spektakl z bezpiecznych miejsc i były nieustannie dokarmiane pomimo próśb, by tego nie robić. Zwierzęta nie miały nic przeciwko temu.

Wybór potraw nie był tak bogaty jak zazwyczaj. Poza zmrożonymi ciastkami podano *leberkäs* i precle, poza tym zupę gulaszową i frytki. Daniela nie do końca zdołała się przebić ze swymi wegetariańskimi pomysłami. Policjantom wolno było przyprowadzić rodziny, ale Wallner przyszedł tylko z Verą, bo impreza odbywała się zbyt późno dla Katji. Położył jeszcze córeczkę spać i miał nadzieję, że mała jak niemal zawsze prześpi całą noc, a Manfred nie nabroi.

W poniedziałek Baptist Krugger i Anton Schuckenrieder zostali ponownie przesłuchani. Tischler, który brał udział w procesie o zabójstwo aktora serialowego, był nieobecny. Tymczasem Annika Plungauer zidentyfikowała Antona Schuckenriedera jako mężczyznę, który chciał ją zasztyletować. Ponadto w mieszkaniu kobiety znaleziono liczne ślady DNA obciążające nożownika.

Ponieważ Schuckenrieder korzystał z pomocy adwokata należącego do lepszych w swym fachu, zdecydował się zeznawać.

– Jeśli się nie mylę – Wallner podsumował dotychczasowy przebieg przesłuchania – prokuratura wniosie oskarżenie o próbę zabójstwa. W dwóch przypadkach.

– Po pierwsze – odparł Schuckenrieder, odchylając się na krześle do tyłu – moim zamiarem nigdy nie było zabicie tej kobiety. Groziłem jej nożem. Tak. Przyznaję, chciałem ją zastraszyć, żeby nie poszła na policję. Ale po co zabijać? Nie miałem się czego obawiać. Przecież zabrałem tylko numer telefonu. Z takiego powodu się nie zabija.

– Miała rany cięte na całym ciele. Jedna z nich o włos minęła tętnicę szyjną.

– Szamotała się jak dzika, a nóż był cholernie ostry. Głupio wyszło. I tyle. – Pokręcił głową, jakby nie rozumiał.

– Chciał pan coś jeszcze powiedzieć. Po drugie...

– Ach tak, właśnie. Dlaczego w dwóch przypadkach?

– Niewiele brakowało, a zamordowałby również Danielę Kramm, gdyby nie interwencja kolegów.

– To czysta spekulacja – wtrącił się mecenas z Monachium. – Faktem jest, że to pani Kramm zaatakowała mojego klienta nożem, a nie na odwrót.

– Pani Kramm nie jest notowana ani jako nożowniczką, ani jako osoba mająca na koncie przestępstwa z użyciem przemocy. Pana klient owszem. Ale to już pozostawiam kunsztowi pana mecenasa, by przekonał sędziów, że to pan Schuckenrieder, a nie pani Kramm jest tu ofiarą. – Wallner wertował akta, aż znalazł analizę laboratoryjną. – W tej chwili skłaniam się ku temu, że obu wspomnianym kobietom dopisało szczęście. W przeciwieństwie do trzech zamordowanych.

– Czy mógłby pan sformułować swoje twierdzenie w sposób jasny i bezpośredni? – Adwokat wyprostował się na krześle. Rozpoczął się decydujące starcie.

– Wiele przemawia za tym, że pan Schuckenrieder zamordował Sophie Kramm, Jörga Immerknechta i Annette Schilbichler.

– Nic nam nie wiadomo o dowodach popierających tę teorię. Cóż takiego rzekomo za tym przemawia?

– W mieszkaniu Annette Schilbichler znaleziono ślady DNA pana klienta. Jak się tam znalazły?

Schuckenrieder wymienił spojrzenia z mecenasem, który nieznacznie skinął głową.

– Byłem u niej w mieszkaniu. Tego dnia, kiedy została zamordowana. Już wtedy nie żyła.

– O której to było godzinie?

– Prawie trzecia po południu.
– Dobrze, to się pokrywa z zeznaniami świadka, który pana widział. Po co pan poszedł do mieszkania pani Schildbichler?
– Byłem z nią umówiony, chciałem ją o coś zapytać.
– O co?
– Gdzie jest dziesięć milionów euro pana Kruggera. To nie jest karalne.
– To nie – przyznał Wallner i z namysłem zakręcił w kubku resztką kawy. –
Czy ktoś postara się o świeżą kawę?

Mike chciał wstać, ale Tina była szybsza i położyła mu rękę na ramieniu.

– Ty przyniosłeś ostatnio, jak była tu ta flądra z RAF-u.

Wallner poszukał wzrokiem spojrzenia Schuckenriedera.

– Pan Krugger twierdzi, że miał pan uciszyć ludzi, którzy mogliby robić problemy w związku ze szczątkami dziewczyny. A to te same osoby, które obrabowały pana Kruggera.

– Ach tak? Tak twierdzi? – Schuckenrieder wzruszył ramionami.

– Przecież to oczywiste – wtrącił się mecenas – że pan Krugger chce się oczyścić z zarzutów i zrzuca winę na mojego klienta. Prawdopodobnie właśnie dlatego wybrał kogoś, kto był już karany. Pan Schuckenrieder być może nie zawsze nad sobą panuje. Z pewnością nie jest aniołem i skrzywdził kilka osób. Ale to były czyny popełnione w afekcie. Natomiast te zabójstwa to drobiazgowo zaplanowane i pedantycznie przeprowadzone dzieła psychopaty. Proszę zapytać swoich profilerów. Potwierdzą, że pan Schuckenrieder nie mógł dokonać tych morderstw.

– Czynów w afekcie zwykle się nie zleca osobom trzecim – oznajmił Wallner, nawiązując tym samym do uszkodzeń ciała, za które był karany Schuckenrieder i za co zainkasował zapłatę, co mu udowodniono. Pomijając to, wiele z tego, co mówił mecenas, było niestety zgodne z prawdą. – Co chciał pan osiągnąć, kiedy rzekomo zaatakowała pana nożem?

– Chyba to panu powiedziała.

– Wolę wysłuchać obu stron.

W rzeczywistości nie mieli jeszcze zeznań Danieli Kramm, powiedziała jedynie, że Schuckenrieder groził jej nożem. Chcieli dać jej trochę czasu na przetrwanie tego, co przeżyła. Ponadto jej zeznania nie były w tej chwili najistotniejsze. Schuckenriedera można było pociągnąć do odpowiedzialności za atak nożem w Monachium, ale przede wszystkim znalazł się na celowniku z powodu zabójstw.

Przesłuchiwany popatrzył na adwokata, który nachylił się w stronę Wallnera.

– Będzie pan musiał zrezygnować z zeznań mojego klienta, przynajmniej na razie. – Odchylił się do tyłu. Wyraźnie widać było, że traktuje ten punkt jako podlegający negocjacom.

Wallner lekko się zirytował.

Krugger tym razem miał ze sobą adwokata. Innego jednakże niż podczas rewizji domu. Był to mecenas z Monachium, który spotkawszy na korytarzu obrońcę Schuckenriedera, pogawędził z nim chwilę.

– Jak dotąd okazał pan dużą gotowość do współpracy – zaczął Wallner. – Podczas ustalania wyroku zostanie to panu zaliczone jako okoliczność łagodząca. Szczególnie pomocne byłoby, gdyby wsparł nas pan w śledztwie przeciwko panu Schuckenriederowi.

– Co chce pan wiedzieć? – Mecenas przejął pałeczkę, zanim jego klient zdążył wypalić coś przedwcześnie.

– Czy Schuckenrieder popełnił te trzy zabójstwa?

– Powiedziałem mu, że ma zrobić wszystko, co konieczne, abym nie trafił do więzienia.

Mecenas chciał interweniować, ale Krugger zastopował go gniewnym gestem.

– Kawa na ławę. Chcę mieć to za sobą.

Mecenas westchnął i odchylił się do tyłu.

– Nie mówiłem Schuckenriederowi, że ma zabić. Miałem nadzieję, że tego nie zrobi. Ale liczyłem się z tym.

– Powiedział panu, że zamordował Sophie Kramm? Albo Jörga Immerknechta? Anette Schildbichler?

– Nie. Mieliśmy milczącą umowę, że nie chcę wiedzieć o takich rzeczach. Sophie Kramm w każdym razie nie zamordował.

– Jest pan pewien?

– Zleciłem mu robotę dopiero wtedy, gdy zobaczyłem w gazecie zdjęcie. Zdjęcie torebki. Przedtem Schuckenrieder nie miał nic wspólnego z tą sprawą.

Wallner, Mike i Janette potrzebowali chwili na przetrwanie tej informacji. Wychodzili z założenia, że w osobie Schuckenriedera znaleźli mordercę, który z polecenia Kruggera zabił trzy osoby. Najwyraźniej tak nie było. W takim razie jak?

– To na czym stoimy? – zaczął Tischler.

Wallner zebrał ludzi w pokoju konferencyjnym. Obecni byli Janette, Mike, Tina i Oliver. Prokurator po rozprawie przyjechał do Miesbach, by zebrać owoce swej wybitnej pracy śledczej.

– Schuckenrieder w każdym razie nie zamordował Sophie Kramm – poinformował go Wallner. – A i w dwóch pozostałych przypadkach jest to mocno wątpliwe.

– Myślałem, że to zostało wyjaśnione?

– Niestety, okazało się, że nie. Krugger zaangażował go dopiero po morderstwie Sophie Kramm.

– Ale może zamordował pozostałą dwójkę. W końcu znaleźliśmy jego DNA w mieszkaniu Annette Schildbichler.

– Twierdzi, że już nie żyła, kiedy wszedł do mieszkania.

– Też bym tak twierdził na jego miejscu. Czego on tam w ogóle chciał?

– Szukał pieniędzy Kruggera.

– A co, jeśli to Krugger popełnił te morderstwa i chce obciążyć Schuckenriedera?

– Coś takiego sugerował adwokat Schuckenriedera. To możliwe, ale jakoś nie pasuje do tego człowieka. Choć w tych sprawach łatwo o pomyłkę.

– Dlaczego Krugger miałby oczyścić go z pierwszego zabójstwa? – wtrącił Mike.

– Bo i tak wyjdzie, że zaangażował go dopiero później? – Wallner wzruszył ramionami i schował twarz w dłoniach. Pokręcił głową. – Nie, to do siebie nie pasuje. Jeśli to był Krugger, to po co te zdjęcia martwej dziewczyny, które kierowały trop na niego? Przecież to bez sensu.

– Czyli co? Trzymamy w areszcie dwóch ludzi i żadnego sprawcy? – Między oczami Tischlera zarysowała się pionowa bruzda. Popatrzył z niepokojem po zebranych.

– A co z Josephą Leberecht? Jest inteligentna, zimna i wyrachowana. A jej moralna poprzeczka jest zawieszona dość nisko, jak sędzę.

– Sporo nam wyjaśniła i tak jakby przyznała się do szantażowania swych byłych współlokatorów ze wspólnoty.

– Założmy, że cała trójka ugięła się pod szantażem i zapłaciła, a Leberecht chciała wykluczyć ich jako świadków – podsunął Tischler i zastanowił się chwilę nad słabymi punktami swej teorii. – A zdjęcia to tylko manewr maskujący, żeby ci, co przeżyli, myśleli, iż kryje się za tym ktoś inny. Na przykład Krugger, który chce się zemścić, albo coś w tym stylu.

– Ale dlaczego także przy trzeciej ofierze? – powątpiewał Mike. – Przecież wtedy Leberecht nie musiała już nikogo więcej zwodzić.

– Owszem, policję. Albo był jeszcze ktoś czwarty. Może siostra Sophie Kramm. – Tischler wzruszył ramionami.

Wallner zabębnił palcami po stole.

– Możemy tu spekulować do śmierci. Faktem jest, że wiemy za mało. Przede wszystkim powinniśmy jeszcze raz przepytac Daniellę Kramm. Wprawdzie niewiele wiedziała w kwestii napadu na Kruggera, ale dla mnie nie do końca jest jasne, czego szukał u niej Schuckenrieder, a przede wszystkim, czy coś znalazł.

– Dlaczego jeszcze nie przesłuchano tej kobiety?

– Chciała wyjechać na weekend do krewnych. A dzisiaj jeszcze nie udało nam się skontaktować z nią telefonicznie. – Wallner zerknął na Janette.

– Właściwie powinna być już z powrotem. Wysłałam radiowóz do azylu.

– Połącz się z nim – polecił Wallner.

Janette zrobiła, o co prosił. Słuchała chwilę, a na jej twarzy pogłębiała się konsternacja.

– Okay – powiedziała wreszcie. – Zostańcie tam. Będziemy na miejscu za piętnaście minut.

Odłożyła słuchawkę, popatrzyła wokół po wyczekujących twarzach i oświadczyła:

– To powoli zaczyna się robić dziwaczne.

W azylu panowała upiorna cisza. Nic się nie poruszało, gdziekolwiek by spojrzeć. Jedynym wyjątkiem była czekająca na odjazd ciężarówka do przewożenia koni. Kierowca z tyrolskim akcentem tłumaczył Wallnerowi, że to jego ostatni transport. Przez cały weekend przewozili stąd zwierzęta do azylu „Inntal” po drugiej stronie granicy. Okazało się, że na konto tyrolskiego azylu wpłynęła większa kwota pieniędzy, jako rekompensata za przyjęcie podopiecznych. Mężczyzna nie miał pojęcia, gdzie się podziała właścicielka tutejszego schroniska. On miał tylko odebrać zwierzęta.

Nadjechał Kreuthner. Rozejrzał się wokół ze zdumieniem.

– Kurwa – wyrwało mu się. W przekleństwie tym było więcej żalu niż złości. Popatrzył pytająco na Wallnera.

– Wyjechała i przekazała zwierzęta do innego azylu.

Kreuthner nie mógł uwierzyć w to, co widział. Wszedł do stajni, wyszedł z powrotem na podwórko i wybrał na komórce numer Daniela.

– Już próbowaliśmy. Ma wyłączony telefon.

Kreuthner spróbował mimo to. Odezwała się poczta głosowa.

– Nie może być. Dlaczego nic mi nie powiedziała, że wyjeżdża?

– Widać miała swoje powody.

Wallner poszedł do szopy na narzędzia, jakby chciał tam coś sprawdzić. Szukał tylko odosobnienia, żeby chwilę pomyśleć.

– Jakie powody?! – zawołał Tischler, odprowadzając wzrokiem odjeżdżający transport koni.

– Chwileczkę. – Wallner wykonał uspokajający gest, podczas gdy Kreuthner wszedł do chałupy, żeby sprawdzić, czy Daniela nie zostawiła czegoś dla niego.

– A tak w ogóle to potwierdziło się, że Sophie Kramm popełniła samobójstwo? – zapytał Wallner Tinę i Olivera, gdy wrócił z szopy.

– Miała zapisany w komputerze numer telefonu do terapeutę – powiedział

Oliver. – Leczyła się u niego. Na depresję.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy? – Tischler wyglądał na mocno zirytowanego.

– Bo ustaliliśmy to w momencie, w którym było jasne, że mamy do czynienia z morderstwem. Przestaliśmy prowadzić dochodzenie w kierunku samobójstwa.

– Racja. Bo i po co? – Tischler zwrócił się do Wallnera. – Chce pan powiedzieć, że to jednak nie było morderstwo?

Wallner wbił głęboko ręce w kieszenie kurtki puchowej. Było mu zimno. Najchętniej wszedłby do środka, ale dom przypuszczalnie nie był ogrzewany, a świeże powietrze pomagało mu w myśleniu.

– Załóżmy coś takiego: Sophie Kramm cierpi na depresję, azyl dla zwierząt jest o krok od bankructwa, nie widzi innego wyjścia i popełnia samobójstwo.

Kreuthner wyszedł z chałupy. Najwyraźniej niczego nie znalazł.

– Załóżmy dalej, że Daniela Kramm obwinia Jörga Immerknechta i Annette Schildbichler o śmierć siostry.

– Dlaczego? – dopytywał się Kreuthner. Tok rozumowania Wallnera zmierzał w kierunku, który mu się nie podobał.

– Ta trójka ukradła Kruggerowi dziesięć milionów euro. Dlaczego więc azyłowi groziła plajta?

– Pozostała dwójka nie dała nic na azyl. Z jakiegoś powodu – snuła przypuszczenia Janette.

– Ale Daniela nic nie wiedziała o napadzie na Kruggera – zaproponował Kreuthner.

– Tak nam powiedziała. Ale czy nie mówiła przypadkiem, że obie były ze sobą bardzo blisko? Naprawdę sądzisz, że Sophie nie powiedziałyby siostrze o napadzie?

Kreuthner milczał.

– Czyli Daniela Kramm zamordowała Immerknechta i Schildbichler, żeby pomścić śmierć siostry? Interesująca teza, ale dość śmiała bez popierających ją dowodów.

– Była przy tym, jak znaleziono jej siostrę. Nikt oprócz niej nie znał szczegółów śmierci Sophie Kramm i sposobu, w jaki została znaleziona. W gruncie rzeczy Daniela Kramm była jedyną osobą, która mogła zaaranżować wszystko tak, jakby to była seria trzech zabójstw popełnionych przez psychopatycznego mordercę. Bez trudu zrekonstruowała samobójstwo siostry. Jest wielką pedantką. Sam tak mówiłeś, prawda?

Wallner posłał Kreuthnerowi pytające spojrzenie. Ten przytaknął ledwie dostrzegalnie.

– A jednak pominęła jeden drobiazg. Przy Sophie Kramm znaleźliśmy

flakonik z GBH, wiecie, z płynnym ecstasy. U pozostałych dwóch ofiar substancja była wprawdzie we krwi, ale nie mieli przy sobie buteleczki. Ze względu na silnie narkotyzujące działanie tego środka samobójca musi zażyć go bezpośrednio przed odebraniem sobie życia, a zatem buteleczka musiała znajdować się w pobliżu zwłok.

W tym momencie zabrzęczała czyjaś komórka. Kilkoro z obecnych drgnęło. Dzwonił telefon Kreuthnera. Popatrzył na wyświetlacz.

– Przysłała mi SMS-a. – Kliknął parę razy i przeczytał treść wiadomości. – Pyta, czy chcesz – popatrzył na Wallnera – z nią rozmawiać. Za godzinę na Facebooku.

Tischler musiał w pilnej sprawie (zapewne związanej z *media value*, jak podejrzewał Wallner) wracać do Monachium. Żal z tego powodu był jednak umiarkowany. Pozostali pojechali do Miesbach i zebrali się u Wallnera wokół komputera. Komisarz musiał wpierw zaprosić Danielę Kramm do grona znajomych na Facebooku. Mniej więcej po dziesięciu minutach zaakceptowała zaproszenie. Czat mógł się rozpocząć. W trakcie internetowej rozmowy specjaliści z LKA w Monachium próbowali ustalić, skąd łączyła się kobieta.

- Witam.
- Dzień dobry. Szukaliśmy pani.
- Musiałam nagle wyjechać. Przepraszam.
- Mogę spytać, gdzie pani jest?
- Nie mogę panu powiedzieć. Zgłosiłam się, bo dotarło do mnie, że zatrzymaliście pewne osoby. Są podejrzane o popełnienie morderstw. To prawda?
- Zgadza się. Chce coś pani powiedzieć w związku z tym?
- Nie chcę, żeby zostali ukarani niewinni.

Tina weszła do pokoju z informacją, że LKA ustaliła adres IP, z którego połączyła się Daniela Kramm. Należał on do modemu USB, który został kupiony wczoraj w centrum Monachium. Jeśli znajdował się jeszcze na terenie Niemiec, to przy dużej dozie szczęścia da się ustalić jego lokalizację. Wallner przyjął to do wiadomości i kontynuował rozmowę na czacie.

- Dobrze. Więc zacznijmy od tego: jak zmarła pani siostra?

- Odebrała sobie życie.
- Jest pani pewna?
- Zostawiła mi list pożegnalny. Nadszedł następnego dnia pocztą. Była zdesperowana, bo azyl wyczerpał wszelkie środki. W liście dokładnie opisała, jak zamierza się zabić, że to bezbolesna śmierć i żebym się nie martwiła.
- Immerknecht i Schildbichler nie chcieli dać pani siostrze pieniędzy na schronisko?
- Kategorycznie odmówili wydawania pieniędzy na zwierzęta. Wystarczyłoby tylko sto tysięcy. A oni mieli dziesięć milionów. To oni doprowadzili do śmierci mojej siostry.
- A to znaczy?
- Zabiłam ich oboje. To nie było trudne. Ufali mi, bo byłam młodszą siostrą Sophie.
- To znaczy, że wiedziała pani o napadzie na Kruggera?
- Od samego początku. Sophie mówiła mi o wszystkim.
- Dlaczego pani siostra miała przy sobie zdjęcie?
- Zawsze je miała przy sobie. Jako rodzaj zabezpieczenia przed Kruggerem. To trochę irracjonalne. Ale to była jej idée fixe.
- Gdzie są pieniądze?
- Na rachunkach bankowych na całym świecie. Mam hasła i przeznaczę je na dobre projekty, trochę wydam na siebie. Nie potrzebuję wiele. Tak w ogóle to nie chodziło mi o pieniądze. Nie sądziłam, że kiedykolwiek dostanę w ręce te hasła. To był przypadek. U Annette Schildbichler leżała na biurku kartka. Były na niej wszystkie dane dotyczące kont.
- Zdaje sobie pani sprawę, że do końca życia będzie pani poszukiwana, jeśli nie zgłosi się pani na policję?
- Muszę kończyć. Niech pan pozdrowi ode mnie Kreuthnera. Jest u pana?
- Tak. Chce mu pani coś powiedzieć?
- Odezwę się do niego. I niech pan mu powie, że dziś wieczorem dostanie przesyłkę. Niech będzie w domu.

W poniedziałek, dzień przed Bożym Narodzeniem, wciąż było mroźno. Wallner zadzwonił wieczorem do Kreuthnera. Obawiał się, że cała ta sprawa z Danielą Kramm trochę nim wstrząsnęła. Sierżant miał wyłączoną komórkę. Odrobinę zaniepokojony pojechał do niego, jednak w jego dwupokojowym mieszkaniu pod Miesbach go nie zastał. Sąsiad podejrzewał, że Kreuthner jest w gospodarstwie, które wraz z nielegalną gorzelnią dostał w spadku po wuju Simonie.

Kreuthner urządził sobie w obejściu przytulne gniazdko. Siedział na leżaku, w kurtce puchowej, opatulony kocami. W starej beczce po ropie płonął ogień, a i wiśniówki było pod dostatkiem. Z domowego pędzenia, intensywna w smaku. Miała wszystko to, za co tak ceniono wyroby Simona Kreuthnera. Wallner przysiadł się i chętnie wziął od niego koc. Nie odmówił też wiśniówki, by nie burzyć przytulnego nastroju, którym rozkoszował się Kreuthner. Jakiś czas bez słowa wpatrywali się w ogień, co dla mężczyzn może być zajęciem wypełniającym cały wieczór.

– Głupio wyszło z tą twoją Danielą – powiedział w końcu Wallner.

Kreuthner skinął głową i dalej patrzył w płomienie.

– Rozesłaliśmy za nią międzynarodowy list gończy. Podczas czatu na Facebooku prawdopodobnie była w Meksyku.

– Ona jedzie do Nikaragui. Ma tyle pieniędzy, że może tam przekupić każdego policjanta, nie mówiąc o sędziach.

– Pożyjemy, zobaczymy. Odezwała się do ciebie? Pytam nie jako policjant.

W tym momencie zza węgła wyłonił się monstrualnych rozmiarów kot, miauknął zrzędlawie i wskoczył Kreuthnerowi na kolana.

– Przywieźli go dziś ci z tyrolskiego azyłu.

Wallner popatrzył w niebo. Była to jedna z tych zimowych nocy, kiedy gwiazdy na firmamencie przeważały nad czernią.

– Co robisz w święta?

Kreuthner wzruszył ramionami.

– Ogarnę tu trochę. – Zatoczył ręką koło, pokazując zaniedbaną posiadłość.

– No dobra. To będę lecieć – powiedział Wallner, wstając. – Wpadnij jutro, jeśli będziesz miał ochotę.

– Dzięki. – Kreuthner oderwał wzrok od ognia. – Może rzeczywiście tak zrobię.

Przez moment czuł na ramieniu ciężar ręki Wallnera, który po chwili odszedł w noc. Kreuthner popatrzył w niebo. Na południu nad górskim masywem widniał ogromny i odwieczny Orion. Czy w Nikaragui też widać Oriona? – zastanawiał się. Kot o imieniu Troll wreszcie znalazł na jego kolanach wygodną pozycję.

Podziękowania

Chciałbym podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie podczas tego projektu. Szczególne podziękowania kieruję do mojej żony Damaris, za jej cierpliwość i nieprzekupny osąd, a także interesujące opowieści z azylu dla zwierząt; dziękuję nadkomisarzowi policji kryminalnej w Miesbach Johannowi Schweigerowi oraz nadkomisarzowi Konradowi Paulusowi, którzy umożliwili mi fascynujący wgląd w konkretną policyjną pracę; Henry'emu Halbigowi, który naświetlił temat środowisk sympatyzujących z RAF-em; Sophie Putz, od której wiele dowiedziałem się o tym, co to znaczy prowadzić azyl dla zwierząt; mojemu przyjacielowi i współautorowi scenariuszy Thomasowi Letocha za nasze rozmowy, które zawsze pomagały mi rozwiązywać problemy pojawiające się w niniejszej historii; Marii Hochsiedler, która znajduje sposoby, aby uczynić tekst krótszym, przystępniejszym i elegantszym; mojej redaktorce Andrei Hartmann, która dzięki swemu doświadczeniu i intuicji przyczyniła się do tego, by podobnie jak moje poprzednie powieści również i ta stała się piękniejsza i bardziej zwarta.

Kolejny tom w przygotowaniu!

Andreas Föhr

WILCZY JAR

Koniec kwietnia, okolice jeziora Tegernsee w bawarskich Alpach. Policja kryminalna w Miesbach pod kierownictwem komisarza Wallnera wszczyna śledztwo w dwóch tajemniczych sprawach: pewien przedsiębiorca pogrzebowy grzęźnie swym karawanem w rzece, a jednocześnie ginie bez śladu młoda kobieta. Jej samochód zostaje odnaleziony w położonym na odludziu Wilczym Jarze, przebity drzewem.

W trakcie śledztwa wychodzi na jaw, że oba wydarzenia w osobliwy sposób łączą się ze sobą. W obu maczał palce podwładny Wallnera, starszy sierżant Kreuthner, Bawarczyk o anarchistycznych zapędach i żywiołowym usposobieniu, któremu wymknął się spod kontroli genialny z pozoru plan.

Autor niezwykle wprawnie konstruuje niekonwencjonalne intrygi.
„Süddeutsche Zeitung“

Andreas Föhr trzyma poziom. Nadaje swym postaciom więcej głębi, niż się początkowo można spodziewać.

„Westdeutsche Allgemeine“

